

# Tylko grajek





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

HANS CHRISTIAN ANDERSEN

# *Tylko grajek*

TLUM. FRYDERYK HENRYK LEWESTAM

# TOM I

## I

Kiedy śniegi już stopnieją, kiedy się lasy znowu zazielenią, wówczas bociany wracają z długiej swojej wędrówki: bawiły one w dalekiej Afryce, piły z wód Nilu, spoczywały na szczytach piramid. Mieszkańcy brzegów Sycylii i włoskiego przylądka Miseno, tysiączne nam opowiadają wieści o bocianach, które corocznie o pewnej porze licznymi gromadami przybywają zza morza i czernią się na spadkach górzystych, aż się raptem uniosą w powietrze, i ulecą, het! daleko, w krainy Północy, ponad śniegi i chmury alpejskie, gdzie gromada na drobniejsze znowu rozdziela się gromadki, a najmniejsza z nich równie jak największa, bez trudu trafia do kraju, z którego wyszła przed pół-rokiem. Oddział—to niekoniecznie najmniej liczny, który leci do małej Danii, a każdy znów pojedynczy bocian zna port do którego zdąża, zna szumiące szczyty lasów i biały komin nad dworkiem wieśniaczym, gdzie czeka na niego dawne gniazdo. Dziwne, tajemnicze ptaki! na naszych grzbietach wjeżdża do kraju wiosna, a lasy nabierają większej zieloności, trawki powabu, powietrze ciepła i jasności!

Taka—to właśnie para powróciła z podróży, a gniazdo jej stało wysoko nad spichrzem, w przedmieściu miasta Swendborg<sup>1</sup>. Dwa te ptaki zajęte były pilną pracą, bo znalezione w rynku blisko trzyłokciowy powróż ze słomy, starały się zanieść do gniazda, potrzebującego widocznie naprawy: usiłowania te zostały dostrzeżone i były teraz przedmiotem rozmowy w domku sąsiednim. Jedyną rzeczą odznaczającą jednego z dwóch mówców, opartego na poręczy otwartego okna, były zawiesziste, ciemne wąsy i granatowa, wojskowa czapka; w izbie zaś siedział na stole mężczyzna, niemniej silnej postawy, na którego ciemnych włosach kaszkiecik żołnierski byłby się lepiej wydał od białej szlafmicy, i któremu zgrabniej byłoby z pałaszem w rękę, aniżeli z igłą, co teraz szybko grała między jego palcami: człowiek za oknem był to sierżant pobliskiej załogi; człowiek na stole był majstrem krawieckim. Mały chłopczyzna przy drugim oknie aż nosa sobie przypłaszczył, wyglądając przez szybę za bocianami, o których mówili właśnie starsi.

— Zabawne zwierzęta! — rzekł sierżant gładząc sobie wąsy, — ani za całomiesięczną gażę nie podjąłbym się żadnego z nich zabić! Toć one szczęście przynoszą, gdzie sobie budują gniazdo; dlatego też dostały się żydowi.

— Już to prawda że siedzą nad domem żyda, — odrzekł krawiec, — ale zawsze i nam się cokolwiek z nich dostanie! co roku płacą swoją dziesięcinę, w jednym roku jajko, w drugim pisklę: dziobem, jakby ostrym szydłem, przebijają grzbiet pisklęcia, a potem fora z gniazda! Zresztą, całato komedia patrzeć jak karmią, albo jak przyuczają do lotu swoje młode. Przy karmieniu na przykład, stare dokazują dziwaczne sztuki; bo stanawszy prościutko w gnieździe, wyginają w tył długie szyje aż za ogon, tak jak robi kuglarz który wygina się, żeby zza siebie z podłogi podnieść srebrny szeląg. Najprzód tedy wciągają szyję, potem znowu wypychają ją i wyrzucają z niej małe, ładniutkie żabki i ślimaki, którymi częstują swoje młode: ale co nauka latania, to już ze wszystkich jest najpociesniejszą! Musztra ta odbywa się na dachu, gdzie młode chodzą jakby skoczki na linie, balansują skrzydłami i zaczynają od drobnych skoków, bo jeszcze ciała ich ciężkie, a pierza nie ze wszystkim porosły. To też rok rocznie, gdy widzę że już bociany wracają z długiej podróży, tak mi się wydaje, jak gdybym i ja niedawno powrócił z wędrówki, a dawne wspomnienia budzą się we mnie, gdy pomyślę o wysokich górach, na którym się wdrapywałem, o wspaniałych miastach, gdzie domy wyglądają jak zamki, o kościołach, w których tyle jest bogactwa co w cesarskim skarbcu. Zapewne, bardzo to pięknie za granicą, — westchnął, — tam największą prawie część roku trwa lato. Już to z nami Pan Bóg obszedł się jakby z pasierbami! Ale o czémto była mowa? prawda, o bocianach! Nikt jeszcze nie zbałał wszystkich osobliwości, które widzimy w tych ptakach. Zanim odlecą, zbierają się zawsze po rozmaitych miejscach kraju. Widziałem ich przeszło kilkaset pod Kwerndrup i przyznam się, że odbywały kompletną musztrę: najprzód wszystkie razem klekotały dziobami, tak, iż własnego słowa nie można było dosłyszeć; — rozmawiały zapewne o podróży. Po ukończonej naradzie, raptem największa gromada rzuciła się na

<sup>1</sup>Swendborg — miasteczko nadbrzeżne na duńskiej wyspie Fionii. [przypis tłumacza]

kilka pojedynczych, które zakłuła dziobami; — więcej jak pół tuzina legło ich na placu: są to podobno słabowite i chore, którym sił na daleką drogę nie starczyłoby. Potem cała chmara wleciała do góry tak dziwnymi obrotami, jak gdyby grajcarek w korku. Niechże nas Bóg zachowa! Jak poszły wysoko, to zdawały się rojem komarów, aż w końcu znikły zupełnie. Żółtka w ich jajach są czerwone jak krew; zaraz widać, że je zniosły słoneczne ptaki, i że w środku leżą młode z gorących krajów południowych.

— Czy i mnie bocian przyniósł z gorącego kraju? — zapytał nagle chłopczyk, który ciągle twarz przyciskał do szyby, lecz jednak uważnie słuchał każdego słowa.

— Ciebie wyłowił ze stawu młyńskiego, — odpowiedział ojciec, — przecież wiesz, że małe dzieci przynoszą ze stawu.

— Ale, — odezwał się chłopczyna, — toć te dzieci nie mają sukien, więc skądże bocian może wiedzieć, czy to chłopcy, czy dziewczęta?

— Zapewne, dlatego też nieraz się myli, — rzekł sierżant, — bo przynosi nam dziewczynę kiedyśmy się spodziewali chłopca.

— Czy nie przejdziem od bociana do skowronka? — przerwał krawiec i wyjął niebieską butelkę z kredensu, pełnego dzbanków i kubków, wśród których stał pięknie przystrojony posążek Matki Boskiej.

— Matka Boska ślicznie wygląda! — rzekł sierżant i wskazał na figurkę, — czyście to sami zrobili?

— Głowę mam z Austrii, — odpowiedział krawiec, nalewając z flaszki, — ale suknie sam uszyłem: takie rzeczy przypominają mi podróże, kiedym jeszcze był młody. Taką samą figurkę stawiały dzieci na stole przed domem; wokoło paliły się małe świeczki, a dzieci żebrały u przechodzących wołając: „To narodzenie Madonny.” Ale teraz pokażę wam obraz z przemianami, który sam zrobiłem. — To mówiąc, wskazał na źle rysowany, kolorowany obraz w dużych ramach. — Oto doktor Faust w swojej pracowni: po jednej stronie stoi zegar, indexa wskazują dwunastą, po drugiej stronie leży biblia. Pociągnijcie teraz za lewy sznurek! Widzicie, oto zegar przemieni się w biesa, który chce skusić doktora. Teraz pociągnijcie za drugi sznurek, a otworzy się biblia i z ćwiartek wyjdzie anioł ze słowami pokoju. — Jak rzekł, tak się i stało, a przy każdej figurze okazał się zarazem wierszyk z pokusą diabła i z przestrożą anioła. Krawiec pociągnął znów za prawy sznurek, a anioł skrył się w biblii; tylko szatan pozostał z Faustem.

— Co u kaduka! — zawołał sierżant, — czyście to sami wymyślili? Wamby nie być krawcem: wy macie rozum!

— Obraz ułożyłem podług podobnego obrazu, który niegdyś widziałem w Niemczech: mechanikę sam wymyśliłem. Sama historyjka o Fauście czarnoksiężniku także nie jest moja; widywałem ją nieraz w czasie moich podróży w teatrach marionetek. Anioł wychodził z biblii i przestrzegał doktora, ale zegar przedzierzgnął się w biesa, który otrzymywał władzę nad Faustem, skoro anioł odszedł, a biblia zamknęła się. Tenże Faust miał fahulusa, jak go nazywali, który wiedział o całym pakcie i sam już nawet był na złej drodze, z której się jednak zawczasu jeszcze cofnął. Biedny i nędzny występuje w ostatnim akcie, jako stróż nocny w tym mieście, w którym mieszkał doktor; wiedział zaś, że gdy wyśpiewa dwunastą, wówczas przyleci diabeł i porwie dawnego jego pana. Wybiła złowroga godzina, fahulus składa ręce na piersiach i: *Mości Panowie Gospodarze!* woła, westchnąwszy głęboko; ale czy nie mógł, czy nie chciał powiedzieć: *Już dwunasta*, dość że z cicha tylko szepnął: *Na zegarze!* A to wszystko na nic się nie przydało, bo ognistą pożogą Faust wyleciał przez okno swego domu.

— Wyście nie stworzeni na to, żeby siedzieć na stole — rzekł sierżant. — Toć i tak żyjecie tylko myślą o marszach i podróżach. Wojsko, tobyto było dla was życie! Naprzód! Marsz! Na ramię broń! Zanim się rok skończy, byłibyście sierżantem.

— A żona i dziecko? — rzekł krawiec. — Chłopak może by poszedł za mną jako dobosz, a kobieta za markietankę? Toby nie dla nich było życie! Nie, już to chyba trzeba być wolnym; wtedy cały świat do nas należy. Toć to były czasy, te pięć lat, kiedym był własnym swoim panem! Widzicie, sierżancie, miałem lat dopiero dziewiętnaście; ani ojca nie miałem, ani matki, ani kochanki! Faaborg<sup>2</sup> niezłe miasteczko; otóż tamem się urodził, tam wybyłem swój termin! Marya, córka naszego sąsiada, już była dorosłą dziewczyną,

<sup>2</sup>Faaborg — także miasteczko na wyspie Fionii. [przypis tłumacza]

kiedy mnie jeszcze nazywano chłopcem; dla tego też wbijałem się w dumę, że ta ładna, słuszną panną, która by z łatwością była znalazła tylu „dobrych przyjaciół,” ścisła mnie za rękę i filuternie do mnie uśmiechała się. Ale nigdy nawet nie śmiało zamarzyć, żeby Marya mogła zostać moją kochanką! chciałem podróżować, skorobym się tylko wyzwolił na czeladnika; chciałem widzieć ten świat, o którym nieraz czytałem w opisach. Gdy mnie już tedy wyzwolili, zebrałem zaoszczędzonych kilka groszy, związałem tornister i pożegnałem przyjaciół! Otóż w Faaborg, widzicie, tak jest, że kościół stoi na jednym końcu miasta, a wieża na drugim. Przechodząc tedy wieczorem koło wieży, spotkałem Maryę; objęła moją głowę rękami i pocałowała w same usta: mnie się zdawało, że to ogień; nigdy od tej pory pocałunek tak mnie nie przeniknął do wnętrza; byłbym wówczas pragnął, żeby całe miasto na to patrzyło: ale nas było tylko dwoje! Spojrzałem na wieżę: nie ma tam galerii strażniczej, oprócz wymalowanej z jednej strony na murze; dwóch także strażaków jakiś malarz postawił tam na niej, w naturalnej wielkości; toć ich widać jeszcze dzisiaj, choć kolorów nikt już nie odnawia. Jakżebym wówczas był szczęśliwy, gdyby ci strażacy byli żywi, a i tak nie mogłem się wstrzymać, żebym nie krzyknął w duchu: Byliście świadkami, jak mnie ucałowała najpiękniejsza z całego miasta dziewczyna!

— Czy to były już wasze zaręczyny? — zapytał sierżant.

— Ale gdzie tam! Zacerwieniłem się jak rak, lecz w myśli byłem wesół, a pełen radości zabrałem się do wędrowki! Przez pięć lat podróżowałem od kraju do kraju; natrafiłem na dobrych ludzi i na zacnych majstrów, ale nigdzie miejsca nie zagrzewał.

— Już to pocałunek Maryi niezawodnie był wam przedsmakiem; dopierożście dostali apetytu na dziewczętą!

— No, co prawda to prawda! Nie chcę uchodzić za lepszego, aniżeli jest w istocie; ale i to nie kłamie, że kiedym pierwszy raz w obcym kraju uściskał dziewczynę i dostał od niej pocałunek, nagle Marya przyszła mi na myśl, a nawet w dziwny sposób! Bo zdawało mi się w tej chwili, jakby patrzyła na mnie i uczulem, że się rumieni aż po same uszy! Nigdy też, choćby stąd najdalej, nie czulem się w obcym kraju obcym, a częstokroć, kiedym w jakim mieście przebył kilka tygodni, zdawało mi się, że już dawniej i ciągle tam mieszkałem, że zawsze znałem tych samych wesołych towarzyszy i z nimi śpiewał piosneczki niemieckie. Tylko jeżeli coś takiego zobaczył, co mnie przejmowało do wnętrza, jak np. stary kościół Św. Szczepana w Wiedniu, albo wysokie góry, z obłokami naokoło, a u stóp swych z żyznymi polami, jakby najobfitszym sadem warzywnym, wtenczas stawał mi na myśli Faaborg ze wszystkimi dawnymi znajomymi; a gdy oczy zachodziły mi łzami nad pięknnością tego świata, mimowolnie wspominałem w duchu wieżę w Faaborg, z wymalowaną galerią strażniczą i wymalowanych również strażaków, którzy byli świadkami mojego pożegnania z Maryą, i zdawało mi się, jakoby tu dla mnie mogło być jeszcze piękniej, gdyby tylko stała stara wieża, a pod nią Marya w spencerku w kwiaty i z zieloną spodnicą. Ale sobie prędko zaśpiewał piosenkę, a wnet wracała wesołość, i z kamratami znowu wybieraliśmy się na wędrowkę.

— Ależ i tu w domu jest pięknie, — zawołał sierżant.

— Zapewne że i tu pięknie, kiedy kwitną drzewa owocowe, a pola wyglądają jakby mapa różnokolorowa. Ale gdybyście widzieli jak to wygląda z tamtej strony owych gór wysokich i niebieskich; Alpy na przykład, boć tak je zowią, to istny ogromny ogród: fraszka przy nich cały sad w Glörup, fraszka nawet wszystkie parki królewskie w naszych krajach północnych. Z gór tych wyrabują marmur, biały jak cukier, a jakie tam wiszą winogrona, duże i jędrne, jakby nasze śliwki! Byłem tam ze trzy lata; nareszcie odebrałem list od ciotecznej siostry z Horne, a na marginesie były te słowa: „Marya się kłania i prosi, żebyś o niej nie zapomniał.” Poznałem rękę Maryi: wtedy jakoś zrobiło mi się dziwnie na sercu; przekonałem się, że to miłość, a odtąd już nie miałem spokoju. Dostałem tęsknoty, zachciało mi się do domu, koniecznie do domu! Nie jedną noc przeszedłem samotną drogą, koło wielkich klasztorów, przez drobne wioseczki, górą i doliną; w końcu mowa duńska oblała się znów o moje uszy, ujrzałem krzyż nad wieżą kościelną w Horne, kurhany pod Faaborgiem: potem poprosiłem o rękę Maryi i otrzymałem ją. Odtąd już nie wędruję! patrzę tylko na bociany, które odlatują w drogę i wracają do domu, a czasem, kiedym nie w humorze, Marya ma już swój sposób rozweselenia mnie. Raz do roku

w lecie płyniemy do Thorseng<sup>3</sup>; toć i to przecież mała podróż, a w dużą wędrówkę, to niech sobie chłopak pójdzie na nią, jak podrośnie: trzeba wam wiedzieć, sierżancie, że w nim niemało jest życia.

— Za to też dostanie tej wody — odrzekł sierżant i podał mu kieliszek napelniony do połowy. Chłopiec uchwycił go oburącz i wypił jednym tchem, że mu aż lzy stanęły w oczach.

— Otóż i nasza jejmość, — zawołał sierżant, widząc wchodzącą Maryą. Pełna jej kibic i duże ciemne oczy, były jakby stworzone na to, żeby rozkochane serce przyciągnąć z krain południowych. Dostyc ostro spojrziała na męża, i z lekka, choć grzecznie, skłoniła się sierżantowi, który ją poklepał po ramieniu. — Słyszałem całą historią miłosną, — rzekł, — i całą wędrówkę odbyłem z naszym majstrem.

— A tak, bo nic innego nie ma do roboty — odrzekła sucho i chusteczkę złożyła do komody. — Czemuż tam nie został, jeżeli mu było tak dobrze; Bóg wie po co tu wrócił! Raz mu tutaj za zimno; raz za wiele deszczu! To mu też nieraz i mówię: idź sobie! nikt cię nie trzyma! ja sobie mogę pójść do obowiązku, a dla chłopca też znajdę na kawałek chleba.

— Maryo, — rzekł mąż, — nie naprawdę tak mówisz! Gdybym nie był powrócił, tobyś dziś jeszcze była panną!

— Dziesięciu bym miała za jednego! Może nie wiesz, że syn zagrodnika z Oerebæk koniecznie chciał się żenić ze mną, alem ja była głupia, jak to się często zdarza nam kobietom.

— Nie pożałowałaś tego, Maryo, — rzekł mąż z przymileniem i przyciągnął ją do siebie. Pocałowała go w twarz, rozśmiała się i wyszła do kuchni, gdzie wnet zasmażyły się ryby do małej uczyty familijnej.

## II

Na prowincji zwykle każdy dom ma swój ogródek, jakkolwiek nie miał go dom naszego krawca; postarano się tedy o coś w podobnym niby guście, niechby tylko na garść szczy-pioru, i w samej rzeczy postawiono na swoim. Był to, że tak powiem, wiszący ogród północy, na jaki zdobyć się może ubóstwo: duża drewniana skrzynia, napelniona ziemią i stojąca wysoko na dachu, żeby się kaczki do niej nie dostały.

Ile razy potrzebowano z niej co zerwać, wystawiano schodki, które stały w kuchni między półkami a kominem; jeden podtrzymywał je, a drugi wlażył pod strych, otworzył lukę i wierzchnią częścią ciała sięgał do skrzyni.

To też dopiero było święto dla małego chłopczyka, kiedy się matka jego wybierała na dach; raz nawet pozwoliła mu, trzymając go pod ręce, żeby całkiem wylazł z luki i nogami dotknął się sztucznego ogrodu.

— Nas może równie tyle cieszy to trochę ziemi — mawiała Marya — ile żyda przepyszne jego sady.

— Alebyśmy się z chęcią na nie zgodzili, — odpowiadał krawiec. — Już to tam w środku ma być pięknie i pełno kwiatów: jakieś rzadkie rośliny, których nie znajdzie w żadnym innym ogrodzie w Swendborgu: w lecie wieczorem, jak wiatr zawieje w tę stronę, czuć nawet woń jaśminów. Nieraz już miałem ochotę przystawić schody do dachu, wleźć stamtąd w gniazdo bocianie i zajrzeć do ogrodu. Widzisz Maryo, te śliczne topole, które poza dach sam sięgają, dziwne myśli naprowadzają mi do głowy. W lecie, kiedy pełnia na niebie, tak ciemno odbijają od modrego powietrza, zupełnie tak samo, jak ogromne cyprysy we Włoszech. Ile razy, kiedyś ty spała, ja wstawałem i otwierałem okno; otóż jeśli wtenczas dochodził mnie łagodny wietrzyk i wonie jaśminu, wyobrażałem sobie, żeś daleko, gdzieś między górami pięknej Italii.

— Czy już znowu pleciesz trzy po trzy? — rzekła Marya i odeszła. Ale mały chłopczyk wytrzeszczył duże oczy na opowiadanie ojcowskie. Jakżeby chętnie i on wraz z bocianami odleciał do cudzych krajów, jakże byłby szczęśliwym, gdyby choć mógł usiąść na gnieździe i zajrzeć w ogród żyda; rzekłby kto, że zawarty tam był dla niego cały świat tajemnic. Tylko w samym domostwie kupca był on kiedyś z matką, właśnie gdy żydzi obchodzili swoje święta kuczek: nigdy też nie zapomniał pysznego sklepienia z sosen

<sup>3</sup>Thorseng — mała wysepka blisko Fionii. [przypis tłumacza]

i krzaków szparagowych, prześlicznych granatów przed sienią, i białego niekwaszonego chleba. W długie wieczory zimowe ojciec czytywał głośno z *Tysiąca i Jednej Nocy*, ale własne jego podróże wydawały się chłopcu niemniej cudownymi. Bocian był dla niego jakimś czarodziejskim zwierzęciem, jakby ptakiem *Skalą*, a ogród żyda, którego nigdy nie widział, był mu Hesperią, mieszkaniem Szeherazady ze złotą fontanną i gadającym smokiem.

Było to w lipcu. Malec bawił się w pustej komórce, stanowiącej granicę między domem a światem jego wyobraźni. W samym kącie obluźowało się kilka cegieł; chłopiec położył się na podłodze i zajrzał przez szpary muru, ale nic więcej nie zobaczył, tylko zielone liście, które w blasku słonecznym zdawały się całkiem przezroczyste. Ze drżącą ręką, jak gdyby szło o zdarcie zasłony z najświętszej jakiej tajemnicy, odważył się na wyciągnięcie jednej cegiełki; inne, co nad nią leżały, poszły za nią: serce jego biło głośno, ale on wstrzymywał oddech i nie śmiał się ruszyć. W kilka minut nabrał znowu odwagi. Otwór już teraz był większy, a i tak jeszcze nie dojrzał nic więcej, tylko kwaterę z truskawkami, która jednak wyobraźni dziecięcej takim się wydała bogactwem, jak dorosłemu widok najbujniejszych drzew owocowych, których gałęzie pod ciężarem owoców uginają się ku ziemi. Liście truskawek tak były duże i pełne, przez niektóre z nich świeciły promienie słońca, inne znów ciemniejsze ukrywały się w cieniu, a w pośród tej obfitości wisały dwie wielkie, czerwone jagody, świeże i soczyste: winogrona Kanaanu nie wzniewały zapewne większego pojęcia o żyzności krainy, nad te dwie truskawki. Wprawdzie i pokusę zerwania wzbudził jednocześnie ten widok, ale to było niepodobnym: na dzisiaj wyjęcie jednej cegły dość wielkim już niezawodnie było grzechem.

Nazajutrz popołudniu kamienie jeszcze były nietknięte; zielone liście przed otworem drżały od pociągu wietrzyka, a jagody wisały tam gdzie wczoraj. Wówczas mała rączka sięgła bojaźliwie i dotknęła się truskawki, choć nie zrywając jej; kiedy zaś po raz drugi zbliżyła się, a palce objęły zieloną łodygę, w tej samej chwili inna dziecinna rączka dotknęła jej. Chłopiec cofnął swą rękę z takim pośpiechem, że jedna jeszcze cegła wypadła; sam odskoczył na bok i dopiero po kilku pełnych obawy minutach odważył się bliżej przystąpić i wyjrzał przez powiększony otwór.

Dwoje dużych i ciemnych oczków wyjrzało naprzeciw niego; znikły one natychmiast, ale wnet znowu ukazały się. Była to piękna mała dziewczynka, która patrzyła nań ciekawie, choć w ostrożnym oddaleniu; od razu też poznał w niej Naomi, wnuczkę żyda, od której o rok może był starszy. Widział on ją kiedyś stojącą w żółtych, safianowych bucikach, na oknie w domu swego dziadka; te buciki niezatarte na chłopcu uczyniły wrażenie.

Przez długą chwilę dzieci nic nie mówiąc patrzyły na siebie.

— Mały chłopczyku, — rzekła Naomi, — mógłbyś tu przyjść do mnie! Wyjm jeszcze parę cegiełek!

Jakby na rozkaz potężnej czarodziejki, dwie cegły zleciały na ziemię.

— Jakże się nazywasz? — zapytała.

— Krystian, — odpowiedział chłopiec i wsadził głowę w oświecony od słońca i wonejący ogród. Naomi odgarnęła latorośl winną, która ocieniała ścianę; pogrążony w tym widoku stanął, jakby w krainie swoich marzeń.

Człowiek dorosły byłby tu ujrzał tylko mały, ładny i kwitnący ogródek, z mnóstwem rzadkich kwiatów, z winogronami zwieszonymi po murach, z topolami i dwiema akacją; ale my przejmijmy się tym widokiem, jak się nim przejął wchodzący chłopczyk, a odetchniemy z nim razem silną wonią kwiatów, uczujemy ciepło słońca, jak on podziwiać będziemy przepych niezmiernego szczęścia i bogactwa.

Na ścianach wily się cudnym kobiercem bujne szerokolistne winogrona, woniejące kapryfolie, czerwone i niebieskie konwolwule. Krzaczek centyfolii półksiężycem okalał najpyszniejsze lewkonie, wielkości i różnorodności kolorów nadzwyczajnej, począwszy od najciemniejszego granatu aż do śnieżnej białości; woń ich zdawała się przewyższać wszystkie inne. Pod topolą, na której wily się mocne liście ciemnozielonego bluszczu, stała mała Naomi, z rozumnymi oczkami i ciemną cerą, dowodzącą wschodniego pochodzenia; ale krew świeżo i pięknie przeglądała przez pełne policzki, kruczymi splotami ocienione. Ciemna sukienka, czarno przepasana, odziewała drobną, kształtną kibić.

Zaprowadziła go do ławki pod akacją, gdzie w gęstych gromadkach wisały bladoróżowe kwiatki. Dzieci raczyły się najpiękniejszymi truskawkami. Chłopiec obejrzał się,

porwany wirem jakiegoś hesperyjnego świata, który mu się wydawał tak dalekim od rodzicielskiej komnaty; wtem na górze zastukał bocian, on zaś poznał gniazdo i stojące w nim pisklęta, które zdawały się wlepić w niego swoje rozumne oczy. Wówczas pomyślał o małym dworku swego ojca, o skrzyni z szczypiorkiem na dachu, i zdziwił się, że to wszystko jest tak blisko. Jeden tylko bocian patrzył jednocześnie na oba jego światy.

Teraz Naomi wzięła go za rękę i poszli do małej altany, w której pomieścić się mogły tylko cztery osoby, ale która dzieciom zdawała się wielką salą; toć wyobraźni dziecięcej dosyć patyczkiem rysować po piasku, a utworzy zamki ze sklepieniami komnatami.

Jedyne okno z ciemnoczerwonymi szybami, rzucało dziwne światło na ciemne obicia, na których zwierzęta, ptaki i kwiaty łączyły się z sobą w fantastycznych liniach; pod kopułą wisiało strusie jajko, które od czerwonego światła nabierało jakiejś dziwnej barwy ognistej. Naomi wskazała na okno, Krystian przystąpił i wszystko na dworze ukazało się w jakimś dziwnym oświetleniu; mimowolnie przypomniał sobie płonącą górę, o której mu rozповідаł jego ojciec. Wszędzie naokoło blask luny; każdy krzaczek i kwiatek w płomieniach; obłoki zdawały się ogniem w ognistej atmosferze: nawet bocian, gniazdo i młode stały w ogniu.

— Pali się! — krzyknął Krystian, lecz Naomi zaśmiała się i klasnęła w drobniutkie rączki. Skoro dzieci znów drzwi otworzyły, wszystko powróciło do świeżej, zielonej barwy, nawet z pozoru silniejszej jeszcze, aniżeli gdy poprzednio stały w ogrodzie. Była znowu taż sama różnorodność kolorów kwiatowych, a bocian stał znowu w gnieździe biały, na czerwonych, długich szczydłach.

— Bawmy się w przedawanie pieniędzy! — zawołała mała Naomi, przeciągając żdźbło słomy przez listek, co miało wyobrażać szalki: żółte, czerwone i niebieskie listki, były niby pieniądźmi.

— Czerwone najdroższe, — rzekła. — Ty będziesz kupował, aleś i ty powinien dać mi coś za to! to będą fanty. Możesz mi dać twoje usta! My się tylko bawimy, ja naprawdę ich nie wezmę! Dasz mi twoje oczy!

Dziewczynka rączką niby sięgała po jedno i po drugie, a Krystianowi dawała czerwone i niebieskie listki: nigdy jeszcze w życiu swoim tak pięknie się nie bawił.

— Mój ty Boże! toś ty tutaj, Krystianie! — zawołała Marya, wścibiając do połowy głowę przez otwór w murze, którym dzieci przed chwilą się zeszły.

Przestraszony puścił rękę Naomi, pogubił tak drogo nabyte listki kwiatów i znikł co prędzej tym samym otworem, którym przyszedł. Na przyjęcie spotkało go kilka porządných cęgów przez plecy; cegły ułożono na powrót, jak można było najlepiej, i najsurowiej zabroniono podobnych kawałków, jak je nazywała Marya, choć i jej niekoniecznie pilno szła robota około naprawy wyłomu, bo przypatrywała się ogrodowi i zerwała nawet kilka najbliższych truskawek, których widok był dla niej zbyt nęcącym.

Nazajutrz od strony ogrodu otwór w murze zabity był deskami; musiała zapewne Naomi rozpowiedzieć coś o dziwnych odwiedzinach. Na próżno Krystian przyciskał do desek cegiełki, nawet się więcej jeszcze ośmielił i zastukał: wchód do pięknej krainy kwiatów na zawsze był zamknięty!

Przed oczami stawał mu ciągle cały przepych wspaniałego przybytku, drzewa i kwiaty, czerwone szyby i śliczna Naomi. O nich też myślał wieczorem, aż dopóki niewinny sen nie spadł na jego powieki.

### III

Gdy się Krystian przebudził, była jeszcze noc; ale jakiś dziwny, czerwony odblask, podobny do owego, jaki widział przez kolorową szybę, oświecał cały pokój. Wychylił głowę za łóżko; prawda! szyby także miały ten sam ognisty kolor, niebo ten sam blask płonący, ciemna topola zdawała się stać w ogniu; aż rozkosz było patrzeć znowu na te barwy płomienne, rozjaśniające ciemność nocy.

Wtem nagle dały się słyszeć krzyki: rodzice zerwali się ze snu, odezwały się grzechotki pożarne. Cały dom żyda był w płomieniach, iskry gęstym deszczem spadały do sąsiedniego ogrodu, niebo pokryte było czerwoną łuną, a ogień w dziwacznych zygzakach wzbijał się do góry. Marya chłopca zaprowadziła do sąsiadów naprzeciwko i z pośpiechem zbierała



co najlepsze sprzęty i suknie, które by rada ocalić, bo płomień już dosięgał oficyny, nad którą stało gniazdo bocianie.

Stary żyd sypiał na górze, a jeszcze się nie przebudził, chociaż ogień ogarniał go już czerwoną siecią śmierci. Z siekierą w rękę krawiec wyrąbał dziurę w murze ogrodu i wpadł do niego z kilkoma sąsiadami. Gorąco tu było jak w piecu, a wietrzyk nad ich głowami roznosił żarzące węgle.

Jeszcze dzwon pożarny nie odezwał się z wieży; strażacy krzyczeli, ale piszczałek ich nie było słycać<sup>4</sup>: jeden swoją zostawił w domu, boć jej nigdy jeszcze nie potrzebował do tej pory, drugi miał wprawdzie swoją, ale gdy chciał w nią zadąć, pokazało się, że, jak się wyrażał: „straciła wszystek oddech.”

Wyłamano drzwi; nikogo jeszcze nie było widać: wtem znienacka zabręczczała szyba w oknie, kot dziki wypadł przez nią z przeraźliwym krzykiem, skoczył na drzewo i znikł na dachu pobliskiego domu.

Wiedziano dobrze, że w domu tym było troje ludzi: stary żyd ze swoją wnuczką Naomi i służący ich, stary Joel, handlarz, jak go nazywano w całej okolicy. Należała wprawdzie do służby jeszcze i kobieta, Symonia, która dopomagała Joelowi w staraniach około gospodarstwa; lecz ona na noc wracała do własnej swojej rodziny, a więc w tej chwili nie była tu obecną.

— Wybijcie okno od góry! — krzyknęły pojedyncze głosy i przystawiono drabinę. Dym czarny i gęsty wzbijał się wzdłuż muru, cegły pękały od żaru; płomień śmieiej posuwał się po palących się belkach i łatach.

— Joel! — zawołali wszyscy, widząc go wypadającego z domu. Wychudłe i poźółkłe od starości członki okrył naprędce starym szlafrokiem; długie jego palce ścisnęły srebrny puchar, a pod pachą trzymał papiery w małym pudełku, jakiego kobiety zwykły używać do robótek ręcznych. To było wszystko, co on, jakby przez instynkt, zabrał z sobą w nagłej ucieczce. — Dziadek i dziecko! — szepnął, a przejęty przestachem i gorącem, oparł się o mur i wskazał na górę. W tym otworzyło się okno i stary żyd na wpół nagi, z małą Naomi na rękę, wyszedł na przystawione schodki. Dziecko z całej siły tuliło się do niego, a kilku widzów nadbiegło dla podtrzymania drabiny.

Już stary obiema nogami stanął na niej, już wraz z dzieckiem zaczynał się po niej spuszczać, gdy się nagle zatrzymał, westchnął dziwnie i raptem zawróciwszy się z małą, na powrót wlaźł przez okno i zniknął. Czarny dym i iskry na chwilę zasłoniły otwór.

— Jezu Chryste! — zawołano na dole. — Gdzież on poszedł? Spali się na nic z dzieckiem; pewno zapomniał wziąć pieniądze!

— Z drogi! — krzyknął nagle silny głos, a jakiś człowiek z ciemną, wyrazistą twarzą, precisnął się przez tłumy, wbiegł na drabinę, uchwycił za poręcz od okna, której część wierzchnia była zajęta płomieniem. W pokoju łyskał się ogień, a blask jego dziwnie drżał na chwiejącej się podłodze: człowiek ów wskoczył do izby.

— Czy nie był to Norwegczyk z wąwozu? — spytali niektórzy.

— On sam! Już to zuch nie lada!

Ogień oświecał każdy kątek pokoju: Naomi leżała na ziemi; starego dziadka wcale widać nie było, lecz z pobliskiego pokoju, przez drzwi dopiero co otwarte, dochodził dym gęsty i duszący. Obcy pochwyił dziecko i wybiegł na chwiejącą się drabinę. Naomi była ocalona, ale dziadek już odurzony dymem leżał w izbie, gdzie stała okuta żelazem duża skrzynia.

Dach zawalił się z łoskotem. Słup iskier niezliczonych, jak iskry mlecznej drogi, wznosił się wysoko w powietrze.

— Jezu Chryste, zmiłuj się! — takie było całe *Miserere* dla duszy, która w tej chwili przez płomienie wchodziła do życia śmierci.

Niepodobieństwem było cośkolwiek ocalić; ogień już zajął wszystko. Stara sługa, Symonia, z jękiem rozpaczy wyciągała ręce ku pogorzeli, gdzie pan jej palił się i gdzie wczoraj jeszcze była jakby w domu: Joela Marya zabrała do siebie; tam więc zaniecono także maleńką Naomi.

<sup>4</sup>Jeszcze dzwon pożarny nie odezwał się z wieży... — w miastach duńskich, gdzie są wieże pożarne, na przypadek ognia stróże miejsca dają znać o nieszczęściu przeraźliwym tonem piszczałkowym. Następnie biją we wszystkie dzwony kościelne. [przypis tłumacza]

Od razu zewsząd rozległy się krzyki: — Bocian! biedny bocian! — Otaczające płomie- nie oświecały gniazdo, na którym stała matka, roztaczając szeroko duże swoje skrzydła, żeby młode zasłonić od palącego żaru. Samca nie było widać, musiał wcześniej wylecieć za strawą. Pisklęta bojaźliwie tuliły się na sam spód gniazda, śnać nie śmiały jeszcze o własnej puścić się sile; matka trzepotała skrzydłami i wyciągała naprzód długą szyję.

— Mój bocian! mój drogi bocian! — zawołał krawiec. — W żaden sposób nie pozwolę, żeby się popaliły te biedne moje ptaki! — Przystawił tedy drabinę do dachu, gdy tymczasem drudzy na próżno starali się spłoszyć bociana krzykiem i ciskaniem kamieni. Gęsty i czarny dym przesunął się po murze, krawiec nisko aż musiał schylić głowę, nad którą iskry i głównie pędziły dziką zamiecią. Płomień pochwycił suche gałęzie, z których gniazdo było splecione, raptem zajęło się, a w samym środku ognia stała matka bociana, paląc się z swymi pisklętami.

Nad ranem ugaszono pożar: dom żyda był już tylko dymiącą kupą gruzu i popiołu, w której znaleziono popalone szczątki nieszczęśliwego gospodarza.

Wieczorem, krawiec z małym swoim chłopczykiem stał na pogorzeliisku; tu i owdzie wychodzący dym dowodził, że się ogień tli jeszcze od spodu. Cały piękny ogród był teraz zniszczonym pustkowiem; wokół leżały czarne, popalone belki; winogrona i śliczne konwolwule, poździerane ze ściany, porozrzucały się i podeptane na wszystkich kwarterach; ścieżki zamieniły się w rozorane pole. Pięknych lewkonij już nie było, krzaczki róż leżały na ziemi połamane i zwalane, jedna połowa akacji zwęglila się, a zamiast orzeźwiającej i milej woni kwiatów, oddychało się tylko dymem i zniszczeniem. Altanka była rozwalona: czworograniasty kawałek czerwonej szyby, oto wszystko, co Krystian znalazł ze śladów dawnych wspomnień; przejrzał przez szkło, a powietrze paliło się, tak samo jak wtenczas, kiedy wraz z Naomi wyglądali przez okno altanki. Na dachu zaś jego rodziców stał bocian, nieszczęśliwy ojciec, który powróciwszy do swoich, nie zastał już ani gniazda, ani domu na którym stało: dziwnie jakoś wykręcał szyję i głowę, jak gdyby czegoś szukał.

— Biedny ptak, — rzekł krawiec; — przez cały dzień fruwał nad pogorzeliiskiem. Teraz chwilkę odpoczywa! Trzeba mu będzie postawić krzyż na dachu, może zbuduje sobie drugie gniazdo. Jakże on tęskni za matką i młodymi! Już one nigdy nie polecą do gorących krajów.

W próżnej komórce, gdzie wylamany był otwór do opustoszałego ogrodu, stał stary Joel; chudą ręką konwulsyjnie objął zardzewiałą klamkę przy wejściu, a czarne i smętne oczy wlepione były w przedmiot na obszernym tamże łóżku, okryty starym podartym fartuchem. Cienkie i blade wargi jego poruszały się i zaledwie dosłyszalnie mówił sam do siebie:

— Pudło tedy zostało twoją trumną, ty bogaty synu z pokolenia Salomona! fartuch biednej kobiety jest twoim kosztownym, śmiertelnym całunem! Ah! żadna córka Izraela nie będzie myła twego ciała, — czerwone płomień zastąpiły ją! Ogień był suchszy od ziół, czerwieniszy od róż, które kładniemy do grobów naszych zmarłych. Ale pomnik twój jednak stanie w Bet-achaim<sup>5</sup>, chociaż biedny Joel jedynym będzie twoim orszakiem pogrzebowym! ale leżeć jednak będziesz w poświęconym twoim grobie, skąd cię czarna, podziemna rzeka poniesie kiedyś do świętej Jerozolimy!

Uchylił fartucha i podniósł pokrywkę pudła, w którym leżały zwęglone zwłoki żyda. Wargi Joela zadrżały gwałtowniej, jakby konwulsyjnie, łzy spłynęły na policzki, ale głos jego stawał się coraz więcej niezrozumiałym i głuchym.

— Jezu Chryste! bądź mi miłościwy — zawołała Marya wchodząc do komórki, lecz w tej chwili rumieniec przebiegł po jej twarzy, bo jej się zdawało, że wymówieniem świętego imienia, w które nie wierzył Joel, jakby się urągała zmartwionemu. — Panie Boże — dodała tedy prędko z przyciskiem: — Panie Boże! bądź mi miłościwy!

— Grobowiec jego wzniesie się obok grobowca jego córki — odpowiedział Joel, przykrywając na powrót spalone szczątki swego pana.

— Toć ona pochowana aż w Frederycji<sup>6</sup>, rzekła Marya. Wam daleko jechać, żeby się dostać do grobu. Nie zapomniałam jeszcze tej nocy, kiedy ją stąd wywieziono. Trumnę jej upakowano w słomę, a towarzyszył jej wraz z wami jej ojciec, który teraz leży w węglach

<sup>5</sup>*Bet-achaim* — dom żyjących, nazwa cmentarza żydowskiego. [przypis tłumacza]

<sup>6</sup>*Frederycja* — miasteczko nad Małym Beltem, w części przez żydów zamieszkałe. [przypis tłumacza]

i w popiele. Deszcz lał strumieniami. Teraz pozostało już tylko biedne dziecko! Dziadek jedyną był jej podporą na świecie.

— Matka jej była z naszych, — rzekł Joel i dodał z tonem pewnej dumy: — Nasza gmina nie opuści żadnego ze swoich. Ja stary także dostanę swój kawałek chleba, i z nią się nim podzielę, jeśli nie znajdzie miejsca przy bogatszym stole. Alboż to dziecko chrześcijanina nie powinno być w domu chrześcijan? — dodał cicho, że nikt by tego nie dosłyszał.

— Dziecko jest u nas, — odpowiedziała Marya, — niechże więc w imię Boże zostanie, aż dopóki nie trafi się co lepszego. Gdzie warzą kaszy dla trojga, tam się nawarzy zarazem dla czwartego!

Nazajutrz późno wieczorem, kiedy już na ulicach było ciemno i głucho, mały orszak przechodził przez miasto do portu; naprzód szedł krawiec z latarnią, za nim Joel, z tłumoczkami na plecach i z pudłem pod pachą, później Marya z Krystianem i Naomi. Dziewczynka płakała, Joel ucałował ją w rączki i w czoło, i wsiadł na jacht do odpłynięcia gotowy. Wszystko odbyło się cicho, a orszak pogrzebowy w milczeniu stanął przy bulwarku, od którego majtkowie odczepili liny statku.

Krystian przy świetle wschodzącego księżycy widział rozwijające się białe żagle i okręt posuwający się na szklistej powierzchni; na pokładzie stał Joel z pudełkiem pod pachą; wszystkie kontury występowały ostro w niepewnym blasku miesiąca.

Poeci mówią o cyganach, którzy nieżywego dowódcę zdjąwszy z szubienicy, włożyli nań koronę i kaftan purpurowy, a ciało wrzucili w głębokie nurty rzeki, co miały je ponieść do Egiptu, gdzie spocznie pod wielką piramidą; podobna myśl nappełniała duszę chłopczyka, bo zdawało mu się, że Joel z umarłym popłynie do dalekiej, oj! dalekiej krainy fantazji, może blisko aż samej Jerozolimy, królewskiego grodu Izraela.

— Zupełnie jak Ren pod Moguncją! — zawołał krawiec, wskazując przez cieśninę ku wysepce Thorseng.

— Mój ty Boże! — rzekła Marya, — jakże teraz myśleć można o takich rzeczach? Przecież należałoby się cokolwiek inaczej być usposobionym na pogrzebie, choćby tylko na żydowskim! biedni ludzie! nawet po śmierci nie mają spoczynku! Jeszcze podróżować muszą, żeby się dostać w ziemię! — I smutna spojrzała za okrętem na cieśninie.

#### IV

Jakże łatwo i prędko dzieci zapominają swoje troski, może tak samo łatwo i prędko, jak my zapomniemy troski naszego życia ziemskiego, gdy oddychać będziemy na tamtym kiedyś świecie.

Naomi z początku tyle się napłakała za dziadkiem: teraz już spoczął uśmiech, gdzie dopiero płynęły łzy; wszakże wielka, kwitnąca ziemia obróciła się już raz naokoło swej osi, a dla troski dziecięcej znaczy to tyle, co dla starszych tygodnie i miesiące. Już przywykła do małej izby krawca i do grzecznego współtowarzysza. Przesłano jej ładną, prawie nową sukienkę żalobną, która niemało sprawiła jej uciechy.

— Czy co dzień mam w niej chodzić? — zapytała. — Czy nie trzeba jej oszczędzać? Bo inaczej nie byłaby już nową, gdyby wypadło znowu wdziać żalobę! — O piękne swoje zabawki, o lalkę z kuchnią i z domkiem dowiadywała się nierównie troskliwiej, niż o zmarłego dziadka. Nie było to zresztą nic dziwnego; mówiła tak, jak zwykle mówią dzieci. Wesoło tedy usiadła na wysokim progu, trzymając w ręku liść kapusty, który dla niej zarazem był wachlarzem, altaną i ogrodem; ogromny ten liść zielony zastępował jej nawet cały piękny ogród kwiatowy z wonią i barwami.

Niekształtne kamienie polne, powrzucone raczej na siebie, aniżeli porządnie ułożone, stanowiły wysokie schodki przed sienią, na progu której siedziała Naomi! Otwory pomiędzy kamieniami nazywała swoim młynem; piasek, jaki w nie sypał Krystian, był zbożem do mielenia. Musieli się bawić, jak mogli najlepiej, bo właściwe zabawki Krystiana ograniczały się na jedynym bąku, który dość często buczał przed gościem; prawda też, że był piękny, w samym środku sterczał gwoździec mosiężny, a naokoło pomalowane były kolory czerwone i niebieskie.

— To kwiat, co tańczy, — rzekła Naomi.

— Nie, — zawołał Krystian, — niech to będzie czarnoksiężnik; służy w naszym młynie i wtenczas się tylko nadaje, kiedy go porządnie ściąć batem! Słuchaj, jak mruczy! patrz, jak skacze!

— Teraz niech umiera! — rzekła Naomi. — Potem go pochowamy, tak samo jak mojego dziadka, a potem będziemy się bawić w żałobę i w pogrzeb; o, jakże to będzie zabawne! — A Krystian przedstawiał zarazem zakrystiana i śpiewaka z chóru. Dzieci włożyły bąka w otwór pod schodami i przysypały uszczkniętą trawą; a dalej bawiły się w pożar, przy którym bito w dzwony i ludzie przybiegli na ratunek. Z sąsiedztwa przyłączyło się do nich jeszcze kilkoro dzieci, a zabawa inną przybrała postać; rozumiano się tak dobrze, tak prędko zabierano znajomość i przyjaźń, chociaż Naomi nigdy się jeszcze z nimi nie bawiła. Ale dzieciom z rówieśnikami dzieje się tak samo, jak nam starszym, gdy zobaczymy znanego gatunku kwiaty; witamy je jak dawnych znajomych, jakkolwiek te właśnie kwiaty, które widzimy, po raz pierwszy oczom naszym przedstawiają się.

Zabawa, którą teraz wymyśliły dzieci, zapewne nikomu z nas starszych nie przyszłyby nigdy do głowy. Zdjęły swoje trzewiczki, ustawiły je wzdłuż muru i przechadzały się tam i na powrót. Miała to być iluminacja, na którą chodziły niby patrzeć.

W owym czasie było zwyczajem weselnym w Swendborgu, że goście przy pochodniach i z światłem odprowadzali młodą parę z domu panny do pana młodego; więc i dzieci wzięły każde za swój trzewiczek, który miał wyobrażać światło, i odprowadzały Krystiana i Naomi, jakby młode małżeństwo po ślubie. Nigdy się jeszcze w życiu lepiej nie bawiły; czymże były lalki, kwiaty i obrazki w porównaniu z tymi żywymi zabawkami. Czule przytuliła się dziewczynka do Krystiana, który szyję jej objął rękami i pocałował w same usta; ona mu dała medalionik, który nosiła na piersi; jak się w niego przystroi, mówiła, to będzie hrabią i znowu się pocałowali, gdy tymczasem wszyscy inni stali przy nich i świecili im swymi trzewiczkami.

Był to dziwny obrazek rodzajowy; mała jaskółka nad nimi symbolicznie przystrajała godową sypialnię pod rynną, a w błękitnie powietrza obłoki zdawały się spotykać z sobą i spływać jeden z drugim, wnet znowu od siebie oddalając się, bo niższe szły na wschód, wyższe na zachód, tak jak kierował nimi prąd powietrzny według fizycznych praw natury.

Dziecinne te zabawy niespodzianie zostały przerwane. Rodzaj kocza, z gatunku tych, jakich używano przed dwudziestu kilku laty, niezgrabne pudło drewniane, pomalowane na niebiesko, a obite wewnątrz popielatym kartunem, trzęsąc się zaturkotał na nierównym bruku. Dziś jeszcze, ale tylko na wsi, albo w małych miasteczkach, np. u zamożniejszych duchownych, spotkać się można z takimi ekwipażami, które wraz z stangretem i szorami są jakby pamiątką wygasłych pokoleń i zdaje się, że same się przeżyły. Same konie były dobrze karmione, a stangret w staroświeckiej liberii miną już okazywał, iż dobrze wie, że i państwo których wiezie nie należą do zwyczajnych śmiertelników, ale do starej, tytułowanej szlachty. Powóz zatrzymał się przed apteką, do której w największym pośpiechu złożono całe mnóstwo puszek, słoików i flaszek, a natomiast zaopatrzone się w świeże; potem znowu ruszył z miejsca, lecz powtórnie stanął przed sienią, gdzie dzieci się bawiły. Oprócz stangreta i lokaja, siedziały w nim dwie damy, z których jedna młoda, podrzędna, może coś na kształt panny służącej, druga starsza, wysoka, widocznie wielka jakaś dama, tylko że chuda i cery chorobliwej. Ta ostatnia siedziała mocno opakowana w szale i mantyle i co chwila wężała ze sporego, srebrnego flakonika.

Ledwie kocza stanął przed domem, kiedy już Marya kłaniając się, była przy drzwiczkach, a pokornie starą damę ucałowałwszy w rękę, zapewniała ją, że żądanie jej bezzwłocznie co do joty zostanie spełnione.

W całym sąsiedztwie natychmiast otworzyły się okna i lufciki; nawet z sieni swych domów wyglądały niektóre jejmoście, nie tak jak dziś wystrojone w jedwabie lub bareże, ale tak jak był zwyczaj w owym czasie, w czerwonych, wełnianych spencerkach i z zawojami na głowie. Dzieci, które przerwały swą zabawę, objąwszy się za szyję i stanąwszy wzdłuż muru, przypatrywały się temu widokowi. Ze wszystkiego Krystian tyle tylko zrozumiał, że w największym pośpiechu zawiązano Naomi fartuszek i wsadzono do obcych dam do powozu, a to w taki sposób, jak gdyby to było od dawna spodziewane; Marya ciągle się kłaniała, a krawiec stał we drzwiach z czapką w rękę.

— Ja nie chcę jechać, — wołała Naomi. Ale jej nie pytano, czy chce, czy nie chce; więc płacząc wyciągała rączki, kiedy już powóz ruszył z miejsca; jednocześnie zaś i chłopiec wybuchł płaczem; pożegnanie było tak nagłe, tak całkiem niespodziane.

— Będziesz ty cicho! — rzekła Marya, — albo dostaniesz, że przynajmniej będziesz już wiedział czego płaczesz.

— Gdzie moja żona pojechała? — zapytał Krystian.

— Daleko w świat! — była odpowiedź. — Dziękuj Panu Bogu, że masz ojca i matkę! Już ty się kiedyś na tym poznasz! Gdybyś tak musiał odjeżdżać z obcymi! — Zamyślona spojrzała na chłopca, i jakby ocknąwszy się, przycisnęła go silnie do piersi. — No, to też za to będzie ci wolno odwiedzić chrzestnego ojca w wąwozie; przyszykuj się na dobry spacer! — To mówiąc, zabrała go z sobą do stacji.

## V

Swendborg nosi jeszcze na sobie cechy małych miasteczek z zeszłego stulecia; te nieregularne budynki, w których często górne piętro wystaje nad dolnym, a spoczywa tylko na niekrytych belkach, ganki zasłaniające cały widok i światło sąsiadowi, szerokie schodki przed sienią, z ławkami kamiennymi lub z drzewa, wreszcie na licznych drzwiach wyrżnięte w drzewie napisy duńskie lub łacińskie. Nierówne ulice wydają się brukowanymi pagórkami, po których się w liniach ustawicznie łamanych schodzi raz na dół, raz wdrapywać trzeba pod górę.

Gdzieniedzie mniemałbyś istotnie, że miasto to leży gdzieś w górach; mianowicie zaś można by to powiedzieć o tak zwanym „Wąwozie”, znanym dziś jako giełda kontrabandy i schadzka awantur miłosnych. Spoglądając na ten zaułek z wysoko położonej ulicy miejskiej, masz przed sobą widok nader malowniczy. Potężne kamienie ciosowe, jedne na drugich powalone, dźwigają partery najbliższych kamienic, które z powodu spadzistości ulicy tak samo są wysokie, jak drugie piętra tuż obok położonych domów; tak więc z owej ulicy środkowej widzi się przez kominny i dachy wąskiego wąwozu znaczną część cieśniny, cały brzeg ocieniony wysokopiennym lasem i kawałki wysep Langeland i Thurö.

Na tej ulicy mieszkał ojciec chrzestny Krystiana; chłopiec stał już na rogu i patrzył na jego dom stojący tak nisko, że zwierciadło wody zdawało się oku znacznie wyższe. Rzekłbyś, że trójmaszt pod miastem popłynie wierzchem kominów.

Jak zwykle siena była zamknięta, lecz w środku zabrzmiały skrzypce. Kto by tylko miał ucho otwarte na tony, byłby się zdumiał nad tą grą cudowną; był to ów jęk melodyjny, który ze skrzypców Paganiniego zrodził bajkę, jakoby zabił swoją matkę i że teraz jej dusza płacze w strunach.

Wkrótce ton przeszedł w prostą żalność: Ole Bull, Amfion północy, tenże sam temat na swoich skrzypkach nazwał: „boleścią matki nad śmiercią, swego dziecka.”<sup>7</sup> Nie była to wprawdzie ta skończoność, jaką posiadali ci dwaj naszego czasu mistrze w sztuce Jubala, ale jednak gra ojca chrzestnego przypominała ich obudwóch, tak samo jak zielona gałązka we wszystkich swoich szczegółach przypomina drzewo, którego stanowi częstokę.

Równie jak Ole Bull i on był Norwegczykiem; takim już poznaliśmy go w czasie pożaru, z którego wyratował Naomi. Między polami, skałami i górami lodowymi stała jego kolebka; często też Krystianowi opowiadał o swojej ojczyźnie, o duchu wodnym Nöku, który mieszka w rzekach Norwegii, a przy blasku księżycy, z długą, białą brodą siaduje pod skałą i gra tak pięknie, tak pięknie, że się aż czuje ochotę zeskoczyć do niego w przepaść. Biedny Nök! wtenczas kiedy grał najpiękniej, przedrwiwały go niesforne chłopaki: — Ty i tak zbawionym nie będziesz! — wołali, a Nök zapłakał rzewnymi łzami i skrył się w nurtach rzeki.

— Niezawodnie Nök nauczył grać twojego ojca chrzestnego! — powiedział raz jeden z sąsiadów do Krystiana; jakoż odtąd, ilekroć słyszał jego skrzypce, zawsze przychodził mu na myśl Nök w szumiącej rzece, więc stawał się milczącym i marzącym.

Dlatego też dzisiaj usiadł przed zamkniętą sienią, oparł głowę o drzwi i słuchał dziwnych tonów; dopiero gdy skrzypce umilkły, zastukał nogą.

<sup>7</sup>Wkrótce ton przeszedł w prostą żalność... — tak nazywa się jedna z najslawniejszych fantazji Ole Bulla. [przypis autorski]

Człowiek, któregośmy raz już widzieli i który zaledwie wyszedł z tych lat, które zwiemy samą siłą wieku, ukazał się we drzwiach i otworzył; brunatno-żółta jego cera, czarne jak węgiel włosy, wskazywały miészkańca południa, lub nawet potomka Wschodu, tylko że ten pozór w zupełnej był sprzeczności z dziwnie blado niebieskimi oczami, tak wyłączną prawie własnością synów północy, a zostającymi w tym dziwniejszym kontraście z ciemnymi i gęsto zwieszonymi brwiami. W pierwszej chwili mógłby kto nawet pomyśleć, że twarz i włosy były jedynie pomalowaną maską i że tylko zupełny blondyn może mieć tak jasne oczy.

— To ty jesteś, Krystianie? — rzekł Norwegczyk, dziwnie z ukosa spoglądając na niego.

Chłopiec na wpół z bojaźnią, na wpół z przywiązaniem spojrział na chrzestnego, bo obecność tego człowieka istotnie miała w sobie coś z owej tajemniczości, jaką przypisują grze Nöka, albo wzrokowi węzów. Kiedy Krystian był w domu, wtedy ciągle tęsknił za nim; jednak wobec nikogo takiego nie doznawał uczucia co przy nim, podobnego poniekąd do wrażenia jakie sprawia na nas przekonanie, żeśmy sami jedni w ciemnej kaplicy grobowej, albo też w dużym lesie, gdzieśmy nocną porą zblądzieli z bitej drogi. Przy każdych odwiedzinach Krystian dostawał swoje dwa szylingi, a to jeszcze w tak zwanych „szyldzikach”, czyli cieniutkiej monecie miedzianej, z której sześć sztuk idzie na jeden szyling. Wszakże wyznać należy, że jego nie to przyciągało; były to raczej cudowne powiastki o czarnych borach jodlowych, o górach lodowatych, o Nökach i upiorach, a przede wszystkim muzyka. Skrzypce ojca chrzestnego na swój sposób równie dziwnie opowiadały rzeczy, co usta.

Wpuściwszy chłopca, zamknął znowu drzwi od sieni. W pokoju na ścianie wisiało kilka obrazów, które szczególnie zajmowały Krystiana; były to pięć kolorowych rycin z tańca śmierci, podług malowideł w kościele Panny Maryi w Lubece.

Wszyscy tu muszą, iść w taniec, nawet małe niemowlę w kolebce, które zdziwione śpiewa:

«O śmierci! tobie jak dogodzić?  
Mam tańczyć, a nie umiem chodzić!»

Krystian spojrział na obrazy, które wisiały odwrotną stroną. Zapytał o przyczynę.

— Wykręciły się w tańcu, — rzekł ojciec chrzestny, poprawiając je. — Czyś długo czekał pode drzwiami?

— Nie długo; słuchałem, jakieś grał. Gdybym był tutaj, zaraz mógłbym zobaczyć, jak śmierć tańcowała wokoło, że się aż obrazy wykręciły. Wszakże wszystko prawda, coś mówił?

— Dam tobie te obrazy, — rzekł chrzestny. — Powiedz ojcu, że ci je darował! Szkło i ramy zatrzymam dla siebie. Czy to nie śliczne obrazy! Czy mnie teraz kochasz? Możem ja nie dobry? Jak ci się zdaje?

Mały przyjął podarunek, ale jakoś był jakby nieswoim pod wzrokiem Norwegczyka.

— Dla czegoś przyszedł bez twojej koleżanki? Podobno się nazywa Naomi, nie prawda? Przecież moglibyście śmiało przyjść razem!

— Już jej nie ma, — rzekł Krystian, — pojechała z wystrojonym stangretem! — i jak mógł najlepiej rozpowiedział wszystko o nagłym jej odjeździe. Ojciec chrzestny z pewnym zajęciem słuchał tego opowiadania i uśmiechnął się. Smyczek zatańczył znow po strunach, a jeśli śpiewały to samo, co ojciec chrzestny myślał przy swoim uśmiechu, tedy myśli te były niezawodnie złe i gorączkowe.

— I ty się nauczysz grać na skrzypcach! — zawołał. — Kiedyś będziesz mógł mieć z tego majątek! Nagrasz sobie pieniędzy do kieszeni, a troski wygrasz z głowy, jeżeliby cię kiedy jakie opadły. Tu są moje stare skrzypce; najlepszych jeszcze ci nie dam! Palce tak! — i ustawiał mu palce na strunach, a sam kierował smyczkiem w rękę chłopca.

Głos ten ucieszył malca; wszakże on sam go stworzył! Ucho jego uchwyciło każdy ton pojedynczy, a drobne paluszki z giętkością przebiegały struny.

Blisko godzinę trwała ta pierwsza lekcja; potem chrzestny ojciec sam wziął do ręki skrzypce i zaczął grać; była to prawdziwa gra w tony, tak jak kuglarze grają, w złoczone jabłka i ostre sztylety lub noże.

— O, zagraj jak śmierć tańczy! — prosił malec, a chrzestny silnie kilka razy pociągnął smyczkiem; struna basowa drgała jeszcze, a kwinta zasyczała w cieniutkich, piszczących tonach.

— Dziewczę ślicznotka buja w wirze taneczników, a śmierć czy ją słyszysz? piszczy, jak świerszcz pod podłogą! — i przymknął oczy, a duże krople potu stanęły na jego twarzy.

Potem położył skrzypce i otworzył drzwi do ogrodu, który dochodził aż do brzegu morza, gdzie ocienione lasami wyspy pływały na cichej fali.

Słońce już zachodziło.

Cały ogród zasadzony był kapustą; Krystian najwięcej takiej się przypatrywał, która zaczynała się zwijać w głowy.

— Toby coś było dla Mistrza, — rzekł.

— Co to za głupstwo, chłopcze? — zapytał ostro ojciec chrzestny.

— Ja tylko chciałem powiedzieć, — odrzekł Krystian, — że Mistrz zapewne rad by mieć tę dużą głowę kapusty! Rok temu, kiedyśmy przejeżdżali koło jego domu i ogrodu, gdzie zupełnie taka sama rośnie kapusta, matka mówiła mi, że jeżeli zechcę być Mistrzem, to mnie odda do niego do terminu, gdzie za każdą razą jak będzie miała być na obiad kapusta, każą ścinać toporkiem główkę tej kapusty w tym samym miejscu, gdzie ją poprzednio nożykiem naznaczy.

— Milcz! — krzyknął chrzestny z niezwykłą gwałtownością, i tak silnie potrącił chłopca, że aż upadł na zagon, przy czym wysunął się mały medalionik, który otrzymał od Naomi.

— Co tam masz? — zapytał z dziwnym wyrazem, gdy podnosząc chłopczyka dostrzegł medalionik. Spojrzał na loczek w środku i uśmiechnął się, ale chyba tak samo, jak może uśmiechnąć się głowa exenterowanego człowieka, skoro drut galwaniczny dotknie się jego języka. Raptem wszedł do domu, lecz wnet powrócił ze złożonymi w trąbkę rycinami i z miedziakami obwiniętymi w papier. Następnie otworzył drzwi prowadzące na Wąwóz, a odwiedziny na dziś były skończone; lecz Krystian wyszedłszy usłyszał znowu skrzypce, a strony wyrażały jakąś wesołość, taką wesołość, jak kiedy na statku niewolniczym murzyni dla nabrania ruchu z bitem w rękę zostają zapędzani do tańców na pokładzie.

Nazajutrz ojciec chrzestny poszedł w odwiedziny do krawca; a przyniósł z sobą świeży liść kapusty i trawki dla kanarka, którego klatka tym sposobem przemieniła się w zieloną altankę. Drobną ptaszyna zaintonowała pieśń radości i wdzięczności; chrzestny zaś z dziwnym, podchwytującym wzrokiem słuchał wesołych i śmiałych, wysokich tonów, jak gdyby chciał się ich wyuczyc od ptaka, by później natchnąć nimi swoje skrzypce. Krawiec chętnie słuchał gry Norwegczyka, bo budziła w nim wspomnienia o podróżach po obcych krajach; Marya przeciwnie twierdziła, że w tej grze jest coś jakby diabelskiego, a myśmy niemal gotowi przyznać jej w tym słuszność.

Z Paryża odbieramy niekiedy ryciny z napisem: „Diableries”; w samej też rzeczy tryskają z nich wszystkie najbardziej demoniczne wybryki bogatej fantazji. Jedna z nich wyobraża egzekucję; pał, do którego zbrodniarz ma być przywiązany, stoi na pierwszym planie; na samym wierzchu siedzi diabeł; ręce ma założone, a obie nogi wyciągnięte w kącie prostym względem pała, tak iż z nim razem tworzy niejako krzyż Golgoty. Przed tym krzyżem klęczy młoda dziewczyna, w mniemaniu że klęczy przed Świętym, a wokoło złe duchy patrzą na nią z szyderym uśmiechem. Na pierwsze wejrzenie rzekłbyś, że modli się do krzyża, lecz wnet poznasz, że przedmiotem jej adoracji jest sam diabeł. Podobnym zupełnie obrazem, tylko że w tonach, nie w rysunku, była gra na skrzypcach ojca chrzestnego.

Nauka wczoraj rozpoczęta miała powtarzać się po dwa razy na tydzień, bo chłopiec widocznie głowę i palce zdadne miał do skrzypców.

— Może mu to kiedyś przyniesie kawałek chleba, — rzekła Marya.

— Może mu to posłuży na zwiedzenie obcych krajów, — rzekł ojciec.

— Albo to prawda! — przerwała matka. — Ty byś chciał żeby został włóczęgą; trzeba ci go było oddać do skoczka na linie, co tędy przejeżdżał, toby się dopiero był napatrzył świata.

— Kto wie, czyby to było tak złe, — odpowiedział ojciec; — może byłby na tym i wcale dobrze wyszedł. Powiedz, Krystianie, czy chciałbyś być tak lekkim jak ptaszek,

tańczyć na cienkiej linie i słyszeć, jak wszyscy klaszczą w ręce i wołają: brawo? Oto podróżowałbyś od kraju do kraju i zobaczyłbyś i to i owo!

— A tak! zobaczyłbyś cięgi! — rzekła Marya. — Zobaczyłby na chlebie oliwę, tę obrzydliwą, tłustą oliwę, po której ciała ich stają się giętkie, niby trzciny. Nie! z tego nie będzie! Niech się lepiej uczy grać na skrzypcach, to go jeszcze nie zrobi kuglarzem!

— Niech sobie wygra drogę do serduszek dziewczęcych, — powiedział ojciec chrzestny. — Jakoś z oczów mu patrzy, że niezły z niego będzie ptaszek!

— I owszem, — odpowiedziała Marya, — niech sobie tam będzie, jak zechce, byleby tylko nie kradł i nie kłamał! Zresztą piękność bardzo mu tam wiele podobno nie pomoże! Bóg raczy wiedzieć, skąd przyszedł do takiej twarzy.

Zwykle wszystkich rodziców dzieci są ładne, ale Marya pod tym względem należała do rzadkich wyjątków. Dobrze ona bowiem wiedziała, że syn jej nie jest pięknym, jakkolwiek trudno znów było powiedzieć, że był brzydkim. Portret jego z tej epoki po dziś dzień jeszcze widzieć można w Swendborgu, w kościele Ś-go Mikołaja, gdzie w głównej nawie wisi na ścianie duży obraz, подарowany gminie przez księdza Morsinga z Thorseng, po śmierci jego żony. Obraz ten przedstawia w naturalnej wielkości pastora z żoną, dwiema córkami i siedmiu synami; przed nimi troje umarłych dzieci leży w pieluchach. Liczba tych dzieci wynosi tedy dwanaścioro, które wszystkie, z wyjątkiem jednego, o ile się zdaje, ze wszystkich najmłodszego, są twarzy wcale ładnej; owemu najmłodszemu zaś dziecku malarz do ręki wsadził różę, jak gdyby na to, żeby choć czymś pięknem zastąpić przyrodzoną brzydotę. Twarz tego chłopczyka była zupełnie jakby portretem Krystiana, a nadzwyczajne to podobieństwo uderzyło nawet rodziców; do niego też odnosiły się następujące wyrazy ojca chrzestnego:

— Skrzypce niechaj się jemu staną różą w ręku, jak tam na obrazie w kościele!

## VI

— Jeśli się którego dnia wybiorę do Thorseng, — powiedział ojciec chrzestny, — to Krystian pojedzie ze mną.

Było to w połowie Sierpnia, gdy zwiastowano wielką nowinę: „jutro jedziemy do Thorseng” Toć pogody można się było spodziewać pięknej, bo słońce zaszło czysto, a na zachodzie najmniejsza nawet nie pokazywała się chmurka.

— Czy daleko do jutra? — zapytał młodec, gdy się położył do łóżka.

— Tylko zamknij oczy i staraj się żebyś zasnął, — odpowiedziała matka, — to nadejdzie ranek, ani będziesz wiedział jak i kiedy. — W nocy jednak odezwał się znowu i zapytał, czy już niedługo będzie jutro?

— Czy chcesz żebyś wstała i zamknęła ci oczy? — zawołała matka, — ale już się odtąd młodec na żadne nie odważył pytanie.

Przecież nad ranem pozwoliła mu matka wstać, włożyła czystą koszulkę z cienkim, płóciennym kołnierzykiem, sukienkę świąteczną i nowe buciki, które w owym czasie szyte były białym ścięciem.

Chrzestny już stał przed sienią, więc wybrali się w drogę; ale nie do mostu, bo nie był to zwykły dzień powszedni, w którym na promie bezpłatnie przewożą mieszkańców miasteczka. Poszli tedy do pobliskiej rybackiej wioski Ś-go Jerzego; gęsta mgła na polach nadawała im pozór jezior, ptaszki świergotały, a ojciec chrzestny gwizdząc wtórował ich głosom. Nie było czasu na zbieranie kwiatów, więc tylko długą gałąź konwolwulów zerwano z wału, którą Krystian uwieńczył swoją czapką.

W wózcie, ale już teraz nie na brukowanym, w mieście, tylko w prawdziwym wózcie, gdzie jeszcze z dawnych czasów stoi krzyż z męką Pańską przy drodze, siedziało grono wesółych wieśniaków przy śniadaniu; dzbanek z piwem okrężał kolejkę.

«Kapelusz z piórem skroń mu otula,  
I w Kopenhadze służy u króla!»

zaśpiewała jedna z dziewcząt, wyciągając do Krystiana rękę, ale ojciec chrzestny objął ją w pól i zanim się spostrzegła, złożył pocałunek na jej ustach.



Przez mały lasek, należący do probostwa, doszli do starego kościoła, wznoszącego się na południowym brzegu Fyonii, tuż nad głęboką cieśniną. Po lewej stronie, obok wzgórz, leży wieś rybacka z czerwono pomalowanymi kominami; sieci rozwieszono były na wierzbach. Łódź rybacka kołysała się pod niskim, kamiennym bulwarkiem, a dwóch ludzi w niej było zajętych wyczerpywaniem wody i przywiązywaniem żagla. Czekali na przybywających.

— Czy chłopczyka weźmiecie z sobą? — zapytał jeden z nich z miną nieco niespokojną.

— To mój mały osiołek; przyda się do dźwigania ciężarów, — odrzekł Norwegczyk śmiejąc się. Chcę niechaj zobaczy Thorseng, niech będzie w zamku i na wieży w Breininge. Wszakże prawda, że z ciebie dobry, mały osiołek?

Następnie sam schwycił za jedno wiosło, bo wiatr był zbyt słaby, żeby można było użyć żagli; czółno przeryzając przezroczystą, zieloną przestrzeń, zostawiało za sobą jakby głęboką brudę. Krystian siedział z tyłu przy sterniku. Galaretowate gwiazdy morskie, czyli tak zwane Meduzy, leżały jak duże przezroczyste kwiaty na zwierciadlanej fali i cichymi swymi ruchami zdradzały życie w cichej wodzie; powoli znikał także widzialny, zielony grunt piaszczysty, a malec nic już nie dojrzał prócz własnej swojej twarzy, która na jego ukłon równie grzeczny odpowiadała ukłonem. Teraz przeryzali prąd wody i popłynęli w obręb cieniu, który brzegi wyspy rzucają na morze. Ojciec chrzestny uchylił kapelusza, co zdawało się przypadkowym, lecz w samej rzeczy było dawnym zabobonem ojczystym, może ukłonem dla Nöka, którego władza tam jest największa, gdzie cień skały dochodzi do wody.

Przybiwszy do brzegu włożyli wiosła na powrót do łodzi i wysiedli na ląd wyspy. Ojciec chrzestny potajemnie rozmawiał z rybakami, ale Krystian nie wiedział o co rzecz idzie; zresztą wszystko obce, co tutaj widział, cała naokoło obfitość zajęła jego duszę.

Coraz wyżej postępowali teraz między ogrodami i domami; drzewa tu i owdzie stały obarczone owocem, a duże pale podpierały uginające się pod swym ciężarem gałęzie. Dziki chmiel wił się wesoło przez płoty, a głęboko pod wzgórzem stała chałupa słomą kryta, gdzie patyki do chmielu tak były ustawione w porządku symetrycznym, że po części spoczywały na dachu, a zaś chmiel, jakby najobfitsze winne latorośle, zdawał się tworzyć gęste altany z bogatych w liście gałęzi. Przed każdym domem był ogródek kwiatowy; malwa wysoko sypała gęstym kwiatem, żółtym czy czerwonym; skwar był za to nierównie większy niż w otwartym polu. Obcy, przeniesiony zniechęca w to ciepłe powietrze i w tę obfitą roślinność, mniemałby, że znajduje się w kraju południowym; Sund Swendborgski przypominałby jemu niezawodnie okolice Dunaju. Prawda! tu było lato, piękne lato! Naokoło dzika mięta woniała w rowach, ocienionych czerwonym berberyzem i okwitłymi bzami.

— To będzie gorący spacer — rzekł ojciec chrzestny, lecz zarazem pocieszał się tym, że spotkają pewno jaki wózek, co ich zabierze.

Ani jednej chmurki nie było na niebie. Ptak drapieżny podleciał w górę i leniwym, głuchym ruchem skrzydeł powlókł się ponad lasem. Zdawało się, że cały upał dnia spoczywa na grzbiecie tego ptaka. Ojciec chrzestny był w nadzwyczajnym humorze: dla Krystiana z łodygi trzciny wyciął donośną trąbkę, potem gałązkę bzu pozbawił rdzeni i wyborną z niej zrobił piszczalną. Wszystko to odbywało się w drodze i podczas najbardziej urozmaiconej rozmowy.

Teraz zaturkotał powóz, przed którym kurzawa leciała podobna do dymu po wystrzale armatnim; rzekłby kto, że stanęła i zawiśnie w powietrzu. Wózek zatrzymał się, oni wsiedli, a Krystian dostał nawet duży liść kapusty, pełen czarnych, soczystych wisien; był to podarunek od chłopca, który zdawał się znać dobrze ojca chrzestnego.

Za chwilę przybyli jeszcze do nich dwaj towarzysze podróży, ale konni.

Na spokojnych wysepkach duńskich nie znajdziesz żadnych rozbójników, a jednak dwaj nowi przybysze mieli pozór cokolwiek podejrzany. Każdy z nich w kieszeni bocznej miał pistolet, a strzelbę nabił w rękę. Chłopu kazali, żeby stanął i spojrzeli na niego dziwnie badawczym wzrokiem; przetrząśli następnie słomę w wozie, a gdy nic w niej nie znaleźli, wybaknęli coś na kształt przeproszenia i odjechali szybko, tak jak przyjechali.

Podczas całej tej rozprawy ojciec chrzestny był jak najzupełniej obojętnym; chłop tylko uśmiechał się szyderczo.

— Jak na ten raz, — rzekł — nic nie ułowili.

— Ciężkie to musi być życie, — odpowiedział ojciec chrzestny. — W lecie to jeszcze jako tako; ale kiedy wiatr północny zahuczy nad morzem, nie bardzo to chyba miło, całą noc przeleżeć w drodze, a to jedynie dlatego, żeby służyć za błazna rozumniejszym ludziom. Zresztą pilnujcie się, Jędrzeju, bo widać na was już mają oko! toć i ja, — dodał z uśmiechem, — mógłbym się dostać na złe języki, że z wami się zabrałem.

Kto byli ci ludzie? Czego szukali? Całe to zdarzenie długo zajmowało Krystiana; lecz wkrótce wyszło z pamięci pod nawalem coraz nowych zjawisk, którymi dzień ten był przepełniony. Ujrzał znowu stary zamek w Thorseng, gdzie raz już poprzednio był ze swymi rodzicami. Był to największy budynek, jaki widział kiedykolwiek, większy nawet niż kościoły w Swendborgu, ale znał go tylko zewnątrz i chyba tylko przez szyby zajrzał kiedy doń w środek. Teraz jakoś tak się trafiło szczęśliwie, że właśnie byli podróżni, którym pokazywano całe wnętrze; więc wraz z ojcem chrzestnym wszedł na wysokie schody, przebiegł długie korytarze i ogromne komnaty. Spoglądały na niego liczne portrety minionych pokoleń, obrazy ludzi, których śmierć od dawna już obróciła w pył i ziemię; do każdego z nich wiązały się jakieś klechdy i legendy, które takim starym malowidłom nader efektownego udzielają oświetlenia, podobnego do blasku pochodni przy posągach marmurowych. Portret tryskającej życiem i zdrowiem kobiety, uśmiechającej się w samowiedzy swej piękności, jakimże nas żalem przejmuje, gdy wspomniemy, że już stulecia minęły, odkąd przestała cieszyć się tym życiem!

Za żadne skarby świata Krystian nie byłby chciał przenocować w starym baldachinowym łóżku, z szeleszczącymi, jedwabnymi firankami; w nocy niezawodnie obrazy wystąpiłyby z ram i z obić, a Niels Juul<sup>8</sup> z mieczem w ręku byłby zasiadł na pstrym fotelu z wysokimi poręczami. Nawet duże zwierciadła, w których można się przejrzeć od stóp do głowy, miały coś tajemniczego dla malca, który zwyczajny był przeglądać się tylko w lusterku ojca przy toalecie od golenia.

Dlatego też oddychał daleko lżej, gdy stanął znowu w otwartym powietrzu, a podwójnie ucieszył się, gdy przyszedłszy do chaty rybackiej nad brzegiem, otrzymał od gospodyni swobodny użytek z całego krzaku agrestu, zaś dzieci jej pokazały mu okręt, wyrobiony z dreпки ojcowskiej, zdobny pawilonem i masztem, który płynął na słonej wodzie tak samo jak inne najlepiej uzbrojone statki. Duży, świecący owad przeleciał przypadkiem koło małego okrętu, usiadł na szczycie wzdętego żagla i trzepotał jaskrawymi, przezroczystymi skrzydełkami. Był to żywy pasażer, którego mieli na pokładzie, a uniesione radością dzieci, skakały i klaskały w dłonie.

Tuż pod Thurø stał mały statek, jakiego używają do handlu między wyspami duńskimi; ojciec chrzestny wsiadł w czółno i popłynął do ludzi na tym statku, z którymi miał dużo do mówienia. Krystian pojechał z nim razem.

Morze było spokojne; słońce paliło żarem.

— Teraz i ty dostaniesz się do wody, — rzekł chrzestny. — Dziś aż zapomnieli zabrać nam tej satysfakcji, bo myśleli, że to tylko przejażdżka lądowa.

Krystian uśmiechnął się; rad on był popływać w tej jasnej, świecącej fali, bo w domu pozwolono mu tylko zdjąć pończochy i wejść do wody po kolana.

— To inna kąpiel, jak stać w domu w balii od prania i czekać, aż kiedy ci matka naleje na głowę kubek wody. Teraz zdejm suknie, mój gołąbku!

Krystian rozebrał się. Wkrótce i Norwegczyk stanął w całej okazałości atletycznej swej postaci, podniósł małego i posadził go sobie na barana. Był to istny obraz świętego Krzysztofa z dziećciem.

Nagle coś silnie plusnęło do wody i fala zamknęła się nad nimi; a gdzie znikli w głębi, tam wyskoczyły tylko bańki i rozchodziły się coraz szersze pierścienie. Po chwili ukazała się znowu ciemna twarz ojca chrzestnego; czarne, świecące włosy spadały mu na twarz i na czoło, tylko Krystiana widać nie było, bo się w szalonym skoku zsunął z ramion. Spostrzegł to natychmiast ojciec chrzestny i jednej też chwili zanurzył się znów do wody, uchwycił chłopca i wypłynął z nim razem na powierzchnię morza. Z ust leciała małemu słona woda i biedny zaczął płakać.

<sup>8</sup>Niels Juul — sławny admirał duński, pogromca Szwedów w kilku stanowczych bitwach. [przypis tłumacza]

— Wstydz się! — rzekł chrzestny i udawał, że wszystko tak jest, jak być powinno; ale puls jego bił gwałtowniej niż zwykle. Dobrze jeszcze, że się tak skończyło; w każdym razie o tym nie myślał, żeby jeszcze tego samego wieczora czekała nań druga, jeszcze ważniejsza awantura.

Widok z wieży kościelnej w Breininge ze wszystkich na tej wyspie jest najpiękniejszy; jakoż i tutaj, jak we wszystkich podobnych licznie zwiedzanych miejscach, leży księga, do której podróźni zapisują swe nazwiska, zwykle z jakim lichym wierszykiem lub dowcipem, który najczęściej bawi tylko samego autora.

Czasy były wojenne i dlatego na samym szczycie wieży urządzono telegraf, z którego czarne tablice magicznie przez powietrze szeptały swoją martwą, a jednak znaczenia pełną mową. Słońce jeszcze nie zaszło, kiedy ojciec chrzestny wraz z Krystianem wchodzili na wieżę, żeby odwiedzić nowego nadzorcę telegrafu.

Cieśnina, wyspy i port, jak mapa geograficzna leżały rozpostarte przed ich wzrokiem. Z tamtej strony wyps Thurö i Langeland, które jak kwatery z kwiatami stały na wodzie, widać było z daleka wyspę Zelandyę. Kilka żagli przerzynało powierzchnię morza; inne okręty stały na kotwicach, a łodzie rybackie kręciły się tu i owdzie w zatoce. Wszakże więcej nad wszystko, czarne tablice ściągały na siebie uwagę Krystiana. Toż on wiedział że umieją mówić, jak mówią głuchoniemi; toż widział jak spuszczają się na dół, jak wznoszą do góry i najrozmaitsze przybierają kształty.

Chrzestny siedział przy nakrytym stole, a Krystian bawił się z wesołymi dwoma synkami nadzorcę telegrafu. Wyszli z izby, bo chcieli się bawić w chowanego.

Krystian skrył się do dziury w murze, którą można było dostać się do dużych dwóch dzwonów będących w tej wieży. Między dzwonami na podłodze leżała ogromna, ciężka belka, prowadząca do otworu w przeciwległej ścianie, przez który słońce ciskało długie swoje promienie, a atomy pyłu grubym słupem obracały się naokoło swojej osi. Przez ów otwór chyba można było wyrzucić na świat; będzie to jedna zabawa więcej, pomyślał chłopczyk, a tamci tymczasem niechby go szukali. Przeskoczył tedy przestrzeń wzdłuż belki między dzwonami, i w istocie ujrzał przed sobą całą wyspę i port, gdzie stały statki. Już usłyszał za sobą jednego z chłopców, co go szukał, wścibiającego głowę przez dziurę, którą sam wlał przed chwilą i zaglądnącego czy go nie ma.

— Czy tu jesteś? — zapytał. — Tu nam wejść nie wolno; dzwony mogłyby nas zabić.

Krystian nic nie odpowiedział. Alboż się miał dać nastraszyć? Toć dzwony wisiąły spokojnie, jak gdyby wmurowane. Zresztą i tak nie byłyby mogły dostać aż do niego. Chłopiec szukający odszedł.

Słońce schyliło się do widnokregu i zdawało się, że mu jeszcze pilno, by zniknąć jak najprędzej. Krystian widział wyraźnie jak usuwało się coraz niżej, aż w końcu zupełnie zeszło z oczów; zmrok wieczorny rozpostarł się; spojrzął na duży dzwon, który wisiął przed framugą otworu. Raptem dzwon zadrżał i lekko się poruszył; teraz chciał odejść, lecz w tej samej chwili dzwon podniósł się wyżej i cały jego kielich odwrócił się ku chłopcu. Przestraszony cofnął się i przycisnął do muru. Pierwsze uderzenie dzwonu odezwało się w uszach Krystiana.

Tu, równie jak we wszystkich wiejskich kościółkach w Danii dzwoniło na zachód słońca; nikt nie mógł się domyśleć, że wysoko w dzwonnicy znajduje się ludzka istota.

Jakby instynktem uczuł, że gdyby tylko o jeden krok posunął się naprzód, dzwon głowę jego zdruzgotałby na miazgę. Głośniejsze i coraz głośniejsze uderzenia kruszcowego olbrzymia; drżące powietrze i przestrach gwałtowne na nim uczyniły wrażenie; pot strumieniami lał się z całego jego ciała. Nie śmiał się już odwrócić, oczy słupem wlepione były w próżny dzwon, ile razy tylko rycząc zbliżał się ku niemu. Krzyknął pomocy, ale go nikt nie dosłyszał; czuł że głos jego nie ma dźwięku wobec uderzeń dzwona.

Do głębi przejęty, widział w dzwonie ogromną paszczę węża; serce zdawało się językiem, co do niego syczał. Pomieszane obrazy tłoczyły się w jego duszy, — wrażenia podobne do tych, jakich doznał, gdy go chrzestny ojciec zanurzył w wodzie, tylko że teraz jeszcze gwałtowniej szumiało mu w uszach, a mieniające kolory jednoczyły się w straszliwych postaciach. Stare obrazy zamkowe przesuwały się przed jego oczami, ale twarze ich teraz były groźne, kształty ustawicznie zmienne: raz długie i kończaste, raz przezrocyste, galaretowate i drżące. Postacie te były w bębny i w kotły, później nagle przeszły w ów blask ognisty, w którym wszystkie przedmioty jemu ukazały się, gdy bawiąc się z Naomi

spojrzał przez purpurową szybę. Czuł tedy, że się pali; płynął przez morze płomieni, ale zawsze przed nim z rozdartą paszczą pływał wąż i wykręcał syczącym językiem. Uczuł dziwny, konwulsyjny pociąg, by porwać oburącz za serce dzwonu, kiedy nagle wkoło niego ucichło, chociaż w głowie ogromny szum trwał ciągle z tą samą co dotąd gwałtowną i straszną siłą. Czuł, że suknie przylepiły się jemu do ciała, a obie jego ręce były jak przykute do ściany. Przed nim wisiał nieżywy łeb węża, a duży dzwon milczał; chłopiec zamknął oczy i czuł, że zasypia. Było to omdlenie.

Pierwsze jego przebudzenie było jakby snem, ale snem przykrym i brzydkim. Wszystkie otaczające go było w ciemności, bo też inaczej być nie mogło, skoro sam leżał w brzuchu ogromnego węża. Wąż ten jednak go połknął, a więc nie umarł jeszcze; owszem, czuł wszystkie jego ruchy, czuł jak się z nim przewraca, jak ściska jego członki, jak się wysoko wspina i znowu spada na ziemię. Gwałtowna to zaprawdę była walka!

— Dajcie mu klucz w usta! — zawołał ktoś, ale gdzieś bardzo daleko. Głos ten już przebrzmiał, a zarazem skończyły się także straszne jego widzenia; przebudził się i uczuł niezmiernie znużenie.

Obca jakaś kobieta i ojciec chrzestny stali nad nim; on zaś leżał w łóżku.

Skoro tylko dostrzeżono, że go nie ma, zajęto się wyszukaniem go i znaleziono w dzwonnicy. Gwałtowne spazmy, albo właściwiej mówiąc, jakieś napady epileptyczne, których dawniej nie miał nigdy, pierwszym były następstwem przestrawienia. Teraz już znowu przyszedł do siebie, tylko że go bolały oczy. Najdokładniej pamiętał wszystko, co się stało.

— Niech P. Bóg strzeże jego rozumu! — rzekła kobieta.

— Baty powinien dostać! — rzekł ojciec chrzestny, — baty takie, żeby mu krew leciała przez plecy!

— Zapewne, moi chłopcy już za swoje dostali, — powiedziała kobieta; — chociaż Bóg widzi! że oni zupełnie są niewinni.

Dano Krystianowi obwarzanek z miodem, żeby się posilił i odświeżył humor. Ojciec chrzestny wziął go na plecy i poniósł do brzegu, bo koniecznie jeszcze tegoż wieczora chciał być w domu. Światła w Swendborgu jaśniały przez zatokę; na dole przy brzegu stały członka rybackie z ognikami rozpalonymi do połowu węgorzy; każdy wietrzyk spoczywał w chłodnej nocy.

## VII

Wiara ludowa twierdzi, że pyłek kwiatowy berberysu jest trucizną na zboże i że ciężkie kłosa śniedzieszją od gryzącego jego soku. Najszlachetniejszy mak, białością jaśniejący, po roku zmienia barwę, skoro ciągle przebywa pomiędzy makiem pstrym i czarnym. Otoczenie — oto niewidzialna ręka, która każdy pierwiastek przekształcić może w swym rozwoju.

Kiedy snycerz zaczyna formować bryłę gliny, nie zaraz pojmujemy, jakie dzieło spod ręki jego wyjdzie. Czasu potrzeba i pracy, zanim powstanie odcisk z gipsu, a według niego następnie zanim pod uderzeniem dłuta ożyje cios lub marmur! O ile trudniej być musi, z człowieka w wieku dziecinnym czynić wnioski o jego rozwoju i wartości na przyszłość! Widzimy tu ubożego chłopczyka w Swendborgu; instynkt wewnętrzny i wrażenia zewnętrzne, jakby igła magnesowa wskazują w nim tylko dwa kierunki zupełnie sobie przeciwne. Albo stanie się rzadkim artystą, albo nędzną, obłąkaną istotą. Kwiatowy pyłek otoczenia już zaczyna nań działać barwą i wonią.

Bożek tonów ucałował go jeszcze w kolebce, ale czy śpiew bogiń czasu sprowadzi mu natchnienie, czy też obłąkanie? Granica między jednym a drugim niekiedy zaledwie jest widzialną. Czy kiedyś może wznieci podziw tysięcznych tłumów, czy też w nędznej karczmie, ze skrzypcami w rękę, jako staruszek zagra przed dziką, nieokrzesaną młodzieżą, co go nazwie na wół wariatem z wiecznymi marzeniami, chociaż dusza jego niezatarte na sobie nosi piętno tonów?

O księciu Reichstadtzkim wiadomo, że nieżywy przyszedł na świat. Na próżno używano wszystkich środków, by go przywołać do życia; w tym zagrzmiały sto jeden wystrzałów armatnich, a on otworzył oczy i serce bić zaczęło. Był to syn wielkiego cesarza, dlatego też cały świat dowiedział się o tym wypadku; ale nikt nie wiedział o podobnym zdarzeniu

syna ubóstwa. I on także był umarłym, nowonarodzonym umarłym; już leżał na stole obok zbitego okna, w tym raptem zabrzmiały na ulicy flety i skrzypce, na których zagrali wędrowni muzykanci; śpiew kobiecy odezwał się smętny, lecz silny, a mały otworzył oczy i ruszył rączką. Czy w istocie tony odwołały jego duszę, by działała tu na ziemi, czy też był to jedynie przypadek, ów miecz Salomonowy rozumu ludzkiego?

Rzadkim musi zostać artystą, albo nędznym partaczem, krogulcem ze złotem piórem w skrzydłach, którego inne krogulce dziobami za to na śmierć zasieką. A gdyby został takim? Jakaż stąd dla niego pociecha? Jakaż pociecha dla ludzkości z sercem pełnym dumy? Zgaśnie on i zapomną o nim, jak gasną płatki śniegu, wpadające do bystrej rzeki; tylko pojedynczych dzieła i nazwiska w potomne przejdą stulecia. Los to godny zazdrości! Ale w tym nowym życiu może przyszłe na nas czekają uciechy, a daleko już stamtąd będzie do szczęścia jego sławy, w której samo udziału nie otrzyma. Cóż bo z tego jak wysoko stoimy, abysmy tylko stali dobrze! taka jest zwykła pieśń pociechy tego świata, taka pociecha wielkiej fali człowieczeństwa, co bezustannie płynie naprzód do brzegów wieczności.

Po sękach jodły poznajemy wiek drzewa; życie ludzkie także ma swoje widzialne jakby stawy. Ważnym punktem przejścia, niejako głównym momentem w dzieciństwie Krystiana, były tego lata znajomość jego z Naomi, lekcje muzyki i wycieczka do Thorseng.

Tak samo jak kwiat kielichem swoim odwraca się za słońcem, tak dusza jego tęskniła za tonami. Muzyka organów ciągnęła go do kościoła; prosty chóral był dla niego *miserere* Allegra. Zazdrościł więźniom w ratuszu, którzy w urodziny króla i królowej ze swego więzienia całą noc słyszeli muzykę nad sobą, na górze, gdzie tańczono. Im większej nerwy jego nabierały drażliwości, tym ucho jego otwierało się bardziej mowie tonów. Nieszczęśliwe napady spazmatyczne wracały coraz częściej i zostawiały po sobie dziwne drżenie w powiekach, jakiś ból w samych oczach, gdy tymczasem wszystkie przedmioty ukazywały się jemu w najrozmaitszych i ustawicznie zmiennych barwach. Ciało jego słabło, a życie duszy było bujaniem pomiędzy wyobraźnią, a marzeniem. Na taki umysł ciągnęła tęsknota ojca za dalekimi krajami i dziwactwo Norwegczyka podobne czyniły wrażenie, jak powietrze i woda w dolinach kretynów na dzieci tamże zrodzone i chowane. Jedno tylko życie szkolne swoją surową i rozsądną przewagą byłoby mogło choć w części ochłodzić owego *syrokka* fantazji, który nużył umysł i ciało, — ale w owym czasie w całym miasteczku nie było jeszcze porządnej szkoły. Jakiś poczciwy staruszek, pan Sevel, ze swoją głuchą małżonką, byli jedyni w Swendborgu trudniący się nauczaniem, w którym to celu obrali sobie mieszkanie w starym budynku klasztornym, rozwalonym już dzisiaj wraz z szczątkami obocznego kościoła.

Wszędzie, w północnych zarówno jak w południowych krajach, zakonnicy umieli na klasztory obierać najpiękniejsze okolice. Blisko zatoki leżał tu klasztor szarych braci, a z okien jego widok wychodził na Thorseng i Thurö; sklepiona komnata, w której niegdyś może był refektarz, teraz została salą szkolną, a w małej framużce, gdzie może sławnego dłuta stał posąg, teraz leżała różga nauczyciela i pończocha jego żony. Na sklepionym suficie, pod którym teraz na ławkach i stołkach siedziało młodsze pokolenie z luterskim katechizmem, malowidła wyobrażające Matkę Boską i mnogich Świętych Pańskich sięgały wprawdzie czasów przedluterskich, ale tym większe za to budziły zajęcie. Nieliczne i wąskie okna siedziały dość wysoko, tak iż nie było się co dziwić, że kiedy pan Sevel lub pani nauczycielka wyszli na chwilę, młodzież wskakiwała na stoły i ławki, żeby wyjrzeć na zielony bór i duże statki.

Tuż przy szkole stał stary, opustoszały kościół klasztorny, z którego znikły ołtarze i nagrobki, lecz na ścianach którego widać było jeszcze na wpół zamazane obrazy *al fresco* z napisami naokoło w mniszej łacinie. Na korytarzach leżały jeszcze grobowe kamienie, okna były potłuczone, szpary w murach porosły mchem i trawą, a tam gdzie dawniej wisiał ogromny, mosiężny pajak, teraz jaskółka ulepiła sobie gniazdeczko. Jeszcze wyrazy: *Jesus hominum Salvator* w żelaznym nadpisie można było wyczytać na starych drzwiach kościelnych, które otwierano niekiedy, a jeśli wówczas młódź szkolna była blisko, wpadała z wandalicznym krzykiem, który zbyt dziwnie odbijał się silnym echem.

Na Krystianie kościół wcale inne robił wrażenie; jakoś w nim stawał się zamyślony i smutny, chociaż przekładał go nad wszystkie inne miejsca; tu bowiem obfity był pokarm

dla jego marzeń, a świat podań i duchów w bliższym był z nim zetknięciu. Nieraz tak długo wlepiał wzrok w owe zblakłe obrazy, że mu się zdawało, jakoby ich oczy poruszały się; nieraz tak długo klęczał na kamieniach grobowych i sylabizował napisy, że mu się zdawało, jakby umarli stukali w te kamienie i odpędzali go. Jeżeli trawka przy rozbitych oknach zadrzała pod przeciągiem wietrzyku, albo jeśli jaskółka przelęła przeleciała pod sklepieniem, wówczas on myślał o niewidzialnych duchach, jakoby bawiących się długimi trawkami, lub wyganiającymi ptaszki z swych sypialni.

Ciało słabło; napady epileptyczne pojawiały się coraz częściej. Nie szukano pomocy lekarskiej, bo lud rzadko kiedy wierzy w lekarzy, a zresztą to kosztuje pieniądze. Marya utrzymywała, że zachorować można już z tego samego paskudztwa, które doktor zapisuje z apteki. Na wszystkie też wewnętrzne choroby jedno miała lekarstwo radykalne: jałowiec nalany wódką, który zarazem wzmacnia i rozpędza. Tego lekarstwa dostał także Krystian.

Czas uciekał, a choroba nie polepszała się. Najlepiej będzie, mówiła Marya, poradzić się mądrej kobiety w Kwerndrup, ale tylko tak, jakby od niechcienia albo przy okazji. Kobieta przyszła i podała niektóre środki sympatyczne. Nicią wełnianą zmierzono jege ręce i nogi; przewiązano mu na dołku sercowym nieco poświęconej ziemi i serce kreta; to wszystko miały być środki niezawodne.

Tak mijaly dnie i tygodnie i blisko dwa lata. Mądra kobieta radziła udać się do źródeł Frörup, które pomogło już w niejednej chorobie, kiedy najlepsi powątpiewali doktorzy; Marya wierzyła w jego skuteczność, jak w słowa Pisma Świętego. Po dziś dzień jeszcze lud w Danii zachował podanie, przypisujące niektórym źródłom jakąś wielką świętość; i tak, mieszkańcy Fyonii uważają źródło Ś. Reginy, blisko wioski Frörup, za nadzwyczaj skuteczne; ponieważ zaś połączono z nim tak zwany jarmark źródlany, przeto tłumy gromadzą się tam w wielkiej masie. Z kilkomiłowego okręgu, nawet z tamtej strony Odensee i Swendborgu, przybywają tu chorzy w wilią Ś. Jana, piją wodę źródlaną, kąpią się w niej i nocują pod gołym niebem. Przez trzy lata z kolei chory zwiedzać powinien to źródło; jeśli go i to nie wyleczy, tak twierdzi wiara ludu, wówczas nic mu już nigdy nie pomoże.

— Jedźcie tylko do źródła! — powiedziała ich wyrocznia. — Jedźcie do źródła, a przekonacie się, jaka zajdzie zmiana!

Słowa te mimowolnie stały się prorocstwem; nie tylko bowiem chłopca, ale całą rodzinę czekała w tej podróży nader wielka zmiana. Nieraz później już mawiała Marya: — Zapewne! gdybyśmy wtenczas nie byli pojechali do źródła, może wszystko byłoby poszło inaczej! — Może? A ludzie jednak mają wolną wolę.

Marya była zdania, że koniecznie wypada dla chłopca pojechać do źródła; byłoby to bowiem zbyt wielką odpowiedzialnością przed Panem Bogiem, gdyby zaniedbać coś podobnego. Wiara męża była mniej silna, ale kontent był z dobrej sposobności wydobycia się na świeże powietrze. Sierżant, jego przyjaciel, właśnie na kilka dni był w mieście, bo pułk jego stał w Odensee<sup>9</sup>.

Z Swendborga cztery mile do źródła Ś. Regissy, leżącego tuż przy trakcie głównym, tak iż matka z synem pojechać mogli wracającym tamtędy do Nyborga *landkuczerem*; dwaj przyjaciele poszli pieszo, bo to im zostawiało swobodę wybierania najpiękniejszych ścieżek przez łąki i bory. Malarz może nam wprowadzić przedstawić grę kolorów w pięknym dniu wiosennym, nawet może dać poznać ciepłe powietrze, ale nie potrafi odtworzyć piękności aromatycznej, która równą nam sprawia przyjemność, jak kształty i kolory przedmiotów, owej woni bzów i akacji i zielonych liści na krzaczkach dzikiej róży. Ptaszki świergotały, a krawiec wtórował im rozlicznymi pieśniami, których nauczył się niegdyś w obcych krajach, i opowiadał o szczęśliwej wędrowce nad brzegami Po i Tybru.

— Patrzcie! bocian leci! — zawołał. — Ach, biedny mój bocian już pewno nie powróci! Albo umarł ze zmartwienia po śmierci samicy i młodych, albo też podróżuje jeszcze, żeby się rozerwać i zapomnieć! Boże przebacz! mnie się zdaje, że na wędrowce zapomnąć można o każdej największej stracie.

— I mnie się tak zdaje — rzekł sierżant. — Dlatego też bo ja nigdy nie chciałem powiedzieć wszystkiego co myślę w przytomności waszej żony, żeby czasem do mnie żalu nie miała, — dlatego też powinniście dostać z jakie tysiąc talarów, bo tyle dziś dałby nie jeden syn gospodarski, aby pozostał tylko w domu, a ktoś przecież musi go zastąpić. Za te

<sup>9</sup>Odensee — stolica Fyonii. [przypis tłumacza]

pieniądze, które byście dostali, Marya z chłopcem mogliby być wygodnie! Zostalibyście podoficerem i dostalibyście się znowu do obcych krajów, a toć o tym tylko marzy wasza dusza. Czasy teraz niespokojne, żołnierz nie może wiedzieć gdzie mu przeznaczono, a do Francji jemu nie dalej niż do Niemiec.

Krawiec potrząsał głową: — Marya nigdy by na to nie przystała! — rzekł i dodał na wpół smutno: — Zresztą i ja wątpię, czybym się mógł z nią rozstać. Nie! o tym nie ma co myśleć.

Szybkim krokiem szli naprzód do wioski Broholm. Liście drzew były przezroczyście, fiołki rosły całymi krzaczkami, brzegi boru kwitły różnym kwieciami, a pomiędzy drzewami widać było Wielki Belt i wyspę Langeland, która ze swymi lasami i wiatrakami wznosiła się wysoko nad morze.

W „Listach nieboszczyka” księcia *Pückler Muskau*<sup>10</sup>, parki i wille Anglii cudownym jakby sposobem stają przed naszymi oczyma i widzimy wyraźnie owe aleje starych, dużych drzew, które się zajeżdża do pałacu. Taka sama aleja prowadzi także do Broholmu. Wszystkie poezje *Wilhelma Müllera* są małymi rodzajowymi obrazkami; widzimy w nich jak się obracają koła młyńskie, a woda jak na największe spada koła; podobny młyn stoi tuż przy wspomnianej alei, ale tak głęboko, że piękna młynarka aż główkę podnosić musi do przejeżdżających tą drogą. W naszych własnych duńskich podaniach doszły nas wieści o cichych jeziorach, w środku których sterczały niegdyś kępy ze starymi zamkami rycerskimi, ale dziś kępy znikły, a łabędź płynie nad szczytami wieży. Takie same jezioro leży tuż przy alei i młynie, ale kępa sterczy jeszcze ze starym zamkiem; wielka okrągła wieża z miedzianym dachem i wieżą przegłąda się w jasnej wodzie to jest Broholm; jeszcze widać w wieży strzelnicę, jeszcze woda przezroczyście i świeża płynie przez podwójne rowy.

W sklepionej komnacie służebnej, podpartej grubymi murowanymi filarami, siedzieli dwaj nasi podróżni przy dużym stole, na którym każdy ze sług nożem wyrył swoje nazwisko. Był zaś z nimi jeszcze gość trzeci, młody chłop z Örebäk, brat pierwszego konkurenta Maryi.

Po dziś dzień jeszcze zewnętrzny pozór zamku pozostał niezmienny. Rogi jelenie przystrajają drzwi strzelca, a wejście do pańskich pokojów prowadzi przez wysoką wieżę, tam gdzie kręcone schody poukładane z potężnych jednej na drugiej belek prowadzą do samego szczytu. Wzdłuż muru ogrodowego w środku zamczyska dziś jeszcze zielenią się szeregami stare, kwitnące lipy.

Przy każdej pamiętce dawnych czasów krawiec wspominał wszystko, co już w życiu swoim widział podobnego za granicą, i ciągle przy tym robił swoje postrzeżenia porównawcze. Tak pyszne lipy widział tylko w jednych Czechach, w owych długich, cienistych alejach, gdzie wędrując śpiewał hożą *Krasna holga!* Sam ów stary budynek z wysoką wieżą zdawało mu się że widział gdzieś daleko, nad Dunajem, gdy statek wesoło bujał nad przepaściami i wirami. Nawet chłodne sklepienie, pod którym teraz siedział między grubymi filarami, przypominało mu komnaty klasztorne. O czym zaś serce myślało to plotły usta, czy to drugich bawiło, czy nie.

— A to się wybierz znowu w drogę — odezwali się drudzy.

— Mamci ja teraz włożyć czerwony spencer<sup>11</sup>! — rzekł młody wieśniak; — za miesiąc podobno mamy wyruszyć w drogę; ale mam chęć i możliwość kupienia w swoje miejsce zastępcy! Tysiąc talarów w papierkach wyliczę na jednym stole, jeżeli macie ochotę!

Tysiąc talarów w papierkach! jakaś woń spoczywała w tych białych karteczkach, woń mogąca napełnić serce marzeniami o czarodziejskich skarbach. Biedny krawiec podniósł oczy i spojrzął przez okna na zielone wierzchołki drzew lipowych. Czy te zielone liście, czy białe, silniej wpłynęły na jego biedne serce?

Przed dworem, niedaleko kuźni, stoi dziś jeszcze potężny pień starego dębu. W owym czasie drzewo to było jeszcze całe; duży krzyż żelazny, zabytek przedreformacyjnych czasów, przymocowany był do drzewa. Kiedy w 1808 roku Hiszpanie byli w Fyonii, dąb ten był dla nich świętym krucyfiksem przy drodze, ołtarzem pod otwartym niebem, przed

<sup>10</sup>*Listy nieboszczyka — Briefe eines Verstorbenen*, najlepszy utwór słynnego podróżnika niemieckiego. [przypis tłumacza]

<sup>11</sup>*Mamci ja teraz włożyć czerwony spencer...* — mundury wojska duńskiego są czerwone. [przypis tłumacza]

którym klękali i swoje odbywali nabożeństwo. Popalone od słońca marsowe postacie leżały tu na świeżej trawie i pełne ufności wlepiły ciemne swe oczy w święte znamię; ksiądz stał na ich czele, a śpiew zabrzmiał w obcym, melodyjnym języku.

Teraz dąb ten nie był już tym, czym był dawniej; piorun przed rokiem przerwał jego siłę żywotną i już tylko jedna zielona gałązka sterczała obok innych suchych i bezlistnych. Dla naprawienia drogi miano nawet zupełnie sprzątnąć stare drzewo; już topór głęboko przeciął jego sęki, a pień obwiązano długą liną i w należytej odległości zaprzęgnięto do niego parę koni. Za chwilę dąb miał upaść.

Krawiec z towarzyszami podróży stanął na drodze, gdy powożący trzasnął z bicia i konie z całej siły szarpnęły po raz pierwszy. Stare drzewo zatrzęsło suchą koroną, lecz jeszcze nie obaliło się. Jedno jeszcze szarpnięcie, a z potężnym łoskotem i głuchym jękiem powaliło się na ziemię, a wykręcając się w upadku, odwróciło na wierzch stary swój krzyż żelazny. Tak runął wspaniały trup dębi ze znakiem orderowym na piersi!

Sierżant zauważył mniej więcej to samo. Krawiec zamysłony wlepił wzrok w ziemię; coraz jaśniej pojmował teraz, co mu tak chodziło po głowie: — Z honorem polec w bitwie, najlepszą musi być śmiercią! A zresztą nie koniecznie każdemu umierać! Ach! gdyby Marya myślała tak samo!

— No i cóż, czynie spróbuję szczęścia? — zapytał sierżant. — Życie na otwartym powietrzu, to co innego, niż siedzieć w domu na stole. Dziś rano po raz pierwszy w tym roku widzieliście latającego bociana; to znaczy, żebyście wy także puścili się w drogę.

Krawiec milczał.

W poprzek drogi leżało stare, ogromne drzewo, w którego wierzchołku bocian od wieków stukotał swą ewangelię o gorących dniach letnich. Stary dwór odbijał się w wodzie; pozór z rzeczywistością tworzyły całość dziwnej piękności. Miejscowość i otoczenie działały tu na duszę marzącą, jak smyczek fizyka na szklaną tablicę, na której pełne znaczenia powstają figury akustyczne.

Stalaktyk, skrzydełka motyle i latające chmury, wszystkie mają swoje hieroglify przyrody, których rozwiązanie nie jest dane człowiekowi, a które jednak zwiastują siłę rozwijającego się świata. Tak samo i serce ludzkie miewa niekiedy podobne jakieś znaki, których samo pojmować nie jest zdolne. Niewidzialny sternik zapisuje w nim swoje: *Mene, mene, tekel ufarzin*, a powstaje stąd konieczność, i najbliższym jej skutkiem jest niepojęte: *Muszę!*

— Czy słyszeliście kiedy o górze Wenery? — spytał marzący, — o której tak często mówią w starych podaniach? Niejeden zacny rycerz, nawet biedny rzemieślnik z tornistrem na plecach wszedł do tego czarodziejskiego kraju, z którego wszelako nigdy nie powróci; jeśli zaś wydarzyło się trafem, że pojedynczy wędrownik wydobyl się z góry i powrócił do swoich, tedy już nigdy jakoś nie był spełna, trapiła go tęsknota i albo znowu wrócić musiał do niej, albo umierał. Oczywiście jest to tylko bajeczka, którą wymyślił taki, co się dobrze nachodził po Bożym świecie, a później porzuciwszy wszystkie jego piękności, spokojnie siedzieć musiał w domu. Te pięć lat mojej wędrówki dla mnie też były górą Wenery, boć trudno inaczej nazwać piękność tego świata. Teraz znów jestem w domu i dlatego niespokojny; tęsknota jest moją pracą całodzienną, chęć do podróży poduszką, na której odpoczywam, i byleby Marya chciała — ! ale musi — Czy jego zaiskrzyły się, uchwycił sierżanta za rękę i zawołał: — Zostanę żołnierzem!

## VIII

Okolo dwóch mil od miasta Nyborg, między wioskami Örebäk i Frörup, leży źródło Ś. Regissy, według podania ludowego tak nazwane od pobożnej niewiasty, której źli ludzie bardzo dokuczali i dzieci nawet zabili; z tego samego więc miejsca gdzie to się stało, wytrysło natychmiast piękne źródło. Długo już po śmierci zacnej Regissy przybywali z daleka pobożni pielgrzymi, żeby pić wodę z tego źródła, a na świętą, pamiątkę wystawili blisko źródła kapliczkę i zawiesili w niej obraz dobroczynnej patronki. Co rok w dzień Ś-go Boëla odprawiano tam odpust i w wiosce odbywał się walny jarmark; za wprowadzeniem atoli nauki Lutra do kraju, zaniedbana kaplica wnet się rozpadła w gruzy. Tylko źródło dziś jeszcze płynie, a rok rocznie w wilię Ś. Jana przybywają do niego liczni chorzy i zarazem odbywa się tamże sławny jarmark.



Niezawodnie nie co innego, tylko chęć uniknięcia zbyt ciekawych oczów, spowodowała zwyczaj, że ci chorzy całą noc Świętojańską, przepędzić muszą przy źródle. Po zachodzie słońca myją się w wodzie źródlanej i potem urządzają nocleg; równo zaś z brzaskiem rannym zrywają się, najsłabszych prowadzą do domu, a ci których choroba nie jest zbyt dokuczliwą, biorą udział w zabawach jarmarcznych.

We wsi Frörup, gdzie teraz odprawiają jarmark, stawiano namioty i szopy; zewsząd widziano chorych przybywających to furmanką, to pieszo, a niektórzy z nich już szli przez łąkę, na której płynie źródło między leszczyną a jesionem, ocienione kilkoma dość wysokimi drzewami, na których lud chociaż dziś protestancki, dawnym zwyczajem zawiesza swoją ofiarę, kilka świeczek woskowych. Żywopłoty wokoło są jakby parawanem dla chorych, mających się rozebrać i przemyć, a stare ich suknie stają się jałmużną dla licznie czających się żebraków.

Marya nadeszła z Krystianem, niosąc na rękę starą koldrę i duży surdut swego męża; pierwszą, dla przykrycia nią chłopca, — drugi, by się nim samej odziać w nocy, na przypadek gdyby powietrze było chłodne.

— Ja zostanę przy tobie! — rzekła, — jeżeli zasnę, to dobrze, a jeżeli nie, to i tak nie pierwszy raz, żem czuwała dla ciebie. Tak, dziecko, ty nie wiesz, com ja dla ciebie wycierpiała! Dzieci nigdy nie pomyślą o troskach i niepokojach matki, aż chyba gdy sami doczekają się dzieci! Kiedym cię nosiła pod sercem, ileż nie znosiłam strachu! Życie poświęciłam dla ciebie! Przez długie noce nie zamykałam powiek, tylko chodziłam po izbie tam i na powrót, słuchając twego oddechu; pracować cały dzień, czuwać całą noc, takie było moje przeznaczenie! Wszystko to robiłam dla ciebie, moje dziecko, a gotowałam uczynić i nadal, bylebyś ty znowu przyszedł do zdrowia! Ciebie jednego mam na świecie! Niech twój ojciec w imię Boże puści się w świat, skoro nie może być inaczej! — I wybuchła głośnym, lecz krótkim płaczem; ucałowała chłopca w oczy i w usta i zbliżyła się do źródła.

Liczne myśli snuły się jej po głowie. W Örewäk spotkała swego męża z sierżantem i młodym wieśniakiem, bratem jej pierwszego konkurenta, do którego dworku wstąpili nawet i który wpół żartem powiedział, że to wszystko mogłoby należeć do niej. Poczęstowano ich mocnym piwem, miodem i własnego wypieku pszennym chlebem, i powoli przyznano się do zamiaru krawca, wstąpienia w szeregi w zastępstwie młodego chłopca.

— Widzicie, on dla tego jeszcze nie odjedzie! — rzekł sierżant, — tylko tyle że go zapiszą pod numer, — a przy lada sposobności do słów swoich dodawał wzmiankę o nęcących tysiącu talarach.

— Ma on przecież swoją własną wolę, — odpowiedziała Marya. — Ja go nie trzymam! — to było ostatnie jej słowo, ale jej się zdawało, że jej serce z żalu pęknie na tysiąc drobnych kawałków. Nie chciała już zostać ani chwili. — Dość mi takiego podwieczorku! — mówiła. Sierżant z krawcem zostali na noc.

Teraz stała nad źródłem. Kilku chorych zaczęło już swoje kąpiele, inni zajęci byli przyrządzaniem noclegu. Najlepszym z tych noclegów było stare łóżko, przyniesione z pobliskiej chałupy i ustawione między leszczyną; drudzy kontentowali się wiązką słomy, albo posłaniem w bryczkach, którymi przyjechali. Ogień palił się wesoło za niskim wałem z murawy, przy nim gotował się kociołek z kawą i kilku staruszków grzało sobie ręce.

Był to widok taki, jaki dziś z każdym dniem bardziej znika z życia naszego ludu, a cofa nas o wieki w dzieje przeszłości. Gdyby umarli, nad których grobami w katolickiej niegdyś Danii brzmiały pienia zakonników, gdyby mogli z zachodem słońca powstać z trumien i pobujać nad łąką, uwierzyliby że w Danii wszystko tak samo jak wówczas, gdy zamknęli na zawsze swoje oczy. Poczciwy lud z tą samą jeszcze pobożną wiarą w sercu tłoczył się naokoło świętego źródła, dzwony kościelne przy zachodzie słońca były jak dawniej, kiedy wzywały jeszcze wiernych do Pozdrowienia Anielskiego, w wiejskim kościółku tak samo uśmiechał się jeszcze obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Nawet sąsiedni dwór szlachecki, starożytny Örbäk, niezmienny stał jeszcze ze swymi śpiczastymi szczytami i z wysoką wieżą, całkiem odwieczny ów budynek gotycki!

Niedaleko od miejsca gdzie matka kąpała Krystiana w świeżej, zimnej wodzie, stały dwie kobiety z młodą, może trzynastoletnią dziewczyną, nie mającą na sobie śladu żadnej ani ułomności ciała, ani choroby wewnętrznej. Twarz jej miała wszystkie cechy najsilniej-

szego zdrowia; postać jej była prawie zupełnie rozwiniętą; długie, gęste włosy spływały na białe, pełne ramiona; czerwona zorza wieczorna oświecała twarz wesołą, uśmiechniętą. Najmłodsza z towarzyszących jej dwóch kobiet, jej matka, cały kubek wody wylała na głowę córki; krople jak brylanty jaśniały na szyi i ramionach; dziewczyna potrząsała długimi splotami i zaśpiewała na głos:

Widziałem go — słuchajcie wierni!  
Na głowie miał koronę z cierni.  
— Tańczcie, o, kwiaty róż!

Starsza kobieta, babka chorej, uklękła i po cichu, złożony ręce odmówiła *Ojcze nasz!* Wieczór był ciepły i miły, ale z tamtej strony Bełtu nadciągały ciemne chmury.

Gdzie nieszczęście i nadzieje są wspólne, tam ludzie łatwo zabierają znajomość. Opowiadali sobie tedy wzajemnie o swoich chorych i o skuteczności źródła. — Na wielką chorobę nie pomaga, — rzekła staruszka, lecz wnet jakby poprawiając się dodała: — Aby tylko P. Bóg chciał, toć dla niego wszystko jest możliwe. Jeden zresztą, jest środek taki, który nigdy nie chybił; — i dopiero opisała ów uniwersalny środek ludowy, o którym młodsze pokolenie gotowe pomyśleć, że powstało chyba w mózgu jakiego Eugeniusza Sue, jakkolwiek przed niewielką jeszcze laty w całej Danii w powszechnym był użyciu. Środek ten zasadzał się na tym, żeby nieszczęśliwe dziecko poszło na plac egzekucyjny i uprosiło delikwenta, by pozwolił mu napić się jego ciepłej krwi, skoro głowę odłączy od kadłuba.

Maryja zadrżała; — nie, na to nigdy by nie przystała!

Niedługo zabrały się kobiety do urządzenia noclegu. Babka z dziewczynką miały spać w swojej bryczce; małeńkie, wolne u stóp ich miejsce ofiarowano Krystianowi. Matka dziewczyny z Maryją, plecy oparłszy o bryczkę i nakrywszy głowy usiadły na wiązce słomy.

Wszędzie wokoło panowała cisza; słychać tylko było pluskanie źródła i głęboki oddech śpiących. Krystian zmówił wieczorne pacierze, których go nauczyła matka i zamknął oczy do snu; lecz jakoś nie mógł zasnąć. Z pewnym przestachem myślał o obłąkanej dziewczynie, której nogi jego dotykały się i która spała snem mocnym i głębokim. Spojrzał w niebo, które wysoko i niewymownie błękitnie, z niezliczonymi gwiazdami zawisło nad nim i wkrótce wpadł w stan pośredni między snem a czuwaniem. Śniło mu się, a jednak wiedział, że to nie sen; sam sobie zdawał sprawę z tego, gdzie się znajduje, bo słyszał jeszcze plusk źródła; jednak gdy obejrzał się wkoło, dostrzegł we wszystkim dziwne podobieństwo z ogrodem żyda, gdzie bawił się z Naomi, tylko że tu wszystko było i daleko szersze i daleko okazalsze. Powietrze rozwidniło się, zdawało mu się, że słyszy jej głos, że go nawet woła po imieniu, ale on nie śmiał się ruszyć, żeby nie obudzić obłąkanej dziewczyny, śpiącej u nóg jego. Teraz okolica przedstawiała widok łagodniejszy i lepiej mu znany; nawet bociana widział, który przelatywał nad jego głową i stukotał, jak gdyby pożywienie przyniósł swoim piskletom. Przy nim siedziała Naomi; poglądał na jej duże, czarne oczy, a ona rzucała mu najpiękniejsze kwiaty, mówiąc że to pieniądze. Tak się wybornie bawili, a on jak za pierwszą razą dał jej w zastaw swoje usta i oczy, ona zaś zabierała je naprawdę, bo czuł nawet kolący ból i wszystko wokoło niego ściemniło się, tylko słychać było jej odjeżdżający powóz.

— Bądź zdrow! — zawołała; — bądź zdrow! — a powóz wysoko uleciał w powietrze. Wówczas powstał, a jakkolwiek paliły go próżne jamy oczne i pokrwawione wargi, przecież myśl jego była ciągle przy niej; czuł się lekkim, jak piórko i chciał polecieć w powietrze za Naomi; lecz obłąkana dziewczyna przebudziła się i trzymała go tak mocno, tak mocno, a tymczasem powóz odjeżdżał co raz dalej. Wówczas natężył wszystkie siły, żeby się wyrwać — i przebudził się. Czuł dobrze, iż to był sen, a jednak coś jakby turkotało w powietrzu; na nogach zaś jego leżało coś ciężkiego. Podniósł głowę; otóż siedziała i ona, jak biała, lśniąca mara, z obnażonymi ramionami i piersiami, ocieniona długim włosiem. Ale na chwilę tylko była widzialną; otaczający ją blask fosforyczny znikł, ciemność wróciła jeszcze czarniejsza, a w oddali słychać było głuche grzmoty.

— Pałę się! — rzekła. — Zupełnie mi tak samo, jak gdybym w sercu nie miała już krwi, tylko gorące płomienie! Czy ty śpisz, chłopczyku?

Krystian nie śmiał się odezwać. Obląkana dziewczyna klęczała na jego nogach; suknie poździerała z siebie i nagie ręce podnosiła wysoko ku niebu.

— Czy słyszysz jak tam wysoko ryczą zwierzęta? — zapytała. Pędzą jak jelenie, a na głowach ogniste mają włócznie. Jeśli przesyją nimi twoje ciało, będziesz nieżywy; jeśli dotkną twojego domu, spali się! największe drzewo rozprysnie się na drobne drzazgi! Widziałeś ich rogi, świecące jak cyna z miedzią? Nie bój się! Niedługo przelecą i potem zostaną już tylko drobne kociaki, których mniejsze są rogi, co w zygzakach wydobywają się zza czarnej chmury.

Lśniący piorun, po którym w tej samej chwili dały się słyszeć silne grzmoty, wszystkich przebudził ze snu. Przestraszone kobiety zerwały się. Staruszka uchwyciła w pół nagą dziewczynę, stojącą na środku wozu. Wicher igrał w długich jej splotach i wysoko wzdymał leciutką koldrę, która wisiała tylko na jej nogach.

— Jezu Chryste! — wołano zewsząd. Każdy starał się jak najlepiej przykryć swojego chorego. Krystiana schowano pod dużą derę końską, którą gwałtowny wiatr zaraz potem tak silnie uchwycił, że gdyby jej Marya nie przytrzymała sobą, byłaby pofrunęła gdzieś daleko. Drzewa i krzaki uginały się jak cienka trzcina, gałęzie i liście latały wokoło, a przez burzę słychać było śpiew młodego dziewczęcia i modlitwę starszych kobiet.

W tej chwili zajaśniał znowu straszliwy piorun i jednocześnie grzmoty zahuczały ogłuszająco nad nimi. Nawet wóz poruszył się, a Krystian w mgnieniu oka całą okolicę ujrzał oświetloną rażącym, jaskrawym światłem. Każdy krzaczek, każde drzewo, kościół i domy, wszystko wystąpiło wyraźnie przed oczy, a na wozie stała dziewczyna, okryta tylko cienką, białą szatą. Rękami rozrzuciła długie włosy i z dzikim okrzykiem zeskoczyła z wozu; ale w tej samej chwili czarna ciemność pokryła znowu całą okolicę. Cicho było jak w grobie.

— Gdzie Łucja? — zawołały matka i babka. — Boże, gdzie się podziała?

Po ciemku macały wokoło siebie rękami, lecz wszędzie tylko drzewa i krzaki. Deszcz lał gęstym strumieniem. Obie kobiety wydały krzyk rozpaczony, który przygłuszył nawet huk grzmotów. Babka szukała na ziemi, — matka pobięła dalej w deszcz i ciemność, ciągle wołając: — Łucjo! — Krystian przytulił się do matki; noc była okropna!

Jeszcze raz jeden piorun i jeszcze jeden huk grzmotu, równie silny jak tamte, przy których znikło młode dziewczę, a potem widocznie już burza ustawała; następujące były znacznie słabsze, deszcz padał już tylko pojedynczymi kroplami. Ale cały ten czas najstraszliwszą był męczarnią dla biednej matki, która nie wiedząc gdzie się obrócić, by znaleźć nieszczęśliwą córkę, biegła tam i na powrót jakby bez celu. Przez chwilę zdawało się jej przy świetle błyskawicy, że widzi białą postać śpieszącą przez pole; pobięła w tym samym kierunku, lecz zatrzymywały ją raz rowy, drugi raz krzaki, których gałęzie zaczepiały się o jej odzież. W pośród deszczu i wichru była pewna, że słyszy głos córki, co wszakże było niepodobnym, gdyż ryk burzy przygłuszał głosy ludzkie. Zmuszona iść naprzód w kierunku wiatru, była jakby igraszką jego siły; niekiedy czuła nawet, że ją coś unosi od ziemi. Nareszcie stanęła przed wysokim płotem, na który wdrapała się jakby instynktem, choć tylko na to, żeby ją tej samej chwili wicher zszadził na drugą stronę murawy. Błyskawica oświeciła znowu przed nią stary dwór w Örbäk z odwieczną wieżą, potężnymi filarami i mnóstwem gotyckich wieżyczek. Była w ogrodzie, gdzie stoją obcięte po dawnemu żywopłoty i białe figury kamienne; czy to z nich jedna zdawała ruszać się przy świetle błyskawicy, czy może była to jej córka? Nogi jej drżały; drżąca woła ją po imieniu, a tymczasem burza wysoko w powietrzu pędzi młode gałęzie i żółkłe listki.

Nazajutrz raniutko Krystian przebudził się po śnie głębokim. Jego matka i starsza kobieta siedziały na dyszlu i ciekawie słuchały, co im opowiadała matka Łucji, dopiero w tej chwili wracająca z wycieczki, a której radość była równie wielka, jak jej przestraszonych poprzedni. Córka jej spała mocnym snem, naprzeciwko u ogrodnika w Örbäk; znalazła ją tam w ogrodzie pod biało pomalowaną figurą, z głową opartą o kamienny piedestał. We dworze ludzie jeszcze nie spali z powodu niepogody; w domku ogrodnika widać było światło, tam też udzielono pomocy strwożonej matce i położono Łucję do łóżka. — Gdzie moje suknie, matko? — oto jedyne jej słowa, gdy przejęta potężnym piorunem, który tuż przy niej uderzył w ogrozie, wróciła do pewnej przytomności. Potem płakała, że aż Boże zmiłuj się, lecz na koniec zamknęła oczy i zasnęła snem widocznie zdrowym.

— Może się też Pan Bóg ulitował nad nią! — rzekła stara babka — boć ona była zdrowa jak my wszyscy, dopiero po burzy podobnej jak dzisiejsza wróciła z pola, gdzie piorun

roztrzaskał drzewo. — Trudno wiedzieć, czy stąd poszło jej nieszczęście, czy też może przed niepogodą jeszcze spała na słońcu, lub też czy była w tym sprawa złych duchów, które ukazały jej to, co może pomieszać rozum ludzki, — dość że rozum ten przepadł od tej pory. Teraz już drugi rok jeździły z nią do źródła. Niech jej Pan Bóg rozjaśni rozum, albo niechby ją zabrał do swej wiecznej chwały!

## IX

Po południu cała okolica przedstawiała widok świąteczny. Na zielonym placu, gdzie w nocy chorzy wdychali i modlili się, teraz tańczyli zdrowi, a skrzypce z klarnetem przygrywały starą melodię płaczącego anieleza. Około źródła dziewczęta i chłopcy pili zdrowie miłości, ale tej miłości, która pochodzi ze krwi, a nie z duszy.

W wiosce odbywał się jarmark. Wystawiono na sprzedaż garnki i buty, książki i marionetki. Krystian także już dostał gościńca, bo w ręku niósł stary kapelusz, a nowy miał na głowie; nie zdjął nawet z niego arkusza makulatury, którym go kupiec przez ostrożność obwinął. Później z rodzicami stanął przed świetną budką, gdzie sprzedawano jedwabne czapki haftowane sychem; korciły go również piękne obrazki norymberskie z pruskimi żołnierzami i z Turkiem w seraju. Marya twierdziła, że ten obrazek wygląda zupełnie, jakby szkoła dziewcząt. Tam znowu stał wędrowny Włoch, z deską zastawioną gipsowymi figurkami, w których lud nasz najwięcej gustuje: bo z zieloną papugą i Napoleonem. Krawiec natychmiast, jak umiał najlepiej zaczął rozmawiać po włosku palcami i ustami, a Marya przyznała się sierżantowi, iż tyle tylko z tego rozumie, że nie mówią po niemiecku. Mowa ojczysta w obcym kraju takie same sprawia wrażenia na sercu, jakie na dorosłych melodie dzieciństwa, choćby najbardziej chrapliwym odśpiewane głosem, Włoch śmiał się i raz wraz ścisnął krawca za rękę, podarował mu nawet papugę z ułamaną nogą.

Na kiju obok stołu bujały w powietrzu jedwabne wstążki i pstrokate chustki, a za stołem stał znajomy, który przywitał ich uprzejmym: dzień dobry! Był to stary Joel, co służył niegdyś u dziadka Naomi, a później zwęglone szczątki swego pana przewiózł do rodzinnego grobu.

— Zapewne, wnuczka szczęśliwa! — rzekł, — mała Naomi nie zna biedy! ubierają ją, w jedwabie i muśliny, obsypując złotymi pierścionkami; z niej będzie piękność taka, jak królowa Estera.

— Czyście niedawno byli we dworze? — zapytała Marya.

— Nigdy tam nie idę, — odpowiedział; — taka jest nasza umowa. Nie byłem od tej pory, kiedy pan mój spalił się na popiół, a ja zaniósłem wiadomość, jak biedne to dziecię opuszczone. Wtenczas rozmawiałem z młodym hrabią i ze starą hrabiną, która umie być cierpką jak lekarstwa, co je wiecznie łyka. A ja dlatego jestem tym, czym jestem; dosyć jest dróg na świecie, żebym nie koniecznie potrzebował wstępować do jej dworu. Naomi szczęśliwa! ach, biedna jej matka! nigdy jeszcze nie widział piękniejszej kobiety! Teraz kwiat ten przemienił się w ziemię, a białe jej ząbki w trupiej czaszce najbrzydszą w świecie są pięknnością.

— Z chustką tą byłoby ci wybornie do twarzy, Maryo! — rzekł krawiec i wskazał na chustkę z niebieskiego kartunu w duże, żółte i czerwone kwiaty. — Bierz ją, bierz, bośmy teraz bogaci! — zawołał i poklepał się po kieszeni, w której była już połowa umówionej summy, bo 500 talarów i zapewnienie wstąpienia do wojska.

Marya potrząsała głową i westchnęła głęboko; oczy jej jednak wracały ciągle do tej chustki, na której kolory były tak jaskrawe, a deseń tak jakoś niezwykajny.

— Jeżeli ja pierwszy dziś u was kupuję, — rzekł krawiec, — to powinien być dobry dla was początek, bo zrobiłem dziś wyborny interes! Tylko nie bądź tak zamyśloną, Maryo! Bóg wie, kiedy znów razem będziemy na jarmarku i czy wtenczas tak piękne będzie słońce na dworze, a tyle pieniędzy w kieszeni! — To mówiąc, zarzucił jej na szyję piękną chustkę, a ona przez dwie łzy uśmiechnęła się, tak samo, jak później w domu, gdy mąż wszystkie papierki rozłożył na stole i rzekł z miną zadowolenia: — Widzisz, Maryo, ile mąż twój jest wart! Tylko nie płacz, bo jak słońce krople ściekną na pieniądze, to przy nich nie będzie szczęścia i błogosławieństwa. Już zostałem podoficerem, toć pierwszy krok na oficera; widzisz, tak niedaleko już tobie do wielkiego państwa.

— Za dwa tygodnie idziesz do Odensee na musztrę, — rzekła Marya, — a za miesiąc, jak mówisz, będziesz znów z powrotem. Pan Bóg to raczy wiedzieć! ty bo nie masz w sobie za szeląg spokojności! Zapewne, ty inaczej nie możesz! Czyliż myślisz, że ja nieraz w nocy nie słyszała, jakieś wzdychał i przez sen mówił o obcych krajach! Płakałeś jak dziecko, i to mnie rozdzierało duszę! Stary kalendarz, w którym zagranicą zapisywałeś, gdzieś właśnie przebywał którego dnia i roku, ten kalendarz, mówię ci, który tak często wyjmujesz z komody, do którego zaglądasz i mówisz: — Wielki Boże! dziś przed tyłoma laty byłem tam i tam, a nie siedziałem tu w Swendborgu na stole! — ten oto kalendarz wydaje mi się diabelską księgą, z której nic nie wyczytujesz dobrego. Teraz zapisz w nim datę, kiedy porzucisz żonę i dziecko! Gdybym cię dobrze nie znała, tobym mogła myśleć, żeś tam zagranicą zostawił swoje serce i że to cię tak teraz czyni niespokojnym. Toć ciebie nikt tak nie kocha, jak ja, a chłopiec jest twoim synem, na to najczystsze mam sumienie!

— Maryo, — rzekł mąż — chciałabyś mnie zasmucić? Jeżeli zrobił głupstwo, to już teraz smutek na nic się nie przyda. Lepiej patrzmy na ten wypadek z wesołej strony; dziś wieczorem przyjdzie do nas sierżant z chrzestnym, więc poproś jeszcze rękawicznika i starego Heimerandta i poczęstuj nas wazą ponczu, tak jak niegdyś na naszym weselu.

Nigdy jeszcze Krystian w małej izdebce rodziców tyłu nie widział gości; było ich razem dziewięcioro. Ojciec chrzestny przyniósł z sobą skrzypce i wygrywał na nich różne tańce i opowiadał bajeczkę o żonie jąkale i o piszczącym mężu, a umiał to wszystko doskonale naśladować na skrzypcach. Tak na śmiechach i śpiewie wieczór przeszedł arcy wesoło.

Nazajutrz dzień był tym smutniejszy, a najsmutniejszy był ten, w którym ojciec wybierał się do Odensee. Marya z Krystianem odwieźli go do pobliskiego Kwerndrup, kiedy zaś stamtąd powóz ruszył dalej, oboje stanęli na wysokiej kamiennej ławce przed kościołem, żeby jeszcze, jak można najdłużej widzieć ojca, który chustką wysoko powiewał w powietrzu. Wnet atoli droga poszła w bok, a kiedy nic już nie było widać, Marya głowę oparła o mur kościelny i rozplakała się. Potem cicho przechadzała się między grobami, układała porozrzucane wieńce i tu i owdzie porządkowała murawy.

— Jakże tym dobrze, co śpią tutaj! — rzekła. — Ciężka to jednak droga, nim się do nich zajdzie!

Naokoło kościoła na zielonym cmentarzu stoi wieniec wysokich, starych drzew; na każdym z nich proboszcz kazał poprzybijać małe tabliczki z pobożnymi napisami ku zbudowaniu i pociesze przechodniów.

— To nie są drukowane litery! — rzekła Marya, — bo inaczej potrafiłabym je przeczytać. A ty czy potrafisz, moje dziecko?

Krystian odczytał pobożne wyrazy, a jej się wydawało, jak gdyby każde drzewo na małej tabliczce mieściło całe kazanie pociechy.

— Pan Bóg wszystko może naprawić! — rzekła. — Gdybym tylko wiedziała, co się stanie później! — I poszła do wioski, do ostatniego w niej domku, gdzie piekarnia jak kopuła sterczała w górę drogi. Kopyta końskie na progu i kawał stali na oknie dowodziły jasno, że złych duchów tu sobie nie życzą. Był to domek mądrej kobiety.

Przystawiono do ognia kawę, a z filiżanki Maryi wyczytała prorokini nadzieję i obawę; jednakże przeważała nadzieja, ta sama, która skrzydłami swymi przegradza kajdany niewolnika od wychudłych jego członków, która łaskę zapisuje na spadającym mieczu kata, której miękki język śpiewa tak słodkie, choć zdradliwe pieśni. Marya mogła mieć nadzieję.

Ze wszystkich listów, jakie odbierała, sphywał na nią balsam pociechy. Czas uciekał. — Na przyszły tydzień przyjedzie! — opowiadała przyjaciółom i sąsiadom: — od dziś już tylko za sześć dni! — i właśnie przybył tegoż samego dnia, więc dopiero była niespodzianka i radość. Biedny Krystian leżał chory, — źródło nie wyleczyło jeszcze jego cierpienia. Ale ojciec powrócił do domu, więc Marya nie posiadała się z wesołości, choć nie na długo, bo radość zamieniła się w smutek, a smutek w lzy. Jedną tylko noc miał u nich zabawić; jako łaskę pozwolono mu odwiedzić rodzinę na czterdzieści osiem godzin. Pułk miał wyruszyć w drogę do Holsztynu, gdzie miał zejść się z armią francuzką; wojska niemieckie z posiłkami szwedzkimi zagrażały granicy.

— Nie smuć się, Maryo! Doczekasz się ze mnie chwały! a jeśli dużo nazbieram zdobyczy, o tobie nie zapomnę! Zobaczysz że jeszcze będziemy bogaci! Tylko nie płacz! inaczej już być nie może. Dziś wieczór dobrze się zabawim, potem się prześpię parę godzin,

a później do Odensee. Mnie droga więcej nie zmęczyła, jak gdybym się przeszedł spacerem ćwierć mili za miasto! Aż serce mi się ściska, gdy patrzę na ciebie we łzach i na biednego, chorego Krystiana! Czyliż ten ostatni wieczór tak smutny ma pozostać w mej pamięci!

— Nie! — rzekła Marya, — tak nie będzie! — i ostatnie łzy zgmiotła ciemnymi rzęsami. Nakryto do stołu i przyszedł chrzestny ojciec, który wychwalał życie żołnierskie, mówiąc, że bardzo być może, iż sam się do niego zapisze, ani się nikt tego nie spodzieje. Biedny chłopiec w cierpieniach leżał w łóżeczku; zasnął, kiedy go pocałunek ojca zbudził nad ranem; wzrok ich spotkał się, gorąca łza spadła na usta dziecka i ojciec wybiegł z izby. Marya poszła za nim.

Przez całą resztę dnia siedziała zamyślona i spokojna. — Straciłeś swego ojca! — to były jedyne słowa, które wymówiła.

Korpus duński złożony z 10,000 ludzi miał połączyć się z armią francuską pod dowództwem marszałka Davoust; droga szła do Holsztynu i Meklemburgu. Naprzód! zagrzmiały bębny i wojsko poszło za nimi; lecz szybciej od niej pociągnęły nad ich głowami ptaki wędrownie, które w ciepłych dniach lata przeczynały już zimową śmierć północy.

— Ot i bociany! — zawołał krawiec, — ale latoś polecę z wami! — i patrzył za nimi, kiedy one, jak rój komarów, nikły w niebieskim powietrzu.

Nad granicą duńską stały wojska nieprzyjacielskie; synowie stepów w jaskrawych kaptanach z założonymi lancami przebiegali pola Danii; bożek wojny, którego współcześni zwali Napoleonem, sam jeden walczył przeciw rycerzom wszystkich krajów. Był to wielki turniej, ostatnia jego zabawa rycerska; dlatego też walczył sam jeden; drobna Dania była jego giermkim: wierne, pełne poświęceń serce, ale siła nie wyrównywała woli.

Dnie i tygodnie mijały w niepewności i oczekiwaniu dla pozostałych w kraju rodzin; kilka szlachytnych potyczek zaszło w Meklemburskiem; gdzie indziej w Niemczech Francuzi doznawali klęski, jakoż Davoust zmuszony był cofać się przed Bernadottem, dowódcą armii północno-niemieckiej. Bezustanne to były marsze tam i na powrót, bójki forpocztów i niepewność dnia następnego. Korpus duński pod księciem Fryderykiem Hesskim podzielony był na trzy brygady; z tych jedną dowodził generał Lallemand, który obsadził Lubekę, tamte zaś cofnęły się do Oldeslohe, gdy tymczasem część armii północno-niemieckiej z posiłkami szwedzkimi ścigała korpus duński.

Gdzież był ojciec Krystiana, którego tęsknota za Górą Wenery znęciła do opuszczenia cichej strzechy domowej? Czy widziałeś kiedy kolumnę żołnierzy, posuwającą się przez pola? czy widziałeś ją, gdy hasłem jej jest *Śmierć!* Jak ogromny krokodyl z świecąca, pstrokatą skórą mundurów i bagnetów, rozciąga ona straszliwe swoje cielsko. Huk armat jest głosem olbrzyma, dym z prochu jego oddechem. Nie widzisz pojedynczych łusek, które w walce spadają z ogromnego ciała, a przecież każda łuska jest życiem człowieka. Całe, wielkie ciało musi się rozpaść, wówczas dopiero cios śmiertelny staje się widzialnym i tak jak rozsiekane cząstki owadu, w drżącej ucieczce tułają się po polach.

Marya za bardzo grubą opłatą pocztową odebrała duży, zapieczętowany list, zapisany na wszystkie cztery strony, który brzmiał jak następuje:

„Moja kochana pani!

„Nie smuć się pani po przeczytaniu mego listu, chociaż powodu do smutku ci nie zbraknie. Byliśmy w Lubecie; generał chciał oszczędzić miasto i dlatego przez Segeberg udał się do Bornhöved. Trzeba pani wiedzieć, że grunt między tymi wioskami jest gołym stepem. Deszcz padał przez dni kilka, drogi były nędzne, dwa kroki naprzód a jeden w tył; siły nasze słabły coraz więcej. Tuż za nami była konnica szwedzka, silniejsza od nas, jednak kończyło się zawsze na nic nieznaczących szarmicłach. Jeszcze niech się pani nie smuci, bo rzecz najsmutniejsza będzie dopiero później, na drugiej stronie listu. Wprawdzie mógłbym tak samo teraz powiedzieć, o co idzie; ale na takie wiadomości zawsze mamy dość czasu. Po południu zbliżyliśmy się do Bornhöved; tu step się kończy, a zaczyna grunt bardziej przerywany; byliśmy więc w większym bezpieczeństwie przed konnicą nieprzyjaciół. Teraz trzeba pani wiedzieć, że książę Heski kazał obsadzić Bornhöved i na nasze przyjęcie wymaszerował z tamtymi dwiema brygadami duńskimi. Ułani

polscy, których tu nazywają lancenierami, zamykali nasz pochód. Otóż żeby wstrzymać nieprzyjaciela podczas przejścia brygady, księżę na trakcie do wsi ustawił dwie armaty, a przy niej batalion strzelców celnych; między nimi zaś był mój przyjaciel, a jej mąż, dla którego właśnie piszę cały ten list, jak się pani zapewne domyślasz. Tylko niech się pani nie przelęknie; dziś mnie, jutro tobie! Naprzeciw nas wystąpiła kawaleria szwedzka; nasze bataliony stały po obu stronach w zwartych kolumnach dywizyjnych. Jeden z nich chciał uformować czworobok, ale jazda nieprzyjacielska już nas ominęła i przypuściła atak do Bornhöved. Druga połowa stała naprzeciw nas; w szeregi nasze wkraść się nieporządek, a gdyby nieprzyjaciel z tego korzystał, toby mogło być całkiem po nas; tylko na szczęście, że tego nie uczynił. Kochana pani, list ten jest bardzo długi, ale trzeba pani wiedzieć wszystkie okoliczności i dlatego wypisuję większą część z mojego raportu, żebyś pani okoliczności te dokładnie poznała. Uformowaliśmy batalion, ale, jak już powiedziałem, część konnicy nieprzyjacielskiej zapędziła się do Bornhöved, ułani polscy puścili się za nią, lecz w pogoni zatrzymała ich najprzód jazda holsztyńska, potem znów nasza piechota. Artyllerya na czele do reszty zatarasowała nam drogę i teraz powstał okropny ścisk i tłok, tak, że przeszło stu ludzi dostało się pod nogi ludzkie i pod kopyta końskie, żeby już nigdy spod nich nie powstać. Tłok ten był przyczyną, że bitwa żadna miejsca mieć nie mogła. Nieprzyjaciel ściśnięty został z obu stron, jakby w silne kluby. Tymczasem piechota duńska strzelała, jak mogła najlepiej; Szwedzi musieli się cofnąć na trakt, gdzie stały nasze bataliony, więc pędzili wzdłuż rowów, poschylali się na karki swych koni, chociaż w takim przejeździe ubito ich jeszcze przeszło dwustu. Assekuracja dwóch armat broniła się mężnie i do ostatniego strzelała kartaczami, ale jeden tylko spomiędzy nich, pan porucznik, został przy życiu. I tak więc pani jesteś wdową. Oto mój smutny list.

— Z uszanowaniem,  
przyjaciel,

Jordsach, *sierżant.*”

## X

*Śmierć!* Jakiż świat bólu spoczywa w tym jednym, drobnym wyrazie. Jest to miecz obojętny, który ścinając to co jest drogim sercu naszemu, wpada do własnej piersi, że aż ściemnia się przed oczami, chociaż słońce oświeca miliony szczęśliwych. Jeden tylko wyraz, krótszy jeszcze od tamtego, wspiera nas i może natchnąć pociechą, jeden ten wyraz: *Bóg!*

— Tak, byłam na to przygotowaną, — rzekła Marya, ale nie była przygotowaną. Smętne, przykre przejście z jesieni do zimy, jak dom żałobny, tym bardziej rozżalało niešťczęśliwą. Powietrze było szare, deszcz z śniegiem napełniał błotne ulice. Ciemno było na dworze i ciemno w najwewnętrzniejszych jej myślach.

— Nie płacz! — mówił Krystian, — bo i ty zachorujesz i także mnie opuścisz! Toć ty umiesz pracć i prasować, ja umiem grać na skrzypcach; będziemy więc zarabiali na życie i niepotrzebnie już się troszczysz!

— Ty anielskie dziecko! — odpowiedziała Marya, — niech ucałuję twoje oczki i słodką buzię! Tak jest, dla ciebie będę żyła, bo i cóż by się stało z tobą?

Nigdy Boże Narodzenie nie zbliżało się do nich tak cicho i tak smutno, jak tej zimy!

— Poczywi to jednak, ten gospodarz z Örebäk! Przysłał na wilię piękną gęś, chleba i masła<sup>12</sup>. Miałby jeszcze na mnie jakie zamiary? Nie, tego kroku nigdy już nie zrobię! Zaproszę tu na wilię twojego ojca chrzestnego, chociaż go nie lubię! lecz czynię to dla ciebie! Może cię czym obmyśli, gdy podrośniesz!

Stół był nakryty. Serce Krystiana pełne było radości kolendowej. Marya wydobyla z komody psalmy.

<sup>12</sup>Przysłał na wilię piękną gęś... — w Danii jak w Anglii, w każdym najbiedniejszym niemal gospodarstwie, gęś pieczona również jest obowiązkową w Wigilię Bożego Narodzenia, jak u nas rybne potrawy. [przypis tłumacza]

— Wy umiecie śpiewać! — rzekła do ojca chrzestnego. — Zaczynajcie!

— Ja psalmów nie umiem! — odpowiedział. — Jeżeli się ta książka ma nam na co przydać, to lepiej roztwórzmy ją na traf szczęścia i zobaczmy, jakie nas czekają losy. Cóż bo jest w tym prorocztwie! To co się stanie, zapisano jest w tej wielkiej księdze, tak samo jak zapisano w naszej krwi i duszy!

Maryja roztworzyła książkę.

— Psalm weselny! — rzekła, — doprawdy, że to się jakoś nie zgadza. Ja już w życiu moim nie pójdę za męż! żebym tylko chłopca widziała silnym i zdrowym i z jakim takim utrzymaniem na całe życie!

— To zależy od jego gwiazdy! — odpowiedział chrzestny. — *Cóż* wprawdzie możemy zrobić, ale nigdy *wiele!* Jeżeli tkwi w nim, żeby kradł, żeby był kobieciarzem, to już mu na to nikt nie poradzi! Może się wychować między najpocziwszymi ludźmi, można wpoić w niego najlepsze myśli; jeżeli złe już raz w nim siedzi, to koniecznie wylezie na wierzch! Można je wprawdzie przytłumić, ale gdy dojdzie do lat, wtedy wybuchnie z niego z tym gwałtowniejszą siłą! Już to w każdym z nas tkwi dzikie zwierzę, w jednym wilk drapieżny, w drugim wąż, który umie czołgać się na brzuchu i zlizywać pył z ziemi. Zwierzę w każdym z nas siedzi; idzie tylko o to, czy ono, czy my największą mić będziemy siłę, a siły nikt z nas nie ma z siebie.

— Niech nas Pan Bóg wybawi od władzy złego! — rzekła Maryja i spojrzała przed siebie. Rzekłby kto, że ten zły duch, którego się boi, siedzi przy jej stole. Usłyszane wyrazy, były dla niej jakby postacią upioru, będącego z przodu świetną pięknnością, a z tyłu czczym i pustym, jako oznaka świata, do którego należy.

— Dużo czytałem książek, — rzekł ojciec chrzestny, — i czytałem wiele o obcych narodach. Dziwni tedy są ludzie na świecie! Co my u siebie nazywamy grzechem, to inni zwą sprawiedliwością. Dzikie pożera swoich nieprzyjaciół, a kapłan jego mówi: teraz prosto dostaniesz się do nieba! Turek ma dużo żon, a bóg jego więcej jeszcze obiecuje mu ich w raju. Wszystko zależy od zwyczaju, a któż nas zapewni, że my właśnie idziemy za najlepszym, bo robimy tak, jak robią inni? Kto wie, czy zwierzę w nas nie ma większej słuszności od człowieka, który się trzyma swoich prawideł szkolnych! Czy nie prawda?

— Ach, zapewne! — rzekła Maryja, — ale aż straszno o tym pomyśleć! — Zatrwożona schowała znowu księgę z psalmami, dała jedzenie na stół i rozpoczęła inną rozmowę: — Żeby tylko mój mały Krystian przyszedł do siebie! Wiem ja wprawdzie środek, o którym mówiło mi już kilka osób, ale ten środek zanadto okropny! pić ciepłą krew — !

— Nie gadajcie o tym! — zawołał chrzestny. Mnie to już jakoś wrodzone, iż nie mogę ścierpieć, żebym popatrzał na to, jak biednemu kurczęciu podryniają gardło! Znam ja niewinniejszy środek, sympatyczny, jak go nazywają, i właśnie trzeba go użyć w taką świętą Wilię Bożego Narodzenia. Ja powiem kilka słów tajemniczych, a on zimnej jak lód wody napije się z mojej ręki.

— Jezu Chryste! — przerwała Maryja i odsunęła raptem krzesło, na którym siedziała, — czyście byli na wojnie? czyście zabili człowieka?

Twarz ojca chrzestnego zbladła jak chusta.

— Cóż znowu gadacie? — zapytał, spoglądając na nią spod oka.

— O Boże! ja nic nie gadam! — rzekła Maryja. — Toć tyle jest dziwnych środków, które nam dał Pan Bóg, a może też kto inny! Ale to coście powiedzieli, przypomniało mi szwedzkiego szypra, który zeszłego lata stał tu pod naszym mostem. Mówiłam z nim o chorobie syna i jakie też na nią mogą być lekarstwa; wspomniałam o tym, co tu u nas wiedzą wszyscy, że podobno najskuteczniejsze, wyżebrać sobie garnek i w niego na rusztowaniu nazbierać krwi świętego zbrodniarza, której się chory potem powinien napić; ale szyper zapewniał, że w Skonii wierzą to samo, tylko wierzą także, że jeśli ma pomóc dziecku, wówczas dosyć dać mu się napić zimnej wody z gołej ręki takiego człowieka, który przelał krew ludzką, a skutek nastąpi niezawodny. Radził mi także, iżbym w tym celu poszła do żołnierza, co był na wojnie, albo też do Mistrza; — taka więc rada i to, coście wy mnie dopiero powiedzieli —

— Jakoś wychodzi na jedno! — przerwał chrzestny. — Ani słowa! Ale cóż byście powiedzieli, gdybym wam dał garść nasienia najpiękniejszych kwiatów, a wy byście wzięli je, lecz zostawili w skrzyni, dopóki by nie straciło całej swojej mocy; nie byłoby to tak



samo, jak gdybyście zniszczyli cały rząd zagonów kwiatowych? U nas w Norwegii opowiadają historię o dziewczynie, która miała wstręt do macierzyństwa, i dlatego w dzień ślubu z wieniec mirtowym na głowie, poszła do młyna, gdzie mieszkała czarownica, prosząc ją o środek, żeby nigdy nie porodziła żadnego potomstwa. Więc czarownica dała jej dwanaście ziarenek, które miała wrzucić do stawu; uczyniła to wprawdzie, nie myśląc przy tym nic złego, lecz za każdym ziarnkiem, które wpadło w wodę, dziwny jakiś dźwięk się słyszeć odgłos, jakby westchnienie; było to pękające serce dziecięcia. Została żoną, bezdzietną żoną i dopiero gdy była już staruszką srebrnowłosą, ogarnęła ją nieznana jakaś bojaźń. Ręka jej była czystą od krwi, a jednak była zabójczynią i w duszy cierpiała jak morderca. Wówczas o północy weszła do kościoła, żeby przebłagać Boga za swą winę, i ujrzała na górze przy ołtarzu stojących dwunastu swoich niepowitych synów, a za nimi ich niezrodzone dzieci, całe pokolenie, napelniające wszystkie miejsca kościoła; uklękła więc i modliła się, ona, samowolna zabójczyni całego pokolenia<sup>13</sup>! Czy rozumiecie tę historię? Takich zabójców wielu jest na świecie, zabójców pokoleń niezrodzonych, takim i ja jestem, takim pozostanę, bo we krwi mam jakąś odrazę, żebym miał mężem być kobiety! Niech tylko chłopiec pije z mojej ręki! chociaż krwi na niej nie widać, jednak krew jej się trzyma! — I wstrzymał oddech, żeby głęboko nie westchnąć.

— Pewnieście chorzy! — rzekła Marya i lekliwie spojrzała na niego.

— Nigdy już twojego ojca chrzestnego nie zaproszę! — powiedziała do malca, gdy gość odszedł i udawali się na spoczynek. — Mnie się wydało, jak gdyby zły duch był u nas w stancji! złóż ręce i zmów modlitwę wieczorną! Jeszcze cię innej nauczę, którą pamiętam z dawnego kancjonału!

Stare przysłowie niesie: „Gdy dnia przybywa, większy mróz się zrywa.” Tak i teraz nowy rok dużo sprowadził dni niezmiernie zimnych i ciemnych, a szyby w oknach rzadko kiedy bywały przezrocyste.

— Teraz droga równiuteńka jak posadzka, tak ją mróz paradnie wygładził! — mówił gospodarz z Örebäk, odwiedzając jednego dnia Maryą. — Powinniście się nieco rozweselić! Przyjedźcież do mnie i chłopca zabierzcie z sobą. Czekam waszego przyjazdu furmanką!

— Chętnie chłopcu zrobię tę przyjemność, — rzekła. — Dla niego też chyba tylko mogłaby kiedyś zrobić takie głupstwo i raz jeszcze pójść za męża, chociaż niezawodnie tego nigdy nie uczyni; a jednak jeszcze w następnym roku młoda trawka nie wypuściła kielków z ziemi, kiedy już się wahała pomiędzy przyjęciem a odmową.

— Dalibóg, chyba bym to zrobiła dla ciebie, drogi chłopcze! — mówiła Marya. Krystian płakał; nowy ojciec wcale jakoś nie był łagodny ni wesoły. Gniewał się na jego grę na skrzypcach i nazywał ją nudnym rzepoleniem.

— Maryo! dobrze wiesz, że zawsze ciebie lubiłem! Tyś jednak wzięła innego, i ja uczyniłem tak samo; teraz oboje jesteśmy wolni i swobodni, a mnie w domu potrzeba żony, matki dla mego syna. Wprawdzie mógłbym wziąć Annę, wdowę po ptaszniku, przystojną jak wiesz kobietę, która ma dwoje dzieci, a za każde z nich przez dziesięć lat pobierać będzie po dziesięć talarów rocznie; jest to niezły kapitalik, który by naprawdę mógł naprowadzić na nią szczerą chęć. Ty przeciwnie nic nie masz, tylko jeszcze w dodatku chłopca, ale ja ciebie lubię, i jeżeli tak zechcesz jak ja proszę, to na przyszłą zaraz Niedzielę dam na zapowiedzi!

Podawała mu rękę.

— Tak jest, to tylko dla ciebie, moje dziecko! — powtórzyła, a zielone łąki, dwór i krowki tańczyły wesoło przed oczami jej duszy, co przez cały rok płakały po mężu, który obczyzną lepiej kochał od stron rodzinnych, a nawet od niej samej.

Im lży gorętsze, tym prędzej wysychają. Kwefy wdowie zamieniają się w welony ślubne, dlatego też wieniec z kwiatów spoczywa nie tylko na czole narzeczonych, ale także na skroniach umarłych. Tak jest, wieniec ten sam uśmiecha się w trumnie, a odmianą

<sup>13</sup>*Jakoś wychodzi na jedno!*... — oto koniec tego podania: Ksiądz, rozgniewany grzechem kobiety, przeklnął ją i powiedział: Nie dam ci rozgrzeszenia i Pan Bóg ci nie przebaczy; prędzej róże wyrosną z naszej posadzki kamiennej! — Tej samej nocy, w której miała to widzenie w kościele, księdzu śniło się toż samo, a gdy się przebudził, posadzka była pęknięta i z szpar wyrosło dwanaście prześlicznych róż; byli to jej niepowici synowie. — Teraz nasza matka zbawiona! — zawołał ksiądz i pobiegł do kościoła, gdzie ją zastał nieżywą przed ołtarzem. [przypis autorski]

swych kolorów mówi do umarłego: Zapomną o żalu i o tobie, zapomną jak o powieści, która przed chwilą lży im wyciskała. Tak jest, te uśmiechnięte kwiaty są powieścią dla umarłego, dopóki same nie zwiędną i w pył się nie obrócą, a wtedy znów kościotrup wyśmiewa je w trumnie, że i one na zawsze tak zamilkły.

— Więc teraz już po skrzypcach, — rzekł chrzestny. — Ja inaczej myślałem, ale cóż może przewidzieć człowiek? Teraz będziesz miał w ręku pług, nie skrzypce! Pójdiesz nową drogą, albo bezdrożem! bo i to trudno przewidzieć. Zresztą stare skrzypce daruję ci, jako też małą książkę z nutami, w których są tańce. Już to ten sam koniec przyjdzie także na piękną książkę z obrazkami, którą zawsze tak lubiłeś. Bierz ją sobie! Ja ciebie Kocham i ty mnie także, wszak prawda? tylko nie płacz, Kochane dziecko! daj mi buzi! dobrze, jeszcze raz! Uściskaj mnie! Czy nigdy tego nie zapomnisz, co ci powiem? W młodości bądź wesół i używaj, żebyś już wszystkiego miał dosyć, skoro będziesz starszy. Grzechy młodości ludzie przebaczą, ale dojrzałych ludzi sądzą tym surowiej. Chwytaj rozkosze, gdzie je znajdziesz, żebyś na starość nie potrzebował na to płakać, iż nie masz żadnych grzechów, bo grzechy potrzebne, jak sól kuchenna w jadle. Lepiej zresztą, żebyś życia użył za wiele, jak gdybyś później w samotności miał wdychać, żeś go nie używał, póki jeszcze czas był po temu. Oto co ci zapisuję w twoim imionniku! Bóg czy diabeł, w czyimkolwiek pułku będziesz służył, niechaj łaskawym dla ciebie będzie panem! — I podał Krystianowi skrzypce i książki.

Takie były ostatnie odwiedziny w Wąwozie.

## XI

Dzień przed ślubem prawdziwym jest dniem męczarni dla panny młodej na wsi; męczą się nad jej strojem, bo po raz pierwszy w życiu, a może i po raz ostatni, ma się ukazać w gołej głowie. Więc włosy jej myją ługiem, z czego nabierają twardości i sztywności, tak, iż jeszcze trudniejsze są do czesania niż zwykle, jakoż częstokroć panny młode mdleją na dobre podczas takiego przystrojania. Wprawdzie Marya nie była na to wystawiona: — bo, jak się wyrażał ktoś z przypatrujących się pochodowi do kościoła, włosy jej były jak jedwab; zaś to, iż jako wdowa nie chciała wystąpić w czepku, tylko w gołej głowie, zdaniem tych widzów dowodziło próżnej pychy. W istocie wszyscy krewni pana młodego niechętnym okiem spoglądali na nią, boć Marya prócz syna wyrostka, na owinięcie palca nie wносиła nic do domu.

Łuk tryumfalny wystawiony był na drodze; bramy przez które przejeżdżali, przystrojone były w zielone gałęzie, a przed młodą parą druźbowie tam i na powrót galopowali na dzielnych, choć przy ciężkich szkapach. Na samym czele jechała panna młoda ze swymi druhami, których ogromne bukiety sterczały z wozów jakby łaski marszałkowskie; w nich jaśniały małe dzwoneczki i lusterka; nic pysniejszego nie widziano jeszcze nigdy. Trąby i skrzypce grmiały, że aż słycać je było w kościele, gdzie przygłuszały nawet organy. Druhny niemało chwały zdobyły w kruchcie, którą przystroili w gałęzie i różne takie rzeczy „co się świecą”, jak mówią chłopci: obrazek za cztery szylingi wyobrażający króla na koniu, kolorowa etykieta apteczna z flaszka, na której jeszcze czytelny był napis: „za sześć szylingów kropli jałowcowych”, stara mufka z czerwonej materii jedwabnej i dużo innych ślicznych rzeczy wisiało między zielonymi liśćmi i wieńcami z kwiatów. Każde chłopskie wesele w Danii, jeżeli ma być świetne co się zowie, przystroić się musi w takie dziecinne świecidelka.

Pomiędzy zaproszonymi kobietami, które w kościele siedziały w pierwszych ławkach, są dwie dobrze nam znajome od źródła, matka i babka wraz z młodą, zajmującą Łucją. W niebieskich jej i wyrazistych oczach żadnego już nie było śladu obłąkania; siedziała spokojnie i nabożnie jak wszyscy. Tak samo jak burza w owej nocy, uspokoiła się także walka jej duszy. Krystian, który siedział na stronie mężczyzn<sup>14</sup>, poznał ją natychmiast; ona przeciwnie patrzyła nań jak na obcego i głośno śpiewała święte psalmy.

Młoda para przystąpiła do ołtarza; orszak ślubny stanął pod chórem. Dwie kobiety szeptały między sobą:

<sup>14</sup>...siedział na stronie mężczyzn... — w Danii we wszystkich kościołach, tak samo jak u nas w niektórych, ławki kobiet znajdują się po jednej stronie nawy, a przeznaczone dla mężczyzn po drugiej. [przypis tłumacza]

— Uważaj teraz na pannę młodą i na pana młodego; które z nich pierwsze się ruszy, pierwsze umrze!

— Ha, toć ona się ruszyła!

— Ale się to nie zgadza z drugą wróżbą! — rzekła młodsza. — A ja w tamtą więcej jakoś wierzę! to bo nigdy nie chybi! Z imienia pana młodego i panny młodej przekonać się można, które z nich umrze pierwsze. Wszystkie litery obu imion trzeba zliczyć razem, a potem się mówi: Adam umrze! Ewa umrze! to wszystko jedno, jak gdyby się powiedziało: on umrze! ona umrze! a czyje wypadnie na ostatku, ten umrze prędzej od tamtego. Ale prawda, toć i to się zgadza, bo ona się nazywa Marya, to jest pięć liter, pisząc tylko przez jedno *r*, a on nazywa się Jakub, także pięć liter, więc razem liter dziesięć, a zatem przy liczbie parzystej zawsze wypadnie na to, że Ewa umrze pierwsza!

— Ależ on się nie nazywa Jakub, jeno Kuba! — rzekła młodsza kobieta.

— A na chrzcie świętym jakie mu dali imię? — zapytała druga. — Jeżeli się nazywa Kuba, to on umrze pierwszy, ale jeżeli Jakub, ona umrze przed nim, i w takim razie dobrze wypada, że ona pierwsza się ruszyła!

Taką rozmowę przerwała mała tuż obok sprzeczka, która jakkolwiek nie nadto głośna, jednak im przeszkodziła w nabożeństwie. Syn pana młodego, Niels, chłopak dwunastoletni, z twarzą przyplaszczoną i złośliwą, niezbyt delikatnie nowego brata Krystiana odtrącił na bok, żeby samemu stanąć na przodzie, na co się ten ostatni skrzywił i odfuknął. Kobiety przykazały im spokojność, a Krystian zażenowany spuścił oczy i spojrzął na swoje białe pończochy; ale w tej samej chwili Niels zawałał je zaszukowanym trzewikiem. Krystianowi łzy stanęły w oczach, a Łucja karcącym wzrokiem spojrzała na Nielsa.

Ślub się skończył, a trąby przed kościołem zagrzmiały jak melodie dnia sądnego. Pan młody jak najspieszniej odjechał, by żonę swą przyjąć w nowym domu; w sieni stali muzycanci, a za nimi nowożeńcy obok stolika z cynowym talerzem, na który każdy z gości kładł swój podarek ślubny. Ile razy który z przechodniów miał położyć większy jaki pieniąż papierowy, nie zaniedbywał rozwijać go starannie; bo obdarowany z obowiązku takim samym odpłacić się musi prezentem, jeżeli później przypadnie wesele dawcy lub którego z członków jego rodziny. Dano jedzenie na stół, odśpiewano pieśń godową, a druźbowie nowozamężną poprowadzili do tańca panu młodemu.

Łucja, która była nieco starsza od Krystiana, z nim jednym się tylko zadawała; tańczyli i przechadzali się z sobą: nazywano ją piękną bakalarką.

Nazajutrz<sup>15</sup> oboje siedzieli w ogrodzie, gdzie kwitły pełne goździki, a ona mu opowiadała o wujecznym swoim dziadku, Piotrze Wik, którego zwała także wujem i który posiadał śliczny okręt, ochrzczony własnym jej imieniem Łucji, odbywający podróże do Niemiec i do Kopenhagi. — Ach! jakże ten wujo dobry i żartobliwy; zwykle raz na rok, kiedy okręt jego staje pod Swendborgiem, odwiedza swoich krewnych. On to podarował jej książkę o łagodnej Helenie, o której powiedziano na tytule, że bardzo jest wesoła, ale też bardzo smutna do czytania. Wówczas i Krystian przyniósł swoją książkę o zwierzętach, co mu ją podarował ojciec chrzestny i oglądali wszystkie drzeworyty, a Łucja czytała napisy i dopiero tłumaczyli sobie, jakim sposobem lis oszukuje niedźwiedzia i inne mniej przebiegłe zwierzęta.

Kiedy tak siedzieli w najlepsze, nadszedł Niels, po cichu zakradł się z tyłu i jednym kopnięciem nogi wyrzucił im książkę z ręki, że poleciała daleko między krzaki. Krystian płakał, ale Łucja łajała Nielsa mówiąc, że on tak samo jak lis w książce paskudnym jest zwierzęciem.

Chłopiec spojrzął na nią głupowatym okiem i zawołał: Wariatka! Rumiane policzki dziewczęcia zbladły, — słowo to gorzko ją dotknęło, bo przypominało stan nieszczęśliwy, w którym niegdyś zostawała, a z którego obecnie już była wyleczoną. Z wyrazem rzewnej boleści spojrzała na niego i weszła do godowego domu, gdzie wszystko tchnęło wesołością.

Trzeciego dnia Łucja tańczyła z Krystianem, a Niels należał do figury. Słońce bo nie zachodzi nad gniewem dziełek. Druźbowie żegnali gości ze zwykłą formułką: — Jutro nie będzie tu już żadnej zabawy!

<sup>15</sup>Nazajutrz... — w Danii i w księstwie Szlezwickiem obchody weselne u zamożniejszych włościan trwały zawsze trzy doby. [przypis tłumacza]

Dla nikogo w tych wyrazach nie było tyle proroczej prawdy, co dla biednego Krystiana. Wprawdzie w pierwszych tygodniach nowy dom, ogród i pola stanowiły jakąś rozmaitość i zabawę, ale zawsze nie był to ten sam dom, co w Swendborgu. Ojczym nie lubił jego gry na skrzypcach, jakoż Marya instrument zawiesiła wysoko nad drzwiami, skąd nie tak łatwo było go zdejmować. Niels ze swojej strony wyśmiewał mieszcza, który się bał bydła, krowę brał za wołu i nie umiał wysiedzieć nawet na cierplivej szkapie mleczarskiej, kiedy ją miano pławić w stawie. Z szyderczą miną opowiadał to ojcu i parobkom, a ich śmiechy boleśnie dotykały malca. Jedyną rzeczą, w której się poniekąd zgadzały usposobienia obu chłopców, było upodobanie w obrazkach. Zwierzęta ciekawiły Nielsa, choć za wielką w nich uważał wadę, że były tylko czarne i białe. Nie przez złośliwość tedy, lecz jedynie w najlepszej myśli, pewnego dnia gdy Krystan był na dworze, zabrał mu książkę, przekonany, że robi coś wielce pożytecznego i wszystkie drzeworyty pomazał najjaskrawszymi czerwonymi i żółtymi farbami. Toć w oczach ojca i parobków uchodził za szczególnie zdolnego do rysunku; na wszystkich drzwiach i bramach stały jego obrazy ludzi i zwierząt, co zaś największą tym utworom w oczach tej właśnie publiczności nadawało wartość, była owa płaska ordynaryjność, cechująca każdy taki rysunek. Drzeworytom za pomocą pojedynczych kresek i dodatków ten sam nadał charakter i sam śmiał się z takiej twórczości wrodzonego sobie talentu.

— Pójdź no, zobacz! — rzekł do wchodzącego Krystiana. — Teraz aż miło patrzeć!

— Całe obrazki popsuleś! — odpowiedział Krystian, a smutek i gniew pobudziły go do niezwyklej mu wcale gwałtowności; rzucił się na Nielsa, lecz ten w mgnieniu oka obalił go o ziemię.

— Obaj zasłużyliście na różgi! — zawołała Marya. — Nielsa bić nie będę, aleś ty mój własny, ciebie mam prawo walić! — i tak on jeden dostał za nich obu.

Ojciec także uważał, że teraz obrazki daleko piękniejsze, a na widok ordynaryjnych poprawek zawołał: — Widzicie hultaja! jaki zręczny!

Krystian zostawiony sobie samemu, samotny tułał się z kąta w kąt, a z każdym dniem stawał się cichszym i bardziej zamyślonym. Niekiedy wprawdzie bywał on jeszcze przedmiotem całej miłości swojej matki, zwłaszcza gdy doznawała jakiej przykrości, lub kiedy słyszała, iż familia jej męża źle mówi o niej za to, że nic nie wniosła do domu i do dworu; niekiedy wolno mu było wówczas zdejmować skrzypce z gwoźdźcia i zagrać różne sztuczki z nut, które podarował mu niegdyś ojciec chrzestny; nuty te były dlań skarbem, którego by nie oddał za wszystkie inne skarby świata, a jednak oddać musiał i te nuty.

Pewnego dnia wznosił się nad domem piękny latawiec, który Niels skleił ze starych gazet i z nut Krystiana, nie mających w jego oczach żadnej wartości. Latawiec wzleciał wysoko, chłopcy nie mogli go utrzymać, lot stawał się coraz silniejszy i poniósł go aż w bagna torfowe.

Zima nadeszła — i minęła. Nastalo lato; Krystian także miał zająć się czymkolwiek pożytecznym, kazano mu więc na przemiany z Nielsem paść gęsi na łące, gdzie strumyk płynie między jesionami; ale on rad przebywał w takiej samotności. Na dużym pniu starego drzewa, tuż przy małej zatoce, którą tu tworzy strumyk, w cieniu wysokiej leszczyny, siadywał tedy pogrążony w marzeniach i patrzył na obłoki odbijające się w zwierciadle wodnym. Tam na dole płynęły obrazy chmur, tam na dole latały ptaszki z rozpostartymi skrzydełkami, blisko tak samo głęboko, jak wysoko w teje chwili bujały nad falą. Drzewa wokoło ukazywały się z koronami spuszczonej na dół, własna jego postać zdawała się również przewrócić do góry nogami, tak iż teraz dopiero pojmował, jak świat wygląda na drugiej stronie ziemi. Gulki, które się tu i owdzie wzbijały na powierzchnię, nazywał swoimi gwiazdami wodnymi; sama płaszczyna była dlań oceanem, duże komary wodne, nad nią przelatujące, korsarzami. Jak one szybko płynęły! W porównaniu z nimi rośliny nadbrzeżne i kwiaty podwodne olbrzymich dochodziły rozmiarów, tak jak drzewa w krajach zwrotnikowych; bluszcz wodny uchodził za zieloną, pływającą wyspę, a jeśli raptem wyjrzała z głębi żaba i chwilę popłynęła na powierzchni, wyobrażał sobie, że to jaki potwór z *Tysiąca i jednej nocy!* Tam gdzie siedział, woda właśnie podchodziła pod drzewa między wystające korzenie; to też czarne te otwory jakoś tajemniczo wyglądały i straszno; żaden rybak, płynący pod skałami Kapryjskimi, nie mógłby okropniejszych mieć przywidzeń, jak on, kiedy zaglądał w te ciemne otwory, między korzeniami a murawą, które wisiały nad wodą nie dotykając jej. Niechby tylko uderzył kijkiem, a już by cały

ocean był w ruchu; widział długie jego bałwany, niby przyływ i odpływ morza, które zakrywały jaskinie nadbrzeżne. To co sam wiedział z opowiadań ojca i chrzestnego, jak mniemał, równie wiadomym być musiało dla wszystkich; wszyscy to samo co on, powinni widzieć w wodzie i w gałęziach, więc mówił z towarzyszami o tych swoich widzeniach, jakby o najmnieomylniejszej rzeczywistości. Oni wszelako nic nie rozumieli, choć słuchali go z ciekawością i zdziwieniem, bo nie wiedzieli, czy od nich naprawdę jest mędrszy, czy też może zupełnym wariatem.

— Tak jest, zwariował! — zawołał Niels, a te wyrazy stały się hasłem do opinii całej gromady. Wszyscy rzucili się na Krystiana; jeden z nich przywiązał mu z tyłu gałązkę brzoźową do kołnierza, inni obrzucali go piaskiem, a Niels świstał i krzyczał: — Niech żyje wariat Krystian!

Wówczas ogarnęła go rozpacz i jak spłoszona sarna w gwałtownej ucieczce pobiegł przez pola, ścigany przez wszystkich chłopców, którzy krzyżąc rzucali na niego stare czapki i łapcie. Dostawszy się do ogrodu, przelazł przez wał, chłopcy byli tuż za nim; krzyknął, a przed nim stała Marya, pod której opiekę wnet schronił się. Niels i jego towarzysze już stali na wale.

— Cóż się znowu stało? — zapytała. — Czy nie możesz się bawić z nimi? Będziesz ty zaraz grzeczny!

Weszła do domu; chłopcy wyśmiewali go, a on w milczeniu słuchał ich nielitościwych żartów.

Jednego dnia samotny znów siedział w polu i lyczkiem związywał kwiaty i liście, tak że wyglądały prawie na postacie ludzkie. Mały listek goździka był spodnicą damy, czerwone długie kwiaty wyobrażały jej ręce, dzika róża była twarzą; mężczyźni przeciwnie mieli nogi i ręce z trawki, a liście bluszczu były ich zielonymi kurtkami. Doprawdy, wyglądało to wszystko jakoś niezłe! Figurki te swoje ustawił wokoło pnia i potem z wewnętrznym zadowoleniem oglądał piękne towarzystwo.

W takiej zabawie przerwała mu mądra kobieta z Kwerndrup, jego lekarka i prorokini, która przyszedłszy tu dla poszukania różnych ziółek i najskuteczniejszych korzonków, przypatrywała się jego lalczkom.

— A to znowu co zrobiłeś? — zapytała. — Toż to istni ludzie! Aleś im jednak duszy dać nie umiał. Cóż im teraz powiesz na sądnym dniu, gdy cię oskarżą, że były tylko niezwyymi trupami? — Potrząsała głową i odeszła, lecz jej wyrazy: Będą się u ciebie dopominać o duszę! głęboko utkwily w jego wyobraźni.

Im dłużej patrzył na swoje figurki, tym go większa ogarniała obawa; nie śmiał ich zniszczyć, więc oderwał kawał murawy, wykopał dół, do którego je włożył, a potem przykrył znów murawą. Teraz już były pochowane. Ale śniły mu się jeszcze przez całą noc i zdawało mu się, że mali ludzie z kwiatów przychodzą do jego łóżka i tańcząc wkoło niego wołają: Czemu nie dałeś nam duszy? Sen jego wydawał się jemu rzeczywistością, choć nikomu nic o nim nie śmiał rozpowiedzieć. Nazajutrz poszedł w to samo miejsce, gdzie była murawa i uniósł ją do góry; pod nią leżały jeszcze te same kwiaty, tylko powiędłe i skurczone. Wyjął je tedy z grobu, wygładził jak można było najlepiej, złożył na dużym liściu leszczyny, odmówił nad nimi Ojcze nasz! i puścił na strumyk, boć przecież, skoro fala uniesie zielony statek zmarłych, już oni stamtąd nie wrócą i straszyc go nie będą!

## XII

Częstokroć bywa to winą wyłącznie otoczenia, że nie rozumie właściwości lub przeważających stron dobrych, które szlachetną i pięknie uposażoną duszę czynią przedmiotem lekceważenia lub szyderstwa: osioł zdeptyuje najpiękniejsze kwiaty, a człowiek serce swego brata.

Ty, który czytasz moją powieść o biednym Krystianie, byłeś ty kiedy zupełnie samotnym? Czy wiesz co to znaczy, nie mieć ani jednego serca, do którego byś mógł przyłgnąć zupełnie? Ani jednego przyjaciela, ani jednego brata, tylko samotność wśród największego tłumu! Otóż jeżeli znasz to wszystko, wówczas znasz także zarodek wkorzeniający się w duszy Krystiana, — wówczas wiesz, jak tą wonią goryczy starzeje się i dojrzewa rozum, a zarazem runy jej mądrości krwawymi rysami kreślą się w naszych sercach.

W skrzypcach spoczywała jedyna jeszcze pociecha dziecięcej wyobraźni, — ale skrzypce — mówił ojczym — robią go nieznośnym tetrykiem, — więc za kilka złotych sprzedano je muzykantowi z pobliskiego miasteczka.

— Już teraz nie będzie z nimi kłopotu! — rzekła Marya.

W milczeniu Krystian wyniósł się do stodoły i położył na sianie; płakał biedny, dopóki sen nie złożył na jego powiekach pocałunku pociechy, a śniły mu się dawne czasy, kiedy ojciec opowiadał o pięknych krajach, i chrzestny prorokował, że skrzypce staną się różą w jego ręku i uszczęśliwią go.

Rzeczywistość była zaprzeczeniem tego pięknego snu i wszystkich co po nim nastąpiły. Nadeszła jesień i jakoś przykro było i w domu i na dworze.

— Prawdziweto nieszczęście z tym chłopcem! — rzekła Marya. — Ma on to po ojcu! ależ nikt przecie nie powie, że go pieszczę! — Żeby być dobrą macochą, mniejszą okazywała miłość dla własnego dziecka.

— Czyż to nie straszne rzeczy — rzekł pewnego dnia mąż, wróciwszy z miasta, — Norwegczyk w Wąwozie, ten sam co bywał u twojego pierwszego męża, siedzi teraz w więzieniu. Przyznał się do okropnej zbrodni: przed wieloma laty, jeszcze w Norwegii, zabił podobno kobietę, a w Swendborgu także, jeśli pamiętasz Sarę, córkę żyda, matkę małej Naomi, czy jak się tam nazywa, co tak wysoko teraz stanęła na świecie, — toć i jej podobno przysłużył się, że poszła na tamten świat.

— Boże zmiłuj się! — zawołała Marya.

— Tak, tak, siedzi w kajdanach za kratą. Zresztą cały sposób wyjawienia tej zbrodni bardzo jest dziwny, a nawet cudowny, bo kiedy wpadł w ciężką chorobę, doktor oświadczył, że długo żyć nie będzie. Więc i on temu uwierzył, a chcąc ulżyć swemu sumieniu, wypowiedział się z grzechu. Otóż od tej chwili wielka w nim zaszła zmiana; powrócił wkrótce do zdrowia, i z łóżka poszedł do więzienia. Ułaskawienia nie ma się co spodziewać, bo on tak, jakby dwa razy był mordercą, a przy tym jeszcze był kontrabandzistą; dlatego też tak często jeździł do Thorseng.

— Ach tak! — westchnęła Marya, — zaraz można było po nim poznać, że zły duch w nim przesiaduje. Jeszcze mi straszno, gdy wspomnę, co wszystko opowiadał w wilię Bożego Narodzenia! Jego skrzypce miały głos Kaima, aż okropnie było słuchać! — Straszliwa ta wiadomość ciągle jej stawała przed oczyma; drżała na całym ciele.

Nakryto do wieczery, Niels przyszedł, ale Krystiana nie było ani śladu. Czekano na niego, szukano wszędzie, a nigdzie nie było go widać. Już dochodziła jedenasta.

— Już on nadejdzie, skoro będzie głodny! — rzekł ojczym.

— Jestem jego matką! — rzekła Marya, — i najlepiej wiem, jak jest bliskim mego serca. Znaleźć go muszę, ale na sucho tak się z nim nie skończy.

Nigdzie ani śladu Krystiana.

Zaraz po obiedzie usiadł był na ulubionym swoim miejscu nad strumykiem; wietrzyk przebiegał pole, promienie słońca były słabe i chłodne, dawno już wędrowne ptaki opuściły okolicę, — więc zdziwił się niemało, gdy blisko siebie ujrzał bociana marodera. Może gdzieś był w niewoli, gdy odlatywała cała gromada jego towarzyszy; może go później wypuszczono, a teraz jako samotny pielgrzym miał przed sobą daleką drogę przez powietrzne stepy, do dalekich krain południa.

Ptak skakał naokoło Krystiana, widocznie wcale się nie bał i patrzył na niego mądrymi oczyma. Wówczas chłopiec przypomniał sobie owe bociany, które gnieździły się nad domem żyda; zdawało się jemu, że to ten sam jest owdowiały samiec i wszystkie miłe wspomnienia dzieciństwa tłoczyły się do jego duszy. Stało mu w pamięci to wszystko, co ojciec opowiadał o tych tajemniczych ptakach; zbliżył się, ale bocian odleciał o kilka kroków. — O żebyto dostać skąd bocianich skrzydeł i polecieć wraz z nimi w obce kraje! — mawiał ojciec, i nigdy jeszcze ta sama tęsknota tak silnie nie ogarnęła malca, jak w tej chwili: — Gdybym tylko mógł wrócić do Swendborga, do mojego chrzestnego! — pomyślał i na wpół marząc poszedł przez łąkę i pole; wówczas i bocian wzniósł się pysznym lotem i poleciał ponad lasami, a Krystian uradowany jak rzadko, powędrował dalej, ku głównemu traktowi prowadzącemu do Swendborga.

Dopiero gdy zapadł zmrok, gdy pojawił się głód, myśli jego zwróciły się ku domowi i przeląkł się, że tak bardzo odeń się oddalił, że nawet gęsi zostawił w polu bez opieki. Już teraz nimby wrócił, byłoby późno, — a co powiedzą rodzice? Stała; bocian to winien

był wszystkim: zaczął płakać, bo przeczuwał, że go w domu ostra czeka kara. — Dobry Jezu! bądź moim opiekunem! — tak modlił się pobożnie i poszedł w dalszą drogę.

Coraz się bardziej ściemniało, ręki nie było widać tuż przed twarzą, więc wlaź w rów, oparł główkę o drzewo, zmówił pacierz i z rezygnacją poddał się swemu przeznaczeniu.

Nie mogło być więcej, nad godzinę dziesiątą; kiedy więc tak siedział, zdawało mu się, jakoby mocne światło błyszczało z daleka między drzewami; usłyszał nawet muzykę. Odległe tony tak pięknie i słodko dolatywały jego uszów; słuchał nabożnie, tak jak słuchają błogosławieni niebieskich harmonii. Raz przysiągłby, że spływają nań z wierzchołków drzew, raz że z obłoków nad nim bujających; może i prawda w podaniu o śpiewie łabędzi, tylko że tak wysoko śpiewają nad ziemią, iż człowiek ich nigdy nie dosłyszy: tu przecież śpiew ich dochodził ucha ludzkiego. Obłoki większego nabierały blasku, wszystko rozjaśniało się; spojrzął na coraz zwiększające się światło i ujrzał jak księżyc swoim bladym światłem wywoływał z cieniów nocy krzaki, drzewa i murawy.

Poznał teraz że jest w szlacheckim folwarku Glorup i że siedzi na rowie otaczającym tameczny starożytny ogród. Muzyka, którą słyszał, dochodziła go z głównego korpusu; stamtąd jaśniały takie pojedyncze światła. Cóż go gwałtem ciągnęło naprzód: zsunął się tedy między krzaki i jednej chwili był w ogrodzie.

Potężne, stare drzewa z posplatany mi między sobą gałęzmi, tworzyły nieskończenie długą aleję; jakaś postać kobieca z białego marmuru łańcuchami przykutą była do skały. Co tylko kiedykolwiek słyszał w *Tysiącu i jednej nocy* o zaczarowanych zamkach i ogrodach, to wszystko zdało się teraz istną rzeczywistością; może też tu znajdzie pomoc i szczęście, jak to wydarza się nieraz w czarodziejskich awanturach. Zmówił tedy modlitwę wieczorną i z pobożnym zaufaniem przystąpił do posągu Andromedy, boć nie co innego stało tu przed nim w ogrodzie. Niezawodnie była to piękna księżniczka, którą czary przemieniły w kamień; dotknął się jej nogi: była zimną jak lód. Uważał przy świetle księżyca, że patrzy na niego jakoś dziwnie, rzewno i boleśnie.

Na długiej alei zaległa jeszcze cała ciemność nocy, ale za to tym wydatniej występowały przedmioty na oświetlonych brzegach. W regularnych przedziałach stały tu słupy kamienne z ogromnymi kulami: dla niego były to karły pilnujące drogi. Podobna aleja z takimiż postaciami rozciągała się także po drugiej stronie, a między obiema leżało jezioro ze stromymi brzegami i w samym środku z maleńką wysepką, gdzie pożółkłe jesienią liście najpyszniejszymi zdawały się kwiatami. Z głównego korpusu, światła przez jedwabne firanki również pstrym jaśniały blaskiem, — stamtąd też dochodziły go owe czarodziejskie tony. Sama aleja zdawała się nie mieć wcale końca: niezawodnie w tym także były czary.

Nareszcie stanął przed wejściem i ujrzał przy świetle księżyca kolosalnego orła, podpierającego hrabiowską koronę właścicieli<sup>16</sup>; myślał zrazu, że to ptak Gryf i bał się, czy nie rozpostrze ogromnych skrzydeł, czy nie zleci do niego i nie wykluje mu oczów, — ale ptak stał nieporuszony. Wówczas wszedł na szerokie schody kamienne i zobaczył gwiazdę światła, która z tysiącem błyszczących szkielek wisiała pod sufitem; zobaczył śliczne kobiety przesuujące się przed nim, jakby bańki mydlane, zobaczył postrojonych panów; — ale nie śmiał jednak wejść do zaczarowanego zamku, tylko wciągał w siebie tony, które stęsknionemu jego sercu były ożywym balsamem pociechy i rozkoszy.

Na schodach było coś na kształt wełnianej dery dla psów, żeby nie potrzebowały leżeć na gołych kamieniach; w nią tedy obwinął się, głowa jego schyliła się w znużeniu i zasnął. Wiatr obsypywał śpiącego żółtym liściem; sen przykuł go do ziemi, której sam był częścią: wargi z wolna ruszały się przez sen. Dziecię ubóstwa na kamiennych schodach w zimnej nocy, czyś ty co więcej niż owo arcydzieło z marmuru? Duch nieśmiertelny przebywa w twojej piersi.

Tony umilkły, świece przygasły, ucichło w całym dworze, ale tony i światła tym pełniejsze płynęły w duszy śpiącego; we śnie przechadzał się w pysznej sali, której piękność obecnie daleko więcej była duchową. Ściany były letnimi chmurami, sklepienie nad drzwiami prześliczną tęczę, a orły na górze ożywiły się i ruszały swe duże, czarne skrzydła, tak że gwiazdy sypały się z ich piór olbrzymich. Muzyka brzmiała, a tancerze bujali jak

<sup>16</sup>Nareszcie stanął przed wejściem i ujrzał przy świetle księżyca kolosalnego orła... — majątność Glorup należy do znakomitej rodziny duńskiej, hrabiów Moltke. [przypis tłumacza]

lekki puszek w powietrzu, gdy zaś z portalu spojrzął na ogród, zobaczył przecudne, niebieskie góry, o których mówił jego ojciec, i z nich, prowadząc się za ręce wyszły Naomi z Łucją, które zbliżyły się do zamku; kiwnął na nie, już były blisko niego, — w tym nagle się przebudził. Księżyc świecił mu w same oczy, tak iż w pierwszej chwili mniemał, że widzi jeszcze cały blask marzenia.

Wiatr dął przejmujący zimnem; naokoło panowała cisza śmierci; drżał od chłodu, a rzeczywistość i osamotnienie wystąpiły przed nim w całej wyrazistości. Wstał, uszedł kilka kroków i obejrzał ogromny, martwy budynek, który wespół z sztywnymi alejami i białymi figurami z marmuru miał w sobie coś tajemniczego. Chcąc się zasłonić od ostrego wiatru, wszedł do małego lasku; tu była jakaś w piasku niby grota, do której się schronił. Wtem nagle zerwała się przed nim postać męska, w olbrzymich, jak mu się wydało, rozmiarach.

— Kto tam? Czego chcesz? — odezwał się głos groźny i ponury.

— Jezu Chryste! — westchnął Krystian i upadł na kolana.

— Cóż to? ty, widzę, dziecko? — zapytał obcy.

Krystian opowiedział, kto on taki, jak opuszczony od całego świata, i w tej samej chwili nieznajomy porwał go w swoje objęcia.

— Alboż mnie nie poznajesz? — zawołał. — Nie poznajesz twego ojca chrzestnego! Mów po cichu, zupełnie po cichu!

Krystian uradowany przytulił się do chrzestnego i ucałował go w oba policzki.

— Jakże ogromną masz brodę! — zawołał chłopiec.

— Ale dlatego jeszcze nie jestem wilkiem, który pożarł starą babkę i małą dziewczynkę! — odpowiedział tamten.

— Ach tak, opowiadałeś mi niegdyś tę bajeczkę! Dawno już żadnej nie słyszałem bajki. Skrzypce moje sprzedali, z nut zrobił Niels latawca, ale wszystko mi jedno, bylebym już teraz zawsze mógł zostać przy tobie!

Ojciec chrzestny uściskał go i pieścił na swój sposób, a przy tym zapewniał, że spotkanie ich w tym miejscu i o tej godzinie w zupełnym jest porządku, boć przecież właśnie są w podróży. Teraz księżyc tak wysoko wzbil się ponad wierzchołki drzew, że światło jego padało na małą grupę. Ojciec chrzestny cały był żółty na twarzy, jego włosy i broda gęste i w nieładzie. Krystian siedział na jego kolanach i słuchał historii, którą mu opowiadał, lecz ani mu przez myśl nie przeszło, że to co słyszał było prawdziwym i własnym życiorysem Norwegczyka.

— Pewnego razu narodził się wielki cnotliwiec! otóż dowiesz się zaraz, co to za śmieszne było zwierzę! Póki jeszcze leżał w kolebce, był on biały i czerwony, oczy miał niewinne i zwano go Aniołkiem niebieskim! Miał się tedy wychować w niewinności, lecz w nocy przyszedł diabeł i napoił dziecię mlekiem czarnej kozy, tak że krew jego zdziczała, chociaż nikt się na tym nie poznał, gdyż zewnętrzne oznaki cnoty pozostały wszystkie niezmienione. Wyrosł z niego młodzieniec, który się rumienił za lada wolniejszym słówkiem; czytywał Biblię, ale dziwnym trafem zawsze księgę otwierał w tym miejscu, gdzie w Pieśni nad Pieśniami, Mędrzec Pański najlepiej opisuje najpiękniejszą z kobiet; czytał o Zuzannie w kąpieli i o Dawidzie u Batseby. Nikt nie znał jego myśli; słowa jego były czyste jako śnieg, na którym noga ludzka jeszcze nie postąpiła. Cnotliwiec pysznił się z tego, i rad by się w żelaznej klatce dał oprowadzać po świecie, żeby wszyscy ludzie podziwiać mogli tak rzadkiego zwierza. Wiadomo ci, że ze starego miodu powstać może bazyli szek; otóż mleko diabelskie silniejszym jest napojem, bo zrodziło w nim gorsze jeszcze zwierzę, które odymało się, a razem z nim odymał się cnotliwiec. Były to dwa koguty pyszniące się z swej siły i piękności. Tak więc jednego dnia poszedł do lasu, gdzie spotkał dziewczę ładną i hożą; piękność jej rozbudziła żądze potwora, a cnotliwiec w objęciach dziewczycy stał się drapieżnym zwierzem. Krzychała o pomoc, lecz to były same tylko sztuczki szatana, bo cnotliwiec ścisnął jej gardło, że zapomniała głosu i zsiniała cała i ostygła; potem rzucił ją w przepaść. Ale z pięknego jej ciała, którego użył w szalonym uścisku, wyrosły węże i jaszczurki, które go sycząc otaczały, i dostawały skrzydeł i śpiewały do niego z drzew i krzaków: — Jesteś grzesznym człowiekiem jak drudz! — a czarne jodły kiwały na niego i wołały: — Jesteś mordercą! — Tak więc cnotliwiec uciekł do obcych krajów, gdzie drzewa nic o nim nie wiedziały i milczały; lecz skrzydlate jaszczurki poleciały za nim, śpiewały po krzakach lub jak świerszcze piszczwały za kominkiem, — więc wziął się



do skrzypców i zagrał im przedrzeźniając, aż póki zasypiając nie zostawiły go w spokoju. Krew jego zawrzała na nowo, a córka sąsiada — ! ależ ty, chłopcze, nie słuchasz! — rzekł i mrucał do siebie: — Śpi! żeby tak przespać całą wieczność! spać bez marzeń! cóż by to było za ogromne dobrodziejstwo!

Ręką pogładził twarzyczkę chłopca, — palce dotknęły jego gardła: — Teraz śmierć przechodzi nad twoim życiem! Dusza twoja czysta i niewinna, jeżeli tedy jest raj, więc ty niezawodnie masz do niego prawo, gdybym cię teraz, bez twojej woli, wypchnął z tego życia! — Ha! jakże mało siły potrzeba na to, żeby wypędzić duszę z ziemi! — Ale nie chcę! Niech wszyscy cierpią i dręczą się tak samo, jak ja! Ludzie niechaj ostre swoje języki stawiają na twoim miękkim sercu, dopóki w nim skóra nie stwardnieje: oczy niechaj patrzą źle na ciebie, dopóki się jad nie wkradnie do twej myśli. Ludzie są źli. Najlepszy z nich nawet miewa chwile, w których jad taki kapie z jego wargi, a jeśliś wówczas jego sługą, w milczeniu ucałujesz mu ręce, choć z nienawiścią w duszy.

Nazajutrz raniutko przebudził się Krystian; oczyma szukał ojca chrzestnego, lecz gdzie go nie widział; w tym podniósł głowę i nad sobą, na gałęzi drzewa, ujrzał wiszącego trupa; usta i oczy jego konwulsyjnie były roztwarte, czarne włosy spadały w nieładzie na siną twarz. Krystian krzyknął, boć to nie kogo innego zobaczył, jeno swego ojca chrzestnego. Przez chwilę przytrzymały go przestrasz i przerażenie, potem puścił się pędem w dzikiej ucieczce przez szeleszczące krzaki i dostał się do traktu. Za nim, jakby sen okropny, leżał nieszczęsny lasek, w którym bujały jeszcze straszliwe zeszłej nocy widzenia.

### XIII

Przed sobą spostrzegł Krystian kobietę z młodą dziewczyną; zbliżył się do nich, a one nazwały go po imieniu. Była to Łucja z swoją matką, które tak rano wybrały się w drogę, żeby odwiedzić wuja Piotra Wika, co ze swym yachtem stał w porcie miasta Swendborga.

Krystian bez ładu opowiedział im o chrzestnym ojcu w lasku, a matka Łucji, z właściwą ludowi bojaźnią przed samobójcami, oraz z obawy żeby się czasem nie wplątać w kłopoty policyjne, przyspieszyła kroku, nie przerywając wszelako rozmowy.

— Ależ, mocny Boże, toście wy dwaj razem przepędzili noc w tym lasku? — zapytała matka.

— Spotkaliśmy się w lasku! — rzekł Krystian i przyznał się, że opuścił dom, bez wiedzy swych rodziców.

— Niechże Bóg bronii! — zawołała; — toć w okropnym muszą być strachu o ciebie! Nie chodź z nami! Prawda że cię wyłają, może nawet oberwiesz co z reszty, ale przynajmniej na tym się skończy!

— O, nie! — z westchnieniem błagał Krystian; — pozwólcie, niech zostaną z wami! nie odpychajcie mnie od siebie! Będę wam pilnował kur i kaczek! Na gołej słomie będę sypiał w waszej sieni! Tylko pozwólcie, niech nie idę do domu! — I zaczął rzewnie płakać, całując kobietę w fartuch i po rękach.

Łucji też się zbierało na płacz i wstawiła się za nim. — Niech zostanie przy nas! czy nie pamiętasz, jak brat jego w kościele obchodził się z nim niegodziwie?

— Ale ja przecież nie mam nad nim żadnej władzy! Toć go nie mogę gwałtem odebrać rodzicom!

— Niech więc idzie z nami do Swendborga; wujo pozwoli mu przespać się tej nocy na okręcie, a jutro z nami powróci do domu. Potem ty pierwsza pomówisz z jego rodzicami, wstawisz się za nim, a gdy się już gniewać nie będą, wówczas odprowadzimy go same i przeprosi ich. Czy tak będzie dobrze?

Krystian bolesnie spójrzył na nią; ona wzięła go za rękę.

— Nie smuć się! Matka moja ciebie lubi! — i błagającym wzrokiem spojrzała na matkę.

— W imię Boże! — rzekła, — Pan Bóg ciebie do nas przyprowadził; więc zostań! Biedy nie doznasz dzisiaj w Swendborgu. Jutro powrócisz z nami!

— Dobrze! — odpowiedział Krystian z głębokim westchnieniem.

W drodze pytała się jeszcze o ojca chrzestnego, czym był za życia, a chłopiec odpowiadał na wszystko, jak umiał najlepiej. Łucja rozmawiała o kochanym wuju i o okręcie,

który mieli zwiedzić, o ładnej, małej kajucie z drobnymi okienkami, na których wisały czerwone firanki, a w środku sylwetka nieboszczki wujenki, Szwedki z Malmö. Opowiadała o półkach z Biblią, o psalterzu i o starych skrzypcach.

Na to słowo zaiskrzyły się oczy Krystiana: — Skrzypce! — zawołał; teraz dopiero pojmował, jak pokochać można tego zacnego człowieka.

W samo południe zaszli do Swendborga. Z jakim zachwyceniem poglądał na Thorseng, na zatokę i na całe miasto! miał ochotę kłaniać się wszystkim domom, boć to starzy byli jego znajomi! Poszli ulicą Młynarską, spojrzął z daleka na dom ojca chrzestnego, — okienice były otwarte, drzwi zamknięte. Potem zeszli do mostu nad portem.

— Otóż i Łucja! — rzekła matka wskazując na okręt.

— Otóż i wujo! — rzekła Łucja. Podwoili kroku.

W kwicistej kurcie perkalowej stanął przed nimi niski, gruby człowiek, z czerwoną, jowialną twarzą. Był to wujo Piotr Wik.

— Nie może być! to wy! — zawołał, — a to zapisać trzeba w kominie! Elżbietka i mój maleńki okręcik lądowy! Płyniecie od północy z wiatrem południowym! No, proszę na pomost!

— A czy nas uniesie? — zapytała Elżbieta.

— Jeśli uniesie taki ciężar, jak mnie, toć wystarczy na takie pisklęta, jak wy jesteście. Jakżeś ty podrosła, Łucjo! Już nie długo trzeba ci się będzie postarać o męża! Czy może to twój mąż, ten mały chłopczyk, którego przyprowadziłaś z sobą? — to mówiąc, wskazał na Krystiana. — No, z małego wyrosnie duże! Tylko się strzeż, chłopcze, żeby ci nie uciekła, zanim jej zdążysz podać ślubną obrączkę.

— Doprawdy! jak też tu wszystko ładne i porządne! — przerwała Elżbieta.

— Cóż u diaska! możeś myślała, że mój okręt będzie chlewem! Nie! moja morska Łucja co rano myje się i stroi jak każda inna kobieta, a jak sobie gracko wpłyniem na morze, to korpus jej jeszcze lepiej się wykąpie. Pokład musi być czysty! w powszednie dni jest to mój spacer, a w niedzielę mój kościół. Ale się naprawdę nie spodziewałem, że się tak ślicznie wybierzecie! wyborny to był concept, Elżbieto!

— Prawdę mówiąc, — odpowiedziała, — właściwie Łucja pierwsza wpadła na tę myśl i nie dała mi pokoju, dopókiśmy się nie wybrały.

— Jużem cię przeszło rok nie widziała, wuju, — rzekła dziewczyna.

— Gdybym był ze dwadzieścia lat młodszy, Łucjo, a ty gdybyś była o jakie dziesięć lat starszą, kto wie? może byś i naprawdę została jeszcze panią Wikową! Mój Boże, w końcu człowiek wychodzi na starego psa morskiego, nim podrosną najładniejsze dziewczęta! Ale Esben niech pobiegnie na ląd i obstaluje trzy porcje rosółu i pieczeni, bo będziemy tu jedli obiad na okręcie. Potem Esben ugotuje takiej kawy z cykorią, że można by nią samego króla uczęstować; jam go nauczył klarować ją karukiem. Chodźcie teraz do kajuty. Ja z moją grubością muszę się wykręcić na bok, bobym inaczej nie przeszedł; nigdy się w życiu z nikim nie kłóciłem, tylko z jednymi drzwiami mojej kajuty, które mnie wiecznie szczypią po żebrach. Toć i ja kiedyś byłem cienki, jak kakerlak!

Wszystko tu było tak samo, jak poprzednio opisała Łucja. Małe, czerwone firanki wisały przed okienkami kajuty, między którymi wisała sylweta pani Wikowej. Na półkach nad oknami leżały książki i skrzypce, które szczególną ściągnęły na siebie uwagę Krystiana; jakkolwiek bowiem z pozoru proste i liche, były one jednak dla niego lampą Aladyna, władczynią duchów, potężnych duchów tonu.

— Szkoda że okna nie schodzą cokolwiek niżej, toby tu zaraz było widniej, — rzekła Łucja.

— Cokolwiek niżej? — odpowiedział Piotr Wik, — a toby morze zalazło w samo brzuchostatku! Ty, widzę, w marynarce nie masz nawet tyle rozumu co gęś, która przecie umie pływać choć nogami! Wy wieśniacy — ! Już to święta musi być prawda, co piszą w książkach o czółnie, czyli o młodym okręciku. Zachciało się ludziom na wsi okrętu, lecz gdy nie byli w stanie kupić dużego, kupili czółenko małe, bo myśleli że to jest młode, co podrosnie. Puścili je tedy na pastwisko, lecz biedactwo ni razu jeść nie chciało, więc myśleli, że chore albo tęskni i zapłacili szyprowi, żeby przez rok jeszcze pottrzymał przy matce, dopóki się samo jeść i pić porządnie nie nauczy. — Jakże też teraz kontente! — wołali, gdy ujrzeli kołyszące się czółno przywiązane do dużego okrętu! Już to z was wieśniaków dzielni marynarze! — Potem wywiadywał się o Krystiana, opowiedziano mu

jego historią i całą ucieczkę, co się zaś tyczyło chrzestnego, to, jak się wyrażał, najlepiej rzecz tę zostawić, jak wiatr nią pokieruje i wcale nie wpłynąć na te wody. Noc tę Elżbieta wraz z Łucją przepędzić miały w mieszkaniu jego w mieście, sam zaś chciał zostać na okręcie, gdzie dla Krystiana także wynaleźmiano *koję*<sup>17</sup>. Dopiero gdy pozostali sami, zabrali z sobą znajomość bliższą i serdeczniejszą.

— Więc tedy, mój chłopcze — rzekł Piotr Wik — właściwie powinniśmy teraz położyć się na bok i chrapać, ale ty się o to nie bój, już to jak przytkniesz głowę do poduszki, to cię pocziwa Łucja zaraz ukołysze. Żebym teraz miał szklankę groku i fajeczkę, tobyśmy sobie jeszcze pogawędzili. Ale, ale! podobno ty umiesz grać na skrzypcach? niechże usłyszę twoje rzępolenie!

Krystian aż zadrżał z radości dotykając się strun; kilka razy pociągnął smyczkiem najpiękniejsze trele, jakich go nauczył ojciec chrzestny.

— Zapewne, — rzekł śmiejąc się Piotr Wik, — wcale to niezła melodia, żeby tylko szła z innego tonu! Cóż to norwęgsko-arabskiego, co tam grasz, a idzie do głowy, jakby stary koniak. Czy ty nie umiesz nic takiego, co by poszło w nogi i trzewiki wyglansowało do tańca? — Sam wziął skrzypce do ręki i zagrał szota. Następnie pytał go się o dom, o przyrodniego brata, a gdy mu wyznał wszystko, zawołał: — A któż ci winien, że z ciebie taki dureń? Czemu nie walisz? Daj mu raz i drugi kułaka, a zobaczysz, jak on innego poszuka sobie wiatru! Przedawać twoje skrzypce! To grzech! Trzeba stać na własnych nogach! a no, prawda! nie umiałeś stać, więcś zaczął biegać. Alboż to raz na lądzie gorsza dmie burza, niż na morzu! A czymże był twój własny ojciec?

Krystian opowiedział mu wszystko.

— Znałem go! — rzekł Piotr Wik. — Toć on łądem polazł gdzieś tam daleko na dół, aż koło Liworno. Nie był to zresztą żaden tchórz, choć niby krawiec.

— Ach! żebym i ja się mógł dostać do cudzych krajów! — westchnął Krystian. — O! gdybym tu mógł pozostać na okręcie! — i uchwycił rękę marynarza, a oczy jego błęgały równie wymownie jak usta.

— Jeżeli twoja matka pozwoli, dlaczego nie? Mnie i tak *jungi* potrzeba, ale to ci tylko powiem: nie co dzień leżymy w porcie tak jak dzisiaj, bo nieraz też płyniemy na otwartym morzu, gdzie Łucja tańczy, a tobie może się dostać zimny Prysunic, albo też ode mnie parę policzków lub kułaków, a wtenczas trudno uciekać, moje dziecko! Nie co dzień także tak jak dzisiaj miewamy na podwieczorek kawę z bułką! A teraz śpij tylko w małej kojki; będziesz sobie w niej leżał jak w skrzyni u twojej matki.

Piotr Wik z grokiem i fajeczką usiadł na pokładzie, a Krystian poszedł do kojki. Ufność w Ojcu Niebieskim przejęła go do głębi; rzekłby kto, że czuje, jak się zbliża do niego świętość Boska.

Nazajutrz raniutko wstał, gdyż tego był zwyczajny, a to już bardzo się spodobało nazemu żeglarzowi.

— Wstajesz wespół z kurami! Ja to lubię! Ale w każdym razie najlepiej, żebyś popłynął na łąd, dopóki nie wyklarują twych papierów, a matka ci powie, że możesz krzyżować pod wiatr! Boże dopomóż, otóż i beczy! Dalibóg, że z ciebie prawdziwa diabelska ryba!

— Niech zostanie przy tobie, wuju! — prosiła Łucja, gdy przyszedłszy usłyszała o smutku Krystiana. — Moja matka dziś wieczorem jeszcze pójdzie do jego rodziców i wszystko im opowie. On nie ma w domu takiego dobrego wuja, jak ja ciebie! — I małą swą rączką pieścizliwie głaskała zarosłą twarz wujaszka.

— Ot i widzisz ją, naprawdę<sup>^</sup> już zna wszystkie fortele nieboszczki pani Wikowej, ile razy chciała żebym osiadł na mieliznie! Doprawdy, że te kobiety, to wcale śmieszne cacka.

Łucja nie ustawała w namowie, a więc Krystian został z wujem, dopóki by nie nadeszła decyzja jego matki.

Już nazajutrz w południe Marya sama jedna przysła do Swendborgu i zaraz poszła szukać okrętu, ucałowała chłopca i zarazem łajała go.

— Wielki Boże! czyż to się godziło tak uciekać! Już to prawdziwie wdałeś się w nieboszczyka ojca, który także niemało sprawił mi na świecie smutku! Nie myśl, że cię chcę bić, choćby ci się to zapewne bardzo i przydało. Spróbujże teraz, jak to na świecie, między

<sup>17</sup>*koja* — otwór w ścianie okrętu, zastępujący łóżko. [przypis tłumacza]

obcymi. Wierzaj mi, że i ja nie sypiam na różach, ale z ciebie nic innego, tylko pieścioszek! Odjeżdżaj sobie tym okrętem, a jak przypadnie ze skórą i z kośćcami, to moja jeszcze będzie i żałoba!

Taka mniej więcej była rozmowa pomiędzy matką a synem, wskutek której Krystian na dobre uznany został jungą. Napisano coś na kształt kontraktu; jedyny zaś z niego warunek dobrze mu pamiętny, było uroczyste zapewnienie, że wolno mu używać skrzypców marynarza, bo kiedy go zapytano, czy wszystko dobrze zrozumiał, ten jeden ważny paragraf powtórzył aż dosłownie.

Teraz kazano mu zabrać znajomość z szylderhauzem, foksztangą i wielkim masztem, jakoż niedługo, jakby mewa morska zawisł w linach żaglowych, chociaż nigdy dotąd ćwiczenia gimnastyczne nie wchodziły w zakres jego wychowania.

#### XIV

Dnia 18 Października wszystko na statku było gotowe do odjazdu. Oprócz Piotra Wika, załoga składała się z trzech majtków i dwóch pasażerów, jednej podstarzałej guwernantki, która w kwiecie wieku swego występowała w towarzystwie aktorów w Odensee, lecz wnet opuściła je, jak twierdziła, dla względów moralności; zresztą pisała wiersze, lecz tylko po niemiecku, gdyż zdaniem jej, w tym tylko języku można wyrazić wyższe, delikatniejsze uczucia pięknej duszy. Teraz jechała do jakiejś rodziny szlacheckiej do Konpenhagi. Drugi podróżny był mieszkańcem tego miasta; był on radcą wojennym, o taki bowiem tytuł postarał się na żądanie swojej żony.

Okręt z rozpuszczonymi żaglami minął wieś Ś. Jerzego i port rybacki; — Krystian już myślał, że płynie daleko za granice świata, — dla niego Kopenhaga czy Chiny, wszystko zarówno odległe, wszystko równie nowe. Piotr Wik, który teraz już występuje w godności kapitana, postanowił okołować wyspy i płynąć otwartym morzem.

Obaj podróżni prędko się z sobą poznali, a zanim jeszcze okręt był pod Ärö, radca już z należytą wymową wyliczał swoje smutki i rozkosze. I on był poetą, a w swoim czasie drukował nawet poezje, choć pod pseudonimem, w dwóch Noworocznikach i w jednym Przeglądzie. Właściwy jemu rodzaj był czysto elegiczny, zresztą pisywał także katalogi licytacyjne, krytyki i inne pomniejszych pisma. Ale — dodał, — to wszystko żadnej mi nie sprawia przyjemności. Tu sobie człek siedzi i dłubie i dłubie, żeby jakie wykryć błędy, które tylko irytują, — jakże je przedstawić autorowi, to się jeszcze na ciebie rozgniewa. *Irritabile genus*, jak słusznie mówią. Próbowałem się we wszystkich miarach Horacyuszowskich: w asklepiadejskich, alcejskich i saficznych, które nowsi pisarze tak zupełnie zaniedbują, co bardzo oczywiście jest przykro wykształconemu gustowi klasycznemu; podniosłem także mój głos w tej sprawie i gniewałem nie tylko siebie, lecz i drugich. To też obsypywano mnie potwarzą i epigramatami, ale ja mam taki zwyczaj, że nigdy nic w Gazetach nie czytam, chyba to jedno tylko, co sam do nich napiszę; na koniec w moje urodziny odebrałem pocztą miejską mały bilecik, w którym zamieszczone były wcale niegrzeczne dla mnie wiersze. Nazwano mnie w nich *Zoilem*, ale nad *i* brakło dwóch kropek, tak iż mógłby kto myśleć, że się powinno wymawiać *Zojlem*; wielka to już bieda, kiedy ludzie tacy chcą pisać, którzy sylabizować nie umieją, — zupełnie tak samo, jak gdyby ten, co nie ma zębów, chciał publicznie wystąpić z długą mową! Dalibóg, dobry koncept! zaraz! tylko go sobie zanotuj! — zawołał i powtórzył pomrukując ostatnie porównanie, które sumiennie zapisał w swym pugilaresie. — Widzisz pani, ja nigdy nie dam zginąć żadnemu dowcipowi; ile razy mi się który przytrafi, a przytrafia bardzo często, zaraz go notuj! bo trzeba pani wiedzieć, że przyjął na siebie obowiązek przepisywania ról do naszego amatorsko-dramatycznego towarzystwa; więc na wzor *Jean Paula* założyłem sobie szufladki z małymi karteczkami, na których są spisane dowcipy, i nimi szpikuję nasze role. Na scenie to się potem wybornie wydaje.

Guwernantka ze swojej strony opowiadała, że od lat jedenastu utrzymuje dziennik, ale także w języku niemieckim.

Była to komiczna rzeczywistość codziennego życia, która najostrzej tu występowała; moglibyśmy w obudwóch uchwycić także jakąś stronę piękną, poetyczną, którą znaleźć można wszędzie i w każdym, choćby tylko miejscami i chwilowo. Nawet w owej komiczności guwernantki było coś takiego, co poruszyć musiało serce każdego. Przez cały rok

żyła jak mogła samą tylko herbatą i chlebem; było to jej śniadanie, obiad i kolacja, bo przy największej pracy nie mogła nic więcej zarobić, a ta jedna myśl była u niej prawdziwą, jakby monomanią: Cnota starczy za wszystkie najświetniejsze uczy! Radca wojenny usilnie się trzymał starych zwyczajów, ale tylko starych, bo czyż jego w tym była wina, że mu niebo odmówiło twarzy Janusowej geniuszu, która równie jasno patrzy przed siebie i za sobą.

Około południa okręt, ów struś morski, który przebiega ogromne stopy oceanu, z portów i zatok wypłynął na otwarte morze; zbyt ciężki, by się wznieść w powietrze, równie jak struś niejednego on jednak w locie prześcignął ptaka. Wzdęte żagle jak skrzydła sterczały nad małą naszą karawaną; Krystian widział, jak brzegi rodzinne coraz bardziej traciły znane mu kontury; szybka jazda, świeże powietrze morskie i wszystkie wokoło nowości napępiały go dziwnymi myślami.

Ostatnie promienie słoneczne nikły w wilgotnej mgłę osiadającej na powierzchni wody; ściemniło się; latarnia w tylnej części statku światło swoje rzuciła na najbliższe tylko liny. Bałwany jednostajnym pluskiem uderzały o bok okrętu, który szybką jazdą suwał nad zamkami króla oceanu, co z długą brodą siedział niezawodnie na dole i patrzył na spodnie jego ściany. Wtem nagle czuć się dało gwałtowne uderzenie, słychać było głośny krzyk i natychmiast ucichło, tylko woda pluskała silniej i pod brzuchem okrętu wyraźnie jakieś odezwało się niby tarcie czy stukanie.

— Boże! bądź nam miłosiwy! — zawołał majtek stojący przy sterze, nadając raptowny obrót okrętowi. Pociągnięto latarnię do góry, spuszczone czółno i kazano Krystianowi, żeby zadzwonił do sygnału. Wszystko było na próżno. Mały statek, napęlniony ludźmi, który ich spotkał w ciemności, przez większy okręt bezpowrotnie został zatopiony. Myśl o śmierci w całej sile stanęła przed jego duszą:

Myśli o śmierci choć się kto nie złąknie,  
Lecz rzadko kto odgadnie jej zalety;  
A przecież każdy dar jej tak łśni pięknie,  
Że nic równego nie masz w snach poety.

Gdyby oczyma patrzył duch jasnymi,  
Do grobu chętnie poszedłbyś jak inny;  
Lecz myśmy tylko dziećmi na tej ziemi,  
A dzieci znać wszystkiego nie powinny.

— Zimne dziś rano powietrze, — rzekł radca wojenny i wyścibił z kajuty zwiędłą twarz, na której żółty, jedwabny szlafrok jeszcze niekorzystnie odbijał się. Wiatr dął silny i zamieniał mgłę w obłoki; ciemnozielone morze tu i owdzie pokazywało już śnieżną pianę. — Powietrze jakoś nie bardzo bezpieczne! — rzekł radca.

— Już to cokolwiek patrzy na burzę, — odpowiedział Piotr Wik, wskazując na czarne chmury.

— Czy byłś pan już kiedy na morzu w taką nie pogodę? — spytała guwernantka.

— Albo czego brak pogodzie? — zawołał kapitan; — nigdy w życiu lepszej sobie nie życzę! Niechbyśmy tylko dostali latający wiatr trzyćwierciowy, dopiero byście państwo widzieli, jak się okręt umie kołysać! — Milcząc stanął przy sterze i patrzył na spienione fale.

— Tak, ja się przygotowałem na morską chorobę, — rzekł radca; — nogi obwinąłem sobie papierem welinowym a brzuch bibułą, zaś na dolku sercowym położyłem gałkę muszkatołową, a do jedzenia mam w kuferku lemonazy<sup>18</sup>.

Guwernantka w tym samym celu obwiązała sobie tylko lewą rękę nitką jedwabną, a głowę zawsze wykręcała pod wiatr.

— Tylko broń Boże! niech pani nie myśli o chorobie! — rzekł radca. — Przeczytam pani małą rozprawkę; jest to projekt, mogący być zastosowanym do Teatrów Królewskich w Kopenhadze. Może to panią cokolwiek rozerwie! — I wziął się do czytania:

<sup>18</sup>lemonazy — rodzaj bardzo ostro marynowanych cytryn indyjskich, podobny do tak zwanych angielskich Pick-Micksów. [przypis tłumacza]

— — Po pierwsze, każdy śpiewak obowiązany jest śpiewać jakąkolwiek partię mu każą, wszystko jedno czy bas, czy tenor! bo jeżeli ma głos, to powinien umieć śpiewać.  
— — Widzisz pani, to już zaraz będzie ważny postęp.

— — Po wtóre, odpowiedzialność za swój utwór, powinien brać na siebie każdy autor dramatyczny, który, jeżeli przy dwóch pierwszych przedstawieniach sztuka jego nie przyniesie pewnego dochodu, ma być obowiązany do wypłacenia kassie teatralnej brakującej reszty. — — Widzisz pani, to będzie doskonale dla kasy, a obok tego wstrzyma pisomanię tych panów oryginalnych poetów.

— Jakoś mi tak niedobrze! — przerwała guwernantka. W tejże chwili fala wzbila się wysoko nad pokład i słoną wodą oblała świeży regulamin teatralny.

— Dam pani małą lemonazyę, — zawołał radca.

— O mój Boże! — westchnęła guwernantka; — ja, co tak kocham morze, kiedy jestem na lądzie!

— Zdanie bardzo oryginalne! — przerwał radca, — pozwolił pani, żebym je zanotował i użył przy stosownej sposobności. — Wydobył pugilares i zaczął pisać; kapitan zabrał pannę do kajuty.

Radca wojenny zgłębiał tymczasem naukę marynarki, o której miał zamiar napisać rozprawę, bo nie było tej gałęzi, o której by nie pisał; począwszy od pudrety aż do charakteru Hamleta, wszystko znał i rozumiał równie dokładnie. Dlatego też miał nadzieję, że rząd zwróci kiedyś na niego swoją uwagę i da mu posadę albo inspektora stadnin królewskich, albo naczelnika latarni morskich, albo dyrektora teatrów, bo wszędzie pożyteczność jego byłaby aż nadto widoczną.

Nazajutrz rano siedział na pokładzie i przypatrywał się skałom wyspy Møen, koło której właśnie przejeżdżali; od czasu do czasu zaś rzucał okiem na rękopis *Zbioru poezji* guwernantki, w którym na nieszczęście nie było jeszcze pięknych wierszy zastosowanych do tej właśnie miejscowości, gdyż te pod tytułem: *Na widok wyspy Møen przy świetle księżycy*, napisała dopiero we dwa tygodnie później w Kopenhadze, przeczytawszy poprzednio dokładny opis w *Przewodniku* Reicharda i obejrzawszy kolosalny rysunek w *Podróżach* Molbecha.

— Po łacinie *Insula Mona!* — rzekł radca wojenny; — jednak to jakiś dziwny dźwięk spoczywa w językach starożytnych! To mi to byli ludzie! — Następnie wpadł w spokojny zachwyt nad wszystkimi mędrkami, którzy żyli przed dwoma tysiącami lat i wyjął z kieszeni pugilares dla zanotowania wszystkich tych złotych myśli.

Nad wieczorem z zatoki Kjøge wyrzały wieże Kopenhagi i zamek Krystiansborg, lecz zaledwie ukazały się, a oko uchwyciło kontury, kiedy już cały obraz znikł w ciemności. Tak samo i z duszy naszej wygląda wspomnienie dziwnych snów przemarzonych, lecz w chwili gdy chcemy uchwycić taki obraz, raptem przebiega nad nim cień ciemności. Czy i tu tak samo, jak tam, następny ranek zbliży nam widok całej rzeczywistości?

Coraz więcej ukazywało się okrętów; cokolwiek dalej już się łyskały światła stolicy i wyspy Amak<sup>19</sup>. Krystian słyszał turkot windy, — spadła kotwica, — obce głosy odezwały się z łądu, — Piotr Wik wszedł do czółna, a zanim radca i guwernantka, wetknąwszy jednak poprzednio jundze kilka szylingów do ręki.

Tę noc już tedy przepędzić mieli w ogromnym, dziwnym mieście, nazajutrz zaś miał je Krystian zobaczyć. Czy też ono znacznie większe od Swendborga? Czy też domy podobne do zamku w Thorsengi i czy tam wszędzie słychać muzykę? Kiedy jeszcze w milczeniu ważył te myśli w swojej głowie, z cytadeli dał się słyszeć wieczorny odgłos rogów myśliwskich; wiatr do uszów jego doniósł przez morze łagodne i smętne dźwięki, a ręce mimowiedzy złożyły się do modlitwy.

## XV

Równno ze świtem Krystian wybiegł na pokład; lecz, gdyby był ujrzał gród marmurowy ze złotymi dachami i pałac z przezroczystego kryształu, nie byłby się zdumiał nad niczym, gdyż wyobraźnia jego przygotowaną już była na to wszystko. Jemu się zdawało, że go widok ten przejść powinien do żywego, a tu nic nie było, coby tak dalece raziło

<sup>19</sup>...światła stolicy i wyspy Amak — część Kopenhagi leży na wyspie Amak, połączonej mostem z wyspą Zelandyą. [przypis tłumacza]

swą niezwykłością, tylko dużo okrętów, kilka domów, a po lewej stronie, na wąskim przesmyku, cały szereg wysokich budynków, które zdawały się wypływać z wody.

Teraz słońce oświeciło liczne, na wpół gotowe okręty na warsztatach; ukazali się robotnicy, a Łucja wpłynęła na szeroką wodę między kępą a Kopenhagą; coraz więcej pojawiało się domów, wież i mostów, bo okręt przechodził wzdłuż całej, ogromnej ulicy, zwanej *Nowym Portem*. Po obu stronach wznosiły się wysokie budynki, — w Swendborgu ani jednego nie widział domu tyłopiętrowego. Bokiem w szerokim kanale leżały większe i mniejsze statki, a na każdym powiewała flaga, bo w porcie było wesele, więc wszystkie okręty salutują. Przepych był taki, jak gdyby czekano przybycia samego króla. Na wszystkich ulicach, z każdej strony kanału, turkotały karety i koczki, ludzie wołali i gwarzyli. Panowie i panie wszyscy postrojeni jak wielcy państwo, nie kłaniali się nawet sobie przy spotkaniu.

Przyholowano Łucję i przywiązano grubymi linami do bulwarku.

Na końcu kanału był wielki plac, z którego brzmiała piękna muzyka, zupełnie jakby świąteczna! Zapewne, w dużym mieście same tylko święta i rozkosze! Dzień cały przeszedł jak jedna godzina, a gdy znów się ściemniło i ściągnięto flagi, we wszystkich oknach w sąsiedztwie na cześć nowożeńców zapalono światła, które świeciły na cały kanał, a iluminowane budynki odbijały się w przezroczystej wodzie. Katarynkarz przygrywał melodią pełną smętnej wesołości.

— Ach! — myślał Krystian; — żeby tak całe życie przeżyć w takim przepychu i w takiej piękności.

Piotr Wik już odwiedzał swoich znajomych, a dwóch majtków otrzymało również pozwolenie wyjścia na ląd. Krystian prosił ich, by go zabrali z sobą, a jakkolwiek z nich jeden nie był za tym, powiadając że trudno zaprowadzić go do matki Małgorzaty, przecież w końcu i on dał się przebłagać. Wyszli tedy na ląd, a najprzód na wielki plac, gdzie stał brązowy posąg jakiegoś króla na koniu<sup>20</sup>, otoczony czterema rycerzami. Budynki które widział, wydawały się jemu zamkami, a na ulicy, na którą teraz weszli, świeciły się sklepy, jeden pyszniejszy od drugiego. Tu dopiero była ciżba, jakby na jarmarku! Pojazdy przelatwały jeden po drugim, daleko ozdobniejsze niż w Swendborgu w dniu urodzin królewskich na bal ratuszowy. Potem zбочyli w ciasne uliczki, gdzie domy jednak były wysokie, a piękne, postrojone, w świątecznych ubiorach panie siedziały przy otwartych oknach, kłaniając się tak grzecznie i uprzejmie, jak gdyby znały wszystkich przechodzących. Na rogu ulicy, na brudnych kamiennych schodkach, siedziała młoda kobieta, blada jak śmierć, raczej w szmatach, aniżeli w sukni, a na jej kolanach leżał mały, płaczący, na wpół nagi chłopczyk, gdy tymczasem drugie, schorzałe niemowlę ssalo jej wycieńczone piersi. Nieszczęśliwa oparła głowę o mur i złożeczyła, widocznie nie turbując się ani o większe, ani o mniejsze dziecko.

— Ta kobieta jest chora! — zawołał Krystian. — Może by lepiej uprzedzić którą z tych wielkich dam przy oknach?

Majtkowie rozśmieli się i zaprowadzili go na boczną ulicę, gdzie z niskiego, ciemnego domku brzmiał odgłos fletów i skrzypiec. Do tego domu weszli.

Piękne, wesołe tony przenikły duszę chłopca, czy jego były olśnione blaskiem licznych świateł w lampach i w pająku, chociaż na całości zaległa jakaś mgła szarawa. Z kapeluszem w ręku kłaniał się grzecznie na wszystkie strony; nikt jednak nie zwracał na niego uwagi. Mężczyźni nie byli postrojeni, lecz za to przepych kobiet był tym większy, a policzki ich były czerwone, jakby róże. Jakiś człowiek z dużą fajką w ustach tańczył i wszystkim dym buchał wprost na twarz swojej tancerki. Przy drzwiach siedziała jakaś młoda panienka z kawalerem: pewnie to dwoje narzeczonych. Teraz nadeszła jakaś wysoka dama w białej sukni, z kwiatami na głowie i z butelką piwa w ręku. Była to matka Małgorzata, która doskonale znać musiała marynarzy, może nawet była ich krewną, bo uściśnęła ich nader czule i pocałowała na pierwsze przywitanie. Krystianowi nadzwyczajnie się podobała ta nader grzeczna dama, która rozmawiała z nim jakby z dawnym znajomym i poczęstowała go nawet ponczem, za co też pocałował ją w rękę, a ona poufale odgarnęła mu włosy z czoła. Niezawodnie była to serdecznie dobra pani.

<sup>20</sup>...posąg jakiegoś króla na koniu — statua Krystiana V. [przypis tłumacza]

Z największym uszanowaniem i z największą wdzięcznością wyszedł Krystian z domu matki Małgorzaty. Przyszła mu na myśl przygoda biednego chłopka, który został królem; — ani słowa, gdyby ta wielka dama raczyła się nim zaopiekować, toczy on mógł niezawodnie z czasem wyjść na skrzypka i zasiąść między drugimi muzykantami, albo też zostać jeszcze większą figurą, byleby tylko nie bez muzyki.

Na ulicy już się dosyć uciszyło; prawda, że godzina już była bardzo późna, ale jemu czas tak zszedł prędko u matki Małgorzaty, że wcale tego nie dostrzegł. Jeszcze brzmiały flety i skrzypce, a przez wycięty w okiennicach otwór w kształcie serca, długi promień światła padał na przeciwległe mury. Wtem stróż nocny zagwizdał na którymś z mniejszych zaułków; odezwały się jakieś krzyki i powstało zbiegowisko. Wkrótce Krystian ujrzał dziwny orszak! Stróż nieśli wysoko na ramionach drabinę, a na niej leżała mocno przywiązana młoda dama, zupełnie tak samo wystrojona, jak owe panie w sali. Biedny chłopiec nie wiedział co myśleć o tym mieście i o tych ludziach. Powrócił na okręt, w sąsiedztwie którego wszystkie domy były jeszcze iluminowane, a światła odbijały się w wodzie; majtkowie zaś nie kazali mu mówić przed kapitanem, gdzie z nim byli.

Ulegając rozlicznym wrażeniom tego dnia, a bardziej jeszcze tego wieczoru, zaledwie mógł zasnąć, lecz ta jedna myśl górowała w jego duszy nad wszystkimi innymi: O gdybym na zawsze tutaj mógł pozostać! Ta pani, która go całowała i pieściła, zdawała się jemu tak dobrą i potężną; — do niej więc postanowił udać się, przed nią zwierzyć ze swego frasunku. Ona wiele zrobić potrafi i zrobi z pewnością, skoro jej tylko opowie o swoim pociągu i tęsknocie do muzyki. Pobożnie zamieścił ją także w swojej modlitwie wieczornej i zasnął z mocnym przedsięwzięciem odwiedzenia jej potajemnie, skoro tylko pozwoli samemu wyjść na miasto.

Gdy nazajutrz rano siedział wysoko na maszcie, dla przewiązania niektórych lin zesputych w trakcie drogi, rzucił okiem na rozciągnięty przed nim pyszny widok; po prawej stronie duży plac ze statua marmurową, — po lewej, za kępą, modre morze i brzegi Szwecji, — lecz najwięcej ze wszystkiego zajmował go widok ogrodu, tuż za niskim murem, do którego był przywiązany jego okręt. W ogrodzie tym rosły jakieś dziwne i rzadkie kwiaty, oraz duże topole, które zupełnie przypominały mu ogród żyda, widziany niegdyś w czasach dzieciństwa. Zza krzaków i przepysznych kwiatów jesiennych wyglądały niskie szklane domki, napełnione wewnątrz kwitnącymi roślinami. Był to ogród botaniczny. Wszystko co dotąd widział w Kopenhadze, było pięknnością, a drudzy mówili mu, że dotąd nic jeszcze nie widział. O tak! tu koniecznie zostanie; już mu P. Bóg do tego dopomoże. Jak tylko pozwoli mu znowu obejrzeć się po ulicach, uda się natychmiast do owej uprzejmej, dobrej pani, w której całą swoją pokłada nadzieję.

W tydzień później były urodziny królowej; wszystkie okręty w porcie wywiesiły swoje flagi, a po wszystkich ulicach brzmiała muzyka. Kapitan pozwolił Krystianowi samemu wyjść na miasto; teraz więc szło o to, by trafić na ciemną, małą uliczkę, gdzie zaraz pierwszego był wieczora.

Wielką ulicę z przesłoniczonymi sklepami znalazł wprawdzie prędko; na drzwiach wisały różnokolorowe materie, za oknami stały najzabawniejsze cacka, a szyldy i znaki były jakby najpyszniejsze obrazy, które śmiało zawiesić można na ścianach bogatego mieszkania. Tak przypatrując się wchodził z jednej ulicy na drugą, nie znajdując atoli tej, której szukał, aż w końcu stanął na wielkim placu, gdzie woda tryskała w ogromnych promieniach, igrając ze złotymi jabłuszkami. Było to na cześć uroczystości dostojnej Solenizantki. Ani słowa, Kopenhaga cudne miasto, ale jakże tu znaleźć dobrą damę? Nie ma innego środka, chyba poprosić majtków, żeby go jeszcze raz zabrali z sobą, a wówczas lepiej już uważać trzeba na drogę.

Wieczorem była iluminacja; na rynku paliły się beczki ze smołą, a czerwone iskry jak rozpuszczony włos ognisty sypały się z płomieni. Król z królową w przepysznym powozie jechali do teatru.

— I my tam którego dnia pójdziemy, — rzekł Piotr Wik; — dopiero usłyszysz piękną muzykę i zobaczysz wesołość!

Czyż mogła być jaka muzyka piękniejsza od tej, którą słyszał na ulicach? Czyż mogła być wesołość większa od tej, którą widział na postrojonych damach?

Poszli boczną uliczką, którą Krystian natychmiast poznał; światła przez wycięte w okiennicach serca oświecały przeciwległe domy, wewnątrz słychać było muzykę. Toć tej właśnie



szukał ulicy, tego właśnie domu, — więc wychodząc stamtąd, najdokładniej wbił sobie w pamięć całą drogę.

W Niedzielę rano poprosił o pozwolenie pójścia do kościoła, włożył najlepsze suknie i w samej rzeczy udał się do najbliższego kościoła, lecz stamtąd na wiadomą nam uliczkę. Okienne jeszcze były zamknięte; wszedł więc w długi, ciemny korytarz, lecz nim zapukał do drzwi, padł na kolana, zmówił pacierz i pomodlił się, żeby Pan Bóg raczył wzruszyć serce dobrej pani, by pomogła mu wyjść na muzyka. Właściwego planu bo nie miał przed sobą żadnego.

Zastukał do drzwi.

Stara jakaś kobieta w brudnej sukni otworzyła i zapytała, jakie jest jego żądanie. Nie umiał się jakoś jasno wytłumaczyć, i już stara miała mu zamknąć drzwi przed nosem, gdy ukazała się matka Małgorzata, w dość lekkim ubiorze porannym, ale za to w futrzanych bucikach.

— A! to ty jesteś! — rzekła ze zwykłym sobie uśmiechem. — Czy masz mi co powiedzieć od Jędrusia?

Stara odeszła, a Krystian uchwycił rękę pani, ucałował ją i opowiedział z całą nawinością, o swojej wielkiej ochocie do muzyki, jak mu w domu było niedobrze i jakim sposobem przecie w świat się wydostał. Z początku śmiała się pani, lecz później słuchała go z powagą, a gdy mu w końcu słone łzy ciekły po twarzy, ona ścierała je swoją chusteczką.

— Tak, mój dobry chłopcze! — rzekła — ja nie jestem przy muzyce tureckiej. Gdybyś zresztą był małą dziewczynką, to nie mówię! — Zaprowadziła go do otwartej szafy, poczęstowała ponczem, jabłkami i wybuchła znów głośnym śmiechem. — Kto wie! może z ciebie jaki geniusz! — dodała.

W tej chwili z bocznej stancji weszło jeszcze kilka innych panien, równie lekko ubranych, jak tamta, a gdy usłyszały o całej tej historii, śmiały się także i gapowatą fizjonomią patrzyły na Krystiana.

Czegóż się mógł spodziewać i co mu obiecała? Wychodząc z jej domu pełen był radości, bo podała mu rękę, nazwała go geniuszem i powiedziała, żeby był dobrej myśli, to już się wy kieruje na ludzi!

Jakoż w samej rzeczy pokładał w tym całe swoje zaufanie, jak każdy inny prawdziwy geniusz, który losy swoje składa w ręce wielkiego pana albo pani, co częstokroć na wydanie o nim sądu nie mają więcej rozumu..... od matki Małgorzaty.

## XVI

— Dziś wieczór pójdziemy do teatru! — powiedział kapitan i zabrał Krystiana z sobą.

Mówią, że pewien wieśniak, gdy pierwszy raz w życiu poszedł do teatru, w korytarzu zaszedł do kasy i wścibiwszy głowę przez małe okienko, stanął w milczeniu, bo myślał, że to jest perspektywa, przez którą zobaczy całą komedię. Krystian o mało co nie uczynił tego samego, bo jeszcze nigdy nie był w teatrze; to też dla niego wszystko było widowiskiem, począwszy od warty w sieni aż do tłumu, który cisnął się na schody.

— Teraz zobaczysz komodę co się zowie! — rzekł Piotr Wik. — My wejdziemy do najwyższej szuflady! Widzisz, najniższa jest nieco wyciągnięta, żeby sobie damy nie gniotły swoich strojów!

Usiedli na przedniej ławce. Krystian milczał z pewną uroczystością, bo jemu ta sala zdawała się jakby wielkim kościołem.

— Te wystrojone dwie koje z każdej strony, są dla króla i dla królowej, — rzekł kapitan. — Duży ten obraz z przodu wciąga się do góry jak żagiel; potem przyjdą kobiety i będą wyciągać nogi, wprzód jedną, potem drugą, zupełnie jak mucha w garnuszku śmietanki!

Lampy oświecały światłem dziennym wyłącane łoże, w których siedziały pysznie postrojone damy. Król wszedł z całym swoim dworem; Krystian uczył w sercu dziwną jakąś bojaźń, a jednak niezmierną radość, boć był w jednym domu z królem, a niechby tylko głośno krzyknął, to już by sam król usłyszał go i zapewne zapytałby: — Ktoto tak na głos się odzywa?

Teraz zupełnie ucichło, a morze tonów rozlało się po sali. Rozpoczęto sztukę i usłyszał śpiew, jakiego nigdy jeszcze nie słyszał w swoim życiu. Łzy płynęły mu z oczów, a on krył się z nimi, bo wymianoby go za nie z pewnością. — Radość niebieska, myślał sobie, nie może być większą, jak ciągle tutaj siedzieć; a jednak drudzy mówili, że sztuka ta jest nieco nudna, bo teraz dopiero przyjdzie najzabawniejsze ze wszystkiego, sławny balet: *Rudolf Sinobrody*<sup>21</sup>.

Muzyka brzmiała podobnie jak głosy ludzkie, jak cała natura wkoło niego. Zdało mu się, że słyszy burzę owej nocy przy źródle, gdy się drzewa uginały jak trzcina, a liście bujały ponad jego głowę. Słyszał wiatr szumiący tak samo, jak kiedy szumi po masztach i linach, tylko że melodyjnie, pięknie, daleko piękniej od skrzypców ojca chrzestnego, choć w jego duszy o nim budził wspomnienie.

Podniosła się korytna. Zamordowane żony Rudolfa Sinobrodego w białych szatach przesunęły się przed łóżem mordercy; muzyka była potężną mową umarłych, a fantazja chłopca silnymi skrzydłami dolatywała trop w trop za całym romantycznym poematem. Szczęśliwe te dziatki, co tańczyły przed Izaurą! O, gdyby on był między nimi! Większego szczęścia nad ich szczęście, nie znał żadnego w świecie! Ach! gdyby swoje życzenia, swoją niepohamowaną chęć, mógł wypowiedzieć siedzącemu pod nim królowi, pewnie by go wysłuchał i dopomógł mu! Ale nie miał odwagi. Życie teatralne zdawało się jemu czarodziejskim obrazem szczęścia i piękności. Niejeden o nim niebaczny marzy tak samo!

W Paryżu przedstawiają balet pod tytułem: *Diabeł Kulawy*, właśnie odwrotną stronę tego wszystkiego, co zwykle ukazuje się oczom widzów, bo sami jesteśmy niby na scenie i patrzymy stamtąd na urojoną jakoby w sali publiczność. Dekoracje wywrócone są do nas lewą, niemalowaną stroną; podniesiona tylko ściana wyobraża korytnę; widać szeregi postrojonych dam i mężczyzn bijących oklaski i gwizdzących. Tancerze na scenie odwracają się tyłem do prawdziwych widzów. Otóż to jest tylko sceneria, w którą nas tak gwałtem wciągają, ale gdybyśmy równie łatwo zajrzeć mogli w serca występujących tam osób, jakizto świat łez i namiętności przedstawiłby się naszym oczom! Owo grono wesołych, skaczących kobiet w domach swoich zna tylko ubóstwo. Jeden tam stoi w chórze, którybyśmiało pierwsze miejsce mógł zająć na scenie, lecz go Dyrekcja nie pojmuje, a reżyser nie cierpi. Jeżeli artysta lichą pobiera zapłatę, wówczas wraz z rodziną postarać się może o bilety na obiady dobroczynne; poeta zaś dlatego nie dostaje pensji, żeby czasem myśl o zabezpieczonej przyszłości nie przytłumiła w nim talentu tragicznego.

— Naomi! — zawołał nagle Krystian, przerywając niewymowne zachwycenie. — Tak jest! ona! — a wzrok oderwał od czarodziejskiego świata, od walki Izaury i od złotego klucza; widział tylko wysmukłą, zgrabną dziewczynkę, z czarnymi jak węgiel oczyma i południową cerą, siedzącą na pierwszym piętrze między innymi wystrojonymi damami. — Bawiliśmy się z sobą! — rzekł do Piotra Wika, a jego wzrok i zajęcie podzielone już były między balet i Naomi.

Zbyt wcześnie skończyło się pyszne widowisko; wszyscy wybiegli z pośpiechem, jak gdyby to jaka była przykreść, przed którą się uchronić chcieli jak najprędzej. Na próżno Krystian w tłoku czekał Naomi, nigdzie nie było jej widać; może to ona przejeżdżała właśnie pędzącą kareta!

Tony w całej swojej pełni brzmiały jeszcze w uszach Krystiana, cała sztuka jakby żywa bujała przed jego wyobraźnią; tak gwiazda ukazuje się jeszcze ludzkiemu oku, chociaż od dawna już skryła się przed wschodzącym światłem dziennym. Poznał teraz, że jest jeszcze coś szlachetniejszego, wyższego, nad potoczne wypadki codziennego życia; geniusz jego przebudził się przez tony i dążył do pewnej rzeczywistości. Przeczuwał perłę w swojej duszy, świętą perłę sztuki; nie wiedział, że i ona, jak perła w morzu, czekać musi nurka, który wydobywa ją do światła, lub też że przylepić się musi do muszli i ostrygi, żeby pod ich wysoką opieką ujrzeć powierzchnią ziemi.

— No i cóż? — zapytał Piotr Wik, — pewniebyś i ty chętnie poskakał sobie z nimi?

— O tak! — odpowiedział Krystian z uniesieniem.

<sup>21</sup>*Rudolf Sinobrody* — podanie o bogatym rycerzu *Sinobrodym* (po duńsku: *Blaaskjæg*, po niemiecku: *Blau-bart*), który dla kaprysu zamordował siedem żon, a głowy ich przechowywał w swoim skarbcu, bardzo jest rozpowszechnione w krajach Skandynawskich, skąd zapewne dopiero dostało się do Niemiec. [przypis tłumacza]

— Kiepski to kawałek chleba, mój chłopcze, — ciągnął dalej kapitan, — jak kto z nas zapłaci swoje parę złotych, to już oni za to przed nami robią z siebie błaznów!

Nie, na takie pojęcie trudno mu było zgodzić się! Toć król i tysiące ludzi z uwagą patrzyli i słuchali, tak samo jak się w kościele patrzy i słucha na księdza. Nie zapomniał o niczym i wpośród całego przepychu wspomnień, przesuwał się przed nim obraz Naomi, kochanej jego towarzyszkii zabaw dziecińczych.

Pelen najjaskrawszych myśli położył się w małej koi w niskiej kajucie; ostra mgła jesienna rozpostarła się nad pokładem i okryła cały statek, tak jak on w tym statku ukryty był i zapomniany przez całe wielkie miasto. Może to wszystko było obrazem jego przyszłości, jak to nieraz się dzieje u ludzi uposażonych wyższymi darami ducha. Geniusz jest to jajko, któremu potrzeba ciepła, potrzeba zapłodnienia szczęścia, gdyż inaczej na zawsze pozostanie bezowocnym.

Dawno już było po północy, kiedy sen spuścił się na powieki naszego bohatera.

Następnych dni, kiedy już się ściemniło, siadał sam jeden w małej kajucie, a wiadomo, że w porcie niewolno palić światła żadnemu okrętowi; sam przed sobą przedstawiał wspomnienia z *Rudolfa Sinobrodego*, a na strunach skrzypiec starał się uchwycić pokrewne tony, którymi wiatr huczał w linach okrętowych. W pamięci jego utkwily całe ustępy z muzyki, którą codziennie słyszał przed odwachem, więc odgrywał je znowu w dziwnej mieszaninie. Częstość spodziewał się, że ta grzeczna dama, czarodziejka jego szczęścia, raptem wstąpi na okręt i spowoduje zmianę w jego losie. Myślał o Naomi; tak jest, ona go lubiła! toć płakała, gdy się z sobą żegnali!

Gdy tak pewnego wieczoru sam jeden siedział na okręcie, światła przepysnie zaświeciły z wielkiej tuż obok ulicy i usłyszał wesołą, piękną muzykę. Gdzieś tu obok tańczono. Przypomnił sobie ów wieczór w Glorup i oparty o maszt wciągał w siebie upajającą woń tonów.

Nagle przyszła mu myśl: wlaź na maszt i dostał się do równej wysokości z salą, w której tańczono. Jedno z najwyższych okien było otwarte, więc doskonale widział przez nie całe, wystrojone towarzystwo, złożone po większej części z dzieci, gdyż był to piękny bal dziecienny. Wszyscy pełni byli radości i bawili się wesoło. Na ścianach wisiały duże obrazy; wysoko na świecącej konsolce stały dwie statuy marmurowe, a wkoło świeciły się światła i lustra, odbijające wszystko w podwójnym blasku. Teraz delikatna, ładniutka dziewczynka ochoczym wirem sunęła przez salę: krucze jej włosy okrywały bielutkie ramiona, ciemne oczy iskrzyły się życiem i radością. — Naomi! — zawołał Krystian głośno i widział, jak się zastanowiła, obejrzała wkoło i rozśmiała się. Oczy jego zwrócone były tylko na nią, myśl jego była przy niej i zsunął się z masztu, zeskoczył ze statku, wpadł do domu, dorwał się do schodów, gdzie brzmiała muzyka, otworzył drzwi i stanął w oświetlonej, wspaniałej sali, w pośród postrojonych dzieci, w zdziwieniu patrzących na biednego chłopca okrętowego, który olśniony światłami i całym przepychem, przyszedł teraz do siebie i zaambarasowany nie wiedział, co z sobą począć.

— Czego chcesz? — spytało kilku chłopców niedorostków, których mina okazywała dowodnie, że ojcowie ich mieli majątek albo urząd, nadający im znaczenie; byli oni z rzędu owych zer, które w samej rzeczy nie dodadzą żadnej wartości rodzinie, ale którym stojąca przy nich kreska sama nadaje pewną jakby powagę.

Naomi także zbliżyła się i ciekawie spojrzała na niego; uśmiechnęła się, — o! niezawodnie poznała go! Krystian wyciągnął do niej rękę i przebaknął: — Naomi! — Panienska zarumieniła się po uszy.

— Jakiś brudas! — zawołała i wyrwała się. W tej samej chwili nadszedł lokaj.

— Czego chcesz? — zapytał i niedelikatnie uderzył go po plecach. Krystian wybąknął jakieś niezrozumiałe wyrazy, lokaj zaś powiedział mu, że się chyba omylił, — bo tutaj nie ma co robić! — Odprowadził go do schodów, a chłopiec nie mówiąc ani słówka, ale z śmiertelnym utrapieniem w sercu, wybiegł na dół i wrócił na swój okręt. Przytulił się do masztu i płakał ciężkimi, rzewnymi łzami, gdy tymczasem muzyka wesoło bujała w skocznych melodiach tańcowych.

Ciężkie troski duszy dziecięcej tak są wielkie, jak największe ludzi dorosłych; dziecko w swojej boleści nie zna nadziei, rozum nie podaje mu zbawczej ręki, tak iż młodociany umysł chwilowo tulić się może jedynie do swojego zmartwienia. Znać go nie chciała, ona, którą tak kochał jak siostrę! Czuł, jak pary, że należy do wzgardzonej kasty. Wszystkie

więzy, co go cisnęły, natychmiast jeszcze bardziej krępowały jego duszę. Jego koledzy na wsi wyśmiewali go i nazywali wariatem; Naomi, która go niegdyś zrozumiała, odwracała się teraz od niego i zwała go „brudasem!”

Jedna taka chwila starczy za całe życie doświadczenia. Wesołość w sąsiednim domu była ogniem bengalskim, który oświecał zakończenie dramatu jego dzieciństwa. Włazł znowu na maszt, zaglądał przez otwarte okno do wspaniałej sali, gdzie Naomi i szczęśliwe dzieci bujały przy uroczym odgłosie muzyki. Służba roznosiła kosztowne potrawy i piękne owoce na kosztownych półmiskach, jakich nie widział jeszcze w życiu, a w samym środku sali stała ciemnooka Naomi, śmiejąc się i klaszcząc w drobne dłonie. Na dworze za to padała pierwsza sadz jesienna, a szara mgła gęstą czapką przykryła biednego „brudas”, który obiema rękami trzymał się mokrej liny masztu.

## XVII

Zima nadeszła ostra; lód gruby zaległ pomiędzy Skonją a Zelandią. Chłop szwedzki, który zwykle pierwszy odważa się na jazdę mostem wybudowanym przez mrozy, już się puścił saniami do Danii; rzeźnicy tą samą drogą przepędzali bydło, jakkolwiek utrzymywano, że nad prądem lód jeszcze nie bardzo był bezpieczny. Między Kopenhagą a oddaloną od niej o pół ćwierci mili baterią *Trzech Koron* rozciągała się szeroka droga, brudna od przejeżdżających pojazdów, jakby prawdziwy trakt pocztowy, wzdłuż której rozciągały się nawet ścieżki dla pieszych. Tam, gdzie przed dwoma miesiącami duże, trójmasztowe okręty bezpiecznie suwały nad głębiną, teraz siedziały stare baby przy nakrytych stolikach, na których miały do przedania bułki i różne napoje; tam rozciągnięte były namioty, z szczytu których w mroźnym powietrzu powiewała duńska flaga i cały dzień pełno się tu snuło ludzi. Okręty zamarzły w porcie, i stały doń przymocowane jak gdyby ugrzęzły na mieliźnie. Pod brzegami Szwecji, jak daleko sięgało oko, widzieć się dały, jakby czarne punkta, jeźdźcy i piesi, którzy wybrali się na odwiedzenie sąsiadów.

Taki czteromilowy jarmark śnieżny i lodowy ma coś w sobie dziwnie przejmującego, skoro pomyślimy o zięjącej pod nim głębinie; burza połączona ze zmienionym kierunkiem prądu w kilka minut może przełamać całe lody; ale tak samo, jak właściciel winnicy grona swoje sady na ciepłej lawie i bezpiecznie usypia nad brzegiem przepaści, tak i tu wieśniak spokojnie przejeżdża lodem i pociesza się tą myślą, że jest w ręku Boga.

Pamiętamy zapewne, że nieboszczka żona Piotra Wika była rodem z Szwecji, z miasta Malmö; tam mieszkali jeszcze jej krewni. Kapitan okrętu, którego statek zamarzł w porcie i który skutkiem tego musi w nim przezimować, niewiele miewa do roboty. Otóż droga do Szwecji była otwartą, podróże szły w najlepsze tam i na powrót, a Piotr Wik miał także ochotę puścić się do przyjaciół i zabrać z sobą naszego Krystiana.

Słońce świeciło jasno, a godzina była jeszcze dość ranna, kiedy podróżni nasi wybrali się w drogę. Sund wyglądał jak jedno pole, okryte śniegiem, gdzieś tam przez wiatr nagromadzonym w wysokie pagórki, gdy tymczasem miejscami jakby zmieciony był z drogi, a lśniące zwierciadła lodu sterczały jak groble i jeziora.

— Teraz idzie o to — rzekł Piotr Wik — czy pokrywa wytrzyma, żebyśmy nie wpadli na dno garnka, gdzie nie masz ani słońca, ani świecy. Ale co tam! alboż to my nie morskie chłopcy! pójdźmy, czy nas uniesie, czy też się załamię!

Już uszli byli milę od brzegów Zelandyi; wtem zerwał się silny wiatr, zbierały się gęste chmury, a Piotr Wik ciągle jeszcze nie tracił dobrego humoru. Spotkali trzodeę bydła, a handlarz zapewniał ich, że lód jest mocny i bezpieczny, tylko że później zapewne pogoda się odmieni.

— Toby mi dopiero była historia, gdyby się morze oczyściło, póki my jeszcze na nim wędrujemy! — zawołał kapitan. — No i cóż! Oszczędzilibyśmy sobie fatygi do domu; ot! pokołysalibyśmy się do woli! Toć tu i tak człowiek łązi, jak mucha w syropie!

Powietrze chmurzyło się coraz bardziej, śnieg zaczął prószyć; podróżni nasi nie byli jeszcze wpół drogi. Raptem chmury sypnęły na nich gwałtowną zawieruchą.

— Podnieś sobie chustkę na uszy! — rzekł Piotr Wik. — To niedługo przejdzie!

Szli dalej ze spuszczonej głowami, dla zasłonięcia się od przykrej zamieci. Wysoko w powietrzu szumiał wicher, jak pędzące w potoku koło młyńskie.

— No i cóż? czy jeszcze nie ustaje? — rzekł kapitan, podniósł głowę do góry i stanął. W tej chwili pod nimi zaturkotał lód, jakby najokropniejszy wystrzał armatni. — Póki trzaska to i trzyma! — zawołał, porwał Krystiana za rękę i szybko poszedł dalej. — Trzeba nam iść w prostej linii, to jak raz natrafimy na pomost portowy w Malmö! A to mi się dopiero pieni z góry! — zawołał i oddmuchiwał płaty śniegu, wiejące mu w same oczy. Wtedy znowu zagrzmiało pod nimi od silnych prądów, rozdzierających lody, chociaż na powierzchni nic jeszcze nie było widać. — Dalibóg! niezłe tam u nich są armaty! — rzekł — szkoda, że z nich nie strzelali w urodziny naszej królowej!

Przez chwilę śnieg padał mniej gęsty; dziwny jakiś odgłos, niby ludzkie westchnienie, dał się słyszeć pod nimi, zupełnie różny od tego, który dopiero co zagrzmiało w ich uszach; rzekłby kto, że uwięziona głębia szuka wolnego oddechu. Piotr Wik stanął i zamrużywszy oczy spojrział przed siebie. — Jeszcześmy nie zaszli w pół drogi — rzekł. — Mnie się zdaje, że na dzisiaj zostawmy Szwecję Szwecją. — Jeszcze raz przystanął i słuchał.

Jako marynarz wiedział dobrze, że mocny lód przy zmianie prądu i przy wietrze południowo-wschodnim, jaki się teraz zerwał, w nader krótkim czasie może się załamać i popędzić ku północy. Jest to jedno z najbardziej imponujących widowisk natury w Danii. Siła lodu, moc prądów, zwłaszcza pod Helsingör, gdzie Sund zaledwie na pół mili jest szeroki, w potężnej walce ścierają się z sobą. Ogromne bryły kry ściskają się, woda unosi je wysoko, a zewsząd otoczone piętrzą się w dziwnych kształtach, podobne do pływających szklanych pagórków. Cały Sund wydaje się jedną pędzoną wiatrami skałą.

Jeszcze nie było widocznych oznak takiego widowiska, lecz sygnał już był dany, a wójenne rumaki głębin zarząły śmiercią wszystkim podróżnym na powierzchni. Śnieg puścił się znowu. Piotr Wik zawrócił, a teraz już droga była lżejsza, bo wiatr i śnieg mieli za sobą. Nagle dał się słyszeć tuż za nimi słaby, lecz przenikający okrzyk przerażenia; Wik obejrzał się na szczęście dość wcześnie, żeby nie dostać się pod małe, leciutkie saneczki, w których siedziało czworo ludzi. Sanki te jechały wzdłuż Sundu, w kierunku między dwoma brzegami. Piotr Wik krzyknął: — holla! — na co odezwały się głosy przejezdnych, a sanki zatrzymały się.

Jakiś wielki pan, Duńczyk, siedział przy służącym na przodzie; dwie damy, z których jedna starsza, a druga bardzo młoda panienska, zajmowały wygodniejsze miejsca. Młodsza płakała głośno, a starsza cała otulona była w futro.

— Jak daleko jeszcze do Zelandyi? — zapytał pan.

— Około dwóch mil! — odpowiedział Piotr Wik. — Ale jeżeli państwo pojedą w tym kierunku, to kawałek drogi będzie jeszcze niezły. Płyniecie prosto do Pruss. Tu leży Szwecya, a tu Zelandya — i wskazał na obie strony.

— Czyś pan tego pewny? — zapytał podróżny.

— Ja mam kompas w głowie! — odrzekł Piotr Wik.

— Fatalna pogoda! — rzekł obcy. — Powietrze było zupełnie czyste, kiedyśmy wyjechali z Szwecyi! Zdaje się, że powinniśmy być niedaleko wyspy Hveen?

— Nie! Hveen leży nieco wyżej! Czy pozwoli pan, żebym ja był waszym sternikiem? Zresztą, nie można tak galopować, bo teraz o małą szparę na drodze niezbyt trudno!

— Kochany panie kapitanie! tośmy tutaj się zeszli? — zapytała starsza dama. — Podobno trzeba będzie pożegnać się z życiem?

— Piotr Wik spojrział na nią; — toć ona go znała! — Ej, co tam! moja kobietko, — odpowiedział; — nie tak łatwo utonie, kto ma oczy. Teraz się zresztą już wyjaśnia!

Stara westchnęła głęboko. Była to znajoma nam guwernantka, którą nasz kapitan przywiózł do Kopenhagi. Piotr Wik wziął cugle do ręki, a na miejscu służącego usiadł Krystian. Obcy miał ze trzydzieści kilka lat, a widocznie należał do wyższego towarzystwa. Przed dwoma dniami ze swoją wychowanicą, jak ją nazywał, i z jej guwernantką pojechał do Skonii; lód zdawał się tak trwały i bezpieczny! Dziś wracali właśnie, gdy nastąpiła zmiana w pogodzie, a podczas zawieruchy, zamiast udać się w kierunku do Hveen, dostali się pod Amak.

Puścili się znowu w drogę.

Raptem na nowo dał się słyszeć ów jęczący, przerażający odgłos; skorupa lodu unosiła się z wolna i spuszczała się, konie stanęły, a Krystian po cichu zmawiał modlitwę.

— Jesteśmy w ręku Boga.

Młoda dziewczyna w przestachu objęła szyję przybranego ojca.

— Podobno najlepiej, żebyś wysiadł! — rzekł.

— Ach nie! — zawołała błagającym głosem. — Umrzemy! Lód załamuje się pod nami! — Zdarła z siebie futro i wyjrzała na świat, blada jak śmierć. Długie, czarne włosy spływały na twarz pełną przerażenia. Krystian spojrział na nią: — toż to Naomi! — ale nie śmiał jej nazwać po imieniu. Niespodziany widok usunął z jego pamięci wszelką myśl o niebezpieczeństwie.

Tu i owdzie przez szarą mgłę ukazywały się jaśniejsze plamy, ale o jakie może sto kroków za nimi kra piętrzyła się wysoko, a ciemna kresa w dziwnych konturach rozciągała się po bokach. Wtedy przed nimi dał się słyszeć inny znowu odgłos, nie wychodzący ani z powietrza, ani z morza, głuchy i żaloszny, jak ryczy podobno krowa morska, o której mówią, że przednimi łapami unosi się niekiedy na skały i odzywa do pokrewnych jej zwierząt na pastwisku, do których biedna wydobyć się nie może.

— Co to było? — zawołał obcy pan i niespokojny spojrział w kierunku odgłosu. Piotr Wik milczał.

— Cóż tam znowu, na prawo przed nami? — zapytał Piotr Wik i skrzywił konie. Z lodu sterczał duży drąg. — Pewnie rybackie przeręble, a drąg ten postawiony na przestrożę!

— Mnie się zdaje, że tam widać dom! — rzekł służący.

— Jeszcze do lądu nam daleko! — półgłosem odpowiedział marynarz.

— Holla! — krzyknął ktoś i jednocześnie odezwał się tuż przed nimi ten sam głos żaloszny, który raz już słyszeli.

Niedaleko od miejsca, w którym sanki się zatrzymały, było coś na kształt drewnianej szopy, na w pół śniegiem pokrytej. Tu zastali handlarza z bydłem, które ryczało od zimna.

— Cóż to za pudło, coście w nie wleźli? — spytał Piotr Wik. — Czy wy tu udajecie się na spoczynek?

— Tak jest, nic lepszego nie pozostaje nam do czynienia! — odpowiedział tamten.

— Tu przynajmniej człowiek ma ziemię pod sobą, a P. Bóg jest nad nami! I państwo najlepiej tutaj pozostaliby! Toć tam jest dwór! — i wskazał na budynek stojący o kilka kroków dalej, podobny z pozoru do chałupy wiejskiej.

Była to mała kępka Saltholm, której najwyższe tylko punkta zimową porą sterczą nad wodą i którą myśliwi zwiedzają dla wielkiej obfitości zajęcy. Latem przeciwnie kępa ta doskonałym bywa pastwiskiem, dlatego też mieszkańcy wyspy Amak na nią zwykle pędzą swoje trzody. Już w czasach wojennych był tu mały budynek, który w późniejszych czasach powiększył się w znaczny dworek i w którym stałe osiadło całe gospodarstwo.

Handlarz mówił, że zwykle przez zimę jakiś człowiek mieszka w tym domku, lecz że teraz nie zastał nikogo; zapewne musiał pójść czy do Amak, czy do Szwecyi i dość wcześniej nie zdążył powrócić. W domku było pusto.

Nasza mała karawana zatrzymała się, a spustoszała kępa zdawała się jej wolnym portem najwyższego szczęścia.

Wewnątrz ukazały się cztery nagie ściany, iskrzące od zmarzniętej wilgoci. Kuchnia i izba stanowiły jedno. W kącie na kamiennej podłodze stało nieposłane, liche łóżko, które wnet wyniesiono. W komórce obok było mnóstwo torfu, który Piotr Wik rozpałił na kominku za pomocą kilku starych desek. Wniesiono poduszki z sanek, najpyszniejsze, jak się zdawało, dywany.

Całość przedstawiała widok samotnej stacji na Symplonie, kiedy śnieżna zamieć i burza zmuszają podróżnych do poszukania schronienia. Mróz był dość wielki, że śmiało mógł zastąpić temperaturę górzystą, a patrząc na szare powietrze z bujającymi płatami śniegu na ruchomych bryłach lodu, które w dziwnych kształtach unosiły się nad wodą, rzekłby kto, że to chmury spływające po bokach gór Alpejskich.

Nigdy bym tego nie myślał, — rzekł śmiejąc się Piotr Wik, — żebyś między Zelandią a Skonią miał taki wypadek, jak ongi Albert Juliusz! Czy państwo znają tę książkę: Dziwne Przygody kilku Marynarzy? Mam ją w swojej kajucie. Już to z głodu nie pomrzemy, póki tu mamy krowy i cielęta, ani z pragnienia także, skoro śnieg leży wysoko na dwie stopy. Tymczasem zaś, albo morze puści, wówczas przyplyną statki, które nas zabiorą, albo też znowu zamarznie, wtenczas dojedziemy sankami do Amak po włoszczyznę do rosółu, boć jej się tu nie doczekamy.

Obcy pan, którego guwernantka nazywała panem hrabią, zdawał się równie wesołym jak zacny marynarz. Guwernantka czynny brała udział w przygotowaniu ile możności największych dla małego towarzystwa wygod. Wysoko na półce stały dwa stare garnki, które wymyła śniegiem i oddała do wydoju pod rozporządzenie właściciela bydła. Jakoż wnet ukazało się w izbie świeże mleko, a z sanek wniesiono jeszcze nieco zimnych przekąsek i dwie butelki wina. Ogień ochoczo trzeszcząc, rozpościerał dobroczynne ciepło, gdy tymczasem wicher dął w okna, a śnieg uganiał się gęstą zamiecią.

Krystian gorliwie pomagał w usłudze i staranniej futrem i kołdrą otulił Naomi, która z przestachu jeszcze nie mogła zupełnie przyjść do siebie; siedziała jak posąg marmurowy i wlepiła w niego swoje duże, ciemne oczy, wykazujące dowodnie, że najsilniejszy ogień może jednak być czarnym jak węgiel.

Piotr Wik siedział przed kominem na podłodze i po dawnej znajomości poufale uśmiechał się do guwernantki.

— Teraz, widać, pani już lepiej, niż wtenczas, kiedyśmy razem byli na morzu, chociaż człowiek poczciwą i czystą wodę miał pod sobą; ale wtenczas pani jakoś wyglądała nie-tego; dziś już chwala Bogu! inaczej. Nigdy bym się nie był spodziewał, że się tak rychło spotkamy znów na morzu!

— Na lądzie i tak już dość bliskimi jesteśmy sąsiadami — odrzekła guwernantka — boć tuż pod naszymi oknami stoi pański okręt. Nieraz z rana widuję pana na pokładzie, a wieczorem słyszę wygrywających na skrzypcach.

— Więc to pańskie skrzypce tyle razy słyszałem? — spytał hrabia. — Bardzo oryginalny z pana muzyk! Zdaje się, że to były fantazje! Masz pan zemnie prawie co dzień nader uważnego słuchacza!

— Tak jest, skrzypce są moje, — odpowiedział Piotr Wik; — ale w żadne fantazje póki życia nigdy nie wdawałem się. To pan hrabia słyszałeś tego oto chłopca! żadnego kawałka dobrze nie umie, więc grywa zwykle piąte przez dziesiąte. Ja mu zawsze mówię, że to bigos, same resztki z niedojedzonych obiadów.

— To on? — spytał hrabia i z pewnym zajęciem spojrzął na Krystiana. — W tym chłopcu siedzi coś genialnego. Powinieneś był obrać sobie zawód muzyczny, tobyś może był wyszedł lepiej!

— Zapewne! — rzekł Piotr Wik. — Ale widzi pan hrabia, kiedy kto w domu ma tylko chleb z solą, to mu się na nic nie przyda, że usiądzie i zastanowi się nad tym, jakie pieczyście lepiej może smakować! — po czym opowiedział na swój sposób, jak się do niego dostał biedny junga.

— A to z ciebie widzę mały awanturnik! — zawołał hrabia z uśmiechem i pogłaskał go po twarzy. Krystian czuł, jak serce jego bije mocniej, podczas gdy obcy pan pilnie jemu przypatrywał się, ale nie śmiał odezwać się żadnym słówkiem, choć to o nim samym była mowa. Gdyby choć Naomi powiedziała: — Znam go także! bawiliśmy się z sobą! — Ale ona siedziała milcząca i tylko czarne oczy z natężeniem wlepiła w jego rysy.

Uczta, która teraz nastąpiła, zdaniem Piotra Wika była prawdziwą biesiadą Wielkano-ocną.

Słońce bliskie już było zachodu i czerwonym rąbkiem opasało rozchodzące się chmury. Widok na morze miał coś dziwnie niezwykłego; od strony Zelandyi biała lodowa płaszczyna, popękana w najrozmaitszych kierunkach, wyglądała jak duża, kolorowana mapa geograficzna, na której rzeki, góry i granice polityczne odznaczone były ciemniejszymi liniami; ciągle trzaskanie, połączone z powolnym unoszeniem się całej skorupy, wróżyło odmianę, która od strony Szwecyi już nastąpiła. Tu ścisła się ogromna kra w potężnych bryłach, podobna do gór szklanych, a spuściwszy się na dół pędem strzały, popłynęła dalej na spienione, modre morze.

Teraz oderwała się także najbliższa naszych podróźnych masa, a prąd wody uniósł ją daleko.

— Jakieś zwierzę zostało na lodzie! — zawołała Naomi.

Był to biedny zajac, który bojaźliwie stanął nad brzegiem kry, i jakby mierzył odległość, która go dzieliła od ładu, coraz bardziej oddalającego się. Biedny płynął na śmiertelnej swojej nawie.

— Aż zabawnie patrzeć, jak skacze! — rzekła Naomi, — ani raz nie może się dostać na ląd! — Sama w bezpieczeństwie, uśmiechała się tak, jak Hiszpanka uśmiecha się na widok walki w arenie.

W domku tymczasem przyrządzono wszystko jak najlepiej na nocleg. Naomi i guwernantka dostały każda po poduszce z sanek; mężczyźni musieli sobie radzić, jak mogli. Handlarz bydła pozostał w szopie, gdzie mu między krowami ciepło było i dobrze, i gdzie z czapką zsuniętą na uszy, po królewsku, jak Faraon, marzył o tłustych i chudych jałówkach. Hrabia powrócił z wieczornej przechadzki; wszyscy już spali, wyjąwszy Krystiana, który torf i drewna podkładał pod ogień.

— Alboż ty wcale spać nie będziesz, mój chłopcze? — spytał hrabia.

— Nie mogę! — odpowiedział i spojrzał na tysiączne obrazy, które mu wyobraźnia jego ukazywała w konturach płomieni. Tak samo palił się dwór żyda, gdy Norwegczyk Naomi wyniósł oknem, tak samo żarzyła się topola, tak samo węglił bocian! Przypominał sobie wszystko, jak gdyby to było dopiero wczoraj, a Naomi tak zupełnie już o tym zapomniała! Ani słowa nie powiedziała nawet, że się znają, a jednak oczy ich spotykały się z sobą tak samo jak wtenczas, kiedy bawili się różnokolorowymi listkami. — Więc już mnie wcale nie pamiętasz? — te słowa drżały na jego języku, gdy mu powiedziała: dobra noc! ale te słowa zamarły mu na ustach. A jednak znała go dobrze; jej myśli nawet zajęte były tymi samymi wypadkami, co jego. Pamiętała doskonale, jak razem siedzieli na wysokich schodkach kamiennych, jak on przynosił jej duże liście i kwiaty, jak ją pocałował w usta i w oba policzki, ale teraz! ha! teraz on był tylko biednym jungą okrętowym!

Hrabia przysunął się bliżej do niego.

— Więc to ty wieczorami grywasz w ciemnej kajucie? Cóż wolisz? czy morze, czy muzykę?

— Muzykę! — odpowiedział z iskrzącymi oczyma.

— Wybornie! jeżeli, jak sądzę, jesteś geniuszem, to już ty sobie drogę utworzysz. Nie kłopotz się o to, żeś ubogi! prawie wszyscy najwięksi artyści byli biedni! tylko nie bądź dumny, jeżeli się kiedyś wzniesiesz do równi z nimi! Wtedy, gdy tysiące bić ci będą oklaski, łatwo mógłbyś dostać zawrotu! Tak! — dodał poważniejszym tonem — trzeba być wielkim geniuszem, żeby się wzniesić z ubóstwa, bardzo dużo trzeba się uczyć.

— Ach! chętnie bym robił wszystko! — zawołał Krystian. — Wszystko, czego by tylko żądano!

Rozmowa zdawała się bawić pana hrabiego, więc opowiadał mu jeszcze o znakomitych artystach, jak ciężkim bywał ich los, jak wielu nawet nigdy na ziemi nie doczekało pociechy, ani nawet poznania własnej swej wielkości, a Krystianowi zdawało się, że własna jego przyszłość przesuwa się przed jego oczyma w dziwnych, ale widzialnych kształtach!

— O panie! — zawołał przytłumionym głosem, nie mogąc powstrzymać łez cisnących się z jego oczów; — nikogo nie mam w całym mieście, coby mi chciał przyjść w pomoc! Rad bym się uczyć muzyki! O! dzień i noc myślałbym o tym wszystkim, czego by mnie uczono! — I opowiadał o swoim domu, o samotnym swoim położeniu.

Hrabia spojrzał na niego wzrokiem pełnym zajęcia, a Krystian rękę jego przycisnął do ust, zwilżył ją łzami i ofiarował się, że mu będzie służył, że czyścić będzie jego suknie i obuwie, chodzić gdzie go zechce posłać, byleby mu dopomógł do nauki tego, czego potrzeba na to, iżby został artystą, jak tamci o których sam wspominał.

— Tak, dobry chłopcze! — rzekł hrabia — to nie tak łatwo jak się tobie zdaje! Zresztą, musiałbyś chyba na to być wielkim geniuszem, a tu dopiero czas okaże, czy jesteś nim w istocie. *Trzeba ci zawsze o tym pamiętać, żeś ty biedny i nic więcej.* Jeżeliś w samej rzeczy geniuszem, tedy już to wyjdzie na wierzch, chociażbyś jeszcze rok i dwa lata tułał się na morzu. *Per aspera ad astra!* Do walki właśnie potrzeba przeciwności. Jeżeli masz wyjść na człowieka, tedy niezawodnie wyższa Opatrzność przyjdzie ci w pomoc, możesz być tego pewnym, tym bardziej, że ja dla ciebie nic zrobić nie mogę, bo ja mam tylu innych! — I wydobywszy z kieszeni sakiewkę, dał mu bitego talara wraz z tą oklepaną pociechą, że prawdziwy talent zawsze sam sobie utworuje drogę, po czym lepiej otuliwszy się w ciepłe futro, głowę oparł o mur, jak gdyby do spoczynku.

Otóż i takie były Ikarowe skrzydła, które przywiązał do ramion geniuszu; śmiało uformowane skrzydła, szkoda tylko że ołowiane! Toć wyrazy te były starym tematem, który z pokolenia w pokolenie brzmi w uszach artystów i z różnymi wariacjami brzmieć będzie



lat tysiące, dopóki świat pozostanie ten sam, który Sokratesowi dał puchar z trucizną, a Chrystusowi koronę cierniową.

Dopiero nade dniem Krystian zasnął, lecz wkrótce obudził go znowu Piotr Wik, bo wiatr się w nocy obrócił, lód zamarzył na nowo i trzeba było korzystać z przyjaznej chwili, żeby dostać się do Amak. Zaprzężono sanki i przygotowano wszystko do odjazdu. Handlarz wypędził bydło naprzód, bo gdzieby się ono utrzymało, tam można było być pewnym, że lód utrzyma także lekkie saneczki z Naomi i guwernantką.

Pochód wyruszył. Lód trzeszczał wokoło. Na wielu miejscach musiano zboczyć z prostej drogi, żeby tym sposobem wyminąć sterczące bryły, — gdzie indziej znów stała woda, którą podróżni nasi przebrodzili. Naomi z przestrachu zamykała oczy.

— Toniemy! — rzekła do Krystiana, który stanął z tyłu za sankami.

— O nie! Pan Bóg nie zechce, żebyśmy teraz umarli! — odpowiedział.

Sanki zachybotwały się kilka razy; lód jakby się kołysał, woda dochodziła wysoko po kolana koni, a Naomi rękami objęła Krystiana. Guwernantka trzymała się przeciwnej strony sanek. Nareszcie dojechali do równiejszej płaszczyny lodowej.

— Widzicie państwo, teraz znowu jesteśmy na nowym trakcie! — rzekł Piotr Wik. — Podobno nie zaśpiewają o nas smutnej piosenki, chyba że ja sam ją ułożę, ale to nie moje rzemiosło! Raz tylko jeden w życiu napisałem nagrobek, który czytać można na cmentarzu marynarskim nad grobem mojego najserdeczniejszego przyjaciela: — „W roku 1801 stanął i stał, w roku 1807 położył się i leży!”<sup>22</sup>

— Czy wcale mnie nie pamiętasz? — spytał Krystian.

— Pamiętam! — rzekła Naomi, lecz zaledwie to powiedziała, kiedy już blade jej policzki nabiegły rumieńcem. — Wszak ty byłeś u nas w sali w moje urodziny!

— Ależ w Swendborgu? — mówił dalej.

— Ach tak! wtenczas! Owszem, dobrze pamiętam! To już tak dawno! — Nagle odwróciła się do guwernantki. — Teraz niedługo będziemy na lądzie! Dlaczegoż nic do mnie nie mówisz? Jak też zimno! — i twarz swą znowu otuliła w futro.

Krystian zsiadł i pieszo poszedł za sankami. Sam nie wiedział powodu, ale jakoś smutno mu było na sercu; miał ochotę położyć się na lodzie i tak przespać długie lata, jak Bracia śpiący w legendzie.

Teraz już widać było ludzi na brzegu i wnet cała obawa miała swój koniec. Już byli na stałym lądzie. Hrabia ofiarował Piotrowi Wik pieniądze.

— Nie panie! — rzekł marynarz; — państwo nie na moim byliście statku, a gdyby kto miał co zapłacić, to chyba ja i junga, żeśmy mieli zaszczyt przenocować razem z tak wielkim państwem!

Guwernantka podała mu rękę, a Naomi poszła za przykładem jej i hrabiego. Krystian stał z czapką w ręku, i po raz drugi w życiu widział, jak towarzysza jego lat dziecinnych po pańsku odjeżdża w świat.

— My pojedziemy za nimi na naszych nogach! — rzekł Piotr Wik.

## XVIII

Dopiero od lat niewiele oko nasze przywykło do pięknego widoku koni na arenach wyścigowych; jest to poniekąd uwydatnienie obrazu dzikiego biegu rumaka w pustyni. Jeden z najwybitniejszych opisów tego zwierzęcia w stanie natury czytamy w ślicznym utworze Washingtona Irvinga, w jego: *Podróży przez stepy*<sup>23</sup>; tu prowadzi nas do dziewiczych lasów, gdzie dzikie bluszcze wiją się od drzewa do drzewa i tworzą całomilowe płoty, skąd znów widać ogromne równiny, na których wysoka trawa kołysze się jak morze, a dzikie konie licznym stadem, z latającymi grzywami i w śmiałych skokach pędzą przez błonie. Ale strzelec zarzuca sznur na dumne, swobodne zwierzę, a ono powstaje z całej siły, żeby się wyrwać z więzów; na próżno, trzymają je silniejsze jeszcze dłonie. Pierwsze uderzenie batem pada na grzbiet jego, a pieniąc się i buchając parą po raz ostatni próbuje swojej siły; — i teraz jeszcze na próżno, więc jak nieżywy pada na ziemię. W tym drugie uderzenie

<sup>22</sup>W roku 1801 stanął i stał, w roku 1807 położył się i leży! — jak wiadomo, w tych dwóch latach Angliki bombardowali Kopenhagę. [przypis tłumacza]

<sup>23</sup>Podróż przez stepy — *A tour on the prairies* Washingtona Irvinga. [przypis autorski]

batem, a pokonany koń podnosi się cierpliwie i związany sznurem idzie za zgnębnym już dawniej bratem, obładowanym ciężkimi pakunkami.

Cóż jest smutnego w takim przejściu. Od dzikiego rumaka stepu aż do wychudłej szkapy przed chłopskim wozem skok jest nieskończenie wielki, jakkolwiek rodzaj jest jeden, a po najświetniejszym początku częstokroć podobny następuje koniec. Biegun, który dumnie nosił króla, którego głaskała jego prawica, którego pielęgnowano niby istotę szlacheckiego rodu, ten sam rumak skutkiem nieszczęśliwego wypadku zstąpi do godności konia żołnierskiego, a na ostatku skończy w hołoblach kary miejskiego sprzątacza.

W takich pogrążeni dumaniach, dziwnie jakoś bywamy dotknięci, kiedy w pogodny dzień zimowy, gdy jędrny śnieg iskrzy się na ulicach, przy świetle księżycy wejdziemy na wielki plac w Kopenhadze, zwany Nowym Rynkiem Królewskim. Naokoło konnego posągu królewskiego, gdzie stoją dwie figury marmurowe, pędzi cały szereg najemnych saneczek, w których ulicznicy i pospólstwo za opłatą dwóch szylingów odbywają kurs dwa razy wkoło statui. Sanki te zwykle są stare i bardzo obdrapane, lecz zaprzężone do nich konie jeszcze nędzniejszy przedstawiają widok. Kiedy już woźnica szkapy swojej użyć nie może do roboczej fury, zakłada ją do sanek i zajmująca publiczność wychudłe zwierzę póty wali batem, aż póki cwałem nie puści się w drogę, skąd wraca całe złane potem, by później na trzaskającym stojąc mrozie nowego czekać pana, co je do nowej jazdy wnet napędzi. Częstokroć ta jazda kończy się padnięciem konia, a bez wątpienia największe to szczęście, jakie tylko może go spotkać.

Było już nad wieczorem, gdy wspomniane sanki szylingowe okrążyły marmurową statuetę; z daleka słyhać było efektowy odgłos dzwonek, trzaskanie biczów i wesole okrzyki jadącej zgrai. Piesi po większej części okrążyli z dala niebezpieczne miejsce; niewielu tylko śmiało przechodziło środkiem rynku, a śmielsi rzucali wkoło badawczym wzrokiem i szybko skakali przez przecinające się w liniach kulistych i elipsach koleje małych ekwipaży. Między owymi śmiarkami był jakiś pan w dużym płaszczu; był to hrabia, który kilka już sanek ominął szczęśliwie, lecz za zbliżeniem się nowych, w których siedziało dwóch wesole wykrzykujących majtków z chłopcem, na próżno stawał, żeby im dać przejechać, bo sanki w tej samej chwili skrzyły wprost ku niemu, koń parsknął na niego pianą, lecz zarazem biedne zwierze padło na ziemię, a sanki, raptem wstrzymane, poleciały o parę kroków na bok; koń kilka razy dziwnie jakby westchnął, z wyrazem boleści przewrócił oczy i — skonał. Ludzie zbiegli się, a między nimi było także kilku woźniców z batami w ręku.

— Ach! to ten *dziwak* zdechl! — rzekli — no! już on drugi raz tego nie zrobi.

*Dziwak!* to imię wywołało w duszy hrabiego ubiegłe jakieś czasy, bo w żywych barwach stanął w pamięci jego stary zamek rodzinny w mieście, gdzie jaśnie pani matka delektowała się romansami Lafontena. Dlatego też pięknego źrebiaka, którego młody hrabia dostał na swoje urodziny, według bohatera jednego z tych romansów, nazwano *dziwakiem*<sup>24</sup>. Było to piękne, dumne zwierzę, a kiedy przejeżdżał na nim przez ulice Swendborga, wszyscy zbiegali się do okien, a jeździec i rumak stawali się przedmiotami powszechnego zajęcia. Piękna Sara, córka żyda, głaskała go swoją drobną rączką, a konik bardzo lubił guwernantkę, bo tak ją nazywano we dworze; rżał głośno, gdy całowała go w głowę, a jeździec jeszcze lepiej lubił ładną guwernantkę i dlatego musiała odejść z dworu — smutna to była historia! — Kiedy następnie młody hrabia wyjechał za granicę, skryła się także gwiazda *szczęścia dziwaka* i sprzedano go na jarmarku Ś. Kanuta.

Czyż to nie mogło i nie musiało nawet być to samo schudzone i zbiedzone zwierzę, które tu leżało bez życia? Wszystkie te myśli w jednym potężnym wspomnieniu na imię *dziwaka* przebiegły duszę hrabiego: toć to wszystko, co pozostało mu jeszcze z szczęśliwszych dni minionych. Dlatego też dłużej tu postał, niżeli byłby uczynił w innym razie, i nie zauważył nawet większego jeszcze obok nieszczęścia; chłopczyk bowiem, który siedział w sankach, zapewne musiał ponieść jaką szkodę, gdyż wniesiono go do sklepu sąsiedniego cyrulika.

<sup>24</sup>według bohatera jednego z tych romansów, nazwano *dziwakiem* — *Der Sonderling*, tytuł jednego z ulubionych utworów Augusta Lafontena, bardzo wziętego na początku bieżącego wieku powieściopisarza niemieckiego. [przypis tłumacza]

Z zimnej tej sceny wieczornej wraz z hrabią wstąpimy do wygodnego jego mieszkania, obok którego stał okręt z linami grubo pokrytymi śniegiem. Ciepłe, perfumami woniące powietrze dolatywało wchodzących; świece woskowe w srebrnych kandelabrach oświecały pokój, na którego posadzce leżał różnokolorowy dywan, jeszcze miłszy i elastyczniejszy przez to, iż pod nim ułożono grubą warstwę mięciutką podkładkę. Na ścianach wisiały wybornego pędzla prześliczne krajobrazy; po obu stronach mahoniowej szafki z książkami, stały odciski z gipsu: *Umierającego Gladiatora* i *Młodzieńca Rzymskiego*, w szafce zaś znajdowali się sami tylko pańscy autorowie, tacy jak: Goethe, Rasin, Swift, lecz ni jedna książka duńska, jak to często się wydarza w naszej tak zwanej wyższej klasie społecznej: rodzaj biblioteki na pokaz, dowodzącej wprawdzie gustu, o którym jednak dopiero rozmowa wskazuje, czy jest rzetelnie prawdziwy, czy też tylko pozorny i udany. Zresztą długi szereg almanachów niemieckich, niekoniecznie dobrą pod tym względem stanowił rękomię. Do obocznego pokoju nie było drzwi, lecz wschodnim zwyczajem wisiały grube makaty, a z piramid między adamszkowymi firankami wisiały w dziwnych liniach różne rośliny bluszczowe; niebieskie i blad różowe hiacynty dzwoniły wonią i barwami. Przy stoliku nakrytym do herbaty, przyrządzeniem której zajmowała się guwernantka, siedziała Naomi z jakimś podstarzałym jegomością; był to szambelan. W owym czasie Torwaldsen właśnie zaczynał zjednywać sobie sławę europejską: o nim też mówił pan szambelan.

— Znałem go! — rzekł. — Wtenczas kiedym ja awansował na kamerjunkra, on nie był jeszcze niczym; ale to pewna, że z niego wielki geniusz, a gazety ciągle o nim mówią. Toć na honor! nazwisko jego wydrukowali nawet w *Journal des Débats*! Sławny już, co się zowie, tylko że do stołu królewskiego nie mógłby mieć przystępu, skoro nie jest radcą konferencyjnym!

Na stoliku leżały ryciny i albumy, widoki okolic włoskich, które w swoim czasie zwiedził pan hrabia.

— *Magnifique! magnifique!* — zawołał szambelan. Oto Genua, byłem i ja tam przed dwudziestu siedmiu laty! Co tam za piękne kobiety! A tu Bononia! — ach tak! Bononki! co to za oczy! — Guwernantka spuściła swoje. Szambelan dodał półgłosem: — Piękne kobiety! toć dla nich tylko całe nasze podróże!

Hrabia opowiadał, jak go przed chwilą o mało co nie przejechali; jakiś chłopczyk zaś pewno zrobił sobie szkodę. — Wszak go znacie? — dodał; — to ten mały geniusz muzyczny!

— On tu u nas dawał koncert! — rzekła śmiejąc się Naomi. Służący go przyprowadzili, on grał, a oni klaskali, aż w końcu stangret Jan znalazł się dowcipnie i waleta treflowego, jakby order zawiesił mu na piersi. Poznał się jednak na tym, że sobie z niego żartują i lży mu stanęły w oczach; później nadeszła Eliza — to mówiąc wskazała na guwernantkę — i wszystko wróciło do należytego porządku!

— Biedny chłopiec — rzekł hrabia — teraz go oddadzą do szpitala.

— Ależ ja go słyszę grającego! — zawołała guwernantka. — Zupełnie ta sama muzyka, którą zwykle słyszymy co wieczór!

Hrabia zadzwonił.

— Idź, dowiedz się, — rzekł do wchodzącego lokaja, — czy mały junga zrobił sobie jaką szkodę wylatując z sanek?

Lokaj wnet powrócił; w samej rzeczy chłopiec wywichnął sobie nogę, ale już ją znowu naprawiono, a teraz czekał w sieni ze skrzypcami, bo kazał mu, żeby je zabrał z sobą.

— No, ja o tym nie mówiłem! — rzekł hrabia. — W każdym razie dobrze, że sobie nie zrobił szkody!

— Czy nie zobaczymy małego arcydzieła? — zapytał szambelan. — Piękne oczy panny Naomi mówią, że gotowe zachęcić artystę!

Hrabia uśmiechnął się, a za chwilę stanął przed nimi Krystian kryjąc za sobą skrzypce. Wszystko tu w pokoju było tak woniące, ciepło tak przyjemne, wkoło niego sam tylko przepych i bogactwo: a przy tym także kwiaty i ta sama Naomi, zupełnie tak jak wówczas, kiedy przelał przez otwór w murze do ogrodu żyda. — Chęć mnie słyszeć grającego! — pomyślał i zadrżał z radości.

W tej chwili wszedł do pokoju jakiś pan wysoki i chudy, z twarzą poważną a nawet surową. Ponurym i badawczym wzrokiem spojrzął na Krystiana, jak gdyby chciał powiedzieć: — Cóż tutaj robi ten ubogi chłopiec?

— Jest to mały geniusz muzyczny! — rzekł hrabia i w kilku słowach wyjaśnił mu całą znajomość.

Obcy jeszcze surowiej spojrzął na chłopca, którego hrabia odprawił z obietnicą, że go słuchać będą drugim razem i znów dał mu do ręki bitego talara; lecz Krystian na wół tylko uszczęśliwiony opuścił wspaniałą apartament.

Służący zaciągnęli go znowu do swej izby, i teraz, tak samo jak wczoraj, zagrał im różne sztuczki. Żarty sypały się znowu jedne po drugich, lecz pochlebiano też jego próżności, a w końcu dano mu nieco drobnych pieniędzy. Gdy uradowany schodził ze schodów, spotkał poważnego pana z surowym wejrzeniem. — Toć oni z ciebie stroją drwiny! — zawołał, a te wyrazy jak paląca trucizna wpadły w kielich jego szczęścia.

Na okęcie Piotr Wik przyjął go z zagniewaną miną.

— Co u kata! gdzie ty się włóczysz? — zapytał. — Czyś ty został miejskim muzykantem? Tam na dole w kajucie możesz sobie rzępolić, ile ci się podoba, ale nie przed tymi fagasami, bo cię poczęstują kulakiem, że długo popamiętasz! Czy rozumiesz?

Krystian smutny i w milczeniu położył się w swojej małej koji.

## XIX

Ostateczności są jakby okrąg koła: tam właśnie gdzie najczęściej rozchodzą się z sobą, znowu zbliżają się do siebie. Dopiero nad grobem drogiej nam osoby najszczerzej wierzymy w nieśmiertelność.

Właśnie teraz, kiedy rzeczywistość wszystkie przerywała marzenia i nadzieje Krystiana, wzmogło się najbardziej jego ku nim zaufanie. Po głowie jego roily się postacie owych artystów, o których opowiadał mu hrabia w czasie noclegu na kępie.

Dwie tylko książki przeczytał tej zimy: Stary Testament i Alberta Juliusza; ale obie były dla niego wyrazem nieomyślnej prawdy, a w obudwóch walka i przeciwności stałe wieńczyły się najwyższym szczęściem. Albert Juliusz znalazł to szczęście na skalistej swojej wyspie; historie biblijne, które zresztą są zarazem słowem Bożym, zwiastowały mu tę samą pociechę. Pastuszek, biedny Dawid, został królem Izraelu, — Job odzyskał zdrowie i majątek, — niegodziwy Haman skończył na szubienicy, gdy tymczasem Esterę wraz z jej królewskim panem złota zdobyła korona.

— Prawdziwy geniusz zawsze utoruje sobie drogę! — powiedział hrabia. — Wielki Boże! — błagał Krystian dzienną modlitwą — daj mi prawdziwy geniusz! Użyję go nie na co innego, jedynie na Twoją chwałę!

Całymi godzinami stawał w pogodne wieczory na pokładzie i pełen ufności przypatrywał się świejącym gwiazdom niebieskim. Astrologowie dawniej mniemali, że gwiazdy wywierają wpływ na nas ludzi żyjących pod nimi; dziś już ta wiara ustała i chyba tylko gwiazda na fraku podobną szczycić się może potęgą. Krystian spodziewał się pomocy po obudwóch, po gwiazdach tam wysoko i po hrabim, na którego piersi tak samo świetnie iskrzyły się brylanty. Lecz niestety! żadna z tych dwóch nie dopisała mu!

Tak dumając pewnego wieczora siedział w ciemnej kajucie, a zdrzemnąwszy się, dziwnie wyraźny miał sen o pewnej osobie, którą już prawie zapomnieliśmy, lub o której zupełnie już nawet zapomnieli nasi czytelnicy: o matce Małgorzacie. Śniło się jemu, że go bierze za rękę i prowadzi przez ogromną pustynię, gdzie za każdym krokiem głębokie ukazywały się rozpadliny zagrażające im niebezpieczeństwem, aż nareszcie doszli do pięknego, kwitnącego ogrodu, gdzie wszystko było muzyką i szczęściem. Tutaj dała mu srebrne skrzypce, a gdy smyczkiem dotknął strun, odgłos ich zagłuszył wszystkie tysiączne instrumenta: silny ten dźwięk przebudził go, lecz taki sen oczywiście złał na niego radość i pociechę, skoro ta, której obraz ostatnimi wypadkami zatarty już był w jego duszy, na nowo stanęła przed nim w postaci dobrego Anioła. Prawda, że nie dała mu pieniędzy, jak hrabia, ale za to inaczej, bo serdecznie ścisnęła jego rękę i życzliwie zajrzała mu w oczy. Z dziwnym tedy przejściem w tej samej chwili, na schodach prowadzących do kajuty, usłyszał głos, zupełnie podobny do głosu matki Małgorzaty! Może już teraz przychodzi, jako potężna czarodziejka, poprowadzić go do sławy i szczęścia; rad by wybiegł

na jej spotkanie, ale nie była sama, bo jeden z majtków postępował za nią. Wchodząc, ten ostatni zapytał na głos, czyli tu kogo nie ma, — lecz dziwna bojaźń ścisnęła serce i usta Krystiana.

— Cóż masz mi do powiedzenia? — zapytał majtek.

— Od ciebie zależeć będzie — odpowiedziała — czy ciałem i duszą mam zginąć w wiekuistym potępieniu.

— Ty od razu, widzę, zostałeś świętą? — rzekł znów majtek z uśmiechem.

— Muszę ci wszystko powiedzieć, co mam na sercu! — odrzekła dziwnie przerywanym głosem. Krystian słuchał z uwagą, bo był pewnym, że teraz mówić zechce o nim.

Nie potrzebujemy się bynajmniej odwracać od tej rozmowy; owszem posłuchajmy jej. Jeżeli w alei ogrodu widzimy ogromną, brzydką żabę, śliskim ciałem swoim stanowiącą jakby jedność z ziemią, wówczas przejmujemy nas obrzydzenie i mimowolnie unikamy widoku tego stworzenia; — jeżeli zaś ściga ją lub dręczy nieprzyjaciel, a ona biedna jednostajny swój wydaje okrzyk bólu i rozpaczy, wówczas jesteśmy wzruszeni, a wstręt ów zamienia się w litość.

O ileż silniejsze muszą być te dwie ostateczności tam, gdzie idzie o istotę do nas podobną! Nie odwracaj się tedy od niej, że ci jej nie pokazuję w gronie tańczących odalisk, pod cieniem drzew palmowych, nad brzegami spienionego Gangu! Nie odwracaj się, że ją widzisz w niskiej kajucie statku kupieckiego, nie zaś na świetnym dworze, w pałacu marmurowym. Tu występki na najniższym jest szczeblu, dlatego że udziałem jego jest ubóstwo; tu nie ujrzyś go w złotogłowiach i w jedwabiu, lecz w całej swojej nędzy, gdy jak bazyliśki, sam widząc własny obraz, pada rażony gromem. Widok ten ma coś w sobie tragicznie wstrząsającego, kiedy natura ludzka spodlona niżej zwierząt, w zagubie swej jednak pojmuje, że stworzoną była na podobieństwo Boskie. Szczęśliwyś, jeżeli masz rodzinę, w gronie której nie postradałeś wstydu. Ona jej nie miała! Ileż jadu słodkie słówka mężczyzny wpuścić mogą w duszę kobiety, gdy namawiają ją do hańby! Gdybyś przed osiemnastą laty widział czternastoletnią, wysmukłą dziewczynę, z czystą wesołością w oczach, byłbyś pomyślał, że to Semela. — Tak jest! Semela czekała Jowisza w całym jego majestacie, jakoż kochanek przybył, — ale nie jak słońce co ogrzewa, lecz jak ogień co pali, i została popiołem w jego objęciach, mówi podanie. Obraz piękności przemienił się w ziemię i popiół.

Nie wierzymy już w upiory, nie wierzymy, żeby o północy duchy zmarłych w białych swych szatach nawiedzać mogły nas żyjących. Ale upiory te widzimy teraz w wielkich miastach, przy świetle księżyca, kiedy ostry wiatr dmie przez śniegi, a my coraz głębiej otulamy się płaszczem; widzimy bowiem wówczas istoty płci żeńskiej, ubrane w bieli, w lekkich wiosennych szatach, jak kiwając na nas przesuwały się ulicą. Zatrutą woń grobu zięją z siebie te postacie; nie wiercie rumieńcom zdrowia na ich twarzy, malowane to głowy trupie, a uśmiech ich jest uśmiechem rozpaczy lub pijaństwa. One nie żyją, ale gorzej nie żyją od naszych umarłych, bo pochowały dusze, a ciała ich są dziś upiorami; podobne do wampirów szukają krwi ludzkiej na pożywienie, dlatego też czepiają się wyrzutków motłochu, pijanego człeka z pospólstwa, na widok którego mężczyzna nawet się wzdryga. Są to straszliwe i nieszczęśliwe duchy, co wraz ze świtem nie zstępują na powrót do grobu, — ale przychodzą jak sny i marzenia rozpaczy, jak mara siadają na piersi i śpiewają o wzgardzie ludzkiej, o lepszym życiu ziemskim, a łzy spływają po malowanych policzkach, a chcąc się pozbyć marzeń, chwytają za kieliszek; więc poznaki jadu w następną noc, gdy się znowu ukaza, jeszcze wyraźniej wystąpią na ich czołach. — Ratuj mnie! dotąd jestem tylko w letargu, — chwilami czuję jeszcze, gdzie dusza moja żyje we mnie! — woła częstokroć niejedna z tych nieszczęśliwych, ale obecni uciekają przerażeni, jak gdyby słyszeli głos grobowy, a ona, na wpół umarła, nie ma już siły, by podnieść trumienne wieko potrzeb codziennych i ciężką ziemię grzechu, co ją przygniata.

— Ratuj mnie! — takie też były pierwsze wyrazy, które Krystian z ust jej usłyszał w kajucie, z ust tej, którą uważał dotąd za szlachetnie urodzoną, za wielką damę, a którą my znamy jedną z owych nieszczęsnych mar nocnych. — Tę! — zawołała; — nikt mnie nie szanuje! toż ja sama szanować się nie mogę! Ratuj mnie Jędrzeju! Rzetelnie podzieliłam się z tobą moimi pieniędzmi! mam jeszcze czterdzieści talarów! Żeń się zemną! Wyrwij mnie z tej nędzy, zaprowadź w takie miejsce, gdzieby mnie nikt nie znał, gdzie nie będziesz

miał zemnie wstydu! Będę pracowała dla ciebie, że aż krew tryskać będzie z paznokci! O! bierz mnie z sobą! za rok już może być za późno!

— Ciebieżbym miał zaprowadzić do moich starych rodziców? — spytał majtek.

— U nóg ich będę się wlokła, niech mnie biją, a cierpliwie zniosę wszystkie razy! Jużem stara, wiem o tym dobrze, już mam ze trzydzieści lat, ale to, o co cię proszę, jest prostym miłosierdziem! Jeśli ty nie uczynisz tego, to nikt już nie uczyni, a wtenczas nic mi nie pozostanie, tylko pić, aż głowa pęknie, a ja aż w końcu zapomnę, jakem się sama zgubiła! — Przytuliła się bliżej do brudnego majtka.

— Czy to te ważne rzeczy, któreś mi miała powiedzieć? — i odepchnął ją od siebie.

Te łzy, ten jęk połączony z wyrazami rozpacz, przesywały serce Krystiana; jedno marzenie więcej znikło z jego duszy, i widział teraz ciemną stronę rzeczywistego życia.

I znowu był sam jeden.

W kilka dni potem miano przerąbać lód w kanale. Majtek z Krystianem głęboko wrąbali się toporami w grubą skorupę, a duże bryły odlatywały po obu bokach. W lodzie było coś białego; majtek rozszerzył otwór i obaczył leżącą kobietę, ubraną w bieli, jakby na bal, z perłami na szyi, z kolczykami złotymi w uszach, ze złożonymi i mocno do piersi przyciśniętymi rękami: była to matka Małgorzata!

Krystian nie mógł zapomnąć tego widzenia; było to zakończenie historii owego wieczoru. Czegóż go najwięcej ojciec chrzestny uczył w ostatnich czasach, gdy razem jeszcze mieszkali w Swendborgu: — Oto bierz przyjemności póki możesz, żebyś na starość potem nie płakał, że nie masz żadnych grzechów! lepiej używać życia za wiele, aniżeli później w samotności wdychać nad tym, że go się nie używało, póki było można! — Pojął teraz demoniczne znaczenie tych wyrazów, zwrócił się pacierzem do Boga i pomodlił się: — *Ale nas zbaw ode złego!*

Tego samego wieczoru, opuściwszy okręt, nieszczęśliwa rzuciła się w wodę między lody i statki. Pożar rozpacz ugasiła w zimnej fali. Krystian już nie pokładał nadziei w swych marzeniach. Wiedział teraz nieborak, że na świecie nie masz czarodziejek, tylko w książkach.

## XX

Przez gęste liście kwiatów przechodzi w różnych kolorach światło, tu czerwone, tam niebieskie; z tą samą siłą Bóstwo wygląda z wszelkiego stworzenia: tak samo jak światło w kwiatkach, tak wszechmocność Jego błyszczy we wszystkich bożych utworach. Wszystko jest cudem, którego nie pojmujemy, lecz przyzwyczajamy się uważać go za rzecz zyczajną. W zmyślonych bajeczkach przeciwnie, cała nadnaturalność polega tylko na przerwaniu nici i na braku owego mądrego porządku, jaki codziennie mamy przed oczyma w wielkim, a boskim cudzie, którego my sami jesteśmy małą cząstką.

— Tu na świecie nie tak jak w bajkach, które mi opowiadano! — zawołał Krystian. — Tu nie masz żadnych potężnych czarodziejek! — Ale jest Pan Bóg, jeszcze potężniejszy; o Jego mądrości głosi całe wokoło stworzenie, o Jego dobroci świat w naszej duszy.

— Za dwa tygodnie — rzekł Piotr Wik — postaramy się znowu Łucją naszą wprowadzić w otwarte morze! już dosyć przez całą zimę ubawiła się w Kopenhadze!

Mieli tedy powrócić do Swendborga, a pierwszy Marca już nadszedł. Krystian uczuł dziwną obawę i niechęć na myśl o stronie rodzinnej; wspomnienie domu wydało się jemu, jakby przykrym marzeniem. W Kopenhadze więc pragnął pozostać, bo gdzież, jeżeli nie tu, mógłby z czasem dostąpić swego szczęścia? — Jeśli pójdę do miasta — pomyślał — do tego odmętu ulic, czyż w stanie będą mnie znaleźć? Trzeba będzie to zrobić w wilię odjazdu, to już nie starczy im czasu do szukania. Ale któż mnie przyjmie pod swoją opiekę? Choć przecież, gdy zupełnie już będę opuszczony, świat nie pozwoli, żebym umarł z głodu, a pewno i Pan Bóg tego nie dopuści!

Podczas gdy takie postanowienie coraz silniej w nim utwierdzało się, uczuł zarazem głęboko, jak niewdzięcznym okaże się względem Piotra Wika, który dla niego był tak dobrym i wylanym, a to uczucie własnej winy do większej go jeszcze napędzało gorliwości, żeby sobie zaskarbić jego względy.

— Może hrabia sam na to czeka, żebym zrobił podobny krok, bo jego to przekona o wielkości moich dobrych chęci! Jeżeli to uczynię, pomoże mi niechybnie! — Ta myśl

najciężej zaważyła, tak więc postanowił niezmiennie, że w nocy poprzedzającej odpłynięcie statku, sam go zupełnie opuści. Resztę powierzył opiece Najwyższego.

Był to ostatni dzień przed wyjazdem z portu; Krystian stał przy kotwicy i patrzył na dom, w którym mieszkała Naomi. Wszystkie okna zastawione były najpiękniejszymi kwiatami wiosennymi; przepyszne rośliny południowej Afryki nie przedstawiają podróżnym większego bogactwa kolorów, jak te tutaj kwiaty naszemu małemu marynarzowi.

Przyciśnięty najdotkliwszym ubóstwem, mając przed sobą widok większego jeszcze osamotnienia, wyobrażał sobie, że zostawszy bogatym, wystawi wspaniały pałac, w którym każde okno, tak samo jak tutaj, zastawiane będzie kwiatami, a wpośród wszystkiego tego przepychu, na złocie i na jedwabiach zasiądzie powabna Naomi. Potem znów myślał o poczciwym Piotrze Wiku, z którym ostatni już przepędzał wieczór. Myśl ta jak kamień ciążyła mu na sercu.

— Cóżes ty pypcia dostał, jak kurczątko? — zapytał Piotr Wik. — Toć teraz wracasz do Swendborga! a Łucja przyjmie cię z ochotą. Wszak ją podobno lubisz?

— O! bardzo! — rzekł Krystian, a smutek jego wylał się we łzach.

— Czegóż u kata znowu beczysz? — spytał kapitan. — W tobie chyba całe beczki pełne słonej wody! Nie! ty mi się nie zdasz na okręt! już ja dość o tym myślałem!

Krystian cały się zapłonił. Wprawdzie on sam myślał o opuszczeniu Piotra Wika, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby nawzajem kapitan jego chciał się pozbyć; słowa te więc naprawdę przestraszyły go.

— Ja ciebie nie zrzucam z pokładu! — rzekł Piotr Wik i życzliwie przyciągnął go do siebie. — Z ciebie dobry chłopiec! Jam cię nawet polubił, ale już ty nie do morza stworzony, o tym aż nadto jestem przekonany!

Krystian byłby chciał zaprzeczyć, ale nie mógł!

— Właściwie zasłużyłeś na to, żebym cię porządnie wylał! — mówił dalej Piotr Wik, — bo doprawdy mogłeś mi powiedzieć, jakie masz zamysły! Dawno już chciałem z tobą mówić o tym, ale zawsze coś było na przeszkodzie! Teraz ci powiem tak, jak mam na sercu!

Czy już o wszystkim wiedział kapitan? Miałżeby wiedzieć nawet, że jeszcze tej nocy Krystian chciał opuścić okręt? Przygnębiony ciężarem sumienia, zawstydzony wzrok wlepił w ziemię.

— Owej nocy, gdyśmy byli na kępie — odezwał się znowu Piotr Wik — kiedyś siedział i grzebał w ogniu, a z hrabią rozmawiał o tym, co to z ciebie za wielki będzie człowiek, wtenczas Piotr Wik nie spał, jakkolwiek oczy miał zamknięte. Słyszałem tedy wszystkie te bzdurstwa, które ci nakładł w uszy, i którym byłeś głupi uwierzyć, słyszałem też całą twoją spowiedź i prośbę. Było to z twojej strony potężnie naiwne! to też wtenczas w duszy udzieliłem ci dymisję z mojej służby. Do mnie ty się nie przydasz, ale dlatego nie myślę bynajmniej zanurzyć cię w zimnej wodzie. Do twoich rodziców także cię nie odeślę, nie! ja ciebie oddam do pana Knepusa w Odensee; to jest człowiek, u którego będziesz mógł uczyć się, bo on się zna na muzyce, a tak zobaczymy, do czego będziesz przydatny.

Krystian pocałował go w rękę.

— Żebyś tylko chciał przestać beczyć! — rzekł Piotr Wik. — Jeżeli wyjdiesz na ludzi, szczerze mnie to ucieszy, ale majtka z ciebie nie wykuję!

Krystian o mało co nie rozplakał się na samą myśl o tym, co już chciał skutecznie tej nocy; ciężko mu to leżało na sercu, ale jednak nie śmiał wyświadczyć się ze swego grzechu. Miał się więc uczyć muzyki! żyć dla muzyki! najwyższe jego życzenie miało być spełnione, a pomocy udzielał mu Piotr Wik, ten sam u którego nigdy jej nie szukał. Ukłąkł w ciemnym kącie, całował ściany kajuty i dziękował dobremu, kochanemu Panu Bogu.

Równy ze świtem zafruczała nad bulwarkiem lina, bo Łucją holowano z portu. Krystian wesóło a jednak ze ściśnionym sercem spojrzął na okna Naomi. — Dziś pewnie ona, hrabia i wszyscy tam na górze o niczym mówić nie będą, tylko o naszym odjeździe! — pomyślał. — Biedna matka Małgorzata, która tak pragnęła odjechać z nami!

I okręt wypłynął z portu.

— Nie masz już naszego okrętu! — rzekła guwernantka, wyglądając oknem. — Tam jakiś inny stoi, z zegarami z Bornholmu.

— To i dobrze! — zawołała Naomi — to i chłopca już nie ma! Co to za natręt był i jaki wścibski — ! widziałam go będąc małym dzieckiem; jego rodzice mieszkali w naszym sąsiedztwie, więc raz nawet bawiliśmy się z sobą. Teraz już tyle lat minęło, a on jakby do swoich wpadł tu do nas do sali. Już to on niezawodnie niespełna! Nie uwierzysz, jak mnie męczył wtenczas na lodzie, kiedyśmy jechali z Skonii! Doprawdy aż mi przykro było, że musiała być dla niego tak niegrzeczną, ale nie mogła inaczej!

— Jednak byłoby rzeczą ciekawą, gdyby istotnie był wielkim geniuszem i kiedyś to jeszcze udowodnił światu! Klaus Schall, ten sam, który komponował piękną muzykę do baletów Galeottego, biednym był chłopczykiem, gdy go przyjęto do szkoły dramatycznej, tam został figurantem, a dziś jest sławnym kompozytorem!

— To jak w romansie! — rzekła Naomi — ale ja zawsze wolę, kiedy na końcu ich życia spotyka ich wielkie nieszczęście. To jakoś daleko więcej zajmuje!



# TOM II

## I

Udamy się teraz do starożytnej stolicy Fionii, do Odensee, która w owym czasie więcej jeszcze miała odrębnych właściwości, niż dzisiaj. Były tu liczne dwory o grubych murach, płaskorzeźby nad oknami, mocne schody i grube dachy miedziane, jakby gwoździami poprzybijane do ściany. Na jednym domu widziano wyrżniętych z drzewa dwunastu apostołów; na drugim, charakterystyczne głowy wyglądające z pod belek z wywieszonymi językami. Nade drzwiami sterczały herby szlacheckie, ale z tem wszystkim jednej jeszcze brakło temu miastu szczególnej cechy, którą przedstawia dzisiaj, to jest ubezpieczenia od ukazywania się duchów umarłych. Kto dziś wejdzie na cmentarz Ś-go Kanuta, ten nie może zawołać wraz z poetą:

„Niechaj nad grobem naszym bujna rośnie trawa!”

bo wszystkie tu groby brukowane zupełnie tak samo, jak się zwykle brukują ulice. Pozostałe rodziny, chcące dowieść prawdziwego przywiązania do swoich nieboszczyków, starają się o to, żeby bruk ten utrzymać w najlepszym porządku i żeby broń Boże! żadna trawka nie wyrastała pomiędzy kamieniami.

Powiedzieliśmy tedy, że tej charakterystycznej cechy nie miało jeszcze miasto Odensee w 1816 roku, w którym to czasie udajemy się doń w towarzystwie Krystyana; ale za to więcej starych domów dawną swą powierzchowność zachowało niezmienną; z romantycznych wieżyczek wyglądały jeszcze poczciwe rzemieślniczki, a cechy przenosiły się jeszcze processjonalnie z arlekinem i tarczą na czele; co roku w pierwsze Święto Wielkiej Nocy, lud wychodził jeszcze na tak zwany pagórek Zakonnicy, żeby słyszeć słońce grające, dlatego że Chrystus zmartwychwstał. Wprawdzie nieomal zawsze słońce bywało za chmurą, tak że grania nikt nie dosłyszał; lecz w duszy każdy był przekonany, że słońce pomimo to jak najpiękniej zagrało za chmurą.

Jednym z najmniejszych kościołów w Odensee jest kościółek Ś-go Jana, a przecież jest to ten sam, o którym według podania prorokowała Sybilla, ta sama, co odwiedziła króla Salomona, że kiedyś, gdy będzie napelniony ludźmi, zapadnie się w przepaść ziemi. Galerya łączy go z zamkiem, którego ogród graniczy z cmentarzem, a na tym ostatnim znów stoi kilka zamieszkałych domów, z których jeden zajmowany był przez nową naszą znajomość, pana Knepusa.

Ubiór jego składał się jednostajnie z surduta, kamizelki i krótkich po kolana pantalonów koloru czerwono-brązowego, z dużemi, okrągłemi i świecącemi guzikami, dalej z peruki z harcapem, małego trójgraniastego kapelusza, do czego dodać należy dużą łaskę z przepyszną gałką bursztynową. W owym czasie kilka jeszcze było w Odensee takich wystafirowanych postaci z zeszłego wieku. Pan Knepus nie pozwalał, żeby suknie jego trzepano i czyszczono, bo, jak mówił, podraża się i bez tego; jakoż na pierwszy rzut oka można już było poznać skutki takiego jego przekonania.

Było to przy końcu Kwietnia, gdy Krystyan z małym zawiniątkiem pod pachą i listem rekomendacyjnym Piotra Wika w ręku, stanął na kamiennych schodkach i zastukał we drzwi, zwykle zamknięte.

Jakaś szczupła pani z długimi, przybrudzonemi wstążkami przy ogromnym czepcu, otworzyła nowemu przybyszowi.

— Aha! niezawodnie to wychowaniec Piotra Wika! — zawołała, ścisnęła go za rękę i z niezmiernie płynną wymową poprowadziła przez korytarz, wprawdzie nie bardzo czysto zamieciony, lecz za to świeżo posypany piaskiem. Dwa stare nagrobki, kupione przy rozwaleniu kościoła Braci Miłosierdzia i kilka kamieni grobowych, pokrywały nagie ściany, tak iż trudno było wiedzieć, czyli się wchodzi do kaplicy, czy do mieszkania prywatnego.

— Żyjemy bardzo spokojnie! — rzekła; — w jedno tylko święto towarzystwa strzelniczego i w urodziny królewskie Knepus schodzi się ze swemi znajomemi: on się bawi po swojemu, jak pan sam wkrótce zobaczysz.

Niedługo nadszedł i pan domu; na wylisiałej i śpiczastej głowie miał żółtą, przybrudną szlafmicę, a na sobie ciasny fraczek z rabatami, zastępujący dlań szlafrok, bo przewiązany w pasie rzemyczkiem; cienkie jego nogi okryte tylko były skromną, płócienną odzieżą.

Powabne to małżeństwo nie odzywało się do siebie inaczej, tylko niezmiernie etykielnie przez „pan” i „pani”.

Pani Knepusowa urządziła dla Krystyana facyatkę wychodzącą na ogród zamkowy; była to wprawdzie biblioteka i spiżarnia domowa, ale trzeba sobie radzić jak można, boć trudno żeby mu pozwolić nocować obok jej sypialni, skoro to młody człowiek, co niedługo podrośnie, a niczego się tak wystrzegać nie trzeba, jak ludzkiej gadaniny. Wiec tedy jemu naznaczyła miejsce w jednej facyatce, a pan Knepus sypiał w drugiej.

Już o ósmej godzinie, bo nibyto jeszcze była zima, pan Knepus udał się na spoczynek, żeby wstać tem raniej, jak tłumaczono Krystyanowi. W kwadrans później pani Knepusowa ze służą musiała udać się do niego; Krystyan więc pierwszego już wieczora wtajemniczony był we wszystkie właściwości tego domu.

Ściany jednej z tych facyatek ozdobione były karykaturami i zawieszono rozmaitego kalibru instrumentami muzycznymi. Na pulce leżały zabawki dziecinne, ale dziecko, dla którego były przeznaczone, to jest sam pan Knepus, leżało już w łóżku; przed nim na stoliku dymiła się waza ponczu. Ile razy lknął z szklaneczki, tyle razy spojrzął przez perspektywkę; służąca musiała przemieniać obrazki, jak tylko kiwnął głową, a pani Knepusowa czytała tymczasem na głos jednego z klasyków niemieckich. To pan Knepus nazywał swoją „godziną dziecinną”, którą miewał co wieczór; a dopiero, gdy głowę zanurzył w ogromnych poduszkach, zaś pani Knepusowa na trzykrotne zapytanie: — Czy śpisz, mój baranku? — nie odbierała odpowiedzi, wysunęła się cicho z dziewczyną i teraz już miały resztę wieczoru swobodną.

Pan Knepus tedy, jak się rzekło, leżał w łóżku, a że ich dziś jeszcze tyle było osób, zaproponował grę towarzyską, on w swoim łóżku, a oni w izdebce, co niezawodnie wybornie ich ubawi. Krystyan za karę fantu skazany został na pocałowanie pani Knepusowej pod dużą kołdrą, którą pan Knepus na nich zarzucił; biedny zamknął oczy i poświęcił to umartwienie Panu Bogu. Potem dostał szklanekę ponczu i w najweselszem usposobieniu udał się do małej swej sypialni. Była to niska stancyjka pod pochyłym dachem, jakkolwiek bardzo porządnie utrzymanym, a przypominała nadzwyczajnie kajutę pocziwego Piotra Wika. Najwięcej w niej miejsca zajmowały dwie pulki z książkami, między którymi były dzieła Wielanda i Fizyka Schultza, — wszystkie zaś inne treści wyłącznie muzycznej. Stary nagrobek ze wszystkimi wyrzeźbionymi figurami Świętych, takż zabytek z kościoła Braci Miłosierdzia, jako rodzaj parawanu stał przy jednym końcu krótkiego łóżka, które zdawało się zbitem z dużego fotelu i z piekarskiej niecki. Za nagrobkiem wisiał wędzony łosoś i kilka pęczków świec łożowych, obok zaś stała baryłka z masłem. Dwa krzesła i jeden stolik stanowiły resztę sprzętów pokojowych.

— Przystroiłam, jak pan widzisz, prześlicznie! — rzekła pani Knepusowa. — W szlafdzie możesz pan mieć czystą bieliznę, a tu pod łóżkiem jest mantelczacek do brudów: bo porządek zawsze i przedewszystkiem! Pan Knepus wprawdzie zawsze schodzi na dół do studni, by się umyć, ale młody człowiek niech ma tak, jak jest w zwyczaju! Oto butelka od piwa do wody; możesz ją pan sobie łać na ręce przez okno! Później już się postaramy o jaką miednicę. Nasze lustro za duże do tego pokoju, musisz pan sobie wystarczyć z tą kasetką; ot! na pokrywce porządne zwierciadełko! O punkt szóstej zrana dostaniesz pan kawę do łóżka; raniej nie trzeba wstawać!

Krystyan był teraz sam jeden w nowym domu i czuł się tak wesołym i spokojnym: toć na najprostszej był drodze do nieomylnego szczęścia. Otworzył okno i przy jasnym świetle księżycy spojrzął przez małe podwórze na ogród zamkowy. Między grubemi, starymi drzewami był zielony plac z wielkim stawem, na którym pływały dwa łabędzie; z niewymownym wdziękiem odginały długie szyje na bielutkie grzbiety i wszędzie panowała głęboka cisza; księżyc odbijał się w wodzie, a Krystyan przypomniał sobie wszystkie przygody, i znowu zdawało mu się, że cały świat jest cudowną bajeczką, zaś łabędzie na wodzie w cichej samotności dobroczynnemi czarodziejkami, co znają jego szczęście i serdeczną wdzięczność dla Stwórcy.

Nazajutrz rano podzielono nader mądrze czas Krystyana: za domem miał wraz z kilkoma innymi chłopcami pobierać potrzebne nauki szkolne, a w domu uczyć się *Szkoły generalbasu*, sławnego mistrza Törka. — Porządek we wszystkim! — mawiał pan Knepus, a według jego widzenia porządek duszą był całego domu. W pewnych tylko godzinach przychodził do swojej kochanej połowicy, która wtenczas przez kilka minut jego obecności bardzo gorliwie przędła, robiła pończochy, albo szyła; zaledwie zaś wyszedł z pokoju, kiedy już robotę odłożyła na bok, a biedna jakaś kobieta przędła len, którym pani Knepusowa popisывała się, jakby własną pracą; — Bo dlaczegoż — mówiła — uboga kobieta nie ma zarobić tych kilku szylingów? dlaczego tak ciężkie prowadzić życie? — Ona tymczasem czytywała romanse z czytelni Linkilda albo Hempla, i szła za postępem literatury, o ile się to dało uczynić w prowincjonalnym mieście.

Krystyan był już teraz ciągle zajęty, a do zajęć jego należało między innymi, że z panem Knepusem chodził do stawu łapać ryby na wędkę, oraz że w sekrecie pomagał pani Knepusowej stawiać przededrzwiami kłosa słomy, które, jeżeli przewrócone, były najlepszym znakiem, że służąca w nocy była na tańcu. Do swojej stancyjki na górę dostał stary klawikord, gdzie wewnątrz widać było tańczących przy odgłosie fletu pasterzy i pasterki; — ach! jakżeby rad, choć jedną ręką zagrać wesołą i żywą melodyą, ale duże głowy nót chóralnych wołały jak pan Knepus: — Wolniej! Nie tak prędko! — Bach i Händel, imiona których nigdy dawniej nie słyszał, jak święci muzycy brzmiali teraz w jego uszach. Ach! ileż to rzeczy było do słuchania! ile rzeczy do nauki!

W Czerwcu przypadło jedno z owych świąt, w których brał udział pan Knepus; lecz na kilka dni przedtem okoliczności sprowadziły jeszcze inne, którego pominąć nie można, gdyż było wyjątkiem z prawidła, nawet ze wszystkich prawideł. Po kilkoletnich bowiem napomykaniach i alluzyjach, zdecydowano się wreszcie oczyścić pokój pana Knepusa, jakoż wypadek z tej operacji tak był zadowalający, że napenił kilka dużych niecek, co samym państwu niemało sprawiło śmiechu, a pani zaprosiła nawet dwie sąsiadki na oglądanie śmieci, przyczem się oczywiście bez kawy nie obeszło.

My jednak pomówimy teraz o większym święcie, bo o dorocznej uroczystości towarzystwa strzeleckiego, która po dziś dzień jeszcze zachowała w Odensee wszystkie właściwe sobie cechy. Zrana sławetne mieszczanstwo z muzyką turecką na czele wychodzi z miasta; ulice, przez które idzie pochód, ozdobione są łukami tryumfalnymi: zachodnia brama okryta wieńcami i stosownymi napisami. Wszystkie szkoły i warsztaty świętują, a nad wieczorem, kiedy stowarzyszeni znów wracają do miasta, wszystkie okna ulicy głównej napelnione są widzami.

Właśnie w tym dniu świątecznym Piotr Wik przybył do miasta dla odwiedzenia państwa Knepusów, albo raczej dla dowiedzenia się, jak też kontenci są z Krystyana.

— Przywiozłem z Szczecina baryłkę piwa dla pana Knepusa — rzekł kapitan po pierwszym przywitaniu, — a dla kochanej pani paczkę zagranicznych cukierków! Już ze dwanaście lat będzie, jakem nie był u was, a jeszcze się mały Knepuszek nie narodził! Prawda, że jeszcze się może i pokaże, a dopiero będziemy krzyczeli: Wiwat Matka!

Pani Knepusowa w głos się rozśmiała.

— Knepus dziś poszedł na święto strzeleckie! — rzekła — może pan pójdziesz ze mną?

— Pewno tam butelki lepiej przedziurawia, niż tarczę! — odrzekł Piotr Wik. — Gdzie tam najbezpieczniej stanąć? Mnie się zdaje, że tuż pod samą tarczą, bo jakby gdzie zdaleka, toby się człowiek wszystkim kulom może i nie obronił! Ale powiedzże mi pani co o chłopcu! Spodziewam się, że się dobrze prowadzi?

— O! wyborny z niego chłopiec, a przytem w duszy istne niewiniątko!

— No, gdyby nie tak, dałbym ja mu dybiku! — rzekł Piotr Wik.

— I on poszedł na święto strzeleckie! Ucieszysz się pan, jak mu pięknie do twarzy z zieloną kokardą na czapce! Muszę panu powiedzieć, że on poszedł na czele, z nagrodą królewską, pucharem srebrnym, w ręku! Wielka o to była walka, bo syn następcy tronu z roku zeszłego, t. j. syn tego, który przed rokiem najbliższy był strzału królewskiego, także chciał iść z pucharem, ale Knepus odniósł zwycięstwo, jakoż jego elew utrzymał się!

W tej samej chwili służąca zadyszana wpadła do pokoju: dopiero co był synalek praczki, żeby jej powiedzieć, iż matka jego słyszała od dozorczy, stojącego przy rogatce, że pan

Knepus strzelił tuż obok czarnego punktu na tarczy, nikt zaś prócz jednego puszkacza nie byłby w stanie strzelić lepiej, a puszkacz chybił zupełnie: więc pan Knepus został Królem.

— O nie! — rzekła pani Knepusowa, uradowana w duszy — niechby lepiej był następcą tronu, bo to drogo kosztuje być królem! zaraz wszystkich trzeba częstować! Następcę tronu dostaje łyżkę wazową, a właśnie nam takiej bardzo potrzeba!

— Jeżeli tak, to koniecznie trzeba nam pójść! — rzekł Piotr Wik. — Zaprowadzę królową! — i wziął panią Knepusową pod rękę. — Pójdziemy pomalutku! moje nogi właśnie najlepiej przydatne do procesyi!

Nad wieczorem pełno było ludzi we wszystkich oknach. Strzelanie już się skończyło, przestrzeloną tarczę sprzedano najwięcej dającemu i dawnym zwyczajem oddano ulicznikom, by ponieśli ją do domu. Sześciu najmocniejszych i największych, napiwszy się poprzednio wódki, wzięło tedy tarczę na ramiona, na nią znów wskoczyło dwóch śmiałych towarzyszy, którzy obdzierając łuki tryumfalne z wieńców i napisów, sami w nie przystrajali się; cała reszta tłumu szła za nimi, również przybrana w zielone gałązki, a na ostatek w podwójnych szeregach zostawili miejsce dla sławetnego mieszczaństwa, które już nadchodziło z muzyką na czele.

Król strzelecki, oraz dwaj obywatele, którzy po nim celowali najlepiej: następcy tronu rzeczywisty i przypuszczalny, szli tuż za muzyką, przystrojeni w duże akselbanty wysadzone srebrnymi tabliczkami; przed nimi chłopcy nieśli nagrody: Krystyan najdumniej szedł z pucharem przed panem Knepusem.

— To mój mąż! — więcej nie mogła powiedzieć pani Knepusowa.

— A tak! otóż ma i puchar! teraz w niego należy dla drugich!

Krystyan z wyrazem wesela na twarzy spojrzał na wszystkie okna i na tłoczący się tłum ludzi.

Na kamiennych schodkach stała publiczność ściśnięta jak śledzie, a w oczach wszystkich malowała się radość. Na jednym rogu ciżba była niesłychanie wielka, a z pośród niej wyglądał jakiś człowiek z twarzą bladą i schorzałą, który stale wpatrywał się w Krystyana i kiwał na niego, jakby po dawnej znajomości.

— Wielki Boże! — westchnął chłopiec i z przerażeniem spuścił wzrok na ziemię. Toć to nie był kto inny, tylko jego ojciec, — ojciec, który poległ na wojnie! Raz jeszcze ukradkiem spojrzał w tę samą stronę. Tak jest! wysoko na schodkach stał ojciec, którego śmierć tak dawno już oplakał! Ręce chłopca zdrząły, puchar o mało co nie wypadł mu z ręki. Teraz wesołość wokoło brzmiała dla niego, jak najstraszliwsze dyssonanse.

Pochód udał się do klubu, gdzie na zakończenie uroczystości przez trzy noce trwać miała biesiada. Przy odgłosie trąb z otwartych okien chciano spełnić jedno zdrowie po drugim, a podtenczas któryś z motłochu, przebrany za arlekina, z poczernioną twarzą i z dzwonekami w rękę, budził głośnie wesołość w samym pospółstwie.

Skoro processya przybyła do klubu, chłopcy z tarczą, na której stali jeszcze rozochoceni dyoskurzy, przez ulice udali się przed mieszkanie króla strzeleckiego, gdzie grzecznym ukłonem przywitała ich pani Knepusowa, potem do burmistrza i do komendanta miejskiego, a za nimi postępował cały tłum wywijając w powietrzu zielonemi gałęziami. Był to istny las wędrujący, tak jak niegdyś ukazał się przerażonemu Makbetowi.

Podczas całej tej wesołości Krystyan był w samym środku tej uczty, bo w samej sali klubu. Iluż rówieśników zazdrościło mu tego szczęścia, — lecz on obojętnie patrzył na wszystko: blada, uśmiechnięta twarz, którą zobaczył w tłumie, była dlań głową Meduzy, której widok odrętwia.

— Widziałem mojego ojca! Ależ on umarł! a matka moja wyszła za mąż! To nie żadne przypadkowe podobieństwo; nie! on to był sam w własnej swojej osobie! patrzył na mnie i kiwał! Ach! jakże to okropne!

Godzina była jedenasta, kiedy przyszedł do domu i znów był w swojej małej, samotnej stancyjce. Z niewymownym strachem spoglądał w każdy ciemny kącik. Stary nagrobek, który z jednej strony łóżka zastępował parawan, po raz pierwszy miał coś w sobie strasznego. Malowany pastor z swemi trzema żonami i dziećmi, w dziwnej perspektywie wychodził doń ze starego płótna. Wycięte i pomalowane figury Świętych, raziły go tym samym wyrazem demonicznym: więc zawiesił je swojemi sukniemi. Zgasił świece, ale jakoś zdawało mu się, że jeszcze od ściany i przez zamknięte okno patrzą na niego te

ponure twarze. Nie mógł zasnąć; słyszał bicie każdego kwadransu: zegar wieżowy uderzył północ.

Wtem usłyszał pod oknem dziwny, skrobiący odgłos; gdyby to było innej nocy, możeby wcale nawet nie zwróciło na siebie jego uwagi; ale teraz — ! spojrzal w szyby. Z tamtej strony ukazała się głowa ludzka.

Teraz już całą postać zobaczył wyraźniej, a postać była biała. Cóż z cicha zastukało w szybę i Krystyan słyszał, jak go wołano po imieniu. Z przestachu włosy jego najeżyły się, usiadł na łóżku, ale więcej już nie mógł się ruszyć.

— Czy śpisz? — zapytała postać.

Był to głos pani Knepusowej.

Facyatka Krystyana nie była wprawdzie wysoka, a po małej drabinie nietrudno było dostać się do okna; — ale zawsze? Poco przychodziła tą drogą i dlaczego w takiej porze?

Wyskoczył z łóżka i otworzył okno. W samej istocie na drabinie stała pani Knepusowa! W starej piosence lud śpiewa o pięknej Agnieszce:

«To już straszdyło było chyba:  
Z wierzchu kobieta, a spód ryba!»

lecz o pani Knepusowej możnaby śpiewać inaczej:

«Jakże biała! jakże pełna!  
Z wierzchu perkał, spód bawełna!»

— Pewnom cię na śmierć przestraszyła! — rzekła śmiejąc się przytłumionym głosem.  
— Pomóż mi tylko wejść!

Krystyan postawił krzesło pod oknem i pociągnął ją za rękę, choć nic a nic nie rozumiał, coby to wszystko mogło znaczyć.

— Muszę kraść! — zawołała i śmiało wsunęła się do pokoiku naszego bohatera, który stał przed nią w tym samym nocnym stroju, w jakim ongi stawali Gil Blas i inni bohaterowie różnych krajów.

Źle zamieciony korytarz, gdzie świeżym piaskiem przysypywano brudny wczorajszy, pracowitość pani, podczas kilkominutowej obecności szanownego jej małżonka, — oraz niektóre inne drobne rysy, mniej więcej tej samej treści, już zapewne podały czytelnikom pewne wyobrażenie o całym w tym domu gospodarstwie. Ta wędrówka nocna niechaj posłuży za dopełnienie naszego obrazu.

Służącej często zabrakło masła, które dostawała co tydzień; pani Knepusowa utrzymywała, że to nie prawda, a chcąc jej dowieść, iż można wystarczyć, założyła się z nią o dwa złote, że jej przez cały tydzień ani ździebła nie zabraknie, żeby zaś nie mogła zasilać się zapasem, który, jak wiemy, stał w izdebce Krystyana, sługa brała od niej klucz, skoro tylko Krystyan udawał się na spoczynek. Otóż i pani Knepusowa widocznie już na jutro wystarczyłby nie mogła, — że zaś zakładu przegrać nie chciała, w którym szło o dwa złote i o honor, więc wsunęła się oknem do facyatki, aby samej sobie ukraść brakującą porcję.

— Położenie moje jest okropne! — rzekła. — Gdyby mnie ludzie widzieli wchodzącą w nocy przez okno do młodego mężczyzny! Ale tu idzie o honor, a dla niewinnych wszystko jest niewinnem!

To mówiąc, pani Knepusowa zaopatrzyła się w masło.

## II

Dzień już był biały, kiedy Krystyan przebudził się i otwierając oczy usłyszał, jak go wołano po imieniu. Piotr Wik stał przy jego łóżku, a za nim postać ta sama, którą widział wczoraj. Tak jest, to był jego ojciec, — ojciec, który już nie żył!

— To ja jestem — odezwał się Piotr Wik, — a gdzie mnie widzisz, tam nie ma duchów! Ojciec twój nie umarł, oto żyje tak jak ja i ty! Nie chciałem mu pozwolić samemu pójść do ciebie, bo wiem, żeś ty nie bohaterem, w tobie płynie krew krawiecka! Przepraszam was! — rzekł do krawca, podając mu rękę.

Ojciec przycisnął syna do serca i płakał, jak owego poranku, kiedy się z sobą żegnali.

Dopiero przy obiedzie można się było dowiedzieć o całym związku historii. Assekuracja dwóch armat istotnie poległa, więc to co napisał sierżant zupełną było prawdą.

— Nikt nie wiedział — mówił krawiec — że w tłoku zostałem porwany z swego miejsca i przyciśnięty tuż do konia szwedzkiego, który postradał jeźdca; ścisk był tak wielki, że ledwie palcami mógł uchwycić się siodła, wszystko zaś wkoło mnie zdawało się jedną, gęstą masą. Już mi się ściemniało w oczach, kiedy Szwedzi powzięli zamiar cofnąć się, by tym sposobem nieco wolniejszego odzyskać miejsca; gdybym w tej chwili był upadł, niezawodnie zdeptanoby mnie na miazgę, więc wytrzymałem wszystkie siły, by dostać się na konia. Już to co prawda, że jeźdzcem nigdy tęgim nie byłem, tylko chyba przywiązanie do życia skłoniło mnie do tego kroku. Kawalerya szwedzka rozpieczęła się wzdłuż rowu, za nią świstały kule naszych karabinów, lecz koń mój puścił się za dawnymi towarzyszami. Anim wiedział, jak i kiedy dostałem się za pagórek między Szwedów; wprawdzie nasi ich nie oszczędzali, lecz oni obeszlili się ze mną po ludzku i przynajmniej darowali życie. Kozacy uchwycili kilku jeńców, pomiędzy których wsadzono i mnie; związane nas wszystkich po dwóch i kazano nam ruszyć w pochód. Mnie się zawsze troiła po głowie podróż do krajów południowych, a tu nas teraz zagnano w inne strony, bo w stepach północy dojadły nam takie mrozy, o jakich w Danii nikt z nas nie może mieć wyobrażenia. Możnaby całą historią napisać o tem wszystkim, ale ja wam tylko opowiem, jakim sposobem ztamtąd się wydobyłem i jak mi się udało powrócić. Po ukończeniu wojny puszczono mnie na wolność, więc zaraz napisałem do domu, ale widać list mój was nie doszedł. Wybrałem się tedy w drogę, ałem gorączkę już wyniósł z sobą, jakoż blisko dziewięć miesięcy przeleżałem w szpitalu w Mitawie. Ztamtąd przez znajomego czeladnika posłałem list do Libawy, by go oddał kapitanowi pierwszego lepszego statku odpływającego do Danii, — ale widać że i z tym listem nie miałem szczęścia. Ciągłe myślałem o kochanej naszej Fionii, o szczęściu jakiego tam doznawałem, tęskniłem za Maryą i za tobą, drogi chłopcze! Czulem bolesne wyrzuty sumienia z tego, że was porzucił; już blisko trzy lata, jakem żadnej od was nie miał wiadomości! Pieszko z Mitawy poszedłem do Libawy, lecz nie zastałem tu żadnego okrętu. Poszedłem więc do Memla, a ztamtąd do Królewca; zdawało się, że ściga mnie kara Boska, i że nigdy już chyba do was nie powrócę, — wszędzie gdzie przyszedł, ostatni już okręt duński odpłynął na parę dni przed mem przybyciem. Nareszcie wsiadłem na pierwszy lepszy statek, płynący na morze północne i dostałem się do Helsingör, ztamtąd przebyłem Zelandyą i w końcu przyjechałem do Fionii. Byłem szczęśliwy, jak dziecko! jakżem już opowiadał w myśli wszystkim znajomym o bitwie pod Bornhöwed, o marszu do Rosyi, o wszystkim, com widział i wycierpiał. Ach! jakżem tęsknił za Maryą i za tobą! Doszedłszy do Örebäk, uczulem się jakoś głodnym i zmęczonym; chciałem więc wstąpić do bogatego brata owego gospodarza, w zastępstwie którego wstąpiłem do wojska, a spodziewałem się, że i on mi przeciw coś powie, co tam słychać o mojej rodzinie w Swendborgu. Wszedłem tedy do izby, gdzie siedział sam gospodarz, kołysząc małe dziecię. — Dobry wieczór! — rzekłem, a on mnie spytał kto jestem. — Umarły! — odpowiedziałem, — ale skoro się przekonacie, że ma ciepłą krew i kości, zapewne się jego nie złękniecie, — i opowiedziałem mu wszystko, z kąd powstała fałszywa wieść o mojej śmierci. — Wielki Boże! — krzyknął tak dziwnym głosem, że się aż sam przestraszył. — Czy moja żona nie żyje? — spytałem. Wówczas wziął mnie za rękę i zaklął na wszystko, że bym natychmiast dom jego, a nawet kraj opuścił. — Oto masz pieniądze! — rzekł i dał mi pięćdziesiąt talarów; — któżby się mógł spodziewać, że ty żyjesz! Marya teraz jest moją żoną, — dziecko w kolebce naszym jest dziecięciem. Otóż i ona! zlituj się, niech cię nie zobaczy! — i wyciągnął mnie do ogrodu. W samej rzeczy Marya nie zobaczyła mojej twarzy, bom się już wcale nie odwrócił. Więc tak prędko o mnie zapomniała! Wiem co czulem, ałem nic nie mówił! spytałem się o ciebie mój chłopcze, i dowiedziałem się, że Pan Bóg w tobie wynagrodził moje cierpienia. Ciebie raz jeszcze pragnąłem zobaczyć i później wyruszyć w świat, na południe, gdzie niegdyś byłem tak szczęśliwym; wczoraj więc przybyłem do Odensee i zaraz przyszedłem do ciebie, ale drzwi zastałem zamknięte, bo wszyscy byli w strzelnicy. Kiedym i ja się tam wybierał, spotkałem już cały orszak w mieście; powiedziano mi, że ty niesiesz nagrodę królewską, jakoż ujrzalem cię z puharem w ręku. Poznałeś ty mnie zaraz, gdy kiwnął na ciebie? Dzisiejszą noc przespałem w oberży *pod Grzechotką*, gdzie się poznał z dwoma Szwedami, którzy jutro wybierają się do Niemiec, więc z niemi puszczę

się w drogę. Potem już się pewno nigdy nie zobaczymy, mój synu! bo już tu do domu nigdy nie wrócę! Bądź uczciwym i dobrym i wyrośnij na pociechę tym zacnym ludziom, co się tobą opiekują, ty biedaku! Jeżeli się matka twoja od obcych nie dowie, że ja żyję, to pamiętaj ty jej nigdy tego nie mów! — I znów uściśnął Krystyana.

— Trzeba brać świat takim, jakim jest, a nie takim, jakim być powinien! — rzekł Piotr Wik; — on mnie tak, to ja mu inaczej! trzeba krzyżować pod wiatr! Co się tyczy chłopca, to myślę, że z niego coś jeszcze będzie! Już to dla mojej morskiej Łucyi się nie zdał, ale moja lądowa Łucya, wyborna dziewczyna, lubi go zapamiętała. Postaram się zrobić z niego porządnego człowieka, a potem niech go sobie weźmie, jeśli zechce. Toć już listy pisują do siebie; ojciec nauczył ją po niemiecku i historii, a teraz oddam ją do krawcowej na naukę, najlepiej podobno tutaj w Odensee; za jakie sześć niedziel, już się zobaczycie!

Krystyan uśmiechnął się; aż mu się ciepło zrobiło na sercu. Dobra, poczciwa Łucya była jego kochanką; nigdy jeszcze o tem nie myślał! Wszak jej winien był całe swoje szczęście; bez jej wstawienia się, wszystko wzięłoby dla niego koniec wcale inny i smutny. Historia ojca naprowadziła go na bliższe zastanowienie się nad własną, — tylko że w tej ostatniej gwiazda szczęścia wschodziła właśnie, a w pierwszej już była na schyłku. Ale wschód i zachód w nieszczęściu tak samo bywają względne, jak w słońcu i w innych gwiazdach; wszystko na tem zależy, z którego miejsca przypatrujemy się tym dwóm zjawiskom.

Jeżeli istotnie droga, o której naucza nas religia, prowadzi z ziemi do jednej z gwiazd wyższych, a ztąd znowu do bardziej jeszcze rozwiniętej, więc dla nas właściwszej, tedy całe otwierające się życie nie jest czem innym, jedno wielką podróżą w celach wychowawczych, wędrówką od miasta do miasta aż do Niebieskiej Jerozolimy. Nasze podróże na ziemi są słabym wprawdzie, lecz niemniej wiernym obrazem takiej wielkiej wycieczki. Zabieramy znajomości, przyjaźnimy się z ludźmi, z którymi później we łzach żegnamy się, bo czujemy boleśnie, że już się nigdy na świecie nie spotkamy; całe godziny, doby i lata zmuszeni jesteśmy przepędzać z osobami, które są dla nas ciężarem, a później, gdy się z nimi rozstaniemy, stają przed naszymi oczyma z urokiem jakiejś dziwnie ujmującej oryginalności; to co największą poprzednio przygniatało nas troską życia, później w najświetniejszą tego życia przemienia się pamiątkę. Kiedyś może z niebieskiego grodu, owego celu naszych dążeń, spoglądać będziemy na gwiazdziste niebo, w którym ta ziemia oczom naszym, jednym z świetniejszych ukaże się punktów; poznamy ją wówczas siedzibą pierwszego naszego istnienia, a przed duszą naszą przesuną się wszystkie wspomnienia błogich lat dziecińczych. Gdzie też wtenczas podziękują się owe drogie sercom naszym istoty, z którymi najszcześniejsze nasze godziny nierozzerwanie tu były złączone? Gdziekolwiek będą, i one wspomną te same czasy, i one ucieszą się nadzieją blizkiego połączenia. Potem wskażemy znowu na inną kulę ziemską, na wyższy świat wychowawczy, i przypomniemy sobie życie tam spędzone; tak samo, patrząc na mapy, tu na ziemi wspominamy tak zwaną wielką podróż, którą przed laty odbywaliśmy: — Paryż! ach tak! tu byłem cztery miesiące! Rzym! tam bawiłem pół roku! — i tęsknimy za ludźmi, których w tych miejscach pokochaliśmy, z którymiśmy się następnie rozstali, jakkolwiek taka tęsknota nie przerywa nam szczęścia chwil obecnych. W wielkiej podróży wieczności nie powinniśmy kochać tylko pojedynczych i w pewnych oznaczonych miejscach, bośmy obywatelami nie Ziemi, ale Nieba; serce ludzkie nie ma być kometa, którego promienie błyszczą tylko w jednym kierunku, lecz słońcem, co na wszystkie strony równym jaśnieje blaskiem.

Takie myśli, tylko nie tak wyraźne, napełniały duszę ojca Krystyana i uzbroiły go w pewien rodzaj rezygnacyi.

Późnym wieczorem pożegnał wszystkich; Krystyan odprowadził go na ulicę, gdzie była jego oberża.

— Bądź zdrow, mój synu! — rzekł. — Ile razy zobaczysz przylatującego lub odlatującego bociana, tyle razy pamiętaj o mnie! ile razy ja go zobaczę, ja znów przypomnę sobie małą naszą izdebkę w Swendborgu, zkądśmy razem wyglądali na gniazdo. Poproszę wówczas ptaka, żeby pozdrowił mego chłopca, gdziekolwiek będę na świecie. A teraz bądź zdrow, mój drogi synu! — i ucałował go, ściskając ze łzami. — Nie! sam nie wracaj do domu! choć te kilka chwil jeszcze przepędźmy z sobą razem! — i odprowadził go znowu na cmentarz, gdzie stał dom pana Knepusa. Takie było ostatnie pożegnanie.

Nazajutrz równo ze świtem, trzech wędrownych czeladników bramą zachodnią wyszło z miasta; zdążali do Assens, z kąd chcieli się przeprawić do brzegów szlezwickich: jednym z tych trzech był ojciec Krystyana.

### III

Naokoło ogrodu zamkowego w Odensee ciągnie się ścieżka, która z jednego końca miasta prowadzi na drugi; tą drogą szli częstokroć Krystyan i Łucya, odwiedzając się wzajemnie. Sierpień już się kończył, a wypełniając wolę Piotra Wika, Łucya dla nauki krawiecczyny od kilku już miesięcy bawiła w tem mieście.

Słońce dochodziło brzegu widokręgu; trudno było wpatrywać się w nie bez przy-  
mrużenia oczów.

— Wygląda zupełnie tak samo, jak gdyby schodziło do nas na dół! — rzekła Łucya.  
— Gdyby istotnie przyszło, a nie było większem niż się zdaje, to gotowabym pobiedz i zobaczyć!

— Jabył pobiegł i tysiąc mil! — rzekł Krystyan. — Ale chciałbym być najpierwszym, a nie chciałbym, żeby wielu biegło za mną! wtenczas cały świat mówiłby o mnie, a nazwisko moje we wszystkich byłoby gazetach!

— Na cóżby ci się to zdało? — odpowiedziała Łucya. — Dziwny też z ciebie chłopiec!

— O nie! to nie dziwactwo! co mówisz! Jakżeby rad siedział w balonie i wznosił się tak wysoko, jak żaden dotąd nie był człowiek! jakżeby rad robił wielkie wynalazki! Gdybym był został marynarzem i gdyby odemnie zależało, gdziebym chciał popłynąć, tobym się wybrał gdzie na odkrycie nieznanych krajów do wielkiego oceanu, albo pod same bieguny i przedarłbym się przez odwieczne lody!

— A jakbyś sobie palce odmroził, tobyś zaraz powrócił do domu! — rzekła Łucya.

— Wcale mnie nie znasz! W drobnych rzeczach nie jestem bohaterem i tego się bynajmniej nie wstydę. Ale wierzaj mi, że gdzieby szło o co ważnego, tam znalazłbym i potrzebną odwagę. Prawda, że się boję w płaskim czółenku przeprawić przez kanał, alebym się nie bał popłynąć na niem po wielkim oceanie, gdyby istotnie szło o coś wielkiego; prawda, że bałbym się krowy, któraby mnie bodła rogami, ale gdybym był w Afryce, tobym z drugimi wybrał się do lasu na polowanie tygrysów, bo jużby warto było zaryzykować życie. Utonął w kanale w Odensee! krowa zabodła go na śmierć! ot widzisz, w tem nie byłoby żadnej dla mnie sławy. Jużci kiedy poświęcić życie, to już chyba dla rzeczy nadzwyczajnej!

— Ale dlaczegoż chcesz być innym, jak inni ludzie! — rzekła Łucya i zamilkła, gdy doszli do przedmieścia z tamtej strony miasta. Ścieżka tu się zwracała w bok, a na środku drogi ujrzeli staruszkę, w zwyczajnym męzkim kapeluszu, przystrojonym w pióro żołnierskie i w stare, sztuczne kwiaty; tłum uliczników biegł za nią wołając i śmiejąc się.

— To ta waryatka szewcowa, — rzekł Krystyan; — chłopaki się do niej przyczepili!

— Nieszczęśliwa! — westchnęła Łucya i zapłonila się; wspomnienie dawnego jej stanu przesunęło się przed jej duszą, chociaż nie przypuszczała, żeby Krystyan mógł o nim wiedzieć.

— Biedna kobieta! — rzekł Krystyan — ale pewno nie czuje swego nieszczęścia!

Łucya potrząsała głową. — Dziękujmy Bogu za to, co nam dał — odpowiedziała — prośmy Go, żebyśmy nigdy rozumu naszego nie stracili! To ważniejsze dla nas, aniżeli biedz za słońcem albo dostać się pod bieguny! Pan Bóg użyczył nam tyle, że niezawodnie jest grzechem, wymagać więcej nad Jego zwykłe dary!

— Ja owszem wymagam! — zawołał Krystyan w młodocianem zuchwałstwie. — Chcę być sławnym, albo wcale nie dbam o życie!

— Jakie też z ciebie dziecko! — rzekła Łucya i rozstali się.

Krystyan wracał do domu, gdy go z nienacka z tyłu ktoś pochwycił za rękę; obejrzał się i zobaczył szewcową. — Czy jesteś pan synem Świętego Łazarza? — zapytała, a nasz bohater, który nie był bohaterem, ale jednak gotów był wybrać się na polowanie tygrysów w lasy afrykańskie i pojechać na odkrycie nieznanych krajów pod bieguny i w obłoki, aż się zapocił na widok obłąkanej staruszki, przez chwilę popatrzył na nią i — uciekł, co miał siły. Jeszcze szczęście, że tego nikt nie widział.



Śmiałe pomysły należą do młodości: zuchwale rzuca się ona w pływ do rzeki, uczy się pływać i częstokroć dosięga swego celu; starszy przeciwnie szuka gruntu, zastanawia się i przychodzi za późno. Z nim tak samo jak z owym sługą w przypowieści, który powierzone sobie pieniądze zakopał w ziemię, żeby ich nie stracić, gdy tymczasem śmielszy zaryzykował je i zyskał. Szczęśliwa młodości, przed twoim wzrokiem setne są drogi otwarte do szczęścia i zaszczytów!

Rozliczne, dziwne myśli rodziły się w duszy Krystyana, lecz każdą nową i śmiałą, jakby bieguna przed wyścigiem, przeprowadzał najprzód przed sądem Łucyi, jakkolwiek oczywiście właściwy wyścig zwykle pełził na niczem. Ona uśmiechała się i kiwając kształtną główką zwała go dzieckiem, a opowiadała zarazem, jak w dzieciństwie sama zawsze miała nadzieję znalezienia ogromnego skarbu, któryby uczynił ją najbogatszą w świecie; więc brała rydel i kopała, raz w ogrodzie, raz w polu, zawsze pewna, że kiedyś natrafi na ten skarb wymarzony. Tak samo i jego górne widoki zwała teraz dzieciństwem.

Po każdej takiej rozmowie Krystyan odchodził od niej z mniejszym dla niej wylaniem, choć po kilku godzinach wszystko już znowu poszło w zapomnienie. Uznawał, że w niektórych rzeczach miała jednak słuszność i to właśnie jego gniewało. Każda zuchwała myśl, z którą się przed nią wymówił: — Chcę być sławnym, lub nie żyć! — jak grzech ciążyła mu na sercu. W samotności błagał Boga o przebaczenie, jakoż uczuwał pewien rodzaj uspokojenia, — ale potem znów powtarzał to samo, równie jak niepoprawny przestępca, który wycierpiawszy swoją karę, dawne grzechy zwykle na nowo rozpoczyna.

Jedna jeszcze przyjemność była spodziewana, a mówiono już o niej na kilka miesięcy naprzód. Tej zimy miała nastąpić *podróż hrabiowska*, jak się wyrażała pani Knepusowa; wszak już od pięciu lat wielki ten magnat nie spędził zimy w swoich dobrach Fiońskich, więc od pięciu lat artyści i znakomitsi mieszkańcy okolicy we wspaniałym zamku hrabiowskim nie obchodzili święta jego urodzin.

Oboje państwo Knepusowie głównie miewali na oku oszczędność, jakoż przez wzgląd na nią najęto starą, obdrapaną karetę, do której wpakowano najprzód prowiant, potem pudła ze skrzypcami, a na ostatek pana i panią. Krystyanowi dano miejsce między obojgiem, naprzeciwko zaś siedział jakiś urzędnik z żoną, dzieckiem i piastunką, a dla utrzymania ciepła, wszystkich jeszcze naszych podróżników przykryto potężną pierzyną. W powozie tuż nad głową Krystyana zawieszono blaszaną latarkę, która o mało co nie poparzyła mu włosów, a na pierzynie leżała warcabnica, bo dla skrócenia czasu chciano sobie pograć w warcaby. Powody, dla których do tej podróży użyto pory nocnej, również wynikały jedynie z oszczędności; w takim razie bowiem można było zjechać na rano, a wyjeżdżając na powrót wieczorem unikało się noclegu, a zatem duserów dla służących, obok tego zaś powóz i konie trzymano i placono mniej przez całe dwanaście godzin.

W zamkniętej karcie spać można doskonale, a taka nocna jazda przypominała panu Knepusowi, jego przed wieloma laty podróże po Niemczech północnych.

O towarzyszach podróży niewiele co mamy powiedzieć, wyjąwszy chyba, że żona urzędnika kiedyś chorowała na gorączkę nerwową, więc wszystkie jej wspomnienia dzieliły się na dwie klasy: *przed moją ciężką chorobą* i *po mojej chorobie*. O mężu jej i tyle nawet nie wiemy.

Śnieg leżał wysoko i w ostre mrozy grzał pola wieśniaków, ale gościniec był twardy jak posadzka. Szybko szła jazda nocna; Krystyan czuł się bardzo szczęśliwym.

W karczmie o parę mil od zamku, postanowiono poczekać kilka godzin, żeby zbyt wczesnymi odwiedzinami nie stać się hrabiostwu ciężarem.

Różowe obłoki poranne, biały śnieg i zielone jodły przedstawiały widok nader zajmujący. Tuż przy kuźni, na wierzchołku obciętej z góry topoli, stało gniazdo bocianie, którego właściciel tej samej chwili posilał się wodą ze źródeł Nilu pod ciepłym słońcem Afryki. Krystyan spojrział na gniazdo z tem samem rzewnem wspomnieniem, z jakim w starej książce do nabożeństwa znajdujemy zeschły kwiatek, cośmy go przed laty zerwawszy w drogiem nam miejscu, na przechowanie włożyli między kartki.

Teraz przedstawił się ich oczom zamek hrabiowski z mnóstwem innych wokoło zabudowań, podzielonych na dwie części: stary zamek i nowy pałac. Droga wiła się zewnątrz starych kanałów, które teraz wprawdzie zamarzły, lecz jednak dowodziły, że w jak najlepszym stanie bywały utrzymane. Stary zamek ze swemi grubemi, czerwonymi murami,

nielicznymi oknami, ze swemi wieżami i strzelnicami, niekoniecznie wielkie obiecywał wygody; ale za to nowy pałac o dwóch eleganckich piętrach tem więcej zdawał się zastosowany do wymagań dzisiejszych. Szerokie, kamienne schody, na których najniższym stopniu po obu stronach potężne spoczywały sfinxy, stanowiły wchód do pałacu; główna sień była istną oranżeryą, gdzie południowe krzewy, drzewa i kwiaty nęciły dziwną pięknnością. Kamienna posadzka pokryta była pysznymi dywanami; zewsząd wiały tu ciepło i rozkosze.

Wszystko w tem miejscu było nagromadzone, co się zwykle liczy do zabaw zimowych duńskiego pałacu magnackiego. Na kanałach uwijały się sanki wokoło wysokiej żerdzi, na której powiewała flaga duńska; w wąskiej alei leszczyny ze stromego pagórka była wyborna ślizgawka, a na wielkim trawniku stały dwie kolosalne figury ze śniegu, z węglami zamiast oczów i z obciosanymi bryłami lodu zamiast tarczy. Długi patyk od chmielu, wodą polany, przedstawiał iskrzącą pikę lodową, zaś w pośrodku tych dwóch figur stała armatka, z której strzelano na wiwaty.

Dyletanci, a między nimi był nawet jeden pastor i jeden burmistrz, pod kierunkiem pana Knepusa grali w bocznej komnacie, za przepyszną portjerą, jakby za korytną. Na stole leżały bogate podarki, między innymi ogromny bukiet pędzla Naomi, wprowadzie nie własnego pomysłu, lecz skompilowany z trzech różnych obrazów, co niekoniecznie oryginalnym u nas bywa figlem. Samej Naomi w pokoju nie było, — ona tymczasem na dworze stanowiła punkt środkowy nierównie bardziej zajmującego malowidła. Wysmukła, delikatna istota, stojąca na przejściu między dzieciństwem a latami dziewczęctwa (a pięknosc już miała obu epok), stała przy psie uwiązany na łańcuchu, przy ogromnym, zięjącym brytanie, który szczególną jej pozyskał miłość, i który, wywiesiwszy ogromny, czerwony język, obie czarne łapy położył na białych jej ramionach. Zdawało się, że z niej mały byłby tylko kąsek dla zwierza, co tak pieszczośliwie machał teraz ogonem; maleńkie, białe jej rączki głaskały go po kosmatym grzbiecie; śmiała się, — ona i pies w najczulszej z sobą byli przyjaźni!

— Swawolnica! — rzekła stara hrabina — ona mnie kiedyś jeszcze na śmierć przestraszy. Życie moje i tak tylko na cienkim wisi włosku! Raz spuszcza dzikiego psa z łańcucha, coby jak nic pożarł ludzi! raz bez siodła na najognistszym koniu pędzi przez pola i łąki! Pan Bóg na nią łaskaw, bo inaczej od dawna już chyba byłaby kaleką! Gdybym miała choć czwartą część jej natury, toby mi lepiej pomogło od wszystkich mixtur i kropli! — I stara, blada dama usiadła na sofie i rozmawiała z tamtą panią z Odensee, której wszystkie wspomnienia sięgały tylko czasu *przed ciężką chorobą*, albo *po chorobie*.

— Mówią, że teraz pojawiła się jakaś zupełnie nowa słabość — rzekła — podobno odra.

— Pewno i ja ją miałam — odpowiedziała hrabina — niezawodnie! Ja-bo wszystkie miałam choroby i to w takim stopniu, jak nikt inny na świecie; całą aptekę znam na pamięć. Mogłabym pani pokazać całą szafę pełną słoików i flaszek. Teraz już tylko po trochu z nich kosztuję, skoro i tak nie pomagają! Ach! nawet w tych małych wycieczkach, na które ja słaba kobieta się zdobywam, bez lekarstw obejść się nie mogę. W zeszłym tygodniu byłam na wielkim wieczorze u prezydenta, żeby się choć cokolwiek rozerwać, ale cóż, kiedym musiała pojechać z kataplazmami na nogach i tak zasiadłam do bostona. Bardzo jestem chora, a jednak mój doktor uśmiecha się — ! już on wie, że dla mnie nie ma ratunku, więc nie poświęca się mojej chorobie z tym zapalem, z jakim powinien. Jak spojrzę na wiatrak, to już dostaję zawrotu głowy.

Poczas tej cichym głosem prowadzonej rozmowy, muzyka nie ustawała; Naomi także wróciła, zwabiona jej odgłosem i stanęła przy oknie, gdzie dmuchając w pączki tulipanów chciała, żeby się prędzej rozwinęły w kwiaty. W tem skrzypce zagrały solo; dziwnie śmiałe pociągnięcie smyczka, zwróciło nań powszechną uwagę.

— *Charmant!* — zawołała stara hrabina, zapominając o mniemanej swej chorobie.

Naomi rozsunęła portjerę i w samym środku, za niskim pulpitem, ze skrzypcami w ręku ujrzała Krystyana, ucznia pana Knepusa.

— Mnie się zdaje, żeśmy się już widzieli! — rzekł hrabia. — Tylko nie mogę sobie przypomnieć, gdzie?

— W Kopenhadze — odpowiedział Krystyan głosem przytłumionym.

— Powierzono go mojemu kierunkowi! — rzekł pan Knepus.

Zewsząd dały się słyszeć oklaski i zachęty. Sama Naomi uśmiechnęła się z niewymownym wdziękiem i rozmawiała z nim długo, tylko nie o dniach minionych.

Jakiż to był dla niego dzień pełen radości i szczęścia!

Udano się do ogrodu na ślizgawkę; Naomi była śmiała, jak chłopiec; Krystyan trzymał się na uboczu.

— Czy się pan boisz? — spytała go Naomi; więc wszedł do sanek, lecz w tej chwili przewrócił się, wprawdzie bez szkodliwych skutków, tylko że usłyszał, jak Naomi szepnęła sąsiadowi: — Cóż to za niezdar! — Zamilkł i nie śmiał już do niej przemówić, chociaż tem chciwiej ścigał ją oczyma.

Przed obiadem raz jeszcze zagrał i to go znowu w korzystniejszym postawiło światło. Stara hrabina rozmawiała z nim, a dowiedziawszy się, kto on? zaraz też doskonale była obeznana z dawną jego chorobą, z której już zupełnie zdawał się wyleczonym; opowiadała także o słabości Łucyi. — Już to wszyscy chorzy — rzekła — w okręgu kilkomiłowym, nie są dla mnie obcemi. Wprawdzie przyznaję, że możnaby znaleźć ludzi, którzy wycierpieli bóleści może większe od moich, ale są to zwykle natury wytrzymalsze i twardsze, które mniej na tem cierpią od osób czułych, dotkniętych choćby mniejszemi dolegliwościami! A ja tak niezmiernie jestem czuła!

Trudno uwierzyć, a jednak tak było, że Krystyan większe w niej obudził zajęcie myślą o dawnej swej chorobie, niżeli grą na skrzypcach; koniecznie więc domagała się, żeby ze trzy lub cztery dni pozostał w pałacu. Zresztą wyborna przedstawiała się dla niego sposobność powrotu do Odensee, dokąd pan hrabia miał wkrótce pojechać, wybierając się do Anglii.

Stół był świetnie nakryty; lśniące od białości serwety jak wachlarze sterczały w długich kieliszkach szampańskich. W ciężkich srebrnych kandelabrach jarzyły się obfite światła. Każdy z mężczyzn wybrał sobie damę: Naomi wymknęła się wszystkim jak ptaszek i przystąpiła do Krystyana.

— Czy artysta zechce być moim kawalerem? — zapytała, i podawszy mu rękę, poprowadziła go do stołu. Krew wystąpiła mu na twarz; nie wiedział co z sobą począć.

Naomi szepnęła guwernantce: — Tak będziemy siedziały na tamtym świecie, rajski ptaszek obok wrony! — Ależ baw pan swoją damę! — rzekła do Krystyana, — albo też pan bądź damą, to ja będę kawalerem! — i to mówiąc napełniła jego kieliszek.

Krystyan czuł, że go Naomi przewyższa swobodą i wesołością, nawet wszystkim. W tem, co mówiła do niego, były wprawdzie drwiny, lecz zarazem pewna życzliwość, — on zaś należał do niej całą duszą i za każdą chwilą pojmował to coraz głębiej. Ciągłe nalewała w jego kieliszek, a on bez myśli wypijał jeden po drugim! Krew szybciej krążyła w jego żyłach, nabrał pewnej wymowy: — rozruchał się! — jak mówiła Naomi. Blisko nich siedział syn prezydenta, przystojny blondyn Ludwik, który dręczony zazdrością zajadał za trzech, co najrozsądniejszym podobno jest środkiem przeciwko nieszczęśliwej miłości, a Naomi nie szczędziła mu ciągłych dowodów, jak dalece sprzyjała Krystyanowi.

— Zdrowie tej, którą pan kochasz! — szepnęła mu na ucho i potrafiła jego kieliszek.

— A więc zdrowie pani! — rzekł Krystyan: wino rozwiązało mu język.

Wstano od stołu; Naomi wymknęła się. Zaambarasowany stanął na boku i nie śmiał już do niej zbliżyć się; uczuł głęboko, że wiele mu jeszcze brakuje, do swobodnego wystąpienia na świecie.

Rozpoczęto tańce, lecz w nich także nie umiał brać udziału. Naomi jak łania bujała po sali; ruchy pełne wdzięku podwajały jej piękność; krew świeciła przez pleć przezroczystą, a ciemna jej cera zyskiwała na oświetleniu. Bardzo, o, bardzo była piękną! istna prześlizna Mignon, tylko nieco za delikatna na dziecię południa.

— Jeszcze się nabawi gorączki! — rzekła stara dama.

Pan Patermann, kapelan miejscowy, z obrzydliwym, wiecznie słodkawym uśmiechem na ustach, tego samego był zdania co jaśnie pani hrabina. Na nich obojgu taniec ten sam wywierał skutek, co woda na psach, które się długo bez niej obywają: w końcu sprawiał im wstręt i obrzydzenie.

Zdawało się, że Naomi nie zwraca już uwagi na Krystyana, a przystojny Ludwik był teraz szczęśliwym; wszakże Krystyan nie umiał tańczyć. W tem nagle stanęła przed nim, położyła rękę na jego ramieniu i puściła się z nim w ochoczego walca. Wszystko kręciło się

w jego oczach, ależ trudno było ją puścić; deptał ją tylko po nogach i kolanami niejednego dawał jej szturchańca.

— Tak mi jakoś niedobrze! — wybąknął, a ona puściła go na krzesło i śmiejąc się, z nowym tancerzem frunęła znowu przez salę.

#### IV

Pewien amerykański autor opowiada, że kiedy łoś na polowaniu postrzelony jest na śmierć, wówczas opuszcza swoje stado i kona w samotności.

Podobnym instynktem wiedziony wydalił się także Krystyan z sali; nie byłże on ptakiem z postrzelonym skrzydłem, pomiędzy innymi wzbijającymi się wysoko pod niebiosami?

Lokaj poświęcił mu przez dziedziniec do starego zamku; w nowym pałacu wszystkie pokoje gościnne były zajęte. Przez ciasną furtkę weszli na małe, czworokątne podwórkó, które niegdyś było dziedzińcem całego zamku, a po krętych schodkach dostawszy się do komnat wysokich, staroświeckich, weszli do małej izdebki, którą wprędce urządzono na sypialnię. Wszystkie ściany pokoju zawieszono były różnorodną bronią i niezliczoną ilością szpicróżeg.

— Oto sypialny pokój! — rzekł lokaj zapalając drugą świecę. — A tu wisi matka rodu hrabiowskiego, która w nocy czuwać będzie nad panem! — dodał z uśmiechem i wskazał na wiszący nadedrzwiami portret kobiety w stroju średniowiecznym, w którym najdziwniejsze było to, iż na szyi miała łańcuch żelazny, spadający na ramiona i na piersi.

— To była dzielna pani! — rzekł lokaj — pewnie nie znała takich rachunków ap-tekarskich, jak nasza stara hrabina! W swoim czasie miała jakiś spór z drugim panem w sąsiedztwie, który ją uwięził i żelaznym łańcuchem na szyi kazał przywiązać do psiej budki. Takie to były czasy! Potem pili i hulali, a pani tymczasem wyrwała się i dostała do domu, zebrała swoich ludzi i najechała srogich nieprzyjaciół. Dlatego też kazała odmalować się z łańcuchem. — Lokaj odszedł, a Krystyan pozostał sam jeden ze swemi myślami i z dzielną panią, w łańcuchu.

Oczy jej były ciemne jak u Naomi; pewnie i ona umiałaby pokazać się równie śmiałą i odważną. Wyrzał przez szyby, szkło było grube i spalone od słońca, tylko światła widać było w oknach nowego pałacu; więc przypomniał sobie ów wieczór w Kopenhadze, kiedy jako junga zawisł na wilgotnych linach, gdy tymczasem Naomi bujała w tańcach i weselu; wspomniawszy chwile dopiero co minione, pomyślał jak mu jeszcze daleko do takiego towarzystwa i wszystkie swoje nadzieje ujrzał zniszczone.

Północ już minęła, a on jeszcze nie spał. Słyszał, jak państwo Knepusowie odjeżdżali i wcale się nie cieszył, że zostaje.

Ale najparadniejszym lekarstwem jest sen, zwłaszcza jeżeli choroba siedzi w sercu młodocianem.

Słońce oświecało już portret dzielnej prababki, kiedy się Krystyan przebudził. Ciężki żelazny łańcuch na jej szyi dawał mu wiele do myślenia.

— I ja także dźwigam taki łańcuch! Alboż ja co lepszego, jak gdybym był przywiązany do budki, gdy tymczasem tamci ochoczo bawią się w salonie! Ale i ja rozerwę ten łańcuch i kiedyś stanę przed nimi jako wielki artysta, a oni czołem bić będą potężne geniuszu! Tak samo jak we śnie Józefa snopy wszystkich innych schylały się pod jego snopem, tak będzie i zemną, a wtenczas i ja się każę wymalować; — lecz nie ze znakiem jarzma, którym dźwigał, — o nie! trzymając się z Naomi pod rękę! Ona tak piękna, tak piękna, jak aniołowie w niebie, tylko nie jest tak dobrą — zkaźdeby znów mogła być taką? — I ukląkł do pacierza i pomodlił się Bogu, żeby się piękne jego marzenia spełniły.

Przed obiadem stara hrabina chciała ugościć u siebie wszystkich pozostałych przyjezdnych. W starym zamku, w którym mieszkała tylko ona i przeznaczona dla niej służba, podano czekoladę.

Z wieży krętymi schodkami schodziło się do jej komnat, które przynajmniej od wieku nie uległy żadnej ważniejszej zmianie. Materyalne, zielone obicia, przedstawiające ogromny bór, w którym tu i owdzie z za gałęzi wyglądały rogi jelenie, zdobiły wysokie ściany. Ogromny piec stał przed zamurowanym kominkiem, ozdobionym dużymi, wyciosanymi z marmuru sfinxami. Z ogromnej szafy, której drzwi zawieszono były kobiercami, prowadziły schody do dolnego apartamentu. Krzesła i kanapy ten sam miały krój staroświecki,

a jedyną tu nowością było gipsowe popiersie Napoleona, stojące na starej serwantce, w której każda pułka dźwigała niezliczone flaszki mikserek, słoiki, pudełka z pigułkami i tym podobne łupy z chorób, które jaśnie pani hrabina szczęśliwie pokonała. Bohater stojący między łupami kobiety, wcale niezłym nawet był pomysłem. Człowiek robi jak może.

— To jest moja rezydencya! — rzekła. — Całą zimę nowy pałac stoi pustkami, a wszystko jest pod starym rządem. Tylko tu wówczas widać światła, choć prawda, że te światła są przy łóżku chorej!

Goście jeszcze się nie zeszli. Naomi stała na krześle i przewracała w najwyższej szufladzie staroświeckiej, kunsztownie wyrzeźbionej szafy.

— Prawdziwy z ciebie sowizdrzał! — rzekła staruszka. — Toć przecie zejdziesz, bo zaraz przyjdą goście!

— Nie codziennie wolno zaglądać do *sanctissimum!* — odpowiedziała z filuternym uśmiechem Naomi. — Tożes mi pozwoliła zajrzeć!

— Same tam stare graty! — rzekła pani — pięćdziesięcioletnie pamiątki!

— A ten portret kobiecy? — zapytała Naomi — pocóż on tutaj leży? Ach! jakże ona piękną? — ale podobna do żydówki!

Staruszka bystro wlepiła oczy w portret, potem odwróciła się do Naomi i rzekła poważnie:

— To twoja nieboszka matka!

Obie kobiety milczały: pierwsza znowu Naomi odezwała się:

— Moja matka? Otóż portret jej nie będzie leżał między gratami! — i skryła go na piersiach.

— Toć już zejdziesz i zamknij szufladę! goście idą! — zawołała hrabina. — Burzysz moje krew, a wiesz, że ja tego znieść nie mogę!

— Opowiedz mi co o mojej matce! — rzekła Naomi seryo.

— Cóż ci znowu przychodzi do głowy? — odpowiedziała hrabina. — Zresztą aniby cię to mogło zabawić! — i odwróciła się. Goście weszli do pokoju i rozmowa została przerwana.

Poproszono Krystyana, żeby zagrał na skrzypcach, więc zagrał fantazyę własnej kompozycji, bo już się nie miał co bać pana Knepusa. Naomi stanęła zamyślona, a wzrok jej zdawał się na nim spoczywać; nigdy jej jeszcze nie widział w takim usposobieniu. — Ona mnie podziwia! — pomyślał w duchu i myśl ta natchnęła go. W samej rzeczy nikt jeszcze nie widział Naomi tak mało mówiącej i tak dziwnie rozmarzonej, jak dzisiaj.

Towarzystwo chciało się zabawić w wolanta w wielkiej sali nowego pałacu. Naomi pozostała przy starej hrabinie, schwyciła ją za rękę i rzekła z energią, w tak młodym wieku tem bardziej zadziwiającą: — Mów mi o mojej matce! potrzebuję wiedzieć, *chcę* wiedzieć wszystko!

— Przestraszasz mnie na śmierć swoją gwałtownością! — powiedziała staruszka. — Ja nic nie wiem. Idź lepiej do tamtych i pograj z nimi w wolanta!

— Zawsze mnie traktujecie jak dziecko, ale ja już dzieckiem nie jestem! Dlatego też koniecznie chcę coś więcej wiedzieć o sobie! Nie jestem dla was obcą, którą niby tylko z łaski przyjęliście do siebie; — jestem istotnie tą, za którą jedynie mam uchodzić: córką twojego syna! a tyś jest moją Babką! Jestem lekkomyślna i dlatego tylko dotąd mogłam nie pytać się o moją matkę. Dwa razy wspomniałam o niej przed ojcem, a za każdym razem odszedł zagniewany. I ty także nic mi nigdy nie chciałaś wyznać, a ja przez płochość więcej nie dopytywałam się, nawet przyznaję, że zapomniałam o wszystkim. Ale dziś dostałam portret mojej matki! dzisiaj chcę wiedzieć więcej i chcę żebyś ty mi powiedziała!

— Wiesz, Naomi, ja jestem słaba! — odpowiedziała hrabina. — Nie męcz mnie dłużej, bo ani chcę, ani mogę uczynić, czego żądasz! Zresztą nie są to rzeczy na twój wiek! Nie, za jakie parę lat, kiedy już ja naturalnie oddawna będę w grobie, syn mój zapewne rozpowie ci, co potrzeba. Teraz idź do przedpokoju i przynieś mi brązową salopę — !

— Chcesz żebyś wyszła! — zawołała Naomi — potem zamkniesz drzwi na klucz i mnie już więcej nie wpuścisz. Już to nieraz tak zemdlałaś! Babko, znasz mój charakter! Tam w kanale lód jest przerabany, więc pójdę i skoczę w otwór, jeśli mi zaraz nie powiesz, co chcę wiedzieć!

— Niegodziwa dziewczyno! — rzekła stara hrabina — źle sobie postępujesz zemną słabą kobietą! Spełnię twoje życzenie, ale sama sobie gwałtem wpędzasz żądło do serca! — Twarz staruszki, zwykle bladej chorobliwej, nabrała rumieńca gorączki; mowa jej ożywiła się: — Nie pochodzisz z mojej krwi, ani z krwi mego syna! Z jego strony jest tylko niedorzecznością i słabością, że niekiedy sam w to wierzy. — Jad, który w umyśle naszym powstaje z goryczy, jakby iskrami elektrycznymi odezwał się w intonacji jej wyrazów. — Stary żyd w Swendborgu był twoim dziadkiem! — rzekła — jego córka była piękna, daleko piękniejsza od ciebie. Była to guwernantka w naszym dworze, służyła u nas, czy mnie rozumiesz? służyła! Mój syn Wilhelm zakochał się w niej zapamiętała, nieboszyk mój dowiedział się o tem, a matka twoja wróciła do ojca. Wilhelma wysłaliśmy w podróż, lecz oni pisywali do siebie, przepadali za sobą, jakkolwiek niektórzy ludzie nienajlepiej mówili o twojej matce. W Swendborgu był jakiś muzyk, Norwęgczyk, który tam bywał u nich w domu i w wielkiej był z niemi zażyłości. Wilhelm wrócił z podróży, a myśmy sądzili, że już zapomniał o wszystkim; często wychodził na polowanie, ale każde polowanie było wizytą w Swendborgu. Jam się o tem dowiedziała, a nie było mi tajno, jak grzeszne prowadzili życie, gorsze, niżelibyś zdolna była pojąć! I tak już podobno źle robię, że z tobą o tem mówię. Powiedziałam tedy Wilhelmowi, wszystko com wiedziała, lecz on ufał miłości twojej matki, aż nareszcie sam raz zastał rywalą przy kochance! Już to z duńskiej szlachty nie pochodzisz, może z norwęgskiej! Mój Wilhelm teraz był przekonany i został rozsądnym człowiekiem. Kiedyś ty się urodziła, twoja matka pisywała o tobie listy elegiczne, a w końcu, widząc że Wilhelm bajeczkom jej wiary nie daje, odebrała sobie życie. To zrobiło swój efekt! to pomogło! ona poszła do grobu, a ty przysłaś do nas! Ja sama przywiozłam cię z Swendborga.

— Dziękuję pani za to opowiadanie! — rzekła Naomi spokojnie, lecz tak blada, jak nigdy jeszcze nie była. — Jestem tedy z norwęgskiej szlachty, nie z duńskiej! To też Hakon Jarl Öhlenschlägera zawsze lepiej mi się podobał, niż jego Palnatoke! Czy też pójdziemy pograć w wolanta?

— Dziecko! — rzekła hrabina — jakżeś ty exaltowana! Nigdy nie widziałam nic podobnego! Ale ty jeszcze wszystkiego nie rozumiesz! O! przyjdzie ten czas, kiedy krwawymi łzami zapłaczesz nad tem, coś dzisiaj usłyszała!

— Słyszałam, że moja matka była piękna! — odpowiedziała Naomi — słyszałam, że była rozumną i że miała odwagę umierać, gdy ją obrażono zbyt boleśnie! — Portret jej będzie wisiał w moim pokoju, przystroję go w kwiaty i do niego należeć będą wszystkie moje pocałunki! Teraz idę zabawić się w wolanta!

Z uśmiechem na twarzy zostawiła hrabinę, lecz na schodach wieżowych stanęła i ciężkie, gorzkie łzy puściły się z pod jej powiek. W pięć minut później widziano wesoło śmiejącą się Naomi, całą oddaną ogólnej zabawie. Jakiś wewnętrzny instynkt nauczył ją, że łzy u tych tylko znajdują współczucie, którzy mniemają, że się cierpi tak jak oni sami.

## V

— Stara hrabina oszukała mnie! — pomyślała Naomi w duszy. — Chciała mi dokuczyć. Albo zmyśliła całą historią, albo uchwyciła się kłamliwej wieści! Chcę to wiedzieć i dowiem się! — I z pieszczotami przystąpiła do hrabiego, który rozmawiał o blizkiem ich rozstaniu.

— Przez dwa lata widzieć się nie będziemy, ale gdy się już znowu zobaczymy, wówczas pojedziesz zemną do Paryża i Londynu, do ruchliwego, przepysznego Londynu!

— Tyś dla mnie dobry! — rzekła Naomi — przed tobą jednym też myśli moje i cała moja wola upokarzają się. Tamci, chociaż ich lubię, znośni są dla mnie tylko dlatego, że mnie bawią i że się bez nich obejść nie mogę, — ale niekiedy też gniewają mnie okropnie.

— Bo ci nie dogadzają we wszystkim, jak ja! — rzekł hrabia.

— Ty? — odpowiedziała i spojrzała mu bystro w oczy. — Ty mi dogadzasz? O nie, nawet ani w mojej najniewinniejszej, lecz najgorętszej prośbie! I to mnie martwi, czego ci nawet powiedzieć nie śmiem, bo zaraz się gniewasz i stajesz się oziębłym! — i przytuliła się do jego piersi, zaczęła igrać z jego włosami i zdawała się wstrzymywać oddech. — Ty się pewnie wstydzisz przyznać przed światem, że twoją prawdziwą córką! a jeśli nią nie jestem, tedy powiedz mi przynajmniej, kogo mam kochać za ojca!

— Mnie! — rzekł hrabia, — mnie! tyś mojem dzieckiem! — lecz wzrok jego zamurzył się, twarz namarszczyła, jak gdyby oczy chciały zaprzeczyć temu, co wyrzekły usta.

— A w oczach świata, kto są moi rodzice? — zapytała. — Córka żyda i — ? zamilkła, a wargi jej zadrgały konwulsyjnie.

— Człowiek, którego nazwiska nigdy nie usłyszysz! — odpowiedział hrabia. — On był z Norwegii! — już nie żyje! a umarł tak, jak na to zasłużył!

— Zmiłuj się! opowiedz mi! — rzekła Naomi.

— Nie! — fuknął hrabia i wyszedł z pokoju.

— I on także jest okrutnym! — pomyślała Naomi. — Ludzie dręczą się wzajemnie. Jeden tylko Bekas jest mi wiernym i więcej mnie kocha, niż kogobądź innego, a jego trzymają na łańcuchu! — i zesłała do psa na dziedziniec, pieściła go i całowała, spuściła z łańcucha i oprowadzała po domu; psisko aż się nie posiadało z radości, machało ogonem i podskakiwało do góry, wywieszając z paszczy czerwony, dymiący od pary język.

— Ty kochany Bekasie! — rzekła; — alboż nie zasługujesz na to, żebym cię oswo-  
bodziła?

O tej samej porze Krystyan ukończył właśnie samotną przechadzkę po ogrodzie. Jedna z prześlicznych owych figur ze śniegu, która wczoraj jeszcze tak dumnie sterczała na trawniku, dziś skutkiem lekkiej odwilży pochyliła się na kolana, tak iż lanca wydała się jakby spuszczone do pchnięcia. Dzwoniono na obiad; Krystyan wyszedł z ogrodu. Zaledwie otworzył furtkę, gdy spostrzegł Naomi z psem, który zaczął szczeleć i wyszczerzał na niego ostre zęby. Naomi rozśmiała się głośno z przestachu Krystyana. Pies poskoczył ku niemu, lecz on cofnął się szybko do ogrodu, ją zaś prosił, żeby psa znowu przywiązała na łańcuchu.

— Tchórze! — zawołała Naomi.

W tej samej chwili pies wyrwał się, skoczył do furtki, która się od uderzenia otworzyła i wpadł na Krystyana, a ten na widok ogromnego zwierza i czerwonej, ziejącej paszczy z dużymi, białymi zębami wydawał straszliwe okrzyki. Jakby instynktem wiedziony, usiłował wskoczyć na figurę ze śniegu i oburącz uchwycił założoną lancę, gdy jednocześnie uczył ukąszenie; figura z głuchym łoskotem rozpadła się, a to było na szczęście, bo niespodziany huk i latające na wszystkie strony bryły śniegu odpędziły Bekasa.

Niektórzy ze dworu przybiegli. Naomi stała milcząca przy otwartej furtce.

— Krew płynie! Pies go ukąsił! — wołano ze wszystkich stron.

— Otóż widzisz skutki twojej swawoli! — rzekł hrabia spoglądając surowo na Naomi. Podniesiono Krystyana.

— Natychmiast psa zastrzelić! — zawołał hrabia.

W tej chwili Naomi wypadła z płaczem i litośnie błagając porwała Krystyana za rękę, a drżącym spojrzeniem zasmuconej duszy zaklinała go, żeby się wstawił za zwierzem. Usta jej dotykały twarzy chłopca, który się wstawił, jak żądała.

Przywieziono lekarza z sąsiedniego miasta. Krystyan był niebezpiecznie ukąszony; na staraniach jednak i na czulej pieczy bynajmniej nie zbywało mu. Naomi odwiedzała go często; cicho i poważnie siadała przy jego łóżku, on z wyrazem przebaczenia podawał jej rękę, a chcąc jej powiedzieć coś miłego, powtórzył swoje życzenie, żeby pies został przy życiu.

— Mnie się zdaje, że mogłabym ciebie pokochać, — rzekła Naomi z dziwną gwałtownością, iskrzącym wzrokiem wpatrując się w jego twarz wybladłą.

Hrabia miał odjeżdżać, lecz nie było co myśleć, żeby Krystyan mógł z nim razem pojechać do Odensee. Listownie zawiadomiono pana Knepusa o fatalnym wypadku.

— Przestach i zmartwienie odbiorą mi życie — mówiła starszka. — Teraz nas opuszczasz! czuję to dobrze, że się już nigdy z sobą nie zobaczymy! Skoro za rok, lub za dwa lata powrócisz, chyba pójdiesz do kościoła i każesz sobie otworzyć małą kapliczkę, gdzie już zastaniesz jedną trumnę więcej.

— Ale, Mamo, to z jakiegoś romansu! — rzekł śmiejąc się hrabia.

— Nie, to z serca twojej matki! — odpowiedziała seryo hrabina.

Odjazd hrabiego ważnym był wypadkiem w pałacu, a jednak my tyle tylko o nim wspomnimy, że hrabia odjechał.

Naomi siedziała w pokoju Krystyana. Wszystko jej świadczyło, jak dalece była mu drogą, i to sprawiło, że się po raz pierwszy cokolwiek nim zajęła. Zapytała go, ktoby go grać nauczył.

— Mój ojciec chrzestny, Norweczyk w Swendborgu! — i dopiero zaczął opowiadać jej o osobliwym charakterze tego człowieka. — Słyszałem raz historię o czarowniku, który grając na skrzypcach szedł przez ulice miasta, a wszystkie dzieci wybiegły z domów za nim. Czarownik zaszedł w góry, gdzie dzieci wraz z nim znikły. Z tego samego źródła, jak mnie się zdawało, grać umiał mój ojciec chrzestny. Sąsiad nasz utrzymywał, że go tej gry wyuczył duch wodny Nökken; nawet i ja myślałem, czy nie o sobie samym opowiadał mi, iż raz w Norwegii był syn ubogiego wieśniaka, który niezmierną miał ochotę grać na skrzypcach; gdy mu zaś ojciec nie pozwalał, lecz kazał pracować w polu, chłopczyk pewnego wieczoru zakradł się nad potok. Wnet ukazał się Nökken obiecując mu, że go nauczy grać jeszcze ładniej i tak go ścisnął za palce, że aż krew z nich wytrysła, ale od tej pory nikt nie potrafił piękniej zagrać od niego. Grał więc przed całym światem, wszyscy chcieli go słyszeć, a pieniądze płynęły jak woda, tak iż ojciec nawet nie wzbraniał mu już tego zajęcia. Otóż nareszcie jednego ranku, kiedy właśnie wracał z wesela, zastał Nökkena czekającego nań pod mostem; zatrzymał go i kazał mu iść z sobą, bo już teraz jakoby należał do niego. Chłopiec gdy to usłyszał, wziął nogi za pas i zaczął biegać co miał sił, a Nökken gonił za nim, aż nareszcie malec dopadł kościoła i schronił się na ołtarz, bo gdyby nie to, byłby go Nökken porwał.

— A kto wie! — rzekła z uśmiechem Naomi, — może to i twój ojciec chrzestny sam był owym Nökken? — Ale oczy jej zaiskrzyły się, krew o mało nie trysła z ślicznej twarzy. Coraz więcej dopytywała się, — toż mówiono o jej ojcu; Krystyan przeciwnie upatrywał w tem jedynie serdeczny udział w jego własnym losie, jakoż chętnie przy każdych nowych odwiedzinach podejmował przerwany wątek opowiadania. Tak więc powoli dowiedziała się o podróży do Thorseng, o spotkaniu nocnem w Glörup, o chrzestnym wiszącym na gałęzi, a Naomi dziwnie jakoś uśmiechała się i delikatną swą rączką zakryła ładną twarzyczkę.

— Był to człowiek niepospolity, ale nieszczęśliwy, a to jest daleko bardziej zajmującym, aniżeli być człowiekiem zwyczajnym i szczęśliwym. I ty wcześniej doświadczyłeś życia pełnego przygód; teraz już w tobie czas ten ukończył się, boś już zaszedł do owej nudnej spokojności, w której jeden dzień powtarza się jak drugi, a na tej spokojnej, gładkiej drodze rzadko się kiedy rozwija coś niezwykłego w świecie, przynajmniej nigdy samoistnie, ale chyba tylko pędem zewnętrznym. Gdybym ja była na twojem miejscu, tobym sobie skrzypce uwiązała na plecach i wymknęła się tym wszystkim nudnym ludziom, którzy są podobni do siebie, aż kokardą na sukni i chustką na szyi!

— A cóżby się zemną stało? — zapytał Krystyan. — Jestem biedny!

— O! wszakżeś wówczas był biedniejszym, gdyś opuszczał dom rodzicielski! Wtenczas nie umiałeś tak grać, jak dzisiaj, a jednak ta wycieczka była drogą do twego szczęścia. Gdybyś nawet był głodnym przez jeden dzień i drugi, albo przespał noc pod gołym niebem, — i cóżby to znaczyło? Właśnie to byłoby najwięcej zajmującym! Wyobraź sobie tylko, w jak świetnym stanąłbyś przed samym sobą blasku, gdybyś wyszedłszy na wielkiego człowieka, pomyślał o własnej przeszłości. Właśnie wtenczas świat podziwiałby szybki twój postęp, a ja, nawet zdaje mi się, że jabym cię wtedy mogła kochać! Ale inaczej nie! O nie! musiałbyś zostać człowiekiem niepospolitym! — Wzięła go za rękę i coraz więcej przedstawiała mu swoje romansowe myśli o życiu, którego sama bynajmniej nie знаła. Pochlebiało dumnemu, kapryśnemu dziecku, że mogła kierować drugiemu; Krystyan zajął miejsce jej lalki, przez niego chciała urzeczywistnić swe marzenia. Takim sposobem powstało w niej silne uczucie, wielce jednak różne od miłości. Opowiadała mu o obcych krajach, o sławnych ludziach i wzdychała, że jest tylko dziewczyną, — ale przynajmniej — zaręczała — ja nie będę podobną do drugich!

Coraz więcej zaciągał się Krystyan do owego koła czarodziejskiego, które ona zataczała; wszystkie jego myśli i marzenia nie miały odtąd innych punktów środkowych, prócz przygód, sławy i Naomi.

Krew jego wrzała w gorączce, lampka nocna, która paliła się przy jego łóżku, gasła, a światło tylko jak malowany punkcik opierało się na knocie.

— Jeżeli zdążę zmówić pacierz, nim lampa zagaśnie, więc jeszcze kiedyś będę sławnym, a Naomi zostanie moją żoną, — ale jeżeli zgaśnie, to jużem stracony i zgubiony! —



Złożył więc ręce do modlitwy i mechanicznie wymawiał wyrazy pacierza; oko jego usilnie wlepione było w lampę, płomyk zadrżał, a on coraz śpieszniej odmawiał święte słowa; skończył modlitwę, a lampa paliła się jeszcze.

— Alem opuścił: zbaw nas ode złego! więc cały pacierz za nic! raz jeszcze chyba go zmówię, a to już co teraz wypadnie, podwójne będzie miało znaczenie! — I znów zaczął modlitwę, a lampa paliła się ciągle. — Będę szczęśliwym! — zawołał i w tej chwili lampa zgasła.

Było to we Środę.

— W Niedzielę odjeżdżasz! — rzekła Naomi. — Doktor powiedział, że wnet będziesz tak zdrowym, jak my wszyscy. Pamiętaj o swojej obietnicy! Wiem że mnie kochasz, lecz ja pospolitego człowieka kochać nie mogę, a ty w nudnej mieścinie Odensee u tego zabawnego pana Knepusa wyszedłbyś tylko na bardzo pospolitego człowieka! Puść się śmiało w świat! Oto masz, czego nikt nie wie i o czym nikt wiedzieć nie będzie, sto talarów z moich własnych oszczędności! Pamiętaj, jakieś mi to sam opowiadał, kiedy przy pierwszym naszym spotkaniu w ogrodzie, usta i oczy twoje brałam na zastaw; ty jeszcze teraz do mnie należysz, ty w części jesteś moim! Jak tylko będziesz zupełnie zdrowym, zaraz odważ się na ten śmiały krok, mnie o nim donieś, a tej samej nocy, w której ty wyjdiesz na wędrowkę, ja czuwać będę i ciągle myśleć tylko o tobie!

— Wszystko zrobię! — zawołał i objął ją za szyję; ona siedziała spokojnie, dumnie uśmiechając się i pozwalala mu całować gorące swoje policzki.

Świat, tak samo jak serce, odbija się w ulubionym kolorze życia. Gdybyśmy owego wieczoru byli zapytali Krystyana, Naomi i (dajmy na to!) hrabiny, każde z nich byłoby wyrzekło swoje zdanie niezawodne, a jednak od siebie wcale różne. Dla Krystyana tedy świat ten był świątynią Bożą, w której serca podnoszą się ku miłości i ku Bogu, gdzie zaufanie wzrasta, a przekonanie ustala się. Pocałunek Naomi był mu chrztem, a potęga muzyki dźwiękiem organów, w którym dusza jego nabierała skrzydeł.

— Świat jest wielką maskaradą — myślała Naomi. — Trzeba tylko umieć odegrać rolę swoją z godnością, — trzeba imponować! Bo człowiek zawsze tylko jest tem, co dobrze umie przedstawić. Co do mnie, chcę być amazonką, Staël-Holstein, Szarlotą Corday, jednym słowem taką, na jaką najlepiej złożą się istniejące właśnie okoliczności!

— Świat jest lazaretem! — utrzymywała stara hrabina. — Zaledwie się urodzimy na świat, kiedy już choroba nasza rozpoczyna się! każda godzina zbliża nas do śmierci! Książki lekarskie nabawiają nas jeszcze większych chorób; w niewinnej szklance wody może być jakiś drobny owad, który później w żołądku naszym rośnie! można dostać raka, gangreny, kachexyi i najokropniejszych chorób, kończących się zwykle śmiercią, i na to tylko jest całe nasze życie. Wszyscy ludzie chorują, lecz wielu tai swą chorobę, inni żartują z niej, a inni jeszcze, jakieś upośledzone istoty, bez nerwów, lecz pełni niezdrowej krwi, co rumieni policzki, chodzą po świecie w tem niedorzecznem przekonaniu, że są zdrowi!

## VI

W piękny dzień zimowy, kiedy szron zawiśnie na gałęziach drzew, a kruki fruwać nad białym śniegiem w jasnym świetle słonecznym, nic dziwnego, że może nas napaść chęć do podróży. Wszakże owa niedziela, w którą Krystyan wracał do Odensee, wcale była niepodobną do tak zachęcającego dzionka. Jakaś wilgotna mgła zaległa błonie; czarne, nagie płoty, okryte dużymi kroplami wody, wyglądały z pod brudnego śniegu, a jednak właśnie ta pora podniecała jego ochotę do wędrowki, jego zamiłowanie do romantycznych przygód. Cała strona domowa wydała się jemu czarodziejskiem kołem wilgoci i zimna, — więc aby dalej w świat, gdzie wszystko znów miało być światłem słonecznym i ciepłem!

— Tu szczęście moje, jak lato, rozwinie się tylko pomału; więc ucieknę z tego kraju i polecę na spotkanie lepszych losów!

Sen jednej nocy pod dachem domowym, gdzie go nie podniecała żadna Naomi, spokojność znów przywrócił wzburzonym prądom krwi jego. Pomyślał o swoim dobroczyńcy Piotrze Wiku, który tyle już jemu wyświadczył i przypomniał sobie, jak mu się bezpiecznie chce odpłacić.

— A jednak! jeślibym kiedyś powrócił jako człowiek znakomity, jakążby wówczas była radość! co za niespodzianka! Jakże tu sobie począć? — Biblia niech będzie moją

wyrocznia! — Roztworzył świętą księgę i przeczytał w Ewangelii Ś. Mateusza słowa Pana Jezusa do paralytyka: *Wstań i bierz swoje łoże i udaj się do domu!* — Tak jest! sam Pan Bóg chce, żebym tu nie pozostał! przemawia do mnie przez Swoje Pismo święte! Mam także pieniądze Naomi! cóż za ogromna summa! Jestem bogatszy, aniżelim był kiedykolwiek. Rzecz skończona! — wybiorę się do Niemiec!

Ani przez myśl nie przeszło panu Knepusowi, jakie były zamiary jego ucznia, wypytującego się o jego pobyt w Gosslar, w Brunświku, i o inne podróże jego po północnych Niemczech. Ułożył sobie pewien plan, któremu jednak brakło dwóch głównych rzeczy, to jest, nie wiedział, dokąd się najpierw ma udać i potem, z kąd uzyskać paszport, do drogi niezbędnie mu potrzebny. Co się jednak tyczyło paszportu, Naomi więcej miała przeczności, jakoż spodziewała się, że podobną bagatelę wyjedna sobie z łatwością.

Przystojny blondyn Ludwik, syn prezydenta, którego spojrzenia rzucane na Naomi mniej więcej wyrażały nutę, podług jakiej słowiki Persyi śpiewają piosneczkę do róży Szyrasu, miał się zająć wyrobieniem paszportu; toć on lewą był ręką w biurze, w którym jego ojciec był prawą, a dłażegóż koniecznie prawa ręka miała wiedzieć o tem, co zatrudnia lewą? On tedy miał wyjednać paszport, wydany wyraźnie do *różnych krajów Europy*. Taka była pierwsza prośba Naomi, która nie wątpiła, że blondyn Ludwik prośbę tę wypełni. Miłość i młodość — nie sąż to śmiałe łodygi winogronne, zdolne unieść jak największe ciężary? Ale między aktami archiwum, pod zapyłonemi belkami biórowemi rośnie trzecie jeszcze ziele: przeczność, o którym wcale nie myślała Naomi, które jednak blondyn Ludwik co rano i co wieczór zapijał wraz ze swoją herbatą. Więc dał jej w największym sekrecie paszport do *różnych krajów Europy*, dla młodego 16 letniego muzyka, nawet było w nim imię i nazwisko Krystyana; żeby go jednak uczynić nieważnym, w rysopisie opisał samą Naomi, jej ciemne, iskrzące oczy, jej delikatną wysmukłą kibić, jej krucze włosy, tak że prócz niej jednej nikt za tym paszportem nie mógł się puścić w drogę. Łatwo mógł się z tego usprawiedliwić przed nią ciągłemi o niej myślami, ale Krystyana nawet do Jütlandyi nie puściliby za tak opaczną jego rysopisowi, zdradziecką legitymacją.

Feryj wielkanocnych chciał użyć do ucieczki, którą przedsięwziąć zamierzył pod pozorem odwiedzenia matki i ojczyma, niewidzianych już od owego pierwszego wydalenia się z domu. Dnie męki i niewoli Pańskiej miały tedy stać się dla niego dniami radości i swobody.

Czegóżby zresztą mógł nauczyć się od pana Knepusa? Do czego miałby go doprowadzić pobyt w jego domu?

Napisał do Naomi i doniósł jej o dniu, w którym rozpocząć postanowił wędrówkę, prosząc ją zarazem jak najusilniej o spotkanie w oberży, o pół mili oddalonej od zamku hrabiowskiego; tam to po raz ostatni mieli się zobaczyć i pożegnać się. — List odesłał i teraz już postanowienie jego było niezmiennie, jak Cezara nad rzeką Rubikonem. Gdyby choć był mógł zwierzyć się przed Łucją ze swemi zamiarami, ale jej myśli nie szły tak wysoko; onaby go wyśmiała, albo może nawet starała się przeszkodzić wykonaniu jego zamiaru.

Zbliżał się ów dzień ważny, więc związał małe zawiniątko i znowu je rozwiązywał; ciągle coś jeszcze było potrzeba zabrać z sobą i dlatego przedmioty wcześniej zapakowane, musiały ustąpić miejsca późniejszym. Ze skrzypcami i z biblią ani raz nie mógł się rozstać.

Wszystko co Piotr Wik uczynił dla niego, stawało coraz wyraźniej przed jego uczuciem wdzięczności; łzy popłynęły mu z oczów, uchwycił papier i pióro, napisał pożegnanie i prosił przebaczenia, lecz zaledwie napisał, kiedy już znowu zdarł w kawalki. Nagle przyszła mu nowa myśl; oczy jego zaiskrzyły się, ręce złożyły — nowe postanowienie stanęło w jego duszy. Szybko napisał długi list, odczytał go i krzyknął wesoło: — Tak będzie dobrze! teraz jestem spokojny! Naomi też będzie kontenta! To mnie Pan Bóg natchnął tą myślą! — I uradowany poszedł spać, a przespał całą noc bez żadnych marzeń.

Nazajutrz rano dobrą okazyą odjechał do Nyborga.

Naomi odebrała jego list i cała była przejęta wyborną awanturą, której wyłączną była sprawczynią; więc postanowiła spotkać się z nim w oberży, aby tylko nikt o tem nie wiedział. Nietrudno jej było wydostać się z domu, bo dosyć było wybrać się na konną przejażdżkę; wszakże i to już było jej niemiło, żeby ją poznać miano w hotelu, skoro to jej spotkanie miało mieć miejsce z tak pospolicie wyglądającym młodym chłopcem.

W prędcie tedy oddała wizytę ogrodnikowi, człowiekowi szczupłemu i dość niskiego wzrostu, który jak na swój stan nosił się zwykle bardzo strojnie.

— Mam żarcik napięty — rzekła — pożycz mi twoje ubranie świąteczne!

Zakradła się do stajni, sama sobie osiodłała konia, a w kwadrans później pod postacią ogrodnika pędził aleją topolową mały, śmiały jeździec, który grzecznie się skłonił pastuchowi, podnoszącemu się od milej czynności podszywania podeszew pod pończochy, dla utworzenia jeźdźcowi furtki prowadzącej na gościniec.

— Opatrzcie mego konia i każcie napalić pod numerem! rzekła Naomi w oberży.

Ach! ileż razy poglądała na drogę, chcąc zobaczyć czyli jeszcze nie idzie! jak pilnie odczytywała wszystkie imiona wyryte na szybach! przeszło trzy godziny trwała ta jej samotna zabawa.

— Jeszcze i to być może, że wcale nie nadejdzie! on żadnej nie ma odwagi!

Ale bohater jednak nadszedł, choć późno i niezmiernie zmęczony i zgrzany długą drogą.

— Przecie przychodzisz! rzekła. — Zdziwił się widząc przebraną dziewczynę, lecz wnet zaczęły się wzajemne opowiadania. On jej mówił, co jego głównie zajmowało, a potem pokazał jej list, który napisał do Piotra Wika. Nie było to żadne pożegnanie, tylko uczciwe wyznanie całego planu, nie wymieniając jednakże Naomi. Wyspowiadał się w tym liście z całego swego fantastycznego widzenia świata, z niezachwianego przekonania, że szczęścia artysty poszukać musi zagranicą i co to wówczas z niego za wielki będzie człowiek. Prosił więc Piotra Wika o pozwolenie do wyjazdu, gdyż inaczej sumienie jego nie miałoby spokoju. List ten Naomi miała najprzód przeczytać, a potem chciał go odesłać, czekając nań w domu swoich rodziców odpowiedzi.

— Czy ty na seryo tak myślisz zrobić? — spytała Naomi. — Powinam się była tego spodziewać! Z ciebie nigdy nie będzie wielki człowiek! — i wyszła z pokoju, nie chcąc już z nim mówić, zapłaciła oberżyście co się od niej należało i popędziła ku domowi o zmroku wieczornym.

Krystyan pozostał sam jeden: porzuciła go bez pożegnania; pieniądze jej zostały u niego, ale paliły go jak ogień.

Bożek snów tka zasłonę nocy z najdziwniejszych arabesków, które utworzyć zdoła wyobraźnia; łączy ona w sobie siłę Michała Anioła żeby odmalować upadające dusze na sądzie ostatecznym, wraz z pogodną pięknoscią Rafaela w wizerunkach Bożej Rodzicielki. Taż sama śmiałość w oddaniu ostateczności rozpaczy i nadziei, spoczywa w sercu młodzieńcem i przejścia równie tu jak tam gwałtowne; tylko że serce młodzieńcze więcej się zwykle trzyma światła. Jeżeli nawet niekiedy, w głębokiej boleści, wyobraża czarne i wilgotne sklepienia grobowe, gdzie szklnięc się saletra osiada a rosą jadowite grzyby, — jeżeli potem, dla lepszego uwydatnienia swoich cierpień, wskazuje nam na leżący na ziemi pączek róży, gnijący już przed rozwiciem, jako na obraz owego właśnie serca, — jednak wkrótce widzimy, jak korzenie jego czepiają się znowu ziemi, jak całe sklepienie zamienia się w altankę centofolii, gdzie wnet, między pączkami i gałęzmi, zaświeci ciepłe słońce wiosenne i gdzie zajrzy czysty błękit niebieski.

Takie tej nocy było przejście w duszy Krystyana, gdy na traf szczęścia przebiegał zawile ścieżki prowadzące w kierunku do Örebäk.

Zieloność jest barwą nadziei, a wyobrażenie to powzięto z wiosny, w której zbudzone życie tak się objawia w kniejach i na polu. Ale czyż odrodzenie ranka z nocy nie jest daleko więcej allegorycznym? Tu barwą nadziei jest purpura! czerwona kresa na wschodzie objawia powicie życia i światła, jeżeli czasem, tak samo jak nadzieja ludzka, nie okaże się później fałszywym jedynie blaskiem, luną pożaru wsi lub miasta.

Krystyan widział blask na wschodzie; zapewne nadchodził ranek, ale jakkolwiek horyzont rozwidnił się, słońce jednak ciągle było w ukryciu.

Był to pożar, a paliło się w Örebäk, w domu ojczyma. Wszyscy tam jeszcze spali i dlatego czerwony płomień śmieiej wyciągał swoje ramiona przez szpary dachu i przez okna. Powietrze i śnieg zaczerwieńczyły się; zamknięte w stajniach konie rżały, a ospałe krowy i woły ryczały w cichej godzinie porannej. Ludzie spali, a wiadomo, że ten kto śpi jest najszcześliwszym.

Krystyan nie wiedział, czyj dwór się palił; patrzył na ogień z tem zajęciem, z którym dziecko zwykle patrzy na cudzy dom w płomieniach, lecz potem —? Tak, nazajutrz

rano ogień wygasł, ale żniwa zeszłoroczne były spalone, bydło spalone, a właściciel —? z roztrzaskaną głową leżał pod zapadniętym murem. Dwa chwiejące się kominy sterczały z dymiących gruzów. Wieśniacy i retmani pożarni krzyczeli i wrzeszczeli jeden przez drugiego.

Tu zaszedł Krystyan z zawiniątkiem pod pachą, ze skrzypcami na plecach; — to był dom jego matki, przed którym stanął osłupiały.

## VII

Przyjmując nową osobę do służby, uważamy zwykle nie tylko na jej zdadność, lecz zarazem i na to, czyli w swojej powierzchowności lub mowie nie ma jakiej strony zbyt śmiesznej. Występujący na scenie aktor musi ucharakteryzować się stosownie do przedstawionej roli, żeby w godny sposób oddał utwór poety; szczególnie też organ ważną w nim stanowi stroną. Przeciwnie pastorom, którzy mają być organem samego Pana Boga, pozwalamy nieraz wystąpić z najmizerniejszym głosem, z najśmieszniejszą deklamacją; jakoż mamy między niemi kaznodziejów z organem to śpiewającym, to nosowym, to znów z nieznośną afektacją, które to wszystkie wady zwykle są zabytkiem stolicy, bo naśladowaniem wziętych tamże w swoim czasie starych predykantów. Tak samo jak dawniej nie wierzono, żeby Pismo Święte można przełożyć na język ojczysty, tak i dziś jeszcze lud, zwłaszcza po wsiach, częstokroć jest mniemania, że nie godzi się Biblii czytać głośno i bez owej przesadnej intonacji, którą przywykł słyszeć od pastora głoszącego z ambony słowo Boże. Zamiast przemówić głosem naturalnym z piersi i od serca, zamiast słuchaczom swoim spojrzeć oko w oko, ci panowie stoją zwykle jak zaperzone indyki z głową przekręconą w jedną stronę, a oczami w drugą. Słowo Boże, tak samo jak wino świętej Ofiary, podawać należy w kielichu czystym i otwartym.

Wszystkie te przymioty, jakich duchowny posiadać nie powinien, połączone były w kapelanie miejscowym, panu Patermannie, który stosownie do życzenia starej hrabiny miał, przygotować Naomi do pierwszej komunii świętej<sup>25</sup>. Nie napróżno w słowach jego miód był połączony z sykiem pełzających węży; na uśmiechniętych jego ustach spoczywał jakiś wyraz cklivy, słodkawy; tak samo jak król olchów, piękną swą stroną odwracał do ludzi, lecz jak on pustą był istotą<sup>26</sup>. Guwernantka utrzymywała, że twarz pastora jest prawdziwie apostołczną i że rozmowa z nim, to istna poezja w prozie życia. Co do nas, nie możemy podzielać tego zdania; najniesmaczniej też używał niekiedy cudzych dowcipów, bo sam nigdy żadnego jeszcze nie skleił. Nie umiał mnożyć obcych myśli przez swoje, a słuchaczy swoich uczęstować takim iloczynem, — wolał owszem od danej odjemnej odciąć własnego odjemnika. Oczywiście taki człowiek nie mógł się podobać Naomi.

— Pan Patermann ma mnie tedy wykształcić! — rzekła i w myśli rozważała wszystkie jego bijące w oczy przymioty — przedewszystkiem zaś wydawał jej się śmiesznym, a takim najmniej powinien być ten, co naucza najwyższych świętości. Nie szanowała go, a miała tu zarazem obfitą sposobność do objawiania wrodzonego sobie ducha przeciwnieństwa; tak więc przygotowanie do konfirmacji zamieniło się w zwyczajną dysputę, przy której jednak pan pastor nie zapomniał nigdy powinnej uległości względem jaśnie panny. Odbijał się za to na grzesznej młodzieży włościańskiej i postępował z nią tak, jak ów nauczyciel, który ucząc własnego swego syna razem z synem bogacza, ile razy ten ostatni co zbroił, pierwszego okładał dyscypliną, z tem nader logicznym zapewnieniem: — Tyś ciałem z mojego ciała, więc ciebie mogę walić!

Zwykle Naomi konno jeździła do probostwa, a zacny kapłan sam jaśnie pannie pomagał zsiadać z konia. Dziś właśnie przybiegł syn pastucha dla oddania jej tej posługi, który miał zarazem zlecenie proszenia jej imieniem komornicy, żeby na chwilkę raczyła do niej wstąpić, gdyż w chałupie jej leży umierający człowiek, który ją pragnie widzieć przed śmiercią.

<sup>25</sup>...miał, przygotować Naomi do pierwszej komunii świętej — u protestantów, jak wiadomo, to przygotowanie do pierwszej komunii, do której młodzież przystępuje zwykle między czternastym a osmnastym rokiem życia, połączone jest z kilkumiesięczną nauką w zasadach religii, a zakończone publicznym wyznaniem wiary, jako potwierdzeniem zobowiązań chrztu, z kąd też cały ten obrządek nazwano *konfirmacją*. [przypis tłumacza]

<sup>26</sup>...lecz jak on pustą był istotą — wiara ludowa w Danii utrzymuje, że olchy z tyłu są puste, jak wywrócone niecki. [przypis tłumacza]

— Co to za głupstwo! — rzekł pastor. — Toż ona przecie wdową; to nic innego tylko żebranina i kłamstwo — i zaprowadził Naomi do pokoju. Przypadek zdarzył, że przypadł właśnie rozdział o miłosiernym Samarytaninie.

— Był to postępek bardzo piękny, któryśmy powinni naśladować — rzekł pastor.

— A więc powinnam była zaraz dzisiaj pójść do komornicy! — odpowiedziała Naomi.

— To nie tak ma się rozumieć! — zawołał pan Patermann. — U nas biedni ludzie, to same tałajstwo, sami kłamcy i oszuści. Tu nie można tak postępować, jak niegdyś postępowali ludzie w krajach Wschodnich! — i zaśmiał się, bo był pewnym, że powiedział coś bardzo dowcipnego.

W ubogiej obórcie komornicy, gdzie jedyna krówka przywiązana była do żłobu, leżał umierający na słomie, — stary wór ze zgrzebnego płótna okrywał jego nogi. Nikogo nie było przy nim prócz krowy, która łeb wyścibiała za drabinę. Chory bezsilnie przebierał wychudłymi palcami.

Drzwi otworzyły się i weszła komornica z małym garnuszkiem wody, stanęła przed nim i na wpół łając, na wpół płacząc żaliła się: — Najśłodszy Panie Jezu! otóż leży u mnie biednej kobiety i umiera! Dobrze mi tak! nie trzeba mu było pozwolić przemocować. Toć mu już wczoraj wieczór, kiedy przyszedł, śmierć wyglądała z oczów. O! niech mi Pan Bóg dopomoże!

Umierający podniósł głowę i jakby uśmiechnął się; potem znów zamknął oczy.

— Panna nie przyjdzie! — rzekła. — Wiedziałam o tem dobrze, a teraz tylko jeszcze będzie się na mnie gniewał pan pastor! Już to będę ja miała za swoje!

Umierający westchnął głęboko. Nagle zerwał się i usiadł na swem posłaniu, a palcem wskazując związaną skrzynkę, spojrzął na kobietę.

— Czy otworzyć ją? — zapytała.

— Otworzyć! — szepnął zaledwie donośnym głosem.

Raptem oczy jego wyjaśniły się; wyciągnął ręce, gdyż przed nim stała Naomi, która otwartymi drzwiami weszła do obory.

— Jużem cię podobno kiedyś widziała! — rzekła do niego, — a ileśmy razy spotykali się, zawsześ mi się kłaniał z uszanowaniem. Zawsze też dziwnie jakoś na mnie patrzałeś. Czy to wodę mu dajesz? — spytała komornicy. — Przynieś co lepszego!

— Zapewne! gdyby mu można dać kieliszek wódki! — rzekła kobieta — ale już całe dwa tygodnie, jak ani jedna kropelka nie powstała w całym moim domu!

— Kup wina! — rzekła Naomi i dała jej kilka sztuk srebrnej monety, na widok której pocziwa komornica jakby osłupiała i po kilku dopiero chwilach wyszła do karczmy.

Wróbelek frunął na brukowaną posadzkę, zaświegotał i znów wyleciał z obory. Zdawało się, że nowe życie wstępuje w umierającego i wymówił znowu kilka wyrazów.

— Więc raz jeszcze widzę ciebie, Naomi!

— Znasz moje imię!

— Znałem je wcześniej od ciebie! — i spojrzął na nią ze smutnym uśmiechem. — Jam ciebie piastował na mych rękach, ale cóż, kiedy ty już starego Joela nie pamiętasz!

— Jużem cię dawniej gdzieś widziała! — rzekła Naomi. — Ale ty nigdy nie przychodzisz do dworu!

— Nie mogłem — odpowiedział — i nie chciałem!

— Cóż miałeś mi powiedzieć? — zapytała.

Wskazał na otwartą skrzynkę. Co on tam chował? co jej powiedział? — Gdybyś rozumiał świegotanie wzgardzonego wróbelka, tobyś usłyszał, co usłyszała Naomi! — gdybyś uchwycił tony, które zimny wiatr wiosenny dmie na swoim flecie czarodziejskim, owej plecionej ścianie biednej chaty, tobyś wiedział, dlaczego Naomi zamyśliła się i dlaczego wracając do zamku jechała stępo przez lasek.

— Czyż judaizm nie jest wędrownym Edypem, wystawionym na drwiny młodszego pokolenia? — Nie wiemy, czyli nad tem właśnie pytaniem zastanawiała się, czy też może nad dzisiejszą nauką pastora o miłosiernym Samarytaninie. Drobnie jej paluszki przewracały kartkę książki, a oczy jej wlepione w nią były z tą samą chciwością, z jaką alchemik wpatruje się w tygielek, w którym przetwarza swoje kruszce. Czy to katechizm był, czy nowe wydanie kancjonału, z którego prozaiczne ręce zerwały woniejące listki poezji? Format był za duży, oprawa za stara, a kartki zapisane były wybladłym przez lata atramentem. Była to spuścizna matczyna jaśnie panny, a w książce zapisane były różne

wiersze i oderwane myśli, zaś między kartkami niektóre lózne jeszcze porozrzucane były ćwiartki.

— Czyż to hańba, należeć do narodu sławnego na całym świecie? — myślała. — Ojciec mojej matki był bogaty; Joel był jego sługą, starym i wiernym sługą. Gdy wszyscy mnie opuścili, kiedy wszystko leżało w gruzach i popiele, on dał mi nową rodzinę, tu gdzie ją znalazłam i gdzie znaleźć byłam powinna. Stare, poczciwe serce! — Łzy cisnęły się z jej oczów, a ona zgmiotła je czarnymi rzęsami.

— Jaśnie panno! on umarł! — zawołała komornica, która bosy pobiegła za nią z tą nowiną.

Naomi stanęła.

— Umarł! — rzekła. — Powiedzcież mi, co wam mówił, kiedy kazał poselać po mnie?

— Mówił tylko, żebym posłała po jaśnie pannę, gdyż inaczej nie mógłby umrzeć! — Wiedziałam, że dziś jaśnie panna będzie u pana pastora.

— Wyście go nie zrozumieli! — rzekła Naomi oziębłe. — Widzicie, dlategoście się tak głupio znaleźli! Wysłaście po mnie, a jam nigdy z nim dawniej nie mówiła! Wcalem go nawet nie znała! Jużby was za to okropna spotkała przykrość, gdyby się o tem dowiedziano we dworze! ale ja wam przyrzekam, że nic nikomu nie powiem, abyście wy tylko język trzymali za zębami! Powiedzcie sołtysowi, że ten człowiek umarł.

— Wielki Boże! to go jaśnie panna wcale nie znała?

— A ja zkąd? — rzekła Naomi i spójrzała na kobietę z wyrazem przerażającej oziębłości na twarzy. — Zkądżebym mogła znać starego żyda?

I odjechała, — lecz serce jej biło gwałtownie.

— Biedny żydzie! Toż podobnie twoi zaparli się naszego Zbawiciela; dlaczegożbym ja nie miała się zaprzeć ciebie? — i wydobyła znowu książkę, którą skryła przed obcą kobietą i znowu w niej czytała, potem dała koniowi ostrogę i klusem puściła się do domu.

## VIII

Najuboższy z ubogich między nami ma grób swój w ziemi poświęconej, a gdy biedna jego rodzina nie może się zdobyć na sprawienie mu krzyża, tedy przynajmniej kawał płótna rozciągnie między wierzbami i atramentem zapisuje na niem nazwisko i datę śmierci nieboszczyka. Poczciwemu Joelowi, który nawet dźwigał pudło ze zwęglonemi zwłokami swego pana, by je złożyć w ziemi poświęconej, wyznaczono teraz grób za murem cmentarnym, gdzie obok ścieżki pasła się krówka biednej komornicy. W cztery dni jeszcze widziano ślady białego piasku, którym litościwa kobieta grób ten posypała, lecz później młodzież, w której tkwi jeszcze dzikość zwierzęca, obrzuciła go błotem i kamieniami, albowiem wiedziała, że w tym grobie spoczywa potomek Izraelu. A wżgardzone wróbelki siadały na kamieniach i świągotały swoje pieśni, a zimny wiatr wiosenny dął na swym flecte czarodziejskim, owej plecionej ścianie biednej chaty.

Czytanie ma w sobie coś magnetycznego; patrzymy na czarne głoski, a przez oczy powstaje w naszej duszy żywy obraz, który nas chwytą jak potężna rzeczywistość. Naomi czytała w książce i w listach, a dom, który niegdyś rozpadł się w popiół i w gruzy, stanął znów przed nią ze staremi, rzeźbionemi szafami i z tym nadpisem nade drzwiami: — Jeśli o tobie zapomnę, Jerozolimo, tedy niechaj zapomnę o własnej swjej prawicy! — Piękne lewkonie woniały, a słońce świeciło przez czerwone szyby altanki, gdzie pod sufitem wisiało jajko strusie.

Stara hrabina jednak prawdę jej powiedziała o matce, tylko nie powiedziała wszystkiego o Norwęgczyku, który podstępem dowiedziawszy się o miejscu i chwili jej schadzki z hrabią Wilhelmem, wsunął się do czekającej tak, iż gdy nadszedł prawdziwy kochanek, plotki potwarców najdowodniej zostały poświadczzone. Wprawdzie szczęście miłości jest wielkie, ale żal miłości jeszcze większy. Piękna Sara płakała, jak Zuzanna, córka Hilkiasza, lecz nie świadczył za nią żaden Daniel: *jam niewinny jej krwi i umygam od niej ręce!* Dużo tam było o tem bardzo nauczających komentarzy, choć niekoniecznie właściwem były zajęciem dla młodej panienki, sposobiącej się do pierwszej komunii.

„Norwęgczyk jest ojcem Naomi! — te wyrazy zapisane były w książce pismem bładem i drżącym, ręką starego Joela. — „Było to morderstwem twojej nieskalanej sławy, biedna Saro! Wżgardzona, z nienawiścią w sercu dla ojca twego dziecięcia, jednak nie miałaś

nikogo, tylko jednego jego! Rzuciłaś się w jego objęcia z przekleństwem na ustach, a on wcisnął na nie milczenie cichej śmierci; żale twoje rozbudziły w nim ducha złego i zabił cię! Bóg Izraelu jest mściwym Bogiem, który za grzechy ojców karze dzieci aż w czwarte pokolenie.”

— Norwegczyk jest moim ojcem! — rzekła Naomi. — Więc to już niezawodne! O, moja matko! Tak jest, przez ciebie należą do owego wzgardzonego ludu! Tej pewności nikt mi nie odbierze! — Stała przed lustrem. — Nie mam jasnych włosów i niebieskich oczu mieszkańców Północy, — nic takiego, co by zdradzało, że się rodziła pod zorzą północną i pod słońcem zamglonem. Włosy moje są czarne, jak zwykle u córek Wschodu! moje oczy i krew moja świadczą, że należą do cieplejszej strefy.

I z zapalem zabrała się do czytania Starego Testamentu, jak arystokraci radzi czytają tablice genealogiczne swoich rodów. Serce jej biło mocniej przy każdym opowiadaniu o dzielnych niewiastach, o których mówi Pismo Święte, o mężnej naprzykład Judycie i rozumnej Esterze.

— Lud mojej matki wówczas już był oświeconym i zwyciężkim, kiedy na Północy mieszkaly same tylko hordy dzikich barbarzyńców! Teraz rzeczy stoją inaczej!

— Jaśnie panna prawdziwym jest antychrystem w wierze! — rzekł pan Patermann po lekcji i w samej rzeczy rozmaite jej pytania, lepszego niż on teologa byłyby mogły w potężny wprowadzić kłopot. Sobie samej zostawiona, myśli jej śmiało, częstokroć zbyt śmiało rozstrzeliwały się; otaczających ją ludzi nie miała za nic, jakoż prawdziwą bywało jej uciechą sprzeczać się z pobożnym kapłanem i całkiem go wybić z konceptu, co nawet dość często się zdarzało. Chciała wiedzieć, czego nauczał swoich Arabów Mahomet, chciała słyszeć mądrość objawioną przez braminów nad brzegami Gangu. — Toż znać trzeba wszystko i wybierać najlepsze! — mawiała. — Chorym i słabowitym nie należy dawać więcej nad potrawy przez lekarza przepisane, ależ ja dosyć jestem silna, żeby z każdej skosztować po trosze.

Przy takiej rozmowie kłaniał się nisko pan Patermann, a myślał sobie w duszy: — Jeżeli kogo smażyć będą w piekle, to niezawodnie tę poganę! A wszystko co było w Naomi niedobrego, jak najdokładniej dochodziło starej pani hrabiny, która znów o wszystkim donosiła synowi. Guwernantka, wcale nie przydatna na dozorczynię i nauczycielkę Naomi, także przeszła do obozu hrabiny, jako lektorka, towarzysza i wahadło konwersacyjne. Długo wprowadziła trzymała stronę Naomi, lecz gdy ta ostatnia drwiła sobie z jej niemieckich poezji, zniewoloną była przejść do partyi przeciwnej. To co Anioł Pański przepowiadał Hagarze o synu, którego miała wydać na świat, to samo zdawało się dotyczyć Naomi, jak niegdyś Izmaela: „Będzie dzikim człowiekiem; ręka jego będzie przeciwko wszystkim, a ręce wszystkich przeciwko niemu!” — Co do hrabiny, pastora i guwernantki, dosyć oni otwarcie byli jej przeciwni.

— Wiem ja dobrze — mawiała — że kiedy mgła unosi się nad łąką, nietrudno o czarne chmury. Ale mnie właśnie bawi niepogoda, taka przygotowana niepogoda! Chcieliby nademną przewodniczyć! Jeden hrabia jest moim królem i panem! Jeśli staną mi się zbyt nieznośnemi, jeśli wezmą na siebie rolę niegodziwego Hamana, tedy ja będę śmiałą jak Estera i gdy się najmniej tego spodziewają, wystąpię przed nim z moją skargą. Potężniejsza to była ręka, niż przystojnego blondyna Ludwika, która prowadziła pióro kreślące mój rysopis w paszporcie, przeznaczonym dla nudnego płaksy i niedołęgi w Odensee! — I znowu zaczęła czytać o licznych trzodach Abrahama, o zwycięztwach Dawida, o przepychu Salomona.

Na *forum* rzymskim stoją ruiny pogańskiej świątyni; w samym jej środku, między wysokimi filarami z marmuru, wystawiono kościół chrześcijański; stare z nowem wzajemnie tutaj trzymają się, a jednak oko widza najwięcej spoczywa na szczątkach starożytnych. Zupełnie tak samo myśli Naomi więcej zajęte były judaizmem, który uważała za zbudowany razem z nauką chrześcijańską. Kiedy zwykle młodzież istne nawet myty przemienia w rzeczywistość, ona przeciwnie rozpoczynała jakieś filtrowanie w guście Straussa, któryby wszystko historyczne rad przemienić w same myty. Tym sposobem rozwijało się w niej widzenie rzeczy religijnych, podobne do owego, które dziś zaczyna objawiać się w niektórych umysłach niemieckich, pewien rodzaj wolnomyślenia. Gdyby w ogóle bliżej chcieć oznaczyć, czem była właściwie Naomi w roku swojej konfirmacji, toby ją raczej

należało nazwać żydówką, niż chrześcianką; grzmiący, surowy sędzia Jehowa nierównie wspanialszy był w jej oczach od łagodnego Boga miłości, do którego w zupełnym zaufaniu odezwać się możemy: *Ojcze nasz, któryś jest w niebieszech!* — Co czytywała w Starym Testamencie, to łączyła ze wspomnieniami dzieciństwa i myślała o starym Joelu, o ostatniej z nim swojej rozmowie.

Na grobie jego, gdy po raz pierwszy znów przejeżdżała tamtędy Naomi, pasła się krowa komornicy. Rzuciła okiem na mur cmentarny i uśmiechnęła się.

Następnego niedzieli atlasowa suknia wlokła się po kamiennej posadzce przybranego świątecznie kościoła, w którym wisiały zielone gałązki i girlandy z kwiatów, a na ołtarzu paliły się złożone świece. Naomi stała na czele rówieśnic; ona była *najpierwszą*, a zatem najlepszą uczennicą. Nikt nie odpowiadał jak ona, nikt lepiej od niej nie dowodził, że pojął i poznał całą naukę chrześcijańską.

Kareta odjechała z przed kościoła; koła jej przeszły nad grobem Joela.

— Dziś przysięgam na wierność chorągwi Chrystusowej! — rzekła zamyślona Naomi. — Wychowali mnie taką, dali mi jeść i pić, żebym należała do ich grona. Wiem że dezercya jest karana. Zresztą może to i jedno wszystko, czy się służy w konnicy, czy w piechocie, byle temu samemu królowi jegomości! — Zamyśliła się. — O Boże! toć i ja tak opuszczona na świecie! — rzekła, a łzy z pod ciemnych rzęsów spłynęły na jej policzki.

Lokaj dał znać, że świetna biesiada już jest zastawiona. Pan Patermann prowadził do stołu starą hrabinę. Naomi była jeszcze w atlasowej sukni, z czerwonym pączkiem róży na bijącym sercu.

## IX

Równie jak biedna prządka na wszelki wypadek zwykle przy kądzieli miewa małą nitczkę, do której przywiązać może nową przędzę, tak prości ludzie pewną też mają nić na początek i na dalsze wysnucie swoich listów: — „Jestem zdrow i wesół i radbym o tobie wiedzieć to samo!” — jakkolwiek dalszy ciąg listu niejednokrotnie bywa w sprzeczności z podobnym początkiem. Tak samo zaczynała się także odpowiedź Piotra Wika na pismo Krystyana: reszta zaś brzmiała, jak następuje:

„Kiedyż już raz dasz pokój swoim waryactwom? — pisał. — Nie rozwijajże wszystkich żagli, dopóki jeszcze cały ładunek nie jest na pokładzie! Dobrze uważaj, żebyś nie stracił tej bagateli, którą masz w górnej facjatce! Zresztą jestem twoim dozgonnym i wiernym przyjacielem.

*Piotr Wik,*

*właściciel i kapitan statku Łucyi.”*

Ręce przyjaciół ostrzejsze zadają ciosy od samych nieprzyjaciół! A w gruncie, albowiem Piotr Wik nie miał słuszności? Krystyan nie mógł temu zupełnie zaprzeczyć i czuł się trafionym, lecz niekoniecznie dotkniętym, jak wówczas, gdy go Naomi porzuciła w gniewie, za to, że nie usłuchał na ślepo jej awanturnicznych planów. Uczucie własnej godności przebudziło się w nim i mocno ubolewał, że jej nie rzucił pod nogi całych pieniędzy. Teraz przychodziły mu na myśl setne śmiałe odpowiedzi, któremiby zaraz mógł odciąć się. Nazajutrz rano, jak już powiedziano, dom swoich rodziców ujrzał przemieniony w kupę gruzów, a słysząc żale opuszczonej matki, dał jej połowę swych pieniędzy, w nadziei, że je zwróci, skoro albo własną pracą, albo cudzą łaską uzupełni brakującą sumkę; — w tej chwili bo żadnej innej nie miał myśli. Radę przyjmuj od swoich przyjaciół, lecz nigdy nie bierz datku, nigdy, jeśli nie wiesz czy będziesz w stanie zwrócić go! Czuł on głęboko tę prawdę i przypominał sobie, jak często Naomi okazywała się dlań oziębłą i okrutną. — Już jej nie Kocham! — zawołał — Wprawdzie jest piękna, ale też to jest wszystko! — a jednak myśli jego obracały się ustawicznie wkoło niej, jednak marzył, jak siedziała przy jego łożu, jak mu podawała rękę, jak raz nawet pocałował ją w oba policzki. Słodkiż to był sen! Połowę pieniędzy, które dostał od Naomi, oddał swojej matce, a ta połowa była łańcuchem, co go gniótł swym ciężarem, i gniótł go tem bardziej, im lepiej rozważał, że matki swojej jednak nie zdołał nim uszczęśliwić.



Z maleńkiem dzieckiem swoim, siedziała ona w biednej stancyi komornika; bogaci krewni jej męża nigdy jej nie lubili, więc teraz jak się wyrażali, klątwa już była zniesiona; dziecko chcieli przyjąć do siebie, lecz ona się z niem rozstać nie chciała, a za to w ubóstwie swoim znosiła zelżywe wyrazy. Niels siedział przy stole i słuchał.

— Toć możesz sobie wziąć na powrót swego krawca! — rzekł; — poleciał sobie ze stoma talarami!

— Dano mu daleko więcej! — rzekła Marya — ale on za to oddał swoją krew i życie!

— Albo on głupi! zawołał Niels. — Nie myśl, że on nie żyje, toć ja go widziałem w przeszłym roku. Przyszedł tu wieczorem do dworu, a ojciec dał mu z jakie tam sto czy pięćdziesiąt talarów, żeby go się tylko ztąd pozbyć! Więc nie masz co po nim beczeć! Jeszcze możesz znowu zostać panią krawcową!

— Wielki Boże! co ty tam chłopcze, gadasz? — przerwała Marya i wstrzymując dech przysłuchiwała się temu, co opowiadał chłopiec. — Z ciebie niegodziwe stworzenie! — zawołała — ani jedno słowo prawdy z ust twoich nie wychodzi! — i zaczęła gorzko płakać.

Do Odensee przybyła kompania sztucznych jeźdźców, udająca się do Kopenhagi. Wszędzie mówiono tylko o pięknych ludziach i o wspaniałych koniach; Krystyan i kilku dylettantów grali w ich orkiestrze.

Naomi była w Odensee wraz ze starą hrabiną; obie były zachwycone. Jedyna dama w tej trupie miała coś tak przyzwoitego, jak się wyrażała hrabina, że wcale jakoś nie żenowało patrzeć na piękne jej członki; stała spokojnie z wspaniałym piórem na kapeluszu i z chorągwią w każdym ręku, gdy tymczasem kary jej ogier zdawał się latać na skrzydłach. Naomi zazdrościła jej tej chwili. Mężczyźni wszyscy tak byli ślicznie zbudowani i tak silni w muszkułach, że najtrudniejsze sztuki wydawały im się igraszką, a jednak mówiono, że jeden był jeszcze pomiędzy nimi znakomitszy: młody, dwudziestoletni Polak, imieniem Władysław. Odwaga jego miała być posuniętą do zuchwalstwa; niedawno powstał z ciężkiej choroby i dlatego nie występował jeszcze publicznie. Wyprowadził jednego z najlepszych koni, a natychmiast powszechna uwaga zwróciła się na tego prawdziwie idealnie pięknego mężczyznę, którego twarz zbladła i ześniedziała skutkiem słabości, ale którego rysy były tak śmiałe i zuchwałe. Czarne brwi podwyższyły jeszcze ów wyraz śmiałości, lecz w oczach jego był jakiś niezmierny smutek, może ślady cierpienia, z których niedawno co się podniósł. On tedy dla wszystkich najwięcej był zajmującym, chociaż żadnej nie widziano dotąd próby jego sztuki. W samej rzeczy, głos publiczny nie zaniedbał rozsiewać o nim różnych wieści, że jest szlachcicem i że na polowaniu zastrzelił swoją narzeczoną; inni znów utrzymywali, że z powodu pojedynku musiał uciec ze swojej ojczyzny; inni, że kraj swój porzucił przez miłość dla pięknej amazonki i że skutkiem tego bogata jego narzeczoną niedawno umarła! Wszystkoto były tylko przypuszczenia, które wieść przedstawiała jako pewność, ale jakkolwiek rzecz się miała, zawsze to niezawodne, że blady, z poważną fizygnomią jeździec był nader zajmującym.

— Tak jest! on chyba był bardzo chorym! — rzekła hrabina. — A jakie dopiero biedny ten człowiek musiał znosić katusze! ja to najlepiej czuję, bo sama wiem, co to znaczy chorować! Okropne musi być życie, nie mieć żadnego domu i jeździć z jednego kraju do drugiego; nawet trochę klejku nie wiem, czy takiemu ugotują!

— Życie bardzo szczęśliwe! — rzekła Naomi. — Mogłabym go zazdrościć tej pannie z powiewającym piórem i rozwiniętymi sztandarami!

— W końcu jednak zawsze połamię ręce albo nogi! — rzekła hrabina — nieszczęśliwie z nich bywają kaleki, jeśli się całkiem na śmierć nie zabiją!

Naomi potrząsała głową i wiele myślała o ładnym jeźdźcu Władysławie. Z Krystyanem nie rozmawiała już od owego wieczora, gdy w gniewie odjechała z oberży; ile więc razy oczy jej spoczęły na jeźdźcu, tyle razy on wzrok swój wlepił w jej oblicze; *Amor et melle et felle est fecundissimus!*<sup>27</sup> mówi Plautus, a prawda ta zapisaną była w sercu Krystyana.

Naomi i stara hrabina miały swoje miejsca blisko orkiestry; pan Knepus rozmawiał z jaśnie panią, Krystyan także musiał ukłonić się, lecz do Naomi nie przemówił ani słowa. Przedstawienie już blizkie było końca, gdy przez pół wychyliła się do niego. — Jedź z tą trupą jako kapelmistrz! — szepnęła. — Widzisz, teraz masz dobrą sposobność!

<sup>27</sup> *Amor et melle et felle est fecundissimus!* — Miłość obfituje najwięcej w miód i żółć. [przypis autorski]

— Cóżbym na tem zyskał? — zapytał ponurym głosem, chociaż serce jego już się zmiękczyło i mógłby tej samej chwili uklęknąć przed nią, pocałować ją w rękę i przeprosić za każdą myśl gniewną.

— Przynajmniejbys to zyskał, żebyś zmienił klimat! — odpowiedziała ozięble i już więcej nie odezwała się do niego.

Tak jest, klimat, to w hrabiowskim domu główny był temat pomocniczy do wszystkich wyścigów konwersacyjnych. Niechaj poeci i patryoci co chcą mówią o piękności Danii, Naomi jednak powtarzała, że żyjemy w najniegodziwszym klimacie. — Gdyby Niebo wiedziało — mawiała — że nasz podziw przyrody podnieść się zdoła do tak wysokiej potęgi, toby nas niezawodnie, jak ślimaków, utworzyło z chałupami na grzbiecie i jużbyśmy nie potrzebowali owych kapturów, salop i parasoli, które dziś ważną stanowią część naszej osobistości. Rok nasz, tak samo jak w krajach podzwrotnikowych, składa się z pory suchej i dżdżystej, tylko z tą różnicą, że u nas suchą jest zima, bo to mróz u nas suszy, przeciwnie zaś dżdżystą porę nazywamy latem, obdarzającym nas świeżemi woniącami kniejami, naszą dumą i nagrodą, albo pięknymi obłokami, nad którymi ludzie nie dosyć się unoszą, gdyż zwykle nie patrzą tak wysoko. We Wrześniu mówimy najczęściej: — toć i teraz jeszcze mogą przyjść piękne dni letnie! — lecz skoro się nie pojawią, wówczas pocieszamy się tą myślą, że już za późna jest pora, by domagać się jeszcze można stałej pogody. Nawet i to dobre, że deszcz nas nawiedza. — Aby tylko Pan Bóg zesłał nam porządny deszcz, bo inaczej smutnoby wyglądało w polu! — Tę naszą pieśń właściwie narodową śpiewamy zwykle co roku, ile razy ziemia nie stoi pod kałużą. Ludzi takich, którzy dwa lub trzy razy w życiu oszukali swoich bliźnich, słusznie zwiemy złemi ludźmi; lato przeciwnie, które tak fatalnie działa na nasze zdrowie, lato, któremu przez parę nawet dni nie możemy zaufać, bo nie możemy ruszyć się bez domku ślimaczego na grzbiecie, złą jednak porą roku nie nazywa się. Każą nam myśleć o korzyściach rolnika, nie o własnej przyjemności, — ależ i rolnik się nie cieszy, bo jeżeli rok jest rzeczywiście nieurodzajny, on narzeka i słusznie: Mój Boże, w tym roku nic się nie obrodzi! — lecz jeśli żniwa wypadną obfite, to znów wzdycha: Mój ty Boże, w tym roku wszędzie tak pełno zboża! cóż człowiekowi za to wszystko dadzą! — Wiecznie tylko narzeka! Więc nie wolnoż i nam narzekać, którzy mamy upodobanie w piękności przyrody, tak u nas nikłej jak tęcza, a przynajmniej występującej zwykle w tych samych warunkach, bo zawsze z lisią czapką na głowie!

Takie były przekonania Naomi. Stara hrabina mawiała o niej, że ani odrobiny nie ma miłości ojczyzny, a pan Paterman zapewniał, że z jej religią zupełnie jest tak samo; chociaż więc nie mógł bez narażenia się, ogłosić ją wprost samym Antychrystem, to przynajmniej miała zwiastować blizkie jego przyjście. We względnie religijnym sposób widzenia w Naomi nie był ani ascetyczny, ani helleński, ale raczej możnaby ją było uważać za wybiegłą naprzód partyzantkę tak zwanej *młodej Germanii*; jakkolwiek bowiem nie posiadała głębszego pojęcia o Filozofii, jednak dosyć liźnąć jej w dozie niezmiernie homeopatycznej, żeby być podobnym do większej części uczniów tej szkoły, byle tylko być obdarzonym pewną wymową i, jak to mówią, nie dać się nikomu.

Pan Paterman mruzczał starą piosnkę: „Zły to sługa Chrystusowy!” a stara hrabina nóciła: „Danio, najpiękniejszy błoni!” bo zawsze utrzymywała, że nasz kraj ze wszystkich jest najpiękniejszy, — prawdę mówiąc, bo też żadnego innego nie znała.

— Ja nie jestem poetą chcącym orderu Dannebrog! — mawiała Naomi — nie jestem mówcą patryotycznym, który stara się o pomieszczenie w *Życiorysach sławnych Duńczyków*, albo w *Kalendarzyku politycznym*; uznaję to, co jest pięknem, a gdyby się inni zanadto nad niem nie unosili, tobym ja może była nawet zachwyconą! — Mówiła prawdę; więcej może od tamtych podziwiała zielone, woniące lasy, śmiałe kontury obłoków, ogród i pagórek z kwitnącemi krzakami borówek, ale wiedziała także, że w innych stronach Bożego świata jeszcze bywa piękniej i że nasz klimat właściwie wcale sobie nędzny.

— Powinnaś tam pojechać, gdzieby ci było lepiej! — takie zwykle bywało zakończenie hrabiny do piosnki Naomi o klimacie.

— Ja też bardzo o tem myślę — odpowiadała młoda dziewczyna.

Tak minęło lato 1819 roku; w zimie czekała ich podróż, wprawdzie bardzo mała, bo pobyt zimowy w Kopenhadze. Naomi miała tam ukazać się w szlacheckim domu, spokrewnionym z rodziną hrabiowską, gdzie można było zastać wszystkich przepych i zbytek,

do którego więc schodzili się naturalnie także literaci i artyści, których dowcip i humor w podobnych towarzystwach najczęściej uważanym bywa za rodzaj publicznej fontanny; zapraszają ich, żeby tryskali przed innemi gośćmi. Naomi cieszyła się głównie z tego duchowego widowiska, nawet szczęśliwą była, że z lazaretu przechodzi do salonu, od kazań pana Patermana do komedii i opery. Teraz przecie była już damą, sama widziała swoją piękność, pojmowała swój rozum, ale nie przychodziło jej na myśl, że w wysoko arystokratycznym domu mało jej będzie tych dwóch dźwigni, skoro zbywa na najważniejszej, bo na klejnocie szlacheckim.

— Przecie już teraz zacząć żyć! — zawołała — Przecieżem się wyrwać z Bastylii! — Czas pokaże, czyli dla szczęścia jej nie byłoby może lepiej, gdyby choć jeden rok została jeszcze na wsi.

## X

Było to wieczorem dnia czwartego Września 1819 roku, gdy pojazd Naomi wjeżdżał do Kopenhagi. Jakież tu było życie, co za ruch na ulicach, podwójnie rażące dla tych, którzy przybywali z prowincji. Nawet dawniej, kiedy niejednokrotnie już zwiedzała stolicę, nigdy w niej jeszcze nie widziała takiego ożywienia; wszyscy ludzie biegali, jakby krew w gorączce. Pojedyncze gromady ludu schodziły się na bocznych ulicach; zewsząd pędzili żołnierze, wysyłani za depeşami do letniego zamku królewskiego; wszystko razem dowodziło jakichś niezwykłych wypadków.

Naomi spuściła okienko w karecie i wyjrzała na zgłębione tłumy. Ulica wschodnia, którą droga ich prowadziła, cała napelńiona była ludźmi; wszędzie słycać było dzikie okrzyki, brzęki tłuczonych szyb, nawet tu i owdzie wystrzały. Kareta musiała zjechać na boczną ulicę. Dwie damy w pewnym wieku, które z Fyonii razem z Naomi przyjechały do Kopenhagi, zaledwie już żyły z przestraszu.

— Cóż to jest? — zawołała z powozu Naomi, a w tej chwili latarnia uliczna całą twarz jej oświeciła. Jakiś człowiek z pospólstwa wpatrywał się w nią.

— Ona też należy do rodziny Mojżesza! — rzekł — pewnie to całe gniazdo żydów ucieka od nas co żywo!

— Hep! Hep!<sup>28</sup> wrzasnęła rozjuszona zgraja, zbliżająca się szybko do karety; człowiek otworzył drzwiczki i zajął w środek, lecz Naomi w pierwszym, chwilowem zamieszaniu, przeciwległemi drzwiczkami wyskoczyła na ulicę. Tyczasem stangret zaciął konie i popędził z miejsca; kilku uzarów z dobytymi szablami wjechało między tłumy, w pośród których stała Naomi. Prędko też zebrała całą przytomność, zwolniła kroku i spuściła welon na twarz, chociaż nie wiedziała o niczem więcej, jak tylko że zebrało się nadzwyczajne zbiegowisko.

— Na miłość Boga, za mną! — szepnął tuż obok niej jakiś nieznajomy mężczyzna, uchwycił ją za rękę i wyciągnął z tłumu do najbliższej sieni.

— Tu już mała woda — rzekł — teraz popłyniemy przez podwórze, a potem panna będziesz bezpieczna, jak w komodzie swojej matki.

— Cóż znaczą te tłumy? — spytała Naomi.

— Dobierają się do krewnych panny! — odpowiedział nieznajomy i wymienił nazwisko rodziny, do której ona zdaniem jego zapewne należała i która cokolwiek była mu znana. Podwórzem chciał ją następnie poprowadzić do mieszkania tych ludzi.

— Ja nie jestem żydówką! — rzekła Naomi:

— A więc, dalipan, flaga kłamie! — zawołał obcy. — Zresztą, i to prawda! toć widziałem, jak panna wysiadała z pojazdu! Ja się nazywam Piotr Wik, a okręt mój stoi w nowym porcie. Możesz mi się pani powierzyć bez obawy!

Naomi uśmiechnęła się. — Jużesmy raz — rzekła — podróżowali z sobą z Szwecji po lodzie.

— Ach prawda! oj! i wtenczas belek nie było pod wodą! — Więc witali się jako starzy i dobrzy znajomi.

Nazwała mu miejsce, gdzie na nią czekano i poszli jedną z mniejszych uliczek bocznych.

<sup>28</sup>Hep! Hep! — okrzyk: Hep! Hep! był hasłem powszechnego prześladowania żydów w całych Niemczech i w krajach skandynawskich, w dziesiątkach drugim i trzecim bieżącego wieku. [przypis tłumacza]

Dobre czasy dla szklarzy! — rzekł Piotr Wik — Tłuką szyby nietylko u samych żydów. Najlepiej tym, co mieszkają na facyatkach, więc i ja tam mam moje kobiety, bom ich przywiózł aż dwie dla obejrzenia miasta, skoroc tu kilka dni zostaną. Chłopca wzięły z sobą; jaki on wyrosł duży, a jak już teraz ładnie rżępoli na skrzypcach! Ot tam na górze wszyscy siedzą! — i wskazał na jedną z oficyn obocznego domku.

— Czy to dziś w wieczór zaczęły się te rozruchy? — spytała Naomi.

— Tak jest! ale nie tak prędko ustaną. W Hamburgu rozpoczęli taniec, a ztamąd jak ognik przeszedł do nas; teraz mówią, że w porcie stoją dwa okręty z żydami, którzy tutaj niby chcą osiąść w mieście. Wszystko to kłamstwo, lecz jednak ludzie wierzą!

Kiedy jeszcze z sobą mówili, tłum ludzi z poblizkiego placu hurmem wpadł na uliczkę, gdzie się właśnie znajdowali i zatarasował im drogę. Piotr Wik przez chwilę stanął wątpliwy co czynić, — aż nakoniec usłyszał biegającą, za sobą zgraję chłopców. Tuż obok leciały szyby.

Mnie się zdaje — rzekł — żeśmy z deszczu wpadli pod rynnę, z popiołu w sam środek ognia!

— Ależ jednak musimy wydobyć się! — zawołała Naomi.

— Tak jest, bylebyśmy kamieniem nie dostali po karku — odpowiedział Piotr Wik.

— Mnie się zdaje, że nie wszystkie kamienie lecą z ulic. Toć tak wygodnie rzucać także kamykiem z okienka sąsiada; te burze lądowe daleko bywają gorsze od morskich! Mnie się zdaje, że najlepiej byłoby, gdybyś jaśnie panna na ten raz kontentowała się towarzystwem moich kobiet, a jabym tymczasem wystarał się o najęcie karety.

Tłok ze wszystkich stron zwiększał się, gdyż małe zaułki, łączące główną ulicę z tą, przez którą właśnie przechodzili, były jakby kanałami dla ściągnięcia rosnącego tłumy.

— Gdybyś jaśnie panna chciała przytrzymać mnie za połę od surduta — rzekł Piotr Wik — to jabym posłużył za latarkę! — i weszli na ciemne, wązkie schody. Zastukał do drzwi, a głos kobiecy zapytał go, kto by tam przyszedł. — To ja, ty gąsko! — odpowiedział Piotr Wik i weszli do małej izdebki.

Łucya stała ze świecą w ręku, a matka jej, w ubiorze na wpół wieśniaczym, razem z gospodynią i Krystyanem siedziała przy skromnej wieczerzy.

— Zetrzyj kurz z krzeselka dla jaśnie panny! rzekł Piotr Wik, — teraz pójdę po statek! — i wybiegł znowu z pokoju, gdzie wzajemne zadziwienie z obu stron było jednakowo silne. Wszyscy troje tymczasem powstali, lecz jeszcze nie wymówili ani słowa.

Naomi przeprosiła za subiekcyą i opowiedziała całą swoją przygodę, poczem dopiero i tamci stali się nieco rozmowniejsi.

Wszyscy bali się fatalnego rozruchu, głównie zaś Łucya, która pierwszy raz była w Kopenhadze, i która tak długo już cieszyła się na spodziewany pobyt w tej wspaniałej stolicy. Wdowa, u której mieszkaly, była starą przyjaciółką matki Łucyi, bo kiedyś podobno w młodości razem służyły we dworze. Piotr Wik zabrał je z sobą, a zarazem i Krystyana, gdyż cały jego pobyt w mieście miał trwać najwięcej dwa tygodnie, — jedna zaś połowa tego czasu już minęła.

Tak jak Paryż w dniach lipcowych mógł się wydawać spokojnemu mieszkańcowi północy, tak wydała się potulnym przybylcom z prowincyi wzburzona Kopenhaga; ale jednak, ileż tu nagromadzonego przepychu i bogactwa, — wiedzieli nawet, że im to wystarczyć potrafi na przedmiot do rozmowy na całą resztę życia. Stajnie królewskie z filarami marmurowymi i sklepieniem sufitem daleko były wyższe od wszystkich znanych im kościółków wiejskich; giełda ze wszystkimi sklepami, które wyraźnie tworzyły dwie ulice, była jakby małym miasteczkiem pod dachem. Widzieli całą rodzinę królewską płynącą przy odgłosie muzyki przez kanały do portu Frederiksberg; byli na okręcie liniowym, tak ogromnym i tak strasznym, że dopiero zobaczywszy go, można sobie było wyobrazić Arkę Noego, gdzie chowały się wszystkie gatunki zwierząt ziemskich.

O tem wszystkim dowiedziała się Naomi przez pewien rodzaj duetu opowiadawczego pomiędzy matką a córką, — matka jednakże miała pierwszy głos, przerywany jedynie pojedynczemi okrzykami ulicznymi, lub tententem końskich kopyt w czasie przejazdu patroli; wówczas bowiem przeznęnywała się i ledwie donośnym głosem wybąkla: — Jezu Chryste! zlituj się nad nami! — Łucya nie mogła się wcale napatrzeć Naomi, o której Krystyan tyle jej opowiedział.

Blizko godzina minęła, a Piotr Wik ciągle jeszcze nie wracał: pewnie trudno musiało być o powóz. Na ulicy wszystko już zdawało się spokojnym, a tu jeszcze czekano napróżno. Każdy turkot pojazdu zapowiadał im powrót zacnego kapitana, lecz wszystkie pojazdy przejeżdżały mimo. Nadaremnie też rozpoczynały nową rozmowę; jakoś nie szło, bo wszyscy mieli oczy niespokojnie wlepione we drzwi od sieni, któremi Piotr Wik miał wrócić, a nie wracał. Naomi czuła się nieswoją w małym ciasnym pokoju, pomiędzy obcemi ludźmi.

Stróż nocny zagrzechotał jedenastą, a oni jeszcze siedzieli samotnie.

— O Boże! westchnęła Łucya — aby go tylko nie zabili! alboż to trudno w takim zgielku niewinnemu oberwać za winnego!

— Toć oni strzelają tylko prochem! — zawołała Naomi. — Zresztą ja się już nie boję i rada pójść do domu, aby mnie tylko Krystyan odprowadził.

— Nie! nie! — zawołały tamte kobiety — to być nie może! jeszcze trzeba poczekać.

Gospodyni dla przepędzenia czasu przyniosła talię kart.

— Ale żeby też Krystyan zeszedł na dół i wyjrzał za nim! — rzekła Naomi. On był gotów i przyrzekł, że nie długo powróci.

— Na miłość Boską! tylko bądź ostróżnym — rzekła Łucya. — O! ja się tak boję o niego!

— Toć on dorosły mężczyzna! — odpowiedziała Naomi — a jeśli się nie mylę, on daleko od sieni nie odejdzie. — Rzeczywiście jednak tak nie było.

Teraz kobiety były same.

— Słyszycie! — zawołała Łucya — już znowu stróż nocny grzechocze. Ach! jak to straszno w takim dużym mieście! A ludzie mieszkają tak wysoko; jedna familia wyżej od drugiej! Dałby Pan Bóg, żebyśmy już tylko byli znowu w domu!

— Ależ tam tak nudno! — rzekła Naomi.

— O nie! — odpowiedziała Łucya. — W lecie, aby tylko pogoda, zawsze się jest na świeżem powietrzu, a w zimie zawsze jest nad czem dłużyć. Aż mi tęskno teraz do dachu sąsiada i do krzywych jego okien, na które przez tyle lat nieprzerwanie patrzyłam z mej facytki; — tak jest, aż mi tęskno, bo tam niczego się nie boję, jak tutaj. Wprawdzie tu z samego początku wszystko mnie bawiło, cały ten przepych, te bogactwa, — ale nawet, gdy to oglądała, doznawałam jakiegoś uczucia przykrego, że samemi tylko obcemi ludźmi jestem otoczona, że mnie żaden z nich nie zna, a ja dla nich wszystkich jestem zarówno obojętną. Dziwna to myśl, ale jednak prawdziwa!

Krystyan tymczasem był na ulicy. Chwilowo wszystko ucichło; drzwi i bramy na rozkaz władzy były pozamykane, lecz przez okna wszędzie widać było światła, — znak, że jeszcze się ludzie nie pokładli. Każdy dom zdawał się niemym lunatykiem, w którego wnętrzu poruszało się całe życie myśli. Na sali tylko, gdzie pospólstwo hula nocami i tańczy, dziś już było ciemno; żaden promień światła nie wychodził na ulicę przez wyrżnięte w kształcie serca otwory w okienicach. Krystyan wspomniął matkę Małgorzatę. Piotra Wika nigdzie nie dojrzał, a u znajomego mu doróżkarza wszystko było zamknięte; nikt nawet nie otworzył, gdy zastukał do bramy. Smutna to więc była odpowiedź, z którą wrócił do czekających.

Naomi uchwyciła całe położenie ze strony romantycznej, jakoż jedyna to była strona cokolwiek znośniejsza. Łucya o mało co nie rozplakała się.

— Jeżeli wujko nie wróci do dwunastej — rzekła — to zmiłuj się Boże, ale pewnie jakiś będzie nieszczyście!

— Pan Bóg dobry i łaskawy! — odpowiedziała jej matka i rozłożyła karty, żeby też zobaczyć, co one powiedzą.

— O matko! — zawołała Łucya — rzuć karty! mnie się zdaje, że to jakby bluźnierstwo, w taki dzień jak dzisiaj siedzieć nad kartami!

Już było trzy kwadranse na dwunastą; kobiety liczyły każde uderzenie zegaru. Tak samo jak ludzie na okręcie Kolumba, i one naznaczyły sobie pewien czas, po którym wszystka nadzieja już miała być straconą; tylko że tamci oznaczyli dzień, a one godzinę, bo dwunastą.

Tymczasem pocziwy Piotr Wik także liczył kwadranse, a nawet już przed dwiema godzinami; teraz poddał się pod nieuchronną konieczność, bo i zresztą znajdował się

w licznych towarzystwie, do którego jednak pod żadnym względem nie można było zastosować słów Goethego:

«Dobrą kompanię widziałem, co zwykle się dobrą nazywa  
Gdy w niej treści nie znajdziesz na żaden najmniejszy poemat.»

W samej rzeczy, trudno było towarzystwo to nazwać dobrem, lecz natomiast tem przydatniejszym być mogło dla poety, zwłaszcza romantycznego, gdyż składało się z pewnego rodzaju charakterów mieszanych, — jednym słowem, było to takie towarzystwo, jakie w czasie nocnych rozruchów policya zwykle zbiera na bruku. Wszyscy zgromadzeni tu byli w dużej przestronnej sali, we dnie zwykle używanej do inkwizycji; przez okienko nade drzwiami zachodziło do niej słabe światelko. Kilkadziesiąt ludzi ujętych tego wieczoru jako wichrzyciele spokojności publicznej, siedziało lub leżało w najrozmaitszych grupach.

— Prawo idzie swoim biegiem! — rzekł Piotr Wik. — Wprawdzie była to mała pomyłka, że i mnie tutaj zamknięto! ale cóż na to poradzić? Jutro wszystko się wyjaśni! — Pomyślał o swoich kobietach, o Krystyanie i o Naomi, która czekała powozu! — Będzie ona musiała długo czekać! — Toć on dosyć wyraźnie powiedział wszystko uzarom, którzy schwycili go w tłumie, ale tym panom tak strasznie było pilno! Ani go słuchać nie chcieli! tak samo i wachmistrz nic nie zważał na jego gadanie! Ot! i wsadzili go do kozy i zasunęli na dwa rygle. Nie było co robić, chyba położyć się i przespać tę jedną noc; — jutro był pewien, że sobie wnet papiery wyklaruje.

Kiedy zegar wieżowy wybił dwunastą, Piotr Wik już spał snem spokojnym, gdy tymczasem w domu u niego już byli przekonani, że go spotkało jakie wielkie nieszczęście. Cóż tu było robić? Naomi pierwsza poddała się konieczności; oparła więc głowę o poręcz fotelu, a zmęczona podróżą wnet zasnęła. Wtenczas dopiero Łucya zaczęła rzewnie płakać, aż dopóki i jej sen nie zmorzył; — ale jej się nie śniło, jak Naomi, o dniach pogody w Fionii, o kurhanach rycerzy i o płynących w powietrzu obłokach, — jej się śniło o niespokojnym morzu, które przebyła, o niespokojnym mieście, w którym bawi, więc oddech jej był ciężki, a pierś jej podnosiła się, jakby w chorobie. Cicha, łagodna dziewczyna we śnie zdawała się obrazem namiętności, gdy tymczasem gwałtowna Naomi wydawała się stworzeniem pełnem słodyczy i spokoju. Krystyan przyglądał się jednej i drugiej. Niespokojne sny, które siłą galwaniczną działały na Łucyę, przypomniały mu ową noc przy źródle; — obawiał się o nią, czyli przez sen nie powróci czasem do owego dawniejszego stanu obłąkania. Aż przykro mu było patrzeć na nią.

Mimowolnie stanął tuż przy Naomi i w nią wlepił swój wzrok, aż dopóki krew jego nie przeszła ogniem; jakiś gwałtowny instynkt, jakieś niepoohamowane uczucia ciągnęły go, żeby usta swoje do jej ust przycisnąć. Przyglądając się jej, napił się silnym jadem miłości. Ona siedziała niewzruszona; piękna głowa Meduzy nie przemieniła go w kamień, lecz owszem rozmiękczyła jego serce, gdy tymczasem Łucya przejmowała go przestrawieniem.

Świeca dopalała się, lecz on tego nie dostrzegł, aż dopiero gdy przed samem zgaśnięciem płomień na chwilkę mocniej się rozniecił.

## XI

Dom barona, w którym mieszkała Naomi, był domem bardzo zamożnym; wszyscy w nim uchodzili za patriotów i wyrażali zdanie, że Naomi nie jest do swego kraju przywiązaną, jakkolwiek jaki *Armand Carrel* któregośkolwiek kraju byłby ją niezawodnie uznał niezmiernie przydatną do służby, pod sztandarem wolności swego wieku. W domu tym czytano bardzo wiele, a jednak znajomość literatury ojczystej ograniczała się jedynie na doniesieniach w *Gazecie Policyjnej* i na oryginalnych komedjach, które od czasu do czasu przedstawiano w teatrze, kiedy właśnie przypadł abonament familijny. Natomiast często można było słyszeć państwo baronostwo wołających w zachwyceniu nad jakim romansem angielskim: — *Ah! que c'est superbe!* chociaż romans ten nieraz daleko bywał lichszym od tego, co nasze własne wydaje piśmiennictwo. Nie pamiętano o tem, że wszystko na świecie podlega prawu natury, a zatem i poeta; sława jego nie zawisła od wartości jego dzieł, lecz od wielkości ojczyzny, która mnoży się przez własną jego wielkość, a trzeba wiedzieć,

że kraj zawsze tu przedstawia liczbę dziesiętną. Rodzina baronowska była bardzo religijną, to jest lubiła chodzić do kościoła i słuchać kazań nadwornego kaznodziei. Przeciwnie Naomi najzupełniejszą była kacerką. Tak samo jak w naszych czasach artysta Adam odważył się, Panteon ozdobić statuami Woltera i innych wielkich geniuszów, zamiast pobożnymi obrazami ś. Genowefy i legend, tak i ona w świątyni swojej wiary zamieściła Sokratesa, Mahometa i Zoroastra. Uznawano wprawdzie, że Naomi jest piękną, ale bardziej jeszcze, że dziwaczną; widocznem było, że wszyscy znali jej pochodzenie, więc brakowało kilku zer do cyfry wewnętrznej jej wartości. Jednakże wszyscy byli dla niej niezmiernie grzeczni, z ową wykwinną lodowatą grzecznością, która tak w każdej rzeczy przebijała się, że właściwa opozycja była niepodobną. Gdyby Naomi pochodziła ze sławnego rodu, możemy być pewni, że sama przywiązywałaby do niego niejaką wartość, boć w każdym razie jest to naturalną zaletą, urodzić się w rodzinie, która zasługami swemi odznaczyła się przed innymi; w żadnym zaś przypadku nie byłaby poszła za przykładem owej szlachty, wspomianej nam przez historią, która pierwszą rewolucją francuzką natchniona do poświęceń, zrzekła się swych dyplomów i chciała być prostem mieszczaństwem. Teraz przeciwnie odwagę tych ludzi wynosiła pod niebiosa, dowodząc, że tym dopiero sposobem dowiedli prawdziwego szlachectwa swego ducha. Gdyby teraz stary Joel wszedł do sali, gdzie siedziała Naomi obok szlachetnie urodzonych panien, możeby z pewną dumą, tamtym na przekorę, była przyznała się do dawnej z biednym żydem znajomości.

Pewien autor duński powiedział, że w Danii tylu jest kamerjunkturów, iż gdy Duńczyk przyjedzie do Hamburga, gdzie w hotelu nie znają jego godności, wówczas na chybi trafi tytułują go kamerjunkturą, a rzadko kiedy omylą się. Do domu baronostwa schodziła się tedy cała ta masa, a był pomiędzy nią jeden, którego ze względu na Naomi uważano zupełnie odmiennie od innych, bo urzędowym jej adoratorem, to jest, on ciągle powtarzał wyrażenia głębokich swoich uczuć, którym atoli ona ani razu nie chciała zawtórować. Był to Holzatczyk, a więc Niemiec, i to jeszcze duszą i ciałem; — ale, jak się wyrażała Naomi, za to nie można było ganić go, gdyż język, nie zaś granice polityczne, albo rzeki i góry, rozdzielają między sobą narody. Na północy Norwegia z Danią to rodzeństwo, Szwecya jest siostrą przyrodnią, Niemcy kuzynem, a Anglia jakimś niezmiernie dalekim krewnym.

Ojciec kamerjunkra niedawno doczekał się pięćdziesięcioletniego jubileuszu swej godności; zdaniem Naomi doczekują go się zwykle ci wszyscy, którzy się tem jedynie odznaczają, iż Pan Bóg nie chce ich przyjąć do swej chwały, — chociaż, prawdę mówiąc, podobne zdanie jest wielkiem bluźnierstwem.

W Lutym przybyło z Szwecyi niemieckie towarzystwo sztucznych jeźdźców, którzy już w Maju wybierali się do Wiednia. Kamerjunker wziął łożę i zaprosił do niej całą rodzinę. Szczególnie baronówna Emma passyami (jak się wyrażała) lubiła konie, jakoż co dwa tygodnie płaciła dwa talary, żeby się przejechać na spacer z berajterem królewskim; nikt tedy więcej od niej nie ucieszył się owym zaproszeniem. Duenną młodych panien, które kamerjunker prowadził do swojej łoży, miała być jego ciotka, hrabina Höhn, pod portretem której wybornie można było umieścić wyrazy *Lesaża*:

„*C'est la perle des duègnes, un vrai dragon pour garder la pudicité du sexe.*”

Kamerjunker wiele mówił o przyjemności, jakiej spodziewał się z tego widowiska; wszystko bowiem, co widział w teatrze Kopenhagskim, daleko lepiej przedstawiono w Hamburgu, owym właściwym biegunie północnym cywilizowanej Europy.

Z jaką też szybkością przejeżdżał powóz przez pokryte śniegiem ulice! ileż tysięcy razy obracały się cztery jego koła, a wraz z nimi owo wielkie koło przeznaczenia! Ach! czemuż lepiej kareta nie załamała się w drodze, żeby się damy choćby najwięcej przelękły, a Naomi czemuż nawet nie złamała ręki albo nogi! Zapewne! byłoby to okropne nieszczęście! ale czy już kiedy kto słyszał, żeby jaki wypadek spotkał delikwenta, którego wiozą na rusztowanie, żeby naprzykład oś pękła, albo konie jego wozu rozbiegły się?

Publiczność zgromadziła się nader licznie. Orkiestra grała jedną z owych lekkich, eterycznych melodyj, które za pierwszym razem sprawiają na nas wrażenie gustownie wystrojonej piękności, wchodzącej do sali balowej: wszystko w niej świeże, rozkoszne, nadpowietrzne; ale później — tak jest, później także podobne są do owej dziewicy po nocy przetańczonej.... cała w nich świeżość znikła bezpowrotnie.

Wyprowadzono prześliczne konie: w pierwszym kursie nie uczestniczyli jeszcze najcelniejsi członkowie towarzystwa, ale Naomi od razu poznała, że to ci sami jeźdźcy, których widziała w Odensee; wzięła więc afisz i przeczytała imię Władysława.

Ta sama amazonka z powiewającym piórem i z chorągwiemi w ręku stała już na galopującym koniu; Naomi zrazu myślała, że na chwilę tylko zamknęła oczy i prześniła krótki sen od ostatniego widowiska w Fionii: te same bowiem były ruchy tamtej, ten sam uśmiech do tej samej, co wówczas muzyki; a jednak amazonka od owej pory była już w Petersburgu i w Stockholmie i tego lata jeszcze, podług tejże muzyki, z temiż chorągwiemi, wystąpić miała przed pocziwą i wesołą Wiedeńską publicznością. — Ach! cóżto za życie szczęśliwe i ruchliwe! Jakto być musi pięknie, coraz to w innych obracać się krajach, coraz zobaczyć coś nowego i nigdy nie wracać na długie zostanie! — Tak myślała Naomi i cała przejęta była uroczym widokiem.

Znowu trąby zagrzały i na pysznym karym koniu wjechał do szranków Władysław: kłaniał się na wsze strony zgromadzeniu, jak dziedzic wita swych wazalów. Ubiór jego był polski: karmazynowa rogatywka obsadzona była czarnym barankiem, z pod którego lśniły jeszcze ciemniejsze, własne jego włosy; ślady dawnej słabości znikły zupełnie, ale jednak rumieńca na twarzy nie było, tylko jakaś cera bronzowa zaległa na dumnych jego rysach; w ciemnych oczach widny był wyraz powagi i bystrej, a głębokiej myśli.

Zaledwie się pojawił, kiedy już przystojny, pełen siły młodzieńczej mężczyzna, zjednał sobie zajęcie całej publiczności. Widać to było i słyhać w szemraniu podziwu, gdy tymczasem jego cała uwaga zwróconą była na konia i ni jedno spojrzenie nie padło na publiczność. Teraz objechał w dzikim szale całe szranki, wywijał w powietrzu ostremi pałaszami i najśmielsze wykonywał skoki; wszystko zdawało się igraszka, jak gdyby on wraz z koniem swoje sztuki dla wzajemnej tylko pokazywali sobie zabawy. Jeździec objawiał śmiałość zastraszącą, gdy tymczasem jego zwinność i siła nadawały jej pozór żarciku. Patrzano na niego z tą samą spokojnością, z jaką patrzym na ptaka bujającego nad niezmierną przepaścią; wiemy bowiem, że siła skrzydeł nie zawiedzie go.

Nie jedna kobieta zakryła twarz rękoma, podczas gdy wielka massa przyklaskiwała jego zuchwalstwu. Naomi wychyliła się daleko za łożę; oczy jej zaiskrzyły się, on był pierwszym mężczyzną, na którego spoglądała z podziwem, pierwszym na którego spojrziała z uznaniem, że pod pewnym względem stoi wyżej od niej.

Po Władysławie inni jeszcze pokazywali swoje sztuki, lecz żaden już nie był tyle co on przystojny; on też zakończył widowisko przedstawieniem Mazepy, który przywiązany do konia, z głową na dół spuszczoną, przelatował wściekłym pędem przez szranki, tak jak ongi hetman kozaków pędził przez niezmierzone stepy.

Wieczór był cudowny; nawet kamerjunker był zajęty i mówił tylko o dzielnym Władysławie. Całą noc prześniła Naomi o — Krystyanie. — To mi też taki, o którym warto zaśnić! — pomyślała i nawet z rodzajem pewnej goryczy wspomniała przyjaciela swego dzieciństwa.

W kilka dni potem opowiadała baronówna Emma, że kilka dam z wyższego towarzystwa zamierza brać od Władysława lekcye jazdy konnej.

— I ja także! — rzekła Naomi, a ponieważ najstarsza córka domu należeć miała do tych lekcyi, trudno było przystępu do nich odmówić energicznej Naomi. Kamerjunker teraz już był zdania, że ten włóczęga zbyt wiele ma szczęścia.

Rok tysiąc ośmset dwudziesty obfitował dla Danii w różne wypadki: skarb państwa zachwiał się; doktor Dampe wraz z kilkoma niespokojnemi hersztami chciał zachwiać całą budową państwa; w rzeczach religijnych rozwinęły się spory, a każde stronnictwo zamierzało zachwiać stronnictwem przeciwnem; przy tak licznych i tak znakomitem zachwianiu, nie wspominamy już o sercach kobiecych, które zachwiał piękny Władysław, bo dla ogółu te serca są tem, czem są bańki wodne dla koła młyńskiego. Tymczasem Władysław znał tę swoją stanowczą potęgę, choć najmniejszego nie dawał znaku, że wie o niej w samej istocie. Przy lekcyach był on nauczycielem najbardziej ugrzecznionym, lecz zarazem najbardziej milczącym; wyrazy jego ograniczały się jedynie na rzeczach najniezbędniejszych do nauki; niekiedy tylko widziano uśmiech igrający na pięknych ustach, ocienionych ciemnym wąsikiem, a wówczas oczy jego zaiskrzały się. Baronówna Emma zrobiła uwagę, że w tym wyrazie coś jest niedobrego, Naomi zaś, że dowodzi jakiegoś przytłumionego zmartwienia; jakkolwiekbydź, takim sposobem stał się dla nich nierów-



nie więcej zajmującym, aniżeli by go uczyniła cała wymowa najślawniejszych mówców wszystkich czasów i narodów.

Żadna ze wszystkich uczennic nie dorównywała Naomi w zręczności i niezaprzeczo-  
nym talencie, ale żadna też poprzednio nie pędziła tak dziarsko jak ona, przez pola i lasy  
na nieosiódlanych, najognistszych rumakach.

Przodkowie nasi w wiekach średnich zapisywali swoje runy miłosne na jabłkach,  
a której się kobiecie takie jabłko dostało, ta zapłonęła ogniem gorącej miłości; ale ru-  
ny podobne zapisać można na innych jeszcze przedmiotach: na czole, na uśmiechniętych  
ustach i w wyrazie dumnych oczów. Jedno uściśnienie ręki, jedno spojrzenie może stać  
się owem jabłkiem, z którego trafiona wysysa słodką i zjadliwą truciznę.

Kto po raz pierwszy kocha, ten patrzy na świat przez szkiełko pryzmatyczne: na każ-  
dym ostrym kancie, na każdej linii, spoczywa siedmiobarwna nadzieja. W ludzi powsze-  
dnych wnika wówczas bożek poezyi, a poeci śpiewają najbardziej natchnione swoje pieśni.

Dwudziesto-letni młodzieniec, który już zajmuje ośmnastoletnią dziewicę, za kilka  
dni niezawodnie stanie się przedmiotem jej miłości.

W połowie Kwietnia sztuczni jeźdźcy występowali po raz ostatni. Jeszcze Cyrk nie  
był otwarty: w stajni stało dwóch koniuzych, zajętych ubieraniem koni; przy pięknym  
zaś ogierze, na którym zwykle jeździł Władysław, ujrzymy tego atletycznego, pięknego  
młodzieńca z śniadą cerą; krucze jego brwi zmarszczone były nad ciemnymi oczyma.  
Ubiór na nim był jeszcze zwyczajny: krótka kurtka i spodnie z jeleniej skóry, co jak ulane  
przylegały do każdego muszkułu. Lewa jego ręka spoczywała na karku bieguna i przez to  
występowała w korzystniejszym jeszcze świetle; była bowiem silną, a zarazem szlachetnego  
kształtu. Władysław czytał jakiś list, małeńki tylko świstek papieru, — lecz papier ten był  
różowy ze złożonym brzegiem, a na nim siedział jeszcze czerwony opłatek. Widocznie był  
to list od kobiety; — dlatego też może lekki uśmiech igrał na jego ustach.

Archeologowie nasi utrzymują, że w starożytności najcenniejsze utwory rzeźby by-  
wały malowane. Na zarzut, jakoby przez kolory posągi te nabierały pewnej sztywności,  
wspólnej wszystkim figurom woskowym, odpowiadają oni, że zwykle figury woskowe nie  
bywają utworami sztuki, jeżeli zaś potrafią wznieść się do tej godności, wówczas kolory  
przyczyniają także znaczenia ich kształtom prawdziwie mistrzowskim. Nie wiemy, czyli ci  
panowie mają słuszność. — ale nam idzie tu tylko o myśl przez nich podaną. Wyobraź-  
my sobie tedy Apollina Watykańskiego, równie artystycznie powleczonego farbami, jak  
wyciosanego z marmuru, z cerą twarzy brązową, jak u Napoleona, z oczyma ciemnymi  
i wyrazistemi, jak u synów Arabii, a będziemy mieli istny wizerunek Władysława.

Było to, jak rzekliśmy, ostatnie przedstawienie sztucznych jeźdźców; publiczność  
hucznym oklaskiem powitała swego faworyta: rodzina barona miała dwie łóże, w któ-  
rych oczywiście były także Naomi i baronówna Emma.

Przedstawiono scenę turniejów: Władysław, przybrany w zbroję rycerską, wjechał  
w szranki i kłaniał się lancą, a kłaniał się wprost do łóży, w której siedziały dwie jego  
uczennice, Emma i Naomi. Emma zarumieniła się, — Naomi uśmiechnęła.

O! cóżto za noc pełna marzeń była dla rozmarzonej Emmy! Naomi zaś chyba następnej  
dopiero nocy uległa podobnym marzeniom, a zapewne bardzo długim, bo z rana już  
wybiła dziesiąta, kiedy jej jeszcze nie było przy śniadaniu.

Posłano służącą, by ją przebudziła, ale panny nie było już w sypialni, a natomiast  
znaleziono tylko bilecik od niej z przeproszeniem, że wieczorem odjechała do Fionii: nie  
prosty to był kaprys, jak się wyrażała, lecz nieuchronna konieczność, a następną pocztą  
miała bliżej jeszcze wyjaśnić cały ten wypadek.

Wiadomość ta przeraziła wszystkich; tegoż samego dnia wysłano list do starej hra-  
biny, donosząc jej o tak dziwnym odjeździe. Zresztą może nie było się czego niepokoić,  
gdyż nagle powzięcie zamiaru i równie nagle jego wykonanie zgadzało się najzupełniej ze  
znanym jej charakterem.

W parę dni nadeszła odpowiedź starej hrabiny, niezmiernie przestraszona, bo ani na  
oczy nie widziała Naomi, nawet listu nie odebrała żadnego od niegodziwej tej dziewczyny.

Było to, jakeśmy powiedzieli, mniej więcej w połowie Kwietnia; czekali już nadejścia  
wiosny, czekali powrotu bociana — a tak! bociana! Cóżto za dziwny ptak ten bocian!  
Ile razy zawita do nas z krain południowych, tyle razy czujemy w sobie niepoohamowany

pociąg do podróży w te strony, z kądem on wraca: ciepłe słońce wabi nas z pokoju; radzi-  
byśmy zobaczyć, jakie są już pączki na drzewach i wychodzimy na ulicę; Kopenhagczyk  
idzie do portu i przypatruje się odjazdowi okrętów; statek parowy wyrzuca czarny dym  
w powietrze, koła szumią, a statek leci: jakaś rzewna ogarnia nas tęsknota, zaprawdę,  
dziwnie rzewna! Wprawdzie niejeden pocziwiec mówi: — Dalipan! mnie i tu nieźle,  
wcale nieźle! — ależ nie na to podróżujemy, nie na to nawet żyjemy żeby nam było nie-  
źle, choć pocziwiec oczywiście tego nie pojmuje. Tymczasem statek parowy odpływa  
i wymija wspaniałą okręt żaglowy.

Gutzkow powiada w swojej *Wally*<sup>29</sup>: „Umysł powszednie nic nie znają genialniejszego,  
nad wierne odrysowanie siebie samych, swojej ciotki, swego kota, szalu, drobnych  
sympaty i słabostek. — Niektórzy krytycy i literaci nie umieją gdzieindziej szukać na-  
tchnienia, jedno tylko w rzeczywistości. — Dzisiejsza poezja sama się zapładnia. Rze-  
czywistość żyje własnym, mieszczańskim i kipiącym tłuszczem.” — Dom barona mógłby  
nam w tej mierze nie mało dostarczyć materiału, lecz my niekoniecznie potoczności szu-  
kamy w potocznym życiu i opuszczamy dlatego rodzinę, w którejby czego innego nikt  
nie dopatrywał się.

Naomi odważyła się raptem odjechać; my pozwolimy sobie uczynić to samo i również  
opuścimy Kopenhagę, boć teraz wiosna, a statek parowy gotowy do podróży — tylko że  
nie odpływa do Fionii, nie będziemy więc mogli odwiedzić Krystyana, ani Łucyi i innych  
tamtejszych naszych znajomych. I cóż to szkodzi? Dla samej oryginalności pojedziemy  
tym statkiem, toć się nam zawsze choć coś okroi, choć coś nas spotkać musi! Przyrze-  
kamy tedy, że nie prędzej powrócimy do Danii, dopóki nie doznamy jakiej przygody,  
któraby choć w części opłaciła nam podróż; jeśli zaś nic nas nie spotka, wtenczas już  
nigdy chyba nie wrócimy. Zresztą jednego znajomego, biednego krawca, ojca Krystyana,  
już mamy zagranicą; — może on właśnie w tej chwili zasyła swe pozdrowienie do Danii  
przez bociana, którego widok tak nas przejął do głębi.

Jesteśmy na pokładzie: statek parowy płynie.

Piosnka ludowa mówi:

«Co się w morzu ukryło,  
Tego jakby nie było.»

Ale w samej rzeczy, bardziej jeszcze jakby nie było tego, co pływało jedynie na po-  
wierzchni. Skoro się zamknie bródka, wówczas nie ma już śladu drogi, którądy przecho-  
dził okręt; inaczej, ileżby twarzy ludzkich wyjrzało z pod szklistej fali, gdyby zwierciadlana  
powierzchnia trzymała każdy obraz, co się na niej odbija! Ujrzelibyśmy wówczas także  
Władysława, ujrzelibyśmy dumną i piękną jego głowę. Wszak zaledwie dni parę minęło,  
odkąd z całą swoją trupą przepłynął tą samą drogą. Towarzystwo powiększyło się o jedno-  
go Duńczyka, młodziutkiego wyrostka, mającego co najwięcej z jakie lat piętnaście; lecz  
w każdym razie zdaje się, że na rozpoczęcie tego rodzaju zawodu artystycznego, wiek ten  
już nieco jest spóźniony. Wprawdzie członki jego były delikatne i giętkie, oczy wyrażały  
siłę woli, drobne wąsiki jakby mchem posypały się nad świeżymi ustami; — nazywano  
go panem Krystyanem. Z paszportu dowiedziano się, że jest rodem z Fionii. Gdy się ich  
okręt zbliżał do brzegów Meklemburskich, stał on na pokładzie z ręką opartą na ramie-  
niu Władysława, — patrzył na północ, przez morze, owe nasze Alpy pływające, które nas  
dzielią od — wcześniejszej o dwa tygodnie wiosny.

Tak jest, o całe dwa tygodnie dalej posuniętą tu ujrzeli wegetacją drzew i roli, gdy  
opuściwszy statek rozpoczęli podróż lądową.

Młody Duńczyk wcisnął pocałunek na usta Władysława. — Twój! — zawołał — twój  
na zawsze!

A Władysław z uśmiechem odpowiedział: — Mój! Mój! — czy byłeś ty już kiedy  
na morzu? — A młody Duńczyk cały zarumienił się i przytulił twarz swoją do piersi  
Władysława, który mu oddał pocałunek.

— Mój — czy byłeś ty już kiedy na morzu? — Tak! gdyby fale umiały mówić, a my-  
byśmy je rozumieli, niezawodnie dużo ciekawych usłyszeliśmy historyek. Ryby wpraw-

<sup>29</sup> *Wally* — jedna z najwcześniejszych i najlepszych powieści tego poety, przez długi czas była niejako kodexem  
szkoły poetyczno-filozoficznej, znanej pod nazwą: *Młodej Germanii*. [przypis tłumacza]

dzie wiedzą o wszystkim, — ależ ryby są nieme. Wszędzie widna mądrość w naturze! Ryby są nieme, żeby nie powtarzały tego, co plotą fale, a robaki w ziemi są nieme, żeby nie powiadały, jak umarłym nudno w ich grobach. — — I my też będziemy niemi, jeśli nas kto zapyta o wyjaśnienie powyższych kilku wierszy.

Towarzystwo wybrało najbliższą drogę, a zatem udało się do Hamburga nie przez Lubeckę, lecz przez małe miasteczko Möln, sławne grobem, równie jak Werona i Assisi<sup>30</sup>, bo grobem Tylla Sowizdrzała. Mówią, że go pochowano z głową na dół spuszczoną; na grobowcu zaś wyciosano sowę i zwierciadło. Niedgdy stało tu drzewo, w które każdy wędrowny rzemieślnik wbijał gwóźdź, na znak pamiątki a razem słodkiej nadziei; w czasie wojny jednak drzewo to ścięto. Zresztą z Sowizdrzałem tak samo, jak z Homerem: powątpiewano o jego rzeczywistości i wyobrażano sobie, że jedna ta nazwa pokrywa kilka osób. Ale już dajmy temu pokój, a raczej przejdźmy się po mieście i poszukajmy naszego Sowizdrzała, bo Naomi.

Möln jest to staroświeckie i ciekawe miasto. Wchodzimy teraz w jedną z ciasnych jego uliczek, do domu o grubych murach i nielicznych, a wązkich oknach. W obszernej sieni widzimy pojazdy sztucznych jeźdźców, bryczkę gospodarza i ogromny magiel; stół jest nakryty: wygląda tu tak, jak gdyby wszystkie izby całego domu, z wyjątkiem chyba sypialni, połączone były w tej jednej, zwanej sienią.

Po opuszczeniu statku, towarzystwo już odbyło podróż 6-milową i dlatego teraz nie żałowano sobie różnych wygod. Młody Duńczyk, którego zwali Krystyanem, siedział w pośrodku między Władysławem a Józefiną, ową znajomą nam damą z powiewającym piórem i różnobarwnymi chorągwiemi. Wszystko śmiało się i weseliło; nawet Władysław mniej był poważnym i ponurym niż zwykle, a dumny jego wzrok zdawał się dziwnie wyrazistym.

Pajac śpiewał niemieckie piosneczki i rozpowiadał o przysmaczkach wiedeńskich w najlepszym wiedeńskim dyalekcie, a gdy Duńczyk Krystyan szepnął, że jest zmęczony i że radby się poszedł przespać, pajac w głos się roześmiał, spojrział na niego, kiwnął na Władysława i zaśpiewał znaną piosnkę Wiedeńską:

«Każesz mi kupować sennik!  
Moja droga, cóż mi po nim?  
Mój sen zawsze tylko jeden,  
A co chcę, to wiem już o nim!»

Domyślny czytelnik już zapewne wie oddawna, że tym Duńczykiem Krystyanem nie kto inny jest jedno Naomi; ale zanim nielitościwie ją potępi, niechaj pamięta, jakie było jej wychowanie, jakie otoczenie, jakie wreszcie pojęcie jej o świecie.

Była więc sama jedna z Władysławem.

— Uczyniłam dla ciebie wiele, bardzo wiele! — rzekła głosem tak rzewnym, jakiegośmy nigdy jeszcze dotąd od niej nie słyszeli. — Mógłżebyś kiedy o tem zapomnąć?

— Pewniebyś mi przypomniiała! — odpowiedział z uśmiechem Władysław!

— Nie! nigdy! — wykrzyknęła Naomi — jakkolwiek byłby mój koniec. We wszystkim com uczyniła, była wolna moja wola; nie cierpiałam ludzi, między którymi żyłam, — nie miałam dla nich najmniejszego szacunku! Ciebie kocham! Mógłbyś mnie zabić, a jeszczebym cię kochała! We krwi mojej jakby gorączka, — alem się nigdy jeszcze nie czuła tak szczęśliwą, jak teraz! Długie, jednostajne życie, tak zwane dobre życie, sprawa mi wstręt niesłychany. Lepiej żyć krótko, ale żyć!

— Niejedna już kobieta kochała mnie! — rzekł Władysław — mógłbym ci o nich arcyzabawne opowiedzieć historie! Cała pleć ta nie wiele co warta! aleś ty więcej mężczyzną niż kobietą i za to ciebie lubię! nawet cię kocham i mógłbym zostać zazdrosnym! Wad twoich jeszcze wprawdzie nie znam, lecz nim zajedziemy do Wiednia, już się zapewne bliżej poznamy wzajemnie. Piękną jesteś i gorącą, jak powinny być kobiety, a myśli miewasz takie, jak mężczyzna! — Pocałował ją w usta i w czoło. — Do mojej piersi przytulona, trzeba żebyś wierzyła w Madonnę i jej się pokłoniła!

<sup>30</sup>...sławne grobem, równie jak Werona i Assisi — w Weronie jest grób Rómea i Julii, — w Assisi św. Franciszka. [przypis autorski]

Naomi objęła go za szyję i oddała miłosny pocałunek. — Twoja żona jakiś czas jeszcze musi nosić węży! — rzekła z uśmiechem. — Jako Duńczyk Krystyan nie lękam się skakać na koniu. Ale zawsze ty większe odemnie zrobisz szczęście; o mało co ci tego nie zazdroszczę.

— O! — zawołał Władysław — jabym ci może nie darował, gdybyś większe zjednała sobie oklaski odemnie!

Na korytarzu słychać było idących. — To goście na wesele! — rzekł gospodarz — jutro tu u nas w mieście wspaniale ma być wesele. Są to jacyś państwo z Lubeki, a między niemi jest także kilku marynarzy.

Gdy później Naomi ze świecą w ręku przechodziła przez korytarz, nadszedł jeden z gości, niski, otyły mężczyzna z wesołym obliczem; pewnie i on cieszył się na jutrzejsze wesele. W ręku trzymał świecę i szedł wprost ku Naomi; w tem wietrzyk zagasził jego światło, lecz Naomi dosyć go widziała, by go poznać: był to Piotr Wik. Zapłonila się po same uszy, lecz zaraz pocieszyła się tą myślą, że on jej niezawodnie nie poznał; jakżeby też wpadł na koncept, że jaśnie pannę z Kopenhagi widzi tu w poczciwej mieścinie Möln, w ubiorze berajtra z wąsami? — Prędko więc poszła do niego, zapaliła mu świecę i śmiało nawet odezwała się, że słychać po jego niemczyźnie, iż jest cudzoziemcem.

Piotr Wik roześmiał się i poufale poklepując ją po ramieniu, zawołał: — Dobranoc ci, bracie!

## XII

Czy znasz ojczyznę Hindusów? Tam słońce pali gorąco, ale powietrze zwiewa chłód z lodowatych wierzchołków Himalai; woniące lasy zapraszają do spoczynku; drzewa figowe schylają swe gałęzie ku ziemi, ztąd znowu wypuszczają inne i tak formują altanę; palma kokosowa daje ci mleko, daktyl swój owoc, różnobarwne ptaki otaczają cię: purpurowe papugi złotawe nektarynie. Tu jest kraina kolorów! widzisz to po skrzydłach owadu, na liściach przepysznego kwiatu. Pieniąca się rzeka, gdzie rośnie lotus, świętą jest jak woda w chrzcielnicy. Ojczyzno Hindów! Cóż najwięcej, najwidoczniej wyłączną jest twoją własnością? Czy twoje niebo, czyli też ciche jeziora, w których antylopa i lampart gaszą swe pragnienie?

Tu, mówi podanie, był raj, z którego Adam i Ewa zostali wygnani; tu dziś jeszcze kwitnie raj, a ten jest zarazem ojczyzną wzgardzonych, nieszczęśliwych pariów. Dzikie hordy Mongołów wypędzają dzieci kraju. Pariowie dzielą losy Ahaswera. Egipcyanami, Tatarami, Cyganami i rozmaicie inaczej jeszcze nazwano lud ten wędrowny. Nawet na północ, na jałowe stepy Jütlandyi udają się potomkowie tych pariów: tu znani są pod nazwą Tatarów i kotlarzy. Pole zbożem obsiane jest ich namiotem w lecie, głęboka jaskinia ich leżą zimową. Potomkowie pariów nie mają swojej jamy, jak lisy, ani swojego gniazda, jak ptaki. W słoty i burze przebiegają jałowe stepy, gdzie jak zwierzęta, wydają na świat swoje młode. Miejsce urodzenia jest obowiązkiem miejscem opieki, — dla tego też wójci zwykle starają się ciężarne kobiety do sąsiedniej przeprowadzać gminy, — więc częstokroć z powiatu do powiatu przewożą biedną na nędznym wózku drabiastym, gdzie bez żadnego nawet ze słomy posłania rodzi dziecię do zguby przeznaczone. Zaledwie pierwsze jej siły wracają, kiedy już jej każą zrywać się i dziecko przewiązać na plecach; tak wsparta na kiju ciągnie wraz z mężem przez nagie stepy: wiatr zimny ostro dmie, niebo jest szare i wilgotne; ale ona lepszego nie zna losu!

Czy znasz ojczyznę Hindów? Tam słońce pali gorąco, ale powietrze zwiewa chłód z lodowatych wierzchołków Himalai; woniące lasy zapraszają do spoczynku; drzewa figowe schylają swe gałęzie ku ziemi, ztąd znowu wypuszczają inne i tak formują altanę; palma kokosowa daje ci mleko, daktyl swój owoc, różnobarwne ptaki otaczają cię: purpurowe papugi i złotawe nektarynie. To jest kraina kolorów! To jest ojczyzna Hindów!

Wzgardzony ten ród pariów znajdujemy na równinach Jütlandyi, równie jak pod murami Alhambry; lecz najliczniejsze ich gromady są w lasach węgierskich i na wielkich stepach. Tronem króla Cyganów jest omszony kamień obok kotła, w którym gotują kradzionego barana. Znużona wędrowną głową pokłada się na wysokiej trawie, gdzie czarno-oka dziatwa igra z różnobarwnymi kwiatkami.

Żadna banda cygańska nie śmie wejść do stolicy cesarskiej, do Wiednia; lecz pojedynczych widać niekiedy przez ulice przekradających się, bardziej jeszcze strzeżonych z widoczną nieufnością, aniżeli biedni Słowacy, którym niewolno nawet przenocować w mieście. Najczęściej widać ich po przedmieściach, z których każde wielkością przewyższa właściwe, stare miasto Wiedeń.

W przedmieściu Mariahilf, z kądem prowadzi aleja do Schönbrunn, w roku 1820, kiedy właśnie Naomi rozpoczęła to, co słusznie zwała swoją *karyerą*, szło dwóch Cyganów, w zwykłych białych ubraniach, z wierzchu odzianych w płaszcze brązowe: jeden z nich był jeszcze młodzikiem, a na głowie miał szeroki kapelusz, jak go zwykle noszą Słowacy, którego brzegi wisiały mu na plecach i ramionach; drugi był znacznie starszy, chudy i wysoki, a głowę miał całkiem odkrytą. Jego gęste, czarne włosy, gdzieś tam jednak szpakowate, najlepszą były osłoną od palącego słońca. Szli teraz jedną z licznych bocznych uliczek, które z Mariahilf prowadzą do letniego pałacu Belwederskiego.

— Przedmieścia, gdyby chciały, porządnie mogłyby wziąć w kluby samo miasto! — rzekł młodszy. — Dzisiejszej nocy śniło mi się coś wybornego: że Mariahilf, Josephstadt i wszystkie trzydzieści cztery przedmieść wyruszyły w pochód przeciw Wiedniowi, któremu dowodziła wieża Św. Szczepana. Bili się tak, że aż białe i żółte pieniądze wpadały w nurty Dunaju!

— Pewnieś za dużo wypił mocnej wody! — rzekł stary. — Bądź ostrożnym, Czeklesie! nie opowiadaj nikomu o takich snach, bo mogliby podsłuchać cię ludzie, którymby się one wcale nie podobały. Zresztą jest też o czym śnić młodemu chłopcu! Tobie śnić o ładnych dziewczętach!

— I cóż, kiedy mnie się zawsze więcej śni o wojnie! — odpowiedział Czekles. — O! żebym mógł zostać żołnierzem! żebym mógł zaprezentować broń przed cesarzem Franciszkiem, naszym starym cesarzem Franciszkiem! Toć zdjął przedemną kapelusz, kiedy ja odkryłem głowę; zdjął wyłącznie przedemną, bo nikt inny właśnie tamtędy nie przechodził: mnie więc jednemu ukłonił się. Zresztą sen mój, co prawda, był sobie wcale zabawny! Kościół ś. Szczepana ze swoim śpiczastym kapeluszem, był głównodowodzącym; miał on szerokie plecy i siłę ogromną; kolumna ś. Trójcy *am Graben* była jego buławą marszałkowską. Statua Cesarza Józefa na miedzianym swym koniu pędziła przez *Koblmarkt* i ulicę *Karyncką*, zwołując wszystkie obrazy ze znaków sklepowych<sup>31</sup>, które też posłuszne podążyły za nią. Marmurowy rycerz z *Volksgarten*<sup>32</sup> stanął na czele posągów z marmuru z przed kościoła księży Kapucynów, które weszły na wały i na dach zamku cesarskiego, z kądem przypatrywały się coraz bliżej nadciągającym przedmieściom. Dwie nawet wsie sąsiednie przyłączyły się, a była ciżba, daleko gorsza niż w Praterze w jaką publiczną uroczystość.

— Co też w takim jednym mózgu wszystko się nie zmieści! — zawołał stary. — Strzeż się pijaństwa, Czeklesie! Para z gorących trunków otacza nas kołem czarodziejskim, które z początku nieźle wygląda; ale jak tylko wypijemy kilka kieliszków, to się koło coraz mocniej ścieśni i oprzędzie nas, jakby siecią pajęczą i to już nam tylko pokazuje ze świata, co sami sobie wbijamy do głowy, w końcu zaś tak nas ze wszystkich stron opanuje, że już i członkami własnymi władać nie możemy: śpiemy więc, a wówczas para się rozchodzi, — lecz członki po przebudzeniu się naszym czują, że były związane, a rozum czuje że spał podczas uczty, tak iż nie jest w stanie zdać dostateczną sprawę z tego, co się stało podczas takiego spoczynku.

W czasie tej rozmowy żywo tymczasem szli naprzód; dopiero gdy doszli do ulicy *Siennej*, z kądem widać już było zamek, graniczący z rogatką przedmieścia, zwolnili obadwaj kroku.

— Chciałbyś zostać żołnierzem, Czeklesie? — zapytał stary.

— Tak jest, tutaj w Wiedniu, przed zamkiem cesarskim chciałbym stać na warcie!

— Byłoby to życiem bardzo przykrem, mój Czeklesie! Zatekniłbyś wnet za swobodą. W naszych nogach siedzi niepokój, tak samo jak pociąg do złodziejstwa w myszce pod dużym palcem naszej dłoni. A gdybyś później uciekł, toby cię powiesili bez pardonu!

<sup>31</sup>wszystkie obrazy ze znaków sklepowych — w Wiedniu na każdym znaku sklepowym jest malowidło, zwykle portret osoby, od której cały magazyn otrzymuje swą nazwę, jak np. *Kardynał*, *Pani Kataloni*, *Ypsilanti*, i t. d. Są to niekiedy nawet utwory wcale artystyczne. [przypis autorski]

<sup>32</sup>marmurowy rycerz z *Volksgarten* — Tezeusz Kanowy. [przypis autorski]

— No i cóż! — wykrzyknął młodszy — czy mnie robaki stoczą, czy posieką kruki, to zupełnie jest dla mnie wszystko jedno. Zresztą, dla czegoż zaraz myśleć o najgorszym?

— Czy cię kruki posieką! — odpowiedział stary. — A wiesz ty, że to myśl wcale nieglupia! Wspaniałato musi być w kruczym żołądku trumna, — zawsze w podróży, tak jak nasi ludzie za życia! Nawet od młodego można się czegoś nauczyć! Przypomnę sobie twoje wyrazy, gdy powrócę do lasów węgierskich i usłyszę tam znowu śpiewy ptasie. Może też słyszałem już kiedyś kruka, w którego żołądku są oczy tego, com go najbardziej kochał. Wierzaj mi, Czeklesie! ognistszych oczów nad te, które miał syn mój Bela, póki życia mojego nie widziałem. Wszakżeś widział jego syna? Otóż Władysław wykapanym jest portretem swego ojca, tylko że krew jego dumniejsza i czarniejsza. Bela był lepszy od niego, choć go powiesili; przeciwnie na syna wołają: urra! kiedy pędzi na koniu i w sercu swoim niemi gardzi!

— Przecież i on porzucił swoje pokolenie! — rzekł młodszy.

— Ale jednak nie ma stałej siedziby — odpowiedział tamten — i większe odbywa podróże od nas; nawet przejeżdżał przez szerokie morze, które jest szersze od całych Węgier! Wyobraź sobie tylko, jaki to z tego Dunaj! Wszystkich cesarzy i króli, którycheśmy tu widzieli na kongresie, on w ich własnych teraz widział krajach. Daleko odlatuje jak ptak wędrowny, a we wszystkim co robi, szczęście miewa niezawodne.

W czasie tej rozmowy doszli przed sam front zamku, zwrócony ku całej szerokości placu, na którym żołnierze siedzieli w różnych grupach przy gawędce, a mieszkańcy miasta i liczniejsi jeszcze cudzoziemcy zwiedzali i opuszczali znajdującą się tu przepyszną galeryą obrazów. Cyganie stanęli w milczeniu i przyglądali się budynkowi, który nie odznacza się właściwie niczem nadzwyczajnem; ale ktoby znał wzrok starego, tenby zrazu poznał, że szuka kogoś przy oknach. Stanęli tedy przy otwartej furtce prowadzącej do ogrodu, lecz nie weszli do niej; w środku zaś przechadzali się ludzie między sztywno obciętemi alejami, owej wytresowanej naturze *à la Louis Quatorze*.

Całe pierwsze piętro ozdobione jest wyborym zbiorem malowideł, głównie szkoły niderlandzkiej. Tu bawiło w tym dniu wielu przyjezdnych, których jedna grupa podziwiała mistrzowskie obrazy płaskorzeźb Gherardina, druga znowu obfitość utworów Rubensa.

Jakiś młodzieniec z wąsikami, dość delikatnymi rysami i rozumnym wyrazem oczów, najwięcej ściągał na siebie uwagi pośpiechem, z jakim od jednego obrazu przechodził do drugiego, a następnie podziwiał, jak się zdawało, obszerny widok ponad ogrodem, z kądem widać rozłożoną stolicę i góry węgierskie. — To któryś z jeźdźców z Prateru! — mówił każdy kto spojrział na niego; my zaś wolimy od razu przyznać się, że to była Naomi.

W samej rzeczy, nie ciekawość oglądania obrazów sprowadziła ją do Belwederu; dlatego też oglądała je tak pobieżnie, a jedno tylko płótno zdawało się więcej nieco ją zajmować, jakoż do niego dosyć często wracała się. Był to *Samson Van Dyka*, którego zdradza Dalila, utwór prawdziwie niezrównany. Bolesne wymówki w spojrzeniu Samsona tak są po ludzku wyraziste, że je zrozumie każdy człowiek od brzegów Grenlandyi aż do Ota-hajty. Obojętność Dalily, zajęcie gospodyni — a tak! to prawdziwa rzeczywistość! Nie powiemy jeszcze, czyli naszą Naomi przyciągała sama tylko sztuka malarza, czy też przedmiot budził w niej tak pełne zajęcia wspomnienia. Co chwila szła do okna i wyglądała na plac, ale potem znowu wracała do Samsona Van Dyka; jakieś niespokojne myśli tłoczyły się w jej piersiach.

Kiedy znowu przystąpiła do okna, spostrzegła Cyganów i szybko opuściła salę, by zejść ze schodów na ulicę. Cyganie ją zobaczyli, lecz żadnego nie dali znaku, tylko zwolnili nieco kroku: Naomi poszła za niemi.

Tuż obok niskiego domku, od którego ścieżka prowadzi przez pole, stanął stary, na pozór dla zawiązania trzewika; młodszy poszedł naprzód. Naomi przystąpiła do Cygana i zaczęła z nim rozmawiać o Władysławie. Stary nic jej nie musiał powiedzieć pocieszającego.

— Kłamiesz! — zawoła Naomi.

— Kłamię! — odrzekł stary — toć on jest krwią z mojej krwi, ale w nim siedzi zły duch, który dużo mi sprawia zmartwienia. Władysław z pogardą pogląda dziś na swego dziadka i na całą swą rodzinę. Nie nienawidzi już tych, co jej nienawidzą. Powiedziałem mu prawdę, a bat jego czerwoną pręgę wybił na moich plecach. Tęgo mu nie zapomnę! Człowiek może zapomnieć o czystej, świeżej wodzie, którą się orzeźwił, lecz nigdy nie

zapomni mętnej i bagnistej. Władysław może cię kochać dzisiaj, ale jutro już cierpieć cię nie będzie, a za to, że cię kochał, będzie cię dręczył! Już ja dobrze wiem, żeś ty nie mężczyzna! Dostyc mam doświadczenia, by wiedzieć o rzeczach przeszłych; przyszłości ci nie przepowiem, bo tej się łatwo można domyśleć. Miej na niego oko! a jeśli masz odwagę mężką, tak jak mężkie teraz nosisz ubranie, to go ukarż, jeśli możesz. Po tom cię właśnie tutaj przyzwał! Dziś wieczór możesz go znaleźć w Hitzing; toć i tam pełno pięknych kobiet!

— Ależ ja nie jestem kobietą! — rzekła Naomi. — Jesteś w błędzie! Władysław może być nie dobrym; ale niech sobie kocha kobiety, toć i ja robię tak samo! Nikt swojej młodości lepiej nie pragnie użyć odemnie! a muszę ci nawet powiedzieć, że miewam niemało szczęścia.

— A jednak krew występuje ci na twarz! — rzekł stary Cygan. — Moje oczy nie mylą się, a słowa moje ugodziły cię w samo serce! — To powiedziawszy skinął głową i odszedł.

Z Placu Św. Piotra omnibusy jechały do Schönbrunn i do Hitzing. Naomi wsiadła do najpierwszego, który się jej nawinał. Śmiała się i żartowała z towarzyszami podróży, boć każdy na myśli miał tylko zabawę. Poczciwi Wiedeńczycy w zachwyceniu opowiadali o swoim dobrym cesarzu Franciszku, o kiełbaskach i kurczętach, o sławnych komikach sceny ludowej, — wszystko piąte przez dziesiąte, jak to zwykle się dzieje w *Tobuwabobu*<sup>33</sup> konwersacyjnym. Naprzeciwko Naomi siedział jakiś młody artysta z miną niezmiernie wścibską, który słysząc po jej wymowie, że jest cudzoziemką, jakoteż przypomniawszy sobie, iż ją widział w Praterze, odezwał się do niej, że niezawodnie w Hitzing zastanie swojego pana, który tam bardzo często bywa. — Mego pana! — rzekła sama do siebie, a obcy wymienił Władysława. Dojechali do Schönbrunn, gdzie po ciemnych alejach przechadzał się *syn człowieczy*<sup>34</sup> pełen tajemnych myśli, — gdzie *Silvio Pellico*, nie chcąc straszyć ludzi chorobliwą i bladą swą postacią, za nadejściem obcych zwykł się ukrywać między krzaki<sup>35</sup>. Ubogie dzieci biegły za powozem, rzucając w niego bukiety kwiatów, żeby dostać po parę krajcarów; artysta porwał bukiet i śmiejąc się rzucił go na kolana Naomi, która mimowolnie, chcąc go uchwycić, uczyniła ruch kobiecy, — on się uśmiechnął, a ona uczuła, że cała jej twarz jest jakby w ogniu.

Tuż pod Schönbrunn leży małe miasteczko Hitzing ze swoim kościołem i pięknymi willami. Muzyka hucznie grzmiała w kasyno, równie zwiedzanem wówczas jak dzisiaj, tylko jeszcze nie tak sławnem orkiestrą Straussa i Lannera. Mały, zacieśniony między domami ogród, ze swoim stawem zamulonym, tak samo jak teraz pokryty już był namiotami i stołami, tak samo tłumnie był nawiedzany przez publiczność.

Władysław siedział przy stole z dwoma młodemi dziewczętami, a obok nich usiadła Naomi, w której duszy snuły się ponure myśli Saula, lubo wesola muzyka nie wywierała na niej wpływów uspakajających arfy Dawidowej. Melodye taneczne oddychały ruchliwą fantazyą teatru ludowego, całem owem weselem z Schönbrunn i z Prateru; wszystkie serca śpiewały ochoczo:

«*Es giebt nur a Kaiserstadt!*  
*'S giebt nur a Wien*<sup>36</sup>!»

lecz w oczach Naomi muzyka ta brzmiała odgłosem smutku i płaczu, i wiała na nią to chłodnem powietrzem z wilgotnych więzień Spielbergu, to parnym upałem z ołowianych dachów weneckich.

Władysław spojrział na nią swoim wzrokiem dumnym i zuchwałym, — i ona spójrzała na niego; lecz udawali że się nie znają, a jednak jedno szło za drugim, jak cień idzie za ciałem.

Sprężystość myśli ludzkiej nie zna granic: jest ona niezmiernie, jak przestrzeń całego świata, którego obszerność astronomowie opisują nam jako nieskończoną. Bohaterowie w dziedzinie ducha rozszerzają jeszcze ten widnokrąg myśli, ale zarazem powiększają jej

<sup>33</sup>*Tobuwabobu* — muzyka afrykańska. [przypis autorski]

<sup>34</sup>*syn człowieczy* — książę Reichstadtzki, syn Napoleona I; aluzja do poematu Barthéleme'go, p. t.: *Le fils de l'homme*. [przypis autorski]

<sup>35</sup>gdzie *Silvio Pellico*... — *Mie Prigioni*. [przypis autorski]

<sup>36</sup>*Es giebt nur a Kaiserstadt!* — znana piosnka ludowa Wiedeńczyków. [przypis autorski]

cierpienia, a zupełnie też samą własność mają także stanowcze chwile w życiu, które nas raz do nieba przenoszą, raz do piekła. Naomi patrzyła teraz oczyma Newtona, ale patrzyła w przepaść piekielną.

Gdy ze świeżego powietrza przeniesiono się następnie do salonu, Władysław i Naomi spotkali się w tańcu. Musiała tańczyć z damą, gdyż tego wymagał jej ubiór, a na ustach jego zaległ szyderczy uśmiech; wszakże nie przemówił do niej, ani ona do niego. Przy odgłosie wesołej muzyki obracała się jak drugi Ixjon na rozpalonem kole. Piersi jej wzdęły się, oczy zaiskrzyły, a Władysław zdawał się chłodnym, jakby jaka Turandot płci męskiej o dumnym, szyderczym uśmiechu. Ach! jakież męczarnie samemu sobie zadawać może serce ludzkie! Zawsze bije, zawsze nabiega krwią — bo to koniecznem jest do życia!

Władysław znikł w tłumie; napróżno wszędzie szukała go. Już było późno, ostatni omnibus odjechał do miasta, a tylko kilka jeszcze bryk chłopskich stało przed ogrodem. Jakiś pan z dwiema damami wsiał do bryki, — tak jest, to on! poznała go! Szybko pobiegła za nim i jeszcze znalazła jedno miejsce, — konie ruszyły.

Przez ciemne drzewa świeciły światła z domków miasteczka Hitzing i z cesarskiego zamku w Schönbrunn; w bryce siedziało jeszcze kilka pocziwych rodzin mieszczańskich, które wesoło rozprawiły o czarodziejach i duchach, dobrze znanych Wiedeńczykom z tyśiącznych krotochwil teatralnych i przytaczały dowcipy paradnego Kasperla i niezrównanego Pumpernickla.

Ach! jakże Naomi pragnęła urzeczywistnienia owych czasów czarodziejskich, o których mówili spokojni Wiedeńczycy! Jakżeby zaraz była użyła swej potęgi i przedzierzgała w kamienie Władysława i dwie jego towarzyszkę choć jego tylko do połowy, bo głowa miała zatrzymać przytomność, serce dawne uczucia, żeby tem dotkliwiej wszystkie dręczyły go męczarnie.

Przy rogatce wysiedli z bryki. Władysław udał, że teraz dopiero spostrzega Naomi i objął ją rękami, tak że pewno na ramionach jej pozostały znaki z takiego uściśnienia. — Otóż i Krystyan! — zawołał śmiejąc się — to i ty, widzę, szukasz różnych przygód! Tak, to lubię, mój chłopcze! Jakżeby cię mógł poklepać, jak popieścić, że choć raz tak samo robisz, jak my wszyscy! — i zaczął ją pieścić z gwałtowną rubasnością.

— Puść mnie! — zawołała — ja należę do kompanii! — i ze spojrzeniem wymówniejszem od wyrazów odwróciła się od niego; jednej z kobiet podała rękę, którą ta z chęcią przyjęła. Obca dziewczyna przemówiła do niej językiem nagiego grzechu, lecz policzki Naomi mocniej nie zapłonily się, ani serce jej nie biło gwałtowniej, niż poprzednio.

W samym grodzie Wiednia kilka ulic połączonych jest z sobą przez przechodnie bramy i sienie pojedynczych domów: cudzoziemiec nie znający miejscowości, wstępuje na schodki i myśli że idzie na podwórze, aż tu ujrzy się nagle na wcale innej ulicy albo placu.

Władysław wszedł do takiego domu ze swoją towarzyszką: Naomi poszła za niemi.

— Gdzież się podzieli? — zapytała dziewczyny, z którą się sama pozostała.

Dziewczyna rozśmiała się i poprowadziła Naomi na wysokie schodki kamienne, lecz i tutaj nie było Władysława. Gdy doszły do drzwi bardzo świetnego na pozór mieszkańca, obca zadzwoniła.

— Gdzież się tamci podzieli? — zapytała Naomi.

— Oni są tam, a my tutaj! — odpowiedziała dziewczyna. Drzwi otworzyły się, a stara, porządnie ubrana kobieta, ze srebrnym lichtarzem w ręku, przywitała ich.

— Idź do djabła! — krzyknęła Naomi i zmieszana zbiegła ze schodów. Po świetle poznała, że ją ścigają, szybko więc wypadła na ulicę, lecz tu nie było nikogo. — Władysławie! — wybąknęła i przygryzła sobie wargi do krwi.

W pół godziny później była już znowu w swem mieszkaniu w Praterze. Władysław jeszcze nie wrócił; w ubraniu rzuciła się na łóżko, ale żadna łza nie pocięła z jej oka, żadne westchnienie z ust jej nie wydobyło się. W tem słycać było kroki; — przyszedł Władysław.

W milczeniu spoglądali na siebie.

— Pewnieś się doskonale ubawiła? — zapytał głosem złośliwym. Ona milczała i patrzyła na niego okiem dumnym i pełnym żalu; on szyderczo uśmiechnął się.

Wargi jej poruszyły się, jakby do mówienia — ale milczała.

— Czy widziałas — rzekł — jak moja klacz, kiedy nie jest przywiązana w stajni, ze rzeniem biega za mną, ile razy koło niej przechodzę. Ona to robi z czystej miłości i za to



pieszcząc klepię ją po karku. Ty także idziesz za mną, ale ty dla całkiem innych powodów, — więc miałbym prawie ochotę i ciebie tak poklepać, jakieś na to zasłużyła! — i porwał za szpicróżgę, leżącą na stole, machnął nią w powietrzu w tym kierunku, w którym siedziała Naomi, tak że koniec szpicróżgi dotknął się jej szyi.

To było ukąszeniem taranteli! — Z lodowatym wejrzeniem popatrzyła na niego przez chwilę: — Władysławie! — wykrzyknęła i wybiegła z pokoju.

Józefina spała.

Na ulicy wszystko było głucho i ciemno, daleko tylko dochodził jej uszu turkot ciężkiego pojazdu jadącego od Prateru. Niebo było zasiane gwiazdami. Wielka niedźwiedzica wskazywała na północ. Czy Naomi myślała teraz o domu, czy też myśli jej bawiły w budzie drewnianej przy synu pariów, przy dumnym Władysławie? Ani jedna łza nie pokazała się w jej oczach, ani jedno westchnienie z ust jej nie wyszło: — tak zamyślona i z wejrzeniem w gwiazdy wlepionem poszła kilka kroków naprzód. Tak samo Aryadna patrzyła w nurty morza, gdy przekonała się, że Tezeusz ją porzucił. Ten sam uśmiech był na twarzy Medei, gdy Jazona witała u Kreüzy.

Tej samej godziny, tej samej nocy, tylko że na samotnym gościńcu Zelandyi, dwoje innych oczów spoczęło na tychże samych gwiazdach ale z ową nadzieją i pociechą, z jaką Leander, wskoczył w nurty Oceanu i popłynął pod ogień, który na przeciwnym brzegu zapaliła jego Hero.

Na gościńcu zelandzkim jechał tej nocy Krystyan sam jeden do Kopenhagi. Doszedł nareszcie do tego przekonania, że się u pana Knepusa wielkich rzeczy nie nauczy i że koniecznie musi pójść w świat, jeżeli zechce dojść do czegoś. Piotr Wik gniewał się na niego i mówił, żeby sobie popłynął na swoim osobnym morzu; Łucya płakała, ale postanowienie Krystyana było niezmiennie. Wystarał się tedy o listy rekomendacyjne, a że między nimi jeden był do lokaja królewskiego, więc marzył o wcale czem innym, niż o obietnicach i uściśnieniu ręki. Noc była letnia, piękna i spokojna, poczytlił trąbił, a odgłos trąbki jego odbijał się od pagórków Antworskowu. Jedna gwiazda szczególnie tak pięknie iskrzyła się: był to *Łabędź*, jak go zowią mieszkańcy południa. — To gwiazda mojego szczęścia! — pomyślał i zapytał sąsiada o nazwisko tej gwiazdy. — To kura wieczorna! — odpowiedział zapytany.

Krystyan wspomnił o Naomi; — ona przeciwnie myśli swe wypuściła na wiatr, jak pszczoły, a one ssaly gorycz z każdego kwiatu, co w ostatnich miesiącach wyrósł w jej sercu, i z każdego kwiatu zbierały truciznę.

Słuchała, bo zdawało się jej, że słyszy plusk fali Dunaju. Gwiazda spadająca przebiegła przestrzenie, tak samo jak kiedyś balony parowe przerzynać będą powietrze.

Wróciła znowu do domu, gdzie spał Władysław, — lecz została się w sieni i usiadła na ostatnim schodku; tu ręce położyła na poręczu, a głowę oparła na rękach. Tak drzémała, jak drzémie Arab wiedzący, że śmiertelny wróg jego śpi pod tym samym, co on namiotem; toć z sobą pili i jedli przy jednym stole, a gościnność jest świętą tarczą, która jednego broni od napaści drugiego. Podają sobie ręce, — śpią, ale ostatnią ich myślą jest: — spotkamy się w innym miejscu! — W synu pariów i w córce Izraela płynie krew Azyi, w której gorące pali słońce.

### XIII

— Uciekam ztąd! — rzekła Naomi do Józefiny, owej amazonki z powiewającym piórem i różnokolorowemi chorągwiemi. — Uciekam! choćby na śmierć, aby nie tutaj życie!

Józefina rozśmiała się. — Dziś przed południem pojedziemy razem do Josephsdorf i Kloster-Neuburg, tylko we dwie, bo małym kabrioletem, z zaprzęgniętym doń wartkonogim Rolandem. Już dla twojej miłości wystawię się nawet na obmowę, że sama wyjeżdżam z małym, ognistym dżokejem! Ty znowu nabierzesz humoru, Władysław pocałuje cię tam, gdzie dotknęła cię jego szpicróżga i tak znowu nastąpi zgoda.

— Nigdy! — rzekła Naomi.

— A więc i skrucza nie pomoże! — rzekła Józefina z uśmiechem — ej! to będzie jeszcze weselej!

— Wystaraj mi się potajemnie o paszport! — prosiła Naomi — do Węgier albo do Bawaryi, gdzie chcesz! abym tylko ztąd się mogła wydobyć! abym tylko na niego nie patrzyła!

— Najprzód cokolwiek się przejedziemy! — odpowiedziała Józefina. — Skosztujemy czekolady w Josephsdorf i z gór będziemy patrzeć, czy dolina Dunaju nie nakłoni cię, żebyś została z nami. W każdym razie nie śpiesz się! Nigdy nie stawiaj zbyt dużych kroków, z którymi zresztą kobietom wcale nie do twarzy!

— Nie po raz pierwszy to napoił serce moje trucizną! — rzekła Naomi. — W Cieplich, we dwa tygodnie po moim wyjeździe z domu, jużem go znała jak otwartą książkę, jakkolwiek wtenczas jeszcze był mądrym i przezornym. Moje postanowienie jest niezmiennie!

Kabryolet zajechał, a obie kobiety puściły się w drogę. W długich alejach na przedmieściu spotkały dużo jadących powozami i konno; młodzi paniczki kłaniali się Józefinie, damy uśmiechały się do Naomi. Droga ich prowadziła pod górę, z której obszerny był widok na uroczą dolinę Dunaju.

— Patrzno! — zawołała Józefina — jak się pysznie wydają te wszystkie aleje między przedmieściami a miastem. Wieża Św. Szczepana śmiało sterczy nad innymi budynkami, a tu oto widzisz Dunaj z rozkosznymi, zielono ocienionymi wysepkami. Tamte niebieskie góry już należą do Węgier! Już to co prawda, ale trzeba przyznać, że Austria nierównie piękniejszą jest od Danii!

— Jedna podobna do drugiej! — rzekła Naomi. — W Jütlandyi mamy góry równie wysokie, a mały Belt i Sund daleko są wspanialsze od Dunaju! Jedną tylko znam zaletę Wiednia przed Kopenhagą, to jest, że powietrze tu łagodniejsze i że Włochy bliżej położone!

— Finlandczyk tęskni za swemi bagnami, a Eskimos za swoim śniegiem! — rzekła śmiejąc się Józefina.

— Ja nie tęsknię za Danią! Nigdy tam już nie wrócę! ale też i tu nie zostanę! Jestem wolną kobietą, nie jestem poddaną austriacką, więc muszą mi pozwolić wyjechać!

— Ależ Władysław będzie przeszkadzał! — odpowiedziała tamta — przeszkodzi choćby tylko dlatego, żeby cię udręczył, gdy go napadnie taki humor.

Rozmowę ich przerwał grabarz miasteczka, ofiarując się pokazać im kościół; w piwnicach, jak twierdził, miały być trupy przeszło stuletnie, tak dobrze zachowane, jak gdyby wczoraj dopiero pochowane.

— Wolelibyśmy widzieć żyjących! — rzekła Józefina.

— Ale tam naprawdę bardzo ładne osobliwości — zapewniał stary — a nie ma jeszcze godziny, jak tu w środku był jakiś wielki pan z Polski, który wszystko znalazł niezmiernie ciekawem i zapisał w swoim pugilaresie. — Wprawdzie potem pugilares ten przez zapomnienie pozostał w zakrystyi, ale staruszek jeszcze w tym samym dniu chciał go oddać na policję, gdzie panowie urzędnicy znają wszystkich cudzoziemców, tak iż zguba niezawodnie znów trafiłaby do swego polskiego właściciela. Józefina wzięła pugilares do ręki.

Pismo w nim było duńskie, a zdawało się Naomi znajome; chciwie przerzucała kartki i czytała w nim. Wiele notatek niekoniecznie musiało być przeznaczonych dla byle którego czytelnika.

— Ten pan chyba z Danii? — zapytała Naomi.

— Od króla duńskiego! — rzekł stary — Pamiętam go dobrze z kongresu, włosy miał siwe, a był grzeczny i uprzejmy, jak nasz cesarz Franciszek. — Stary stał się rozmowniejszym, lecz Naomi nie słuchała go, tylko z wzrastającym coraz zajęciem czytała notatki, ciągle to rumieniąc, to uśmiechając się.

— Przed godziną był tu ten pan, o którym mówicie? — spytała znowu.

— Tak jest, może będzie godzina! Nie wiem, w którą stronę ztąd się udał, ale mnie się zdaje, że do miasta.

— ObejrzmY kościół! — rzekła Naomi, jakoż weszli do niego, lecz wypytywała się więcej o obcego pana, aniżeli o przedmioty, które jej pokazywano, a pugilares jego zdawał się więcej zajmować jej uwagę, aniżeli historyczne objaśnienia, które jej dawał grabarz o dobrze zachowanych trupach.

Znowu wsiadły do małego kabrioletu, a wartkonogi Roland z podniesioną głową poniósł je szybko do klasztoru, którego wysoka kopuła z cesarską koroną, na wierzchu wybornie wyglądała na niebieskim tle powietrza.

Obie weszły do sklepionego korytarza klasztornego. Tu stał jakiś obcy. Naomi zadrżała: jego najmniej ze wszystkich byłaby chciała spotkać. Tak jest, on to, on sam, którego bytność zwiastował już pugilares; nie omyliła się: był to hrabia, ten, którego nazywała swoim ojcem.

Uklonił się im i mimochodem przemówił kilka słów do Józefiny; Naomi poszła dalej, nim jej się jeszcze bliżej zdołał przypatrzeć.

— Tu nie tak pięknie i nie tak wspaniale, jak w klasztorze Mülken! — rzekła Józefina — ale jednak lubię ten stary budynek, drogi mi jeszcze z czasów mego dzieciństwa! Jakże często biegłam ztąd do Leopoldschloss; tam na górze, z tego okna, jak niesie podanie, wiał welon księżnej i zaczął się o krzaczek głogu, który w tem samym stał miejscu, gdzie teraz stoi klasztor!

— Nie mam dziś wcale głowy do twoich historii! — rzekła Naomi drżącym głosem. — Chodź! ale prędko! prędko! tu nie możemy pozostać. Tamten pan jest moim krewnym! — i śpiesznie pociągnęła Józefinę do kabrioletu, który czekał na dworze. Już właśnie miały wsiadać, kiedy hrabia wyszedł z kościoła.

— Za pozwoleniem! — rzekł — podobno klasztor ma być sławny dla swych piwnic, w których znajduje się beczka, jedna z największych osobliwości całej okolicy!

— I ja o niej słyszałam — odpowiedziała Józefina — alem jej nigdy jeszcze nie widziała.

— Tu jest beczka, jaśnie panie! — zawołał tuż za niemi stojący w otwartych drzwiach bednarz, który wraz z kilkoma czeladzi zajęty był pobijaniem brakujących obręczy.

— Czy państwo nie mielibyście ochoty obejrzeć? — zapytał hrabia.

Józefina zaambarasowana spojrzała na Naomi, która prędko znów odzyskała przytomność i ukloniwszy się hrabiemu, wraz z towarzyszką weszła do warsztatu bednarza. Warsztat ten składał się z dużego, murowanego sklepienia, a w nim pełno porozrzucanych różnego kalibru beczek do wina, nad którymi wszakże królowała jedna, owa duża beczka mieszcząca w sobie tysiąc cztery wiader. Za pomocą drabinki można się dostać na wierzch, a dziura od czopu tak jest wielka, że każdy może przez nią bezpiecznie wejść w sam środek, gdzie dosyć jest miejsca na wygodne pomieszczenie czterech par do kontredansa.

— Właśnieśmy ją teraz oczyścili! — rzekł bednarz. — Niechże państwo pozwolą wejść, bo to dopiero najciekawsze.

Naomi szybkim ruchem z drabinki wskoczyła w beczkę, a za nią poszedł hrabia, który zaczynał przypatrywać się jej wzrokiem przenikliwym, bo sposób jej wejścia na schody zdradzał pleć, do której należała. Józefina wsadziła tylko głowę do fasy, która zdawała się całą izbą<sup>37</sup>, — ale Naomi zatańczyła solo w tej oryginalnej sali, choć hrabia patrzył na nią, a myśli jej bujały gdzieś daleko.

Wnet wsiadła znów z Józefiną do lekkiego kabrioletu, który ruszył z miejsca.

— Czy znacie te dwie osoby? — spytał hrabia bednarza, który potrząsnął głową.

— To sztuczni jeźdźcy z Prateru — rzekł jeden z czeladników — panna Józefina z małym dżokejem. Ona wybornie umie jeździć i pięknie pokazuje sztuki, ale on nie wiele wart; — widać, że nie musiał się tego uczyć od dzieciństwa.

Lekki kabrioletik pojechał drogą prowadzącą na dół, wzdłuż Dunaju.

— Uciekam i chcę uciekać! — zawołała Naomi. — Wszakże masz krewnych w Monachium, Józefino! daj mi list do nich, mam jeszcze kilka kosztowności, tak że w pierwszym tygodniu nie będę jeszcze potrzebowała żebrać, a przez jeden tydzień stać się może wiele rzeczy.

Całe już foliały pozapisywano o miłości, wszystkie jej odcienia wyśpiewano, ale o nienawiści mniej daleko rozprawiają nam, a jednak równie jest obfita, równie silną jak tamta. Szatańską to jest rozkoszą, zawsze jednak rozkoszą, jeśli nienawidzić, gorąco nienawidzić można tego, który złośliwie zdeptał najlepsze nasze uczucia, najniewinniejsze przy-

<sup>37</sup>...wsadziła tylko głowę do fasy, która zdawała się całą izbą... — długość tej olbrzymiej beczki wynosi stóp 14 cali 7, — przecięciowa jej szerokość stóp 12. [przypis autorski]

jemności. Wszyscy ludzie znają nienawiść; jest to owad namoczek, który żyje w ciepłej krwi człowieka.

Naomi była obrażona, i jak w balecie Sylfida przy pierwszym uścisku zmysłowym traci skrzydła duchowe i umiera, tak u niej pierwsze rubaszne obejście zabiło stanowczo miłość; było to jakby wino w puharze Tantała, z którego gdy jedna kropla rozleje się, całe zaraz ucieka, a puhar wypróżnia się do dna.

— Tak się czułam wyższą nad wszystkie inne kobiety! — myślała Naomi — a zniżyłam się do syna cygańskiego, którego szlachectwo zasadza się jedynie na fałszywej igrasce natury w kształtach jego ciała. Teraz to ciało jego sprawia mi obrzydzenie, jak skóra zjadliwego węża!

— Tyś więcej mężczyzną, niż kobietą! — rzekła Józefina.

— Więc łatwiej mi też będzie poradzić sobie na świecie! — odpowiedziała Naomi. — Władysław zapewne sądzi, że mam taką jak inne, co przez trzy lub cztery dni chodzą z sercem przepelnionem nienawiścią, a później zmiękczą się i przebaczą. Ja nigdy nie przebaczę! Mamy przysłowie w Danii, dające się wszędzie zastosować: jedno nieszczęście nigdy nie przychodzi samo. Dziś spotkałam mojego ojca, z nim to rozmawialiśmy w Klostere-Neuburg, — czy mnie czasem nie poznał? Zawszem gardziła synem marnotrawnym, nie dlatego że jadał z trzodą chlewną, ale za to, że powrócił do domu! pewnie wiedział, że ojciec jego słabym jest człowiekiem. Przyjąć łaskę albo dobrodziejstwo, nie jestże to tak samo, co brać wynagrodzenie za przyszłe jakieś obelgi? Czy myślisz, że świat byłby w stanie aby jednego wskazać dobroczyńcę, któryby na zasadzie swego dobrodziejstwa nigdy nie zranił, ani nie lekceważył obdarowanego? O! stokroć lepiej zginąć! Uciekam ztąd! uciekam! Władysław jest obcym dla mnie, jak ów pocztylion, który mnie z jednej stacyi zawiózł na drugą; słabość moja dla niego była snem, niedorzecznym snem przez drogę w dylizansie.

„Policja Wiedeńska zna każdego cudzoziemca,” powiedział grabarz w Josephsdorf i dlatego pugilares zapomniany przez hrabiego w zakrystyi oddał do Ratusza, jakoż przed wieczorem jeszcze doszedł rąk swojego właściciela. Policja zna każdego cudzoziemca, więc i hrabia przy tej sposobności zaraz dowiedział się, że przy towarzystwie sztucznych jeźdźców w Praterze jest młody jego ziomek, imieniem Krystyan, zbudowany delikatnie, kształtów niemal kobiecych, i zwany zwykle małym dżokejem, — ale jednak policja nic o tem nie wspomniała, że w istocie ten Krystyan jest dziewczyną. Hrabia postanowił tegoż wieczora pójść do cyrku.

Przedstawienie zaczęło się: Józefina pędziła na koniu, a powiewające chorągwie trzymała w rękach, — pajac ze swoją babką na plecach przewracał koziołki, — a Władysław w kostiumie greckim, w bogatej, ciemno-atłasowej sukni, z wysokim fezem na dumnej głowie, w samej rzeczy wyglądał majestatycznie. Czarne jego oczy iskrzyły się pod ciemnymi, długimi rzęsami; naokoło ust starorzymskiego kroju igrał szydarczy ów uśmiech, który głównie był w nim charakterystyczny. Żaden gladiator w arenie nie posiadał piękności bardziej męskiej. Zagrzały oklaski, lecz dla niego była to rzecz zwyczajna, jak muzyka, podług której przebiegał szranki cyrku. W myślach jego był ów jad, który objawiał się w uśmiechu ust, wiedział bowiem, że Naomi, którą widział na początku przedstawienia, odjeżdża w czasie reprezentacyi, — wiedział, że otrzymała paszport do Monachium. Ona była najpierwszą kobietą, która w taki sposób poważyła się stawiać jemu opór. Potrzeba mu było zemsty! potrzebował ją dręczyć, a to do wykonania zdawało się nietrudne. Niezawodnie w tej chwili extrapocztą albo konno jechała traktem do Linz, lecz tegoż wieczoru i dylizans odchodził tą drogą, a miejsce dla niego już było zamówione. Chciał ją tedy doścignąć, spotkać się z nią, a jakkolwiek wątpił, czy mu się uda skłonić ją do powrotu, jednak od niego wyłącznie zależało, przy takim spotkaniu wyrządzić jej sceny najprzykrejsze, bo ona była kobietą, a paszport jej brzmiał na mężczyznę, co oczywiście dostatecznym już byłoby powodem do kompromitacyi. Dlatego więc uśmiechał się Władysław jeszcze zuchwalej i wysoko podskoczył w powietrze na pędzącym biegunie, który doskonale znał swego jeźdźca, zwłaszcza że oklaski do większych jeszcze podniecały go wysileni.

Hrabia siedział tuż przy baryerze i na chwilę zapomniał o tej, której napróżno szukały jego oczy, a razem z innymi hucznie bił brawo, gdy Władysław opuszczał arenę.

W dziedzińcu pocztowym dyliżans już był zaprzężony; passażerowie wsiedli. Jeden z nich jechał do Kloster-Neuburg, drugi do Salzburga, trzeci do Paryża, i t. d. W tylnym kącie siedział młody człowiek, cierpiący na zęby, z głową obwiązaną, z czapką naciśniętą na uszy, który jechał do Monachium. Władysław usiadł naprzeciw niego, każdy z sąsiadem urządzał najwygodniejsze siedzenie, więc tu Naomi w takimże była wypadku z Władysławem. Poznała go zaraz, a jednak nie dowierzała swoim oczom, aż dopiero gdy przemówił, przekonała się, że to on w własnej swej osobie.

Podróż dyliżansem wydawała się jej najbezpieczniejszą i najprędszą, bo przynajmniej nie ma zatrzymywania i bałamuctwa na stacyach. Nie wróżyło jej teraz nic dobrego, że zastała w pojeździe Władysława, bo przeczuwała, że dla niej tylko puścił się w tę podróż. Bóg-że wiedział, co z tego wyniknie za koniec?

Pocztylion trzasnął z bicza, nastąpiły pożegnania z osobami odprowadzającymi podróżnych, a dyliżans przez plac św. Szczepana wyruszył na oświetlone ulice. W teatrze zamkowym, koło którego przejeżdżali, widowisko właśnie się skończyło i mnóstwo ludzi wyległo na ulice; passażerowie wyjrzeni z okienek, czy nie dostrzegą gdzie jakich znajomych, ale Naomi bardziej jeszcze pochyliła się w tył powozu, żeby promienie światła nie padły na jej rysy. Wnet też przejechali przez zieloną aleję i przez przedmieście Mariahilf; wszyscy gawędzili wesoło, a Naomi udawała że śpi, choć nikt z nich wszystkich czujniejszej od niej nie zachował przytomności. Rozważała swoje położenie i co jej teraz uczynić wypadnie; wprawdzie całą noc mogła przepędzić i niby spać w dyliżansie, nie potrzebując z niego wysiadać, ale jutro, gdy zadnieje, kiedyby w miasteczku Sankt Pölten wszyscy podróżni zasiedli do śniadania, cóż wtenczas? — Władysław przemówił do niej, lecz ona nie odpowiadała. Drżała na całym ciele, a trudno żeby on tego nie dostrzegł, bo kolana ich stykały się z sobą.

Po jednogodzinnej jeździe przybyli do miasteczka Hütteldorf, które równie jak Hitzing bywa pobytym letnim wielu Wiedeńczyków, tylko że Hitzing nierównie bliżej stolicy położone, tuż pod pałacem cesarskim, poniekąd nazwać się może letnią stolicą, pełną wrzawy i kurzawy, gdy tymczasem widok Hütteldorfu bardziej sielski i swobodny, wychodzi na niskie, zielone pagórki, a wille stojące cokolwiek opodal od traktu, z frontami do gór odwróconymi, wyglądały zupełnie idyllicznie.

Przed oberżą dyliżans stanął na chwilę; niektórzy mężczyźni wysiedli i Naomi poszła za ich przykładem. Postanowienie jej było szybkie; szybko więc skręciła w pierwszą lepszą uliczkę, prowadzącą za miasto i zaczęła biegać, co jej sił starczyło. Po prawej stronie, na końcu uliczki, był mały pałacyk, za który skryła się w rowie przed ogrodem. Serce jej było gwałtownie i wyteżała słuch, czy nieprzyjaciel jej nie ściga.

Trąbka pocztyliona zagrzmiała; słyszała jak dyliżans odjeżdża i w duchu pomyślała to, co w innym wprawdzie znaczeniu woła znana pani Riquebourg: — Teraz już go nie ma!

W tej samej chwili w ogrodzie dały się słyszeć głośnie śmiechy i rozmowa, i cała kompania wyszła z furtki udając się spacerem na łąkę. Było to wesołe towarzystwo, a wszystkie nazwiska, które słyszała, były jej znane, takie na przykład, jak pełnej dowcipu i elegancyi poetki, pani Weissenthurn, albo sławnego aktora Costenobla.

— Wszak prawda, panie Grillparzer<sup>38</sup>, że jutro będziesz u nas czytał swoją Safonę? — rzekła dama, a wszyscy rozmawiali wesoło i z zajęciem.

— Dobranoc! Dobranoc! Spokojnej nocy! — wołały teraz głosy z drugiego końca uliczki — dobranoc! dobranoc! — i jeden z tych panów wracał tą samą drogą, oczywiście gospodarz, który gości swoich odprowadził. Piesek, biegnący za nim, raptem dopadł do rowu, gdzie siedziała Naomi, zaczął strzydz uszami i szczekać. Właściciel przystąpił do niego.

— Kto tam? — zapytał.

Naomi wstała.

— To niedobry nocleg! — rzekł — rosa już spadła; spodziewam się, że nie zechcesz tu przenocować?

— Przepraszam! — rzekła Naomi — z kim mam honor mówić?

<sup>38</sup>Grillparzer — jeden z najznakomitszych nowszych dramatyków niemieckich, autor znanej także na naszej scenie: *Matki Rodu*. [przypis tłumacza]

Tamten uśmiechnął się. — Nazywam się Kastelli<sup>39</sup> — odpowiedział — a ty, mój przyjacielu?

— Kastelli? — przerwała znowu — czy poeta?

— Tak jest, ten sam!

— Znam już pana od dawna! — rzekła! — Poezje pańskie tak mnie zawsze bawiły. Dzieckiem będąc uczyłem się pańskiej: *Pochwały malców*; daleko ztąd zajmowałeś pan moje myśli, choć nigdy nie przypuszczałem, że się kiedyś zejdziemy, a to jeszcze w taki sposób!

— Pan nie jesteś Niemcem — rzekł poeta — a jeśli mam sądzić po wymowie, toś zapewne Duńczykiem.

— Tak jest, panie!

— Zaraz byłem tego pewny! dziś wieczór był tu u mnie młody lekarz, pański ziomek.

— W panu mam zaufanie! — rzekła Naomi — każdy poeta zawsze wydawał mi się obdarzony gorętszem, szlachetniejszym i lepszym uczuciem od innych.

— Niekoniecznie w tem przyznać mogę słuszność, a po większej części poeci tę tylko przed innymi ludźmi mają zaletę, że lepiej umieją pamiętać i zastosowywać, lepiej wypowiedzieć co czują i co myślą! — Otworzył furtkę i weszli do ogródka kwiatowego.

— Przypadek sprowadził mnie do pana! — rzekła — radź mi pan i pomóż! — i opowiedziała mu, że jest kobietą, że jest z Danii, gdzie porzuciła życie spokojne i bez troski, żeby w najmniejszych nawet nadziejach swoich doznać zawodu. Następnie zwierzyła mu się ze wszystkich ostatnich wypadków swego życia.

Dobroduszny, zacny człowiek, przy podobnem zwierzeniu oczywiście uczuł się nieco zakłopotany; — cóż można było myśleć o takiej kobiecie? Zdaniem jego poseł duński najwłaściwiej w podobnym razie udzieliłby jej pomocy i rady. Ale tymczasem noc już była późna, a ona tak ładna, tak opuszczona i słowa jej tchnęły prawdziwą wymową. Poeta zawołał swojej gospodyni, która zaprowadziła Naomi do małej izdebki gościnnej, z kąd okna wychodziły na góry.

W nocy otworzyła swe okno; schodzący księżyc nisko stał na widnokręgu; zanim jeszcze zniknie zupełnie, należy uczynić krok stanowczy. Marząc patrzyła w przezroczyste powietrze, ale dumanie jej nie było bezskutecznem, bo tak marząc ułożyła plan na dzień następny.

## XIV

Nazajutrz rano, gdy Naomi zeszła do śniadania, poeta uprzejmie podał jej rękę; pies jego podskakiwał do niej, łaszcząc się, a ona klepała go po głowie. Wszakże to wczorajsze szczekanie psa wybawiło ją z przykrego położenia i ułatwiło nową znajomość.

— Jest to pocziwe, oddane mi całkiem zwierzę — rzekł poeta — jeżeliby umarło przedemną, szczerzebym go żałował!

Kabryolet wjechał w tę samą uliczkę i zatrzymał się przed furtką do ogrodu. Była to wizyta ranna: ów młody lekarz, ziomek Naomi, o którym już wspomniał Kastelli; jakiś obcy towarzyszył mu, również Duńczyk, który pragnął zabrać znajomość z poetą. Był to hrabia, ten sam, którego Naomi nazywała swoim ojcem.

Lekarz posiadał to, co w ogóle charakteryzuje bardzo wielu Duńczyków; wiele wrażliwości na wszystko co nowe, w połączeniu z żywym przywiązaniem do własnego kraju, które zresztą niemałą w nim budziło tęsknotę. Szczególnie wielką miał ochotę do porównań, a któreż miasto większą ku temu podaje sposobność od Wiednia? Mieszkańcy tej stolicy tyle dobrego i złego mają wspólnego z mieszkańcami Kopenhagi, że podobieństwo ich niezmiernie bije w oczy. Prater ze swemi huśtawkami i kuglarzami, podobny jest do zwierzyńca Kopenhagskiego — zamek Schönbrunn do Fredriksbergu, — św. Szczepan z wysoką swoją wieżą wprawdzie ma w sobie zupełnie coś odrębnego, ale doktorowi przypominał jednak Kościół Zbawienia, boć i tu wieża jest osobliwością, skoro naokoło niej ciągną się schody ślimacze, osłonięte połączoną poręczą i prowadzące gościa aż do najwyższej kuli, gdzie stoi człowiek z miedzi z powiewającą chorągwią. Jeżeli z wieży św. Szczepana, mówił młody doktor, widok wychodzi na góry węgierskie, tedy z wieży Zbawienia widzieć można cały Sund i brzegi Szwecji. Ze wszystkich obcych

<sup>39</sup>Kastelli — poeta liryczny i humorystyczny. [przypis tłumacza]

miast, które widział, Wiedeń najlepiej jemu się podobał, bo tu tak pełno wszędzie życzliwej gościnności, chociaż właśnie ta gościnność przypomina mu ciągle pożycie w własnym kółku domowym, młodą żonę i ukochaną córeczkę! Nie rzadko mu się zdarza, że ły mu zachodzą do oczów, kiedy na ulicach Wiednia zobaczy małe dziewczątka w wieku jego córki; — właśnie tak też było dziś rano, gdy zatrzymywali się przy domku leśniczego, gdzie młoda dziewczyna i małeńka jej siostrzyczka pasły kozę, którą doją, ile razy który z przechodniów zażąda koziego mleka. Hrabia żartobliwie opowiadał o sentymentalności młodego doktora, jak nazywał tę jego skłonność do tęsknoty.

— Pan wcale nie wiesz, co to znaczy, mieć dzieci — rzekł lekarz — gdybyś pan miał taką córkę, jak ja, tobyś równie był sentymentalnym. Cały świat wesela otwierałby się wówczas przed panem. Jakaż rozkosz maluje się w uśmiechu dziecięcym! O gdybyś pan widział, jak wyciąga do mnie drobne swe rączką! Gdybyś słyszał pierwsze słowa przez nią wymówione! O! życzyłbym panu takiej córeczki, jak moja!

Hrabia wlepił swe oczy w Naomi i rzekł potem poważnie i z mocnym akcentem: — Miałem córkę, ale umarła! — Zamilkł, a młody doktor był zafrasowany, gdyż wcale nie było jego zamiarem dotknąć hrabiego.

Rozmowa obracała się koło krótkiego pobytu hrabiego w Wiedniu i blizkiego odjazdu jego do Włoch, zkad następnie chciał wracać przez Francją.

Gdy się pożegnali, poeta odprowadził swoich gości przez ogród, a Naomi została w pokoju. Nic nie było naturalniejszego nad to, że powierzył jej ziomkom co wiedział, i jakim sposobem sam wpadł w tę awanturę. Doktor śmiał się, ale hrabia zamyślił się i milczał.

Poszli dalej łąką i zieloną doliną, rozciągającą się aż do stóp góry. Wzdłuż ogrodów w powabnych liniach wiła się wązka ścieżka.

Na tej samej ścieżce, w pół godziny później hrabia i Naomi przechadzali się razem, rozmawiając językiem ojczystym; wróble wesołym świągotem wtórowały im, kwiaty woniały rozkosznie, jak gdyby wszystko było spokojem i radością; ślimaki kąpały się w ciepłym blasku słonecznym.

— Naomi! — rzekł hrabia. — Jakżeż mogłaś zapomnieć się do tego stopnia? mnie przynieść wstyd, a na siebie samą największą sprowadzić hańbę?

— Już urodzenie moje poświęciło mnie na to! — odezwała się. — Można mnie ganić, ale dużo mam także na swoje usprawiedliwienie, gdyby takiego potrzeba. Całe istnienie moje jest grzechem młodości, a jakie nasienie, taki bywa owoc!

— Jakaż będzie twoja przyszłość? — zapytał.

— Ta sama, co tysiąca innych — odpowiedziała — życie, życia nie warte; alem przecież i ja żyła, chociażby tylko jedną dobę. Czułam się swobodną, nawet wtenczas, gdy najwięcej mnie dotknięto i dopiero w tej chwili wzrok pański wywiera na mnie wrażenie, co wiąże moją wolę. Świat nie widzi we mnie pańskiej córki, nawet i sam nie wierzysz, że nią jestem! tak jest, jam tylko obcą, której pan świadczyłeś niezasłużone dobrodziejstwa, a więc mogłeś wymagać, bym mu była posłuszną; alem ja nią nie była, więc cofasz się odemnie. Drogi nasze rozchodzą się. Każdy błąd, każdy grzech pociąga za sobą swoją karę, — niechże i ja dźwigam moją. O jedno tylko jeszcze dobrodziejstwo upraszam pana w dodatku do tych dawniejszych, — o to, żebyś udawał, iż mnie nie znasz!

Stanęli obok drzewa; głos doktora przywołał ich.

— O zdanie świata nie dbam! — rzekła Naomi — ale o pańskie, — tak jest! przed niem radabym stanąć tak samo, jak stoję przed własnym mem sumieniem!

— Idą! — rzekł hrabia, widząc zbliżających się poetę z doktorem.

— Sprzeczałyśmy się! — zawołała Naomi z uśmiechem na twarzy — pan hrabia mały ten kwiatek nazwał fijołkiem, a ja powiadam, że to tylko dzikie bratki! — i wskazała na kwiatek rosnący tuż pod trawką.

— W ogrodach — rzekł Kastelli — kwiatek ten dochodzi do rzadkiej piękności. Niemcy zowią go *macochą*<sup>40</sup>, choć zaprawdę nie wiem, dlaczego, bo się natura wcale z nim jak macocha nie obesza.

— Dziwna to rzecz — rzekła Naomi — że zawsze tylko mówią ludzie o złych macochach, a nigdy o ojczymach!

<sup>40</sup>Niemcy zowią go *macochą*... — bratki, po niemiecku *Stiefmütterchen*. [przypis tłumacza]

— Bo ich może jedyną wadą bywa zbyt duża słabość — rzekł hrabia.

Nie wiemy, czy i my powinniśmy go o słabość posądzić, ale jeżeli z domu poety lekkim skokiem przeniesiemy się w góry tyrolskie, gdzie młodzi parobcy z kwiatami na kapeluszach, na świeżym powietrzu rannem śpiewają piosnki o Andrzeju Hoferze, tedy w pięć dni zaledwie po opisanej dopiero rozmowie i spotkaniu się hrabiego z Naomi, ujrzymy w rzeczywistości przykład pobłażliwego i przebaczonego ojczyzna.

Lekki powóz podróżny przejeżdża głównym traktem, na którym snują się konni i piesi; po raz pierwszy i po raz ostatni ludzie ci spotykają się na świecie, a jednak hrabia zmrzył oczy do spania. Przy boku jego siedzi młoda dama w kobiecym ubiorze podróżnym; mappa Włoch leży na jej kolanach, a obok, znany przewodnik Reicharda. Głęboko pod drogą pieni się szumiąca rzeka, obłoki jak płaty śniegu wiszą naokoło wysokiego szczytu góry, — młoda dama patrzy na dziką okolicę i poznajemy w niej Naomi. Myśli jej marzą o Włoszech, dlatego nie tyle zważa na teraźniejszą chwilę. Przed oczyma jej staje owa *Fata Morgana* rzeczywistości: Italia, święty przybytek sztuki i piękności, którego portykami są Alpy, dla którego orzeł jest wróblem, gnieźdzącym się pod jego gzymsami; który podpierają pinie, jakby wysmukłe filary z wiecznie zielonym kapitelem. Tam jest ojczyzna melodyi, tam zimą nawet kwitną róże. Ziemia pod twoimi stopami poświęcona jest krwią mężów szlacheckich, marmurem z świątyń starożytnych. Kamień staje się duchem i ciałem, obrazem piękności, co upaja twoje myśli. Morze jest niebieskie, jak liść bławatku, przezroczyste jak kropla źródłana. Huryski, piękne jak w raju Mahometa, uśmiechają się do ciebie. Kraino tonów, ojczyzno kolorów: Italio! — *Idźmy tam!* śpiewał piewca *Mignony*<sup>41</sup>, a tysiące serc żalostnym echem powtarzają te słowa dręczącej tęsknoty, która się nigdy im nie spełni!

## XV

Pewien autor francuzki napisał dowcipną rozprawę o mieszkaniach pod strychem (*les mansardes*); autor ten zapewnia nas, że równie jak w człowieku duch i geniusz mają siedzibę swoją w samym szczycie, bo w głowie, tak dzieje się w Paryżu z poetami i z artystami, którzy zwykle mieszkają pod strychem. Scribe napisał wodwil o życiu artystów w Paryżu i nazwał go: *La mansarde des artistes*. We wszystkich wielkich miastach, losy ubogich artystów tylko pod względem mieszkania stawiają tak wysoko.

Tak też i Krystyan mieścił się w Kopenhadze w małej stancji na piątym piętrze od podwórza, u tej samej wdowy, u której przed rokiem przepędził dwa tygodnie w towarzystwie Łucyi i jej matki. Widok wychodził po nad kominami i dachami na wysoką wieżę kościelną, na której przechadza się ciągle żołnierz ze straży ogniowej. Jeżeli ci wszyscy bogaci państwo, którzy pod nim mieszkali, mieli przed oczyma cały ruch uliczny, tedy on przynajmniej patrzył swobodnie na ogromny widok, w którym wieczorem gwiazdy świeciły jak kosztowne światełka.

Co się tyczyło jego izdebki, przyznać musimy, że była znacznie mniejszą od dawniejszej u pana Knepusa; właściwie wyobrażała ona trójkąt, bo zaraz od samego wejścia przy drzwiach dach zniżał się pochyło z wyjątkiem tylko występującego na przód okna; łóżko było rodzajem alkierza, nad którym w samym dachu mieściła się szyba szklana, pozwalająca mu przyglądać się w nocy księżycowi i iskrzącym gwiazdom.

Z wdzięcznym sercem chwalił Pana Boga za rzadkie szczęście, które mu się przytrafiło, bo otrzymał aż cztery lekcje muzyki, a z nich dwie płaciły mu po grzywnie<sup>42</sup> za godzinę, za dwie drugie zaś, każdą po dwa razy na tydzień, dostawał cztery razy w tygodniu dobry obiad, tak iż już tylko trzy dni pozostały o chlebie z masłem albo z serem. Wprawdzie tego nie dosyć jeszcze, boć szło o to, żeby także wyglądać porządnie, więc sam sobie czyścił suknie i obuwie, a jeśli gdzie wystąpiła biała nitka, zaraz ją czernił atramentem. Nawet buty zszywał sobie grubą nicią, — rozumie się, iż tylko przyszwę, bo że podeszwy dziurawe, tego nikt nie widział. Ruchy jego były nieco żenowane, tem bardziej kiedy trzeba było zataić małą dziurkę, lub kiedy sobie przypominał, że surdut nie zniósłby może śmiałego poruszenia ręki; wołał już bowiem wówczas, żeby to przypisano własnej jego

<sup>41</sup>...*śpiewał piewca Mignony* — znana piosnka Mignony w *Wilhelmie Meistrze* Goethego: «*Kennst du das Land wo die Citronen blühen?*! ... .. *Dabin! dabin! Möcht ich mit dir, o mein Geliebter, ziehn!*» [przypis tłumacza]

<sup>42</sup>*grzywna* — (Mark) duńska wyrówna mniej więcej 40 groszom polskim. [przypis tłumacza]



niezgrabności, aniżeli iżby się domyślano ubóstwa. Przed gospodynią nawet ukrywał się z tem, że trzy dni w tygodniu nie je obiadu, i udawał, jak gdyby wychodził do traktyerni; ale rzeczywiście odbywał tylko spacer pod cytadellą nad brzegiem morza, przyczem zjadał parę kawałków chleba, albo też siadywał w ogrodzie królewskim i wraz z dziećmi i ich mamkami przyglądał się niewinnej fontannie.

W piątki i w soboty jadał u radcy wojennego, pamiętnego zapewne czytelnikom naszym z podróży na okręcie Piotra Wika. Byli to wielcy państwo, ale największym panem był najstarszy ich syn, akademik, któremu piękne suknie nadawały pozór prawdziwie arystokratyczny, a małe uczyty, pewne nawet znaczenie między jego kolegami. Nigdy nie rozmawiał z Krystyanem, nigdy mu się nie kłaniał, gdy przychodził do stołu, lub odchodził. Matka opowiadała o jego cnocie, a szwaczka rumieniła się po same uszy. Ile razy mieli być goście, Krystyana zwykle odprawiano, — boć dla niego pewno nie byłoby żadnej zabawy zejść się z ludźmi, których nie znał; a zresztą nie byłby mógł tak dobrze wyczyścić swoich sukien, żeby dość były przyzwoitemi dla reszty towarzystwa.

We wtorki i w czwartki jadał u królewskiego lokaja, a za pomocą tej znajomości spodziewał się dojść do szczęścia i honorów, gdyż, jak mu powtarzała ciągle pani lokajka, mąż jej może za nim przemówić do władców tego świata! Tam gdzie radcy wojenni i daleko więksi jeszcze panowie czekać muszą w przedpokojach, tam mąż jej wchodzi wedle upodobania, więc też nigdy nie zwała go lokajem, tylko że przy królewskim jest dworze.

Krystyan uczył grać ich córkę najmłodszą, której nadano imiona podług każdej z księżniczek domu panującego, i ochrzczono Maryą Karoliną Wilhelminą Szarlottą Amalią Julią Fryderyką, a na codzień skracając dwa imiona, pierwsze i ostatnie, wołano na nią nieco prozaiczniej *Mika*.

Z resztą nigdzie nie było mu tak dobrze, jak w własnej małej izdebce, choć za nadejściem zimy mróz go tu przejmował nielada. Po szylingu kupował sobie torfu i drzewa, a na szybach iskrzyły się duże kwiaty kryształowe. Nie każdego też wieczora znalazł się grosik na łożówkę, aleć wiadomo, że po ciemku najlepiej fantazyować na skrzypcach.

— Jakaż to panna stoi na pańskiej szybie? — rzekła służąca, która sprzątała jego pokojik, wskazując na zamrożnięte okienko. Gospodyni potrząsała głową, bo przed siedmią laty zupełnie taka sama panna stanęła na szybie, przy której mąż jej siadywał szyjąc buty. Toć sam powiedział wtenczas: — Widzisz, matko, jaka tu ładna stoi panna i woła mnie do siebie! — a we dwa tygodnie potem leżał w grobie. Oj! wołała go, wołała zimna śmierć dziewica! ale Bogu chwała, na szybie Krystyana już chyba znaczy co innego, boć to człowiek zupełnie młody, — choć mimowolnie myśl jego wracała do tej wróżby, a wpośród biedy terażniejszej chwili, z przyszłością bez żadnych przed sobą widoków, ni nadziei, przebudziło się w nim przywiązanie do życia; więc pochwycił za skrzypce i przy odgłosie miękkich melodyj nie pamiętał o głodzie, ni o zimnie.

W niejednym samotnym wieczór tony jedynym jego bywały posiłkiem, aż nareszcie palce mu zeszytniały od zimna. W fantazyach tych była dusza i uczucie, ale nikt ich nie słuchał, a szczęście, owo wszystko stanowiące szczęście, nie miało ochoty tak wysoko się drapać po schodach, żeby aż geniuszu szukać pod strychem.

Mendelsohn — Bartholdy napisał kilka kompozycji muzycznych pod tytułem: *Pieśni bez słów*; każda pokrewna dusza z łatwością te słowa sama sobie wyśpiewa. Otóż i pod grę Krystyana mogliśmy podłożyć słowa: oby ich słuchano w pałacach naszych panów, oby w każdym stuleciu choć jeden talent ocalał od nędzy i biedy! O! ty człowieku moży! ty rozumiesz dzieła malarzy i rzeźbiarzy, co zdobią ściany twoich salonów; ale utwory poetów i muzyków są dla ciebie martwą literą; owych najbogatszych tkanin ducha, których rdza nie powlecze i nie pojedzą mółe, własnem uczuciem nie pojdziesz, bo tobie trzeba, żeby dopiero całe wieki objawiły ich wartość niezrównaną. Zaklinam cię więc: *nie daj zamrzeć i zmarnieć prawdziwemu talentowi!* — Chwała Ci, Boże! — słowa te nie przebrzmiały na próżno, — a tak — chyba tak samo, jak nie przebrzmiała gra na skrzypcach Krystyana!

W domu lokaja królewskiego panowała wysoka elegancja, — wprawdzie tylko w meblach, bo choć była tam świetna biblioteka, a wszystkie w niej książki oprawne w półskórek ze złoconemi brzegami, przecież ktoby je roztworzył, znalazłby tylko kilkanaście czy kilkadziesiąt idących po sobie lat *Gazety Obwieszczeń*, która tak niezasłużenie do najprzepyszniejszej doszła szaty.

Sama pani lubiła czytać, więc była gorliwą abonentką czytelnicy, z której przysyłano jej, po dwie książki od razu, jedną zawsze okropną o rozbójnikach na dzień, a drugą miłosną na wieczór. Zresztą była prawdziwą zwolenniczką talentu Krystyana; wiadomo, że każdy artysta, jak Goethe, ma swoją Bettynę, chociaż nie wszystkie oczywiście piszą; ona podziwiała go tedy najwięcej ze wszystkich, albo raczej, ona jedna głosiła jego sławę. Ile razy mieli się zejść do niej goście, zawsze zapraszała i jego, rozumie się, że ze skrzypcami i musiał wtedy grać przed niemi, a później jeszcze przez całą noc odprowadzać do domu damy, mieszkające niekiedy na drugim końcu miasta, — bo u nas barbarzyński ten zwyczaj nie zupełnie jeszcze wyszedł z mody. Nieraz, gdy mu się cokolwiek smutno robiło na sercu, pocieszała go, zapewniając: — O! pan jesteś bardzo szczęśliwym! ilu tu u nas biednych, którym daleko bywa gorzej! —

O wielu krytykach powiedziano bardzo trafnie, że przeżuwiają książkę, żeby się przekonąć, czy jakie drobne kamyczki lub piasek nie chrupią między zębami. Otóż takie przeżuwanie koniecznością było dla radcy wojennego, tylko że u niego żołądek był zepsuty, a nie serce, więc książki rozkładał na dwie klasy, z których jedną przeznaczył do żucia w dzień pogodny, kiedy i dusza jego litośnie jakoś była usposobioną, a drugą w porę dżdżystą i chłodną. Radca nasz nigdy nie dopuszczał się obraźliwych *osobistości*; gorszył się wprawdzie i gorszył wielu innych, którzy równie, jak on nie pamiętali, iż na tamtym świecie, gdy nas wszystkich skrytykują, gdy skorygują nasze myłki druku i poprawią niewłaściwe warianty, staniami przed sądem trzymając się wszyscy za ręce i może uśmiechniemy się nawet nad wspólną nam gorliwością w dzieciństwie życia ziemskiego. Krytyka jest opinią pojedynczego człowieka, która częstokroć służy tylko na to, żeby wykazać, czy sądzący stoi wyżej czy niżej od swego podsądnego.

Radca wojenny był dla Krystyana łaskawym i uprzejmym, więc młodzieniec odwdzięczał się mu serdecznym przywiązaniem; za wpływem też radcy spotkał go zaszczyt, jak się wyrażano, że pozwolono mu wystąpić publicznie z koncertem w czasie antraktów w amatorskim towarzystwie dramatycznym, w którym radca był jednym z dyrektorów. Miał to być wielki i stanowczy krok dla szczęścia Krystyana, bo miał nadzieję, że takim sposobem licznych nowych zjedna sobie przyjaciół.

— Mówiłem o panu z moimi współdyrektorami — rzekł radca wojenny — wszyscy się na to zgadzają, nawet reżyser, który prawie tyle ma głosu, co dyrektor.

Brudnymi tylnymi schodami wchodziło się na czwarte piętro do świątyni Talii, w której wszyscy grający wyglądali, jak gdyby stali na tacy. Właśnie teraz była próba, a więc wielkie kłótnie i hałasy. Pierwszy kochanek odgrażał się, że zaraz odejdzie, jeżeli mu nie ma być wolno nadrobić własnym konceptem w miejsce tych wyrazów, których zapomni w swojej roli, bo utrzymywał że jedno równie dobre jak drugie, i że jemu powinno być tak samo wolno dołożyć co mu się podoba, jak radcy wojennemu. Trzydziestoletnia dama, mająca przedstawić babkę, nie chciała się dać ucharakteryzować, bo i tak dosyć staro wygląda, jak mówiła, choć oczywiście przekonaną była inaczej. Wszyscy sprzeczekali się i zamieszanie było niezmierne.

Nareszcie nadszedł wieczór piątkowy: pożyczono Krystyanowi czarne ubranie, a gospodyni jego przypaliła mu włosy żelazkiem. Twarz jego pałała od wewnętrznego niepokojem, serce biło jak nigdy, gdy podniesiono korytnę i cała publiczność, po większej części miejska, a nawet rzemieślnicza, patrzyła na niego jakby na raroga.

Koncert udał się wybornie, a dyrektorowie przyjęli go w kulisach z wielkimi grzecznościami. Pewien cyrulik, który sam grał na skrzypcach i kolektor loteryi, wirtuoz na kotłach, wybiegli do niego i dziękowali mu, podnosząc go pod niebiosa za tony fiałoletowe i za ruchy smyczkowe w aplikaturze.

— Szczęście moje już jest zapewnione! — pomyślał; — dziś wieczór niezawodnie wszyscy o mnie tylko będą myśleć i mówić! — Każdy z grających, począwszy od primadonny aż do żołnierza na warcie, którego cała rola ograniczała się na tym jednym wyrazie: — Niewolno! — niezawodnie marzył o sobie tak samo. O w pół do dwunastej widowisko było skończone, jakoż pod tym jedynie względem powiedzieć można o podobnych zabawach, iż są długotrwałe.

Powróciwszy do domu, Krystyan nie mógł zasnąć; patrzył tylko w gwiazdziste niebo, myślał o swoim szczęściu, o Łucyi i o Piotrze Wiku, o ciepłych dniach letnich i Naomi.

Każdy list, który posyłał do domu, tchnął tylko weselem i odwagą młodzieńczą; każda nadzieja w nim wyrażała się pełną życia i radości. Matka jego już się napawała przekonaniem, że szczęście jego do połowy zrobione, boć miał wstęp do wielkich domów i nawet w teatrze dawał koncert na skrzypcach. W jej ubóstwie, to jego życie wydawało się życiem najświetniejszym; znała jego dobre serce, a że i tak Pan Bóg małe jej dziecię przyjął do swojej chwały, więc jakkolwiek nieco cierpiąca, za ślepą passażerkę przysiadła się do pocztyliona i zimową porą pojechała do Kopenhagi, żeby mieszkać razem z swoim Krystyaniem, o którego szczęściu opowiedziała już wszystkim przyjaciółom i sąsiadom.

Miała to być surpriza dla kochanego chłopczyka, i w samej rzeczy było wielką surpryzą.

Otóż tedy matka z synem, siedzieli razem w małej, trójgraniastej facytce. Śnieg walił w szyby, a gospodyni krzywiła się.

— Tobie się dobrze powodzi! — rzekła Marya. — Ze mną bo bardzo źle, ale z ciebie poczciwa dusza i dziękuję Najwyższemu, że mi dał takiego syna, jak ciebie!

Zdrzemnęła się na jego łóżku, a lzy Krystyana ciekły po zmarzniętych szybach. Nieborak modlił się po cichu: — O! Boże miłosierdzia, zmiłuj się nad nami!

## XVI

Jakoś zimno było i straszno w ciasnej facytce, gdzie spała matka, a syn płakał; dlatego uciekamy z niej, uciekamy od mroźnego powietrza i od głębokich westchnień nieszczęśliwych, wprost do przepysznej, dużej sali, na ciepłe południe, gdzie poszukamy Naomi, — uciekamy do Rzymu, owego miasta pamiątek, owego *kollizeum świata*.

Łagodne powietrze przejmując nas z daleka, przed obrazem Madonny pali się lampa i śliczna dziatwa klęcząc, miękkiem głosem południa śpiewa pieśni wieczorne. Światła lśnią się przez różnokolorowe szyby okien starożytnego kościołka, w którym kapłan odprawia mszę świętą, a kochankowie miłosną odbywają schadzkę. Wieśniak i żebrak tulą się w ciemne płaszcze i szukają legowiska na szerokich schodach. Nabożna processya z jarzącymi gromnicami przechodzi przez wązkie uliczki. Na *piazza venezia* palą się pochodnie, przymocowane do żelaznych prętów na murach, a przy wrotach wartują konni żołnierze papiescy. Wielki dziś bal u księżnej Torlonia. Po większej części zaproszeni goście składają się z zagórskich przyjezdnych. Arkady oświetlone tysiącami lampami; rzekłbyś, że posągi i biusty ruszają się w ruchliwym blasku pochodni; główne schody przystrojone w kwitnące krzewy i różnobarwne kobierce; galerię obrazów zamieniono w rozkoszną przechadzkę. W dwóch największych salach idą tańce na szklistej, świecącej posadzce; boczne komnaty przyrządzono do kart i do rozmowy. W bibliotece, dla zabawy gości rozłożono ryciny, oraz gazety angielskie i francuzkie. Wstępujemy do dużej sali, gdzie naokoło w kosztownych kandelabrach lśnią się tysiączne światła i gdzie pod sufitem wisi szesnaście pająków. W wielkiej framudze wprost przed nami stoi kolosalny Herkules, który w dzikiej swej boleści porwawszy Lychara za nogi i za włosy, chce go roztrzaskać o sterczące skały, — dziwny kontrast z rozkosznymi melodyjami i wesołą w około młodzieżą!

Hrabia rozmawiał z jakimś przystojnym bardzo Włochem, którego twarz zwłaszcza miała rysy nader szlachetne: był to rzeźbiarz Kanowa, duma Italii. Wskazał na Naomi, którą w wirze tanecznym unosił przez salę młody oficer francuzki.

— Rządka to piękność — rzekł — zupełnie rzymskie rysy! a jednak podobno przybyła do nas z północy.

— To moja córka przybrana! — rzekł hrabia, — a tańczący z nią młody oficer jest synem markiza de Rebard, z jednej z najświetniejszych rodzin Paryża. Jest to młodzieniec pełen zdolności i talentu, — znam go od szesnastego roku jego życia.

Naomi wesoła i szczerbiotliwa, w całej świetności młodocianych wdzięków, zdawała się młodszą siostrą Flory Tycyana, albo córką Fornariny Rafaela, bo coś w niej niezawodnie było pokrewnego z temi dwoma portretami. Ręka jej, jakby utoczona z kości słoniowej, spoczywała na ramieniu młodego markiza, który wysoki, szczupły, z oczyma pełnymi rozumu i życia, zdawał się mieć zaledwie lat dwadzieścia i parę. Wprawdzie zbyt w przyjemnościach niekorzystnie wpłynął na cerę jego twarzy, ale zato podwyższył w niej wyraz namiętności. Poprowadził Naomi do krzesła i podał jej chłodniki.

Na północy, gdzie teraz śnieżna zamieć wali w zamarzniete szyby, Krystyan w ubogiej facyatce marzy o Naomi; śni mu się, że ona siedzi przy jego łóżku, że go obejmuje rękami za szyję i całuje w czoło. — W Praterze Władysław marzy w budce drewnianej, gdzie nad łóżem jego wisi szpicróżga; i jemu także śni się o niej i szydlerczo śmieje się przez sen. Jej przeciwnie szczęśliwa rzeczywistość wybiła obudwóch z pamięci.

— Doprawdy że się zdaje, jak gdyby się jeszcze było w Paryżu! — rzekł markiz. — Wszystko przypomina nasze salony; kto zaś w samym Rzymie chce mieć wyobrażenie o dawnych ucztach rzymskich, o wesołych bachanaliach między czterma ścianami, ten powinien wziąć udział w towarzystwach młodych artystów, którzy piją z wieńcami bluszczu na głowie i twarze sobie chłodzą świeżemi różami. Pomiędzy licznymi tu artystami Niemcy są najliczniejsi, dlatego też ta ich wesołość najwięcej ma na sobie piętno niemieckie. Francuzi, Anglicy, Polacy, Duńczycy i inni po jednemu łączą się z niemi: — toć jako artyści należą do jednego wielkiego narodu, bo do narodu ducha. W czasie pierwszego, krótkiego mego tu pobytu, albo raczej w czasie pierwszego mego przejazdu, uczestniczyłem w ich *Cervaso*, które jest rodzajem bachanalii w Kampanii. Po większej części przebierają się w najdziwniejszych kostiumach, na koniach lub osłach, w rannej godzinie wyjeżdżają z *Porta Maggiore*. Był tam między niemi Zoroaster, ciagniony przez parę lwów, a właściwie przez parę starych osłów, wybornie przystrojonych w maski papierowe i wełniane; szczególnie paradnie wyglądali też w tym orszaku Don Kiszot i Sanszo Pansa. Prawdziwa to była processya zapustna, uzbrojona w lance i drewniane miecze, a w powietrzu rozlegały się pieśni w językach wszystkich narodów. Zatrzymaliśmy się przed jaskiniami, a tu stał trójgłowy Cerber; małe djabełki tańczyły na zielonych pagórkach, strzelano na wiwaty z pistoletów, a wszędzie wokoło paliły się ognie biwakowe. Niejeden jeździec zleciał ze swego osła: tu leżał Chińczyk Czang-Czing-Czu, obok jej królewskiej mości królowej Saby. Wyścigów też nigdy nie zapomnę: co drugi dżokej od stóp do głowy był nieboszczykiem magistrem Alwarem.

— Czy przypuszczają i damy? — zapytała Naomi.

— Tak jest, ze wszystkich narodowości! — odpowiedział markiz — bo widziałem tam i cudzoziemki i Włoszki. Za to w austeryach, gdzie się artyści zbierają wieczorami, dam wcale nie widać, — bo też taki tam dym z fajek i z cygar, że Francuzowi aż trudno oddychać! Pomimo to wybornie ubawiłem się we wszystkie wieczory, którem tam przepędził. Toć znać trzeba wszystko! Gdybym był malarzem, tobym wszystkie te pstre grupy przeniósł na płótno, a gdybym był poetą, tobym natychmiast o tem com widział, napisał wesoły jaki wodwil.

— Prawdziwie, wielce mnie pan zaciekawiasz — rzekła Naomi. — Czy nie ma tam jakiej małej luki, przez którą możnaby się przypatrzeć wszystkiemu, a nie być samej widzianą?

— Podjąłbym się zaprowadzić panią, ale tylko pod warunkiem, żebyś się pani przebrała za mężczyznę!

— W naszych krajach północnych kobiety nie przebierają się! — rzekła Naomi.

— Jutro — przerwał markiz, jak gdyby odpowiedzi jej nie dosłyszał — mają wprowadzić jednego z moich przyjaciół; będzie to, że użyję ich wyrazu: *Pontemolle*. Przeprowadzą go przez most na Tybrze. Dawniej między artystami był zwyczaj, że kiedy przybywał do Rzymu ziomek ich znajomy, wyjeżdżali naprzeciw niego aż do *Pontemolle*<sup>43</sup>, gdzie w oberży witali go kieliszkiem. Teraz to przywitanie odbywa się w samym Rzymie, w tej oberży, w której zbierają się co wieczór. Każdy artysta, czy wielki czy mały, jest członkiem bractwa, jeżeli wyda *Pontemolle*, to jest, jeżeli zapłaci za wszystko, co w ten wieczór wypiją wszyscy goście. Jest przytem jeszcze mnóstwo wesołych ceremonii; wstępujący otrzymuje dyplom na członka i na kawalera orderu *bajocco*, najlichszej monety miedzianej, zawieszanej na wstążce, którą się później nosi przy każdym *Pontemolle*. Horacy Vernet, Overbek i Thorwaldsen nie wyłączają się od tego zwyczaju; ile razy uczestniczą w podobnych uroczystościach, przystrajają się w tę samą dekoracją.

Zaczął się nowy taniec, przerwano rozmowę i znowu ognistym wirem przebiegli wzdłuż lśniącej sali.

<sup>43</sup>*Pontemolle* — Pons Milvius. [przypis autorski]

Nazajutrz w południe markiz zajechał lekkim kabryoletem przed hotel na placu hiszpańskim, gdzie mieszkał hrabia, i zaprosił Naomi na spacer do ogrodu blisko *Villa Pamphilia*. Jakkolwiek miejsce to leży tuż pod samymi murami miasta Rzymu, jednak rzekłbyś, że przebywasz gdzieś już daleko na wsi, bo z miasta nic nie widać, a obszerny widok otwiera się na całą Kampanię, gdzie sześciomilowy na murowanych arkadach wodociąg, na kilka sążni nad poziom wzniesiony, przeprowadza wodę z gór, które w pięknych kształtach falistych otaczają dokoła horyzont.

Chociaż w styczniu, słońce jednak świeciło i grzało; dzień podobny był do najpiękniejszego wrześnieowego w naszych krajach północy. Dumne pinie wznosiły swe wierzchołki wiecznie zielone pod czysty, płowy lazur nieba. Laski laurowe nadawały całości pozór zupełnie letni. Między zielonym liściem wisiały żółte pomarańcze, kwitły róże i anemony, a wokoło alei woda tryskała z wazonów i maluczkich posążków. Naomi znowu mówiła o niepowściągniętej chęci towarzyszenia tegoż wieczora markizowi do austeryi, a właśnie na nadchodzący karnawał kazała sobie zrobić ubranie męzkie i bluzę; zresztą, choć tego oczywiście nie mówiła, miała jeszcze i dżokejski swój ubiór Wiedeński, którego jednak nigdyby już włożyć nie śmiała, gdyż i hrabiemu i jej samej przypomniałby czasy, o których chciałyby zapomnieć. Szło więc już tylko o to, żeby namówić ojca, a to zdaniem markiza niezbyt trudną powinny być rzeczą.

Przejechali przez ogród i znów stanęli przed furtką, wychodzącą na gościniec. Na skruszonym przez czas kapitelu siedział kapucyn, w białym słomianym kapeluszu.

Markiz uklonił mu się, jakby dawnemu znajomemu i opowiedział jej, że go mnich ten niekiedy odwiedza. — Widuję go — rzekł — kiedy chodzi po kweście, a jeśli kontent z mego datku, wówczas częstuje mnie tabaką. Zresztą trzeba pani wiedzieć, że to jej ziomek, bo rodowity Duńczyk.

— Mój ziomek? — zapytała Naomi zdziwiona i przypatrzyła się zakonnikowi, który wstał i wzięwszy torbę kwestarską na plecy, wybierał się w dalszą drogę.

Naomi przemówiła do niego po duńsku; on zaczerwienił się.

— Wyście z Danii, ojczy? — zapytała.

— O mój Boże! pani mówisz po duńsku! zawołał, a oczy jego załśniły się. — Nigdy tu nie słyszę tego języka. Z ziomekami moimi, dla stosunków w których żyję, przestawać nie mogę, więc nie widuję z nich nikogo. O mój Boże! pani jesteś z kochanej Danii!

— Czyto wasza ojczyzna? — spytała Naomi.

— Ojczyzna, tak jest, moja ojczyzna! — odpowiedział zakonnik. — Przeżyłem tam wiele dni szczęśliwych, ale później też немало doświadczył nieszczęścia i dlatego aż tu się dostałem i w mnisim habicie poszukałem wytchnienia.

— Ile razy kwestować będziecie dla klasztoru, odwiedźcie i mnie w hotelu na placu hiszpańskim! — i wymieniła mu nazwisko swego przybranego ojca.

— Pani jesteś jego córką! — zawołał — alboż mnie pani nie poznajesz? Mieszkałem w Swendborgu, miałem żonę i syna! Ach! Okropne nieszczęścia zwały się na biedną moją głowę! Tu byłbym umarł z głodu, gdyby mnie klasztor nie przyjął na braciszka.

Był to ojciec Krystyana: Naomi poznała go.

Przed zachodem słońca, gdy dzwony wokoło wzywały do Pozdrowienia Anielskiego, Naomi już czekała w zgrabnym męzkim ubraniu, z małym wąsikiem nad kształtnymi usteczkami; zapusty zbliżały się, a zresztą podobne przebranie w Rzymie nie jest osobliwością: hrabia pomimo to potrząsał głową. Wtém lokaj zameldował młodego markiza, jakoż w niespełna pół godziny wszyscy troje byli na drodze do austeryi, gdzie się zbierali artyści.

Austerya ta stała tuż pod jednym z mniejszych kościołków Rzymu. We dnie światło wchodziło do niej tylko przez otwarte drzwi podwójne; posadzka była wybrukowana zwyczajnymi kamieniami, a całą długość najszerzej ściany zajmował komin, gdzie pod różnymi potrawami buzował się jeden ogień przy drugim, przy ustawicznych śmiechach i gawędzie podsycany przez gospodarza, jego żonę i dwóch synów. Na pochyłych ławach leżały w malowniczym nieładzie ryby i rozmaite mięsiwa, przybrane w liść świeżo zerwany; można sobie było wybrać, co kto życzył, a zaraz zajmowano się właściwym przyrządzeniem. Przy długich, z prostego drzewa stołach siedzieli chłopci z żonami i córkami, a przed nimi stało wino w dużych, oplatanych faszach. Naokoło obrazu Madonny, wymalowanego dość jaskrawo na ścianie, palił się wieniec lamp czerwonych. Oprócz ludzi był tu

jeszcze w gościnnej izbie osiół z pakunkami, oczekujący zapewne na swojego pana; chłopci improwizowali, a kobiety wtórzyły im chórem. Blizko komina, gdzie stała pani austeryi, wisiał koszyk z małym dzieciąciem, bawiącym się drobnymi rączkami i spoglądającym wesoło na całe to zebranie.

Hrabia, Markiz i Naomi przez pokój weszli na wysokie schody kamienne, prowadzące do innej, większej jeszcze izby, która niegdyś była refektarzem klasztornym; ale klasztor już był zburzony i pozostał się tylko jeden kościół. Tu podłoga już była z drzewa, rzecz w krajach południowych dosyć niezwykajna. Sklepiony sufit tworzył kilka łuków, na ścianach wisiały zwiedle wieńce, a w środku uformowane były z liści dębowych dwie litery *O* i *T*, początkowe głoski nazwisk Overbecka i Thorwaldsena, którzy obadwaj w swoim czasie wyprawiali *Pontemolle* i których cyfry przy każdej nowej uczcie odnawiano ku wiecznej pamiętce.

Tak samo jak w pierwszej izbie, i tu stały długie stoły, nakryte szaremi obrusami; lampy mosiężne, każda o sześciu płomieniach, paliły się w bliskich między sobą przestankach, a pod sklepieniem zaległy gęste chmury dymu fajczanego. Wzdłuż stołów siedzieli na ławach artyści, starzy i młodzi, po większej atoli części Niemcy, którzy właśnie zaprowadzili owo życie cokolwiek zbyt pijackie. Wszyscy mieli wąsy, hiszpanki, a nawet bródki, niektórzy loki; jedni zdjęli surduty, inni siedzieli w bluzach. Tu był sławny, stary Reinhard w skórzanej kurtce, z czerwoną, wełnianą czapką na głowie, który psa swego przywiązał do poręczy od krzesła; tu siedział Overbeck z gołą szyją i długimi włosami, spadającymi na wyłożony kołnierz od koszuli, zupełnie *à la* Rafael, bo spokrewniony będąc geniuszem sztuki z Peruginem i Rafaelem, przez słabość naśladował ich nawet w ubraniu. Wnet ujrano przybranych świątecznie dygnitarzy *Pontemolle*, najprzód tak zwanego generała, którego mundur zasiany był orderami i gwiazdami z papieru, — następnie, przy prawym jego boku, kata z obnażonymi rękami, ze skórą tygrysią zwieszoną przez ramiona, trzymającego w ręku topór i różgi, — po prawej stronie zaś minezyngiera, w birecie i z gitarą, na której schwywszy kilka silnych akkordów, czekał wtóru tonów na dworze. Rozpoczął się pewien rodzaj duetu: niby to artysta stał za drzwiami, który chciał przejść przez Tyber. Nareszcie śpiewak harmonijnym głosem udzielił pozwolenie, poczem wszedł obcy z tómczkiem na plecach, z twarzą białą pomalowaną, z długą brodą i włosami z lnu, a paznokciami z tektury. Zaprowadzono go do stołu, wszystko przy odgłosie właściwych pieśni, podano mu kielich wina i odczytano prawa, z których najważniejsze były następujące: — Będziesz kochał twojego generała! — Potem wlaź na ławę i na stół, obcięto mu fałszywe włosy i paznokcie, zdjęto ubiór podróżny i w zwyczajnem ubraniu po drugiej stronie stołu zlaź na podłogę: to było *Pontemolle*. Podczas tej ceremonii wiały ze wszystkich ścian chorągwie, orły i różne godła artystów. Jeden grał na trąbce, drugi bił w talerze cynowe, psy szczekały, Tyrolczycy śpiewali, i zaczynała się bachanalia. Wszyscy obwiązali sobie głowy serwetami i przy pieniach poważnych rozpoczęła się processya zakonników, najprzód naokoło stołów, później przez stoły, jeden przez drugiego, sławni na całą kulę ziemską artyści razem z początkującymi niemal dyletantami. Każdy popisywał się ze swoim talentem, zaintonowano pieśń śmiechu, pieśń bednarską, do której wszyscy jakby młotkiem w takt rękami walili po stołach. Podczas tych zabaw wpadło czterech prawdziwych żandarmów z bagnetami na karabinach i przyaresztowali jednego ze starszych znakomitszych artystów: zamieszanie było powszechne, krzyki i opozycya dały się słyszeć ze wszystkich stron, aż nareszcie jeden z żandarmów wybuchł głośnym śmiechem i wszystko wyjaśniło się, jako żart umówiony z góry przez samego artystę, który tym sposobem przyczyniał się do ogólnej wesołości. Potem postawiono na stole cztery dymiące wazy ponczu, dar jednego z obecnych, który nie chciał się dać poznać, tak iż jednogłównie wszyscy wypili za zdrowie „niewiadomego dawcy!”

Przypadkiem wszedł teraz biedny Włoch, który prosił i otrzymał pozwolenie do pokazania swojej sztuki; umiał bowiem wybornie naśladować głosy zwierząt, co mu psy tamże obecne brały bardzo za złe, oraz oczyma i ustami udawać pioruny i grzmoty, co znów powszechnie podobało się. Szczególną atoli miał predylekcyę dla śpiewu, a gdyby głos jego w młodości należycie był kształcony, może istotnie byłby się nawet mógł wslawić; ale teraz byłato nędza, że aż przykro było słuchać! Śpiewał jakieś duety, zarazem partye kochanka i kochanki, przy czem przewracał oczyma i dziwne jakieś robił pozytury, które

jednak przerwała mu publiczność, domagając się głosów zwierzęcych, albo burzy. W tem wszystkim było coś ckiego, a gdy zbierano dla niego na talerzu, Naomi mimowolnie przypomniała sobie Krystyana, prawie już dawno zapomnianego, a którego teraz widok tego biedaka odnowił w jej pamięci.

— Czyśmy się czasem nie widzieli w Wiedniu? — spytał pewien młody mężczyzna z dużemi wąsami i bródką hiszpańską, kłaniając się z lekka Naomi. — Zdaje mi się, żeśmy omnibusem jechali razem do Hitzing!

Naomi zaczerwieniła się; oczy jej zdawały się chcieć wskroś przenieknąć obcego, którego mina wścibska była jej dobrze znaną. W samej rzeczy człowiek ten był w omnibusie owego wieczoru, kiedy puściła się w pogoń za Władysławem; onto wtenczas powiedział jej, że po jej wymowie poznaje, iż jest cudzoziemką, że ją widział w Praterze, że w Hitzing zastanie *swego pana*. Wszystko stanęło tak żywo w jej pamięci, jak gdyby się wydarzyło dziś lub wczoraj.

— Alboż i hecarch Władysław jest tu w Rzymie? — podchwycił Niemiec bezczelnie. Hrabia przystąpił widocznie niespokojny.

— Co pan mówi? — spytał markiz.

— Zresztą nie tacy tutaj zbierają się artyści — ciągnął dalej tamten i coś poszepnął na ucho sąsiadowi.

Naomi uczuła bojaźń, jak nigdy. Może ją ztąd wyproszą; może powiedzą głośno, że jest kobietą, która niedawno jeszcze występowała publicznie w niezbyt szaczonej kompanii! Niemiec pił kielich po kielichu; twarz jego nabiegła gorącym winem i ponczem, a ciągle wścibski wzrok jego spoczywał na Naomi. Zaczęto znowu processjonalne śpiewy naokoło stołu; gdy się do niej zbliżył, szepnął z cicha: — Pani jesteś kobietą!

— Czy mam to uważać za obrazę? — spytała.

— Jak się pani podoba! — odpowiedział i poszedł dalej.

Markiz nic nie słyszał, nawet zresztą nie rozumiał po niemiecku i cały był oddany chwilowym wrażeniom wesołości; sam hrabia zdawało się, że zapomniał poprzedzającej chwili, w której wymówiono imię Władysława. Wszyscy znów usiedli przy stole, gdy wzrok jego padł na niemieckiego artystę, który pochyliwszy się do ucha Naomi, ze złośliwym uśmiechem szepnął jej kilka wyrazów: ona zbladła, ręka jej pochwyciła gwałtownie za nóż i podniosła się.

W tem okrzyki: — Holla! ho! — rozległy się po izbie, a jeden ze starszych artystów wpadł do sali na ośle, przebrany za Befanę; osioł zaś, przestraszony na widok tak licznej i hałaśliwej zebrania, tak gwałtownie uderzył o stół, przy którym siedziała Naomi, iż kieliszki, butelki i lampy wywróciły się, a nikt, nawet ów Niemiec, nie dostrzegł nagłego gniewu, przejmującego Naomi, a odwróconego jedynie przez szczęśliwy wypadek i hrabiego. Wesołość stawała się coraz huczniejszą, a markiz nie prędzej spostrzegł się, że jego kompania opuściła festyn, aż kiedy jeden z jego znajomych potrącił go w sekrecie i szepnął mu o tem na ucho.

Na dworze księżyc świecił pogodnie, tak pogodnie, że pochmurne *dnie* na północy nie są od tej pory widniejsze, która tutaj nazywa się *nocą*.

— Obawiałem się tego! — oto wszystko, co powiedział hrabia. Naomi przytuliła się do niego, odetchnęła głęboko i wybuchła płaczem.

— O! zostańcie! teraz dopiero będzie najlepsze! — wołał markiz, goniąc za niemi.

— Naszemu młodemu bohaterowi było za duszno! — rzekł hrabia — o mało co nie zasłabł.

— O! już teraz po wszystkim! — wołała śmiejąc się Naomi — ale jednak już wróć! Prawdziwie przyjemnie przepędziłam ten wieczór, i dziękuję panu szczerze!

— Nawet i w takiej wesołości jest geniusz — rzekł markiz i wymienił, co go najwięcej ubawiło. Przy bramie hotelu powiedzieli sobie dobranoc.

— Zdaje mi się — szepnęła mu Naomi — że to najlepszy mój wieczór był w Rzymie.

W godzinę po północy hrabia już się położył i spał głęboko i mocno po zdarzeniach dnia tego. W pokoju Naomi zgasła już nocna lampka i cisza zdawała się zupełna, — ale Naomi jeszcze czuwała. Prawie całkiem rozebrana, zarzuciła na siebie płaszczyk; otworzyła drzwi, prowadzące z pokoju do altanki; oparła głowę o framugę i tak stanęła zatopiona w głębokiem dumaniu. Spotkanie jej z hrabią w Wiedniu nie tyle ją przestraszyło, ile teraz wzgardliwa mina obcego i przypomnienie jej czasu, któryby na zawsze pragnęła zagrzebać

w niepamięci; w Wiedniu wyrzekła się wszystkiego i to natchnęło ją pewną spokojnością, tu w nowe znów weszła stosunki i w świetne otoczenia.

Któżby potrafił podać dokładny opis takiej nocy księżycowej na południu, której światło nie jest wprawdzie podobnem do dnia, ale też niepodobnem do ciemnej nocy krajów skandynawskich? Chyba przyrównać dzień do jasnego blasku lampy, a noc północną do odbłasku świecy, której wcale nawet nie widać; wówczas bowiem między jednym a drugim znaleźlibyśmy wyraz na jasność nocy południowej w owem dziwnem i łagodnem świetle, jakie rozpościera w pokoju tajemnicza lampa astralna. Ale i tu oko jedynie otrzymuje ów wyraz, a dusza nie doznaje wrażenia, bo nie oddychamy zarazem powietrzem południowem. Najpiękniejsze letnie wieczory w krajach północy, nad morzem albo na górach, tchną miłem i orzeźwiającem powietrzem; ale gdybyś w tej samej chwili mógł przenieść się do stron południowych, dopieroś pojął różnicę tak wielką, jaką jest różnica między rozkoszą zmysłową a czysto duchową. Jasne i mroźne niebo północy wznosi się nad nami, jak dach sklepiony w wysokości, — lecz na południu dalekie jego granice wydają się szkłem przezroczystem, za którym obszerna jeszcze rozciąga się przestrzeń.

Takiem powietrzem oddychała Naomi, a jednak oddychała ciężko i głęboko; takie światło padało na gród pamiątek, na Rzym Cezarów i mnichów, lecz cała jego piękność zdawała się dla niej niemą i bezbarwną. Na samym placu jest fontanna; ogromny basen wyciosany z kamienia, w kształcie czółna do połowy zatopionego pod wodą, a tam gdzie w górę maszt się unosi, wytryska gruby promień kryształowy; nawet w zgiełku dnia słychać silne pluskanie, a teraz, wśród ciszy nocnej, odgłos ten mocniej jeszcze odbijał się; promienie księżyca oświecały wodę. Pod obrazem Madonny, na rogu pałacu propagandy, cała rodzina biedaków spała na zimnych kamieniach. Naomi otworzyła jeszcze okno po drugiej stronie pokoju; przed nią rozciągały się hiszpańskie schody, których szerokość jest znaczna, a wysokość prawie taka, co całego hotelu; i tu również spostrzegła śpiących ludzi otulonych w swe ciemne płaszcze, a gęsta aleja wprost schodów podwójnie ciemną wydała się przy przezroczystem powietrzu. Białe mury klasztoru zakonnice sterczały jak nocne widziadła, a Naomi patrzyła na nie bez myśli. W tem w kościele klasztornym odezwały się dzwony, bo wysoko na wieży w godzinie nocnej dzwonią siostry służebne, podczas gdy inne zakonnice modlą się u stóp ołtarza. Odgłos dzwonów zbudził myśli Naomi dla pokrewnych cierpiących, bo była pewna, że cierpią; zdawało jej się, jak gdyby przy ciemnych okienkach wieży widziała białe postacie i pomyślała o uwieczonych dziewicach, którym z tej wieży w nocnych tylko godzinach wolno wyrzeć na martwe w śnie miasto, gdzie dachy były jakby falistym morzem, a sterczące w niem liczne kopuły płynącemi statkami. Obraz Anioła na zamku *del Angelo* nie był dla nich cherubinem pociechy, co je spotykał na tem morzu skamieniałem; był on martwy jak żona Lotha i przemawiał do nich w te słowa: dla was wszyscy wam drodzy już nie żyją! — Nie ja jedna tylko cierpię — rzekła na wół głośno Naomi — a między niemi byłabym jeszcze nieszczęśliwsza, niż jestem! Szczęście nasze polega na własnej naszej woli i na zapatrywaniu się na życie! wiem, co zrobić! — Jeszcze przez chwilę powstała zamyślona, patrząc na klasztor i na ciemną aleję, która zdawała się wejściem do mieszkania śmierci, chociaż we dnie wesołem bywa miejscem przechadzki dla licznych zawsze w Rzymie cudzoziemców.

Tuż przy alei, gdzie jest murowana poręcz szerokich owych schodów, stał młody mężczyzna, z głową opartą na rękę i zdawał się przypatrywać odwiecznemu miastu; niezawodnie to artysta, który zatapiał się w widoku przepysznego obrazu, co choć nie da się oddać w pełnych kolorach, zawsze jednak pozostanie w pamięci, gdziekolwiek późniejsze lata go poniosą. Niejeden zapewne pozazdrości mu tego widoku! A jednak on nic nie widział; zbyt częste tego wieczora libacje w austeryi przemieniły się w przedrzeźniających diabłków, z których jedne zawisły jak olów u stóp jego, kiedy wracał do domu, a najcięższy usiadł mu na głowie; więc się schylił i bał się zejść ze stromych schodów, które, gdy im się dobrze przypatrzył, wyglądały zupełnie tak samo, jak kaskada w Tivoli. Oparł się tedy o poręcz i zdrzemnął się, co niejeden już zresztą zrobił artysta na którymkolwiek z siedmiu świętych pagórków.

Naomi spostrzegła go: dziwną jakąś miał czapkę na głowie, którą poznała od razu, bo taką samą miał ów Niemiec w czasie processyi naokoło stołu. Widziała go tylko dwa razy w życiu: w Hitzing i teraz znów w austeryi, a jednak po Władysławie, jego ze wszystkich ludzi na świecie nienawidziła najwięcej.



— Jednak i tamte czasy były dobre — rzekła do siebie — w których strzały jedyną były bronią! Kula głośnym hukiem objawia swe działanie, ale strzała po cichu świszczy przez powietrze i przebija piersi wroga! Niktby tu nie usłyszał jej lotu, niktby go nie domyślił się! Cieszyłabym się z śmierci tego człowieka! A cóżby dopiero życzyć Władysławowi —?

„Nasze myśli są kwiatami, a czyny owocami kwiatów” — powiedziała Bettyna<sup>44</sup>. Jesteśmy tego samego zdania i dodajemy tylko, że nie ze wszystkich kwiatów powstają owoce, lecz owszem po większej części kwiaty opadają przed czasem. Otóż co się tyczy obfitego kwiecia, które ten wieczór i noc następna rozwinęły w duszy Naomi, później przypatrzmy się jego owocom — kiedy już słońce dłużej nad niem poświeci, kiedy już dadzą się jemu we znaki owa *aria cattiva*<sup>45</sup> życia i syrokko namiętności, a na to wszystko potrzebne co najmniej dnie, częstokroć nawet miesiące lub lata.

## XVII

Ów wieczór pierwszym był i ostatnim, który Naomi spędziła z artystami w austeryi, a objawiła o nim zdanie, że to burszerya niemiecka w nowej edycji; daleko lepiej natomiast wydała jej się sztuka rzymska w przekładzie niemieckim, tak bowiem nazwała kilka przedstawień w pałacu ambasadora austriackiego, na które została zaproszoną i które, jako wpływowe na dalsze losy bohaterki, przez chwile, nas teraz zatrzymają.

Naomi zwiedziła już wszystkie sławne obrazy po kościołach, klasztorach i galeryach; wiele godzin spędziła w kościele *Maria della Pace* nad Sybillami Rafaela, które jej wydawały się szczytem wszelkiej doskonałości, chociaż później znów zapominała o nich, patrząc na Sybille Michała Anioła, na ścianach kaplicy Sykstyńskiej.

Już od dzieciństwa malarstwo przemawiało silnie do jej duszy, gdy tymczasem rzeźbiarstwo pozostało obcym dla niej, jak zwykle dla mieszkańców Północy, zwłaszcza, iż w Danii w owym czasie nie było jeszcze sposobności do ukształcenia gustu w tym najważniejszym rodzaju sztuki pięknej.

W Wiedniu, w Luce i w Bononii liczne wprawdzie i przepyszne widywała arcydzieła z marmuru, lecz nie pojmowała ich jeszcze, ani nie umiała oceniać całej w nich piękności; dopiero we Florencyi zasłona spadła jej z oczów, gdy stanęła w wielkiej sali, zapelnionej grupą Nioby. W samym środku Apollo z Dyaną wyrzucają śmiertelne strzały; naokoło, wzdłuż ścian, padają i leżą umierające już dzieci Nioby, grotami ich trafione. Po prawej ręce na brzegu, rozpaczająca matka powiewająca szatą zasłania ostatnią jeszcze córkę. Po rękę dziecka widać, że strzała leci, a postawa jej wskazuje, że trafi niezawodnie. Takim sposobem jest się samemu w pośród grupy, jest się przejętym zdziwieniem i postrachem. Otóż i ten widok nadał Naomi władzę wzroku bardziej duchowego; całymi godzinami bawiła tu, a przejmująca ta wielkość nierównie więcej przemawiała do niej od Wenery Medycejskiej i jej czystej, idealnej piękności. Kiedy później oglądała skarby sztuki w Watykanie, już stała na tym stopniu ukształcenia artystycznego, że arcydzieła rzeźby przenosiła nad utwory malarza; taki już bowiem był jej charakter, że silnej charakterystyce Domenichina musiała przyznać pierwszeństwo przed łagodnym uduchowieniem Rafaela, — tak naprzykład tamtego Ś. Hieronim przemawiał do niej nierównie mocniej, od uroczej powabem Psychy ostatniego.

W domu ambasadora austriackiego przedstawiono mieszaninę *obrazów żyjących* i tego, z czem *Fétis* po raz pierwszy obeznał Paryżan, a co nazwał *koncertem historycznym*, czyli inaczej mówiąc: odgrywano utwory muzyczne z przed kilku wieków, w kostiumach tego czasu, w którym były komponowane<sup>46</sup>. Z malowideł najwięcej wrażenia sprawił znany obraz pałacu Rospigliosi: *Dawid Domenichina*, wracający zwycięzko z głową Goliata,

<sup>44</sup>Bettyna — Bettyna Arnim, z domu Brentano, kochanka młodych lat Goethego, jedna z najpoetyczniej usposobionych autorek w nowszej literaturze niemieckiej. [przypis tłumacza]

<sup>45</sup>*aria cattiva* — szkodliwy zaduch. [przypis autorski]

<sup>46</sup>...*odgrywano utwory muzyczne z przed kilku wieków*... — każda Część zaczyna się od wykładu o muzyce wieku, w który Część ta przenosi nas, czyli to pod względem kompozycji kościelnej, czy koncertowej, lub wokalnej; chcąc zaś dać dokładniejsze o takich koncertach wyobrażenie, przytoczymy kilka numerów z koncertu historycznego, danego w roku 1833: a) Villanella à quatre voix, chantée dans les sénérales napolitaines (1520). b) Chansons françaises, à quatre et cinq voix, par Clément Sannequin (1530). c) Ave Maria, à six voix, par Nicolas Gombert, maitre de chapelle de l'empereur Charles V (1520), i t. d. i t. d. [przypis autorski]

którą niesie paż jego, a dziewice całego kraju przy odgłosie cymbałów i liry wychodzą na jego spotkanie.

Kiedy znów podniesiono kurtynę, ukazała się Naomi sama jedna w bieli, z długim, przezroczystym welonem, zarzuconym na ramiona w pełnej wdzięku draperyi. To jej ukazanie się dopiero było dowodem, jak doskonale pojęła posąg Pytyi, jak znakomitą była jej piękność i jak wielkim talent w oddawaniu arcydzieł rzeźbiarstwa.

Potem wzięła do ręki tamburyn; welon spadał na jej kibić, podniosła nóżkę, a każdy poznał i podziwiał Terpsychorę, tę samą co stoi w Watykanie, w szeregu dziewięciu dziewic Appollina.

Później zasłonę rozwiesiła przed sobą, jakby chroniąc kogoś od strasznego nieszczęścia, a na twarzy jej malowało się całe przerażenie śmierci. Była to Niobe, tylko cokolwiek młodsza, aniżeli mógł ją utworzyć artysta.

Uklękała; welon osłaniał ją z tyłu i przykrywał jej nóżki, z przodu zaś spoczęła na białutkich rączkach; każdy rys jej twarzy był ostry i nie poruszony: byłato Sfinx egipska, lecz nie taka, jaką przedstawia marmur, ale Sfinx żywa i prawdziwa, a podwójnie przerażająca tylko swym wzrokiem marmurowym.

Każde przedstawienie wzniciło grzmot oklasków, zachwycenie: sam hrabia zdziwiony był tym talentem Naomi, który w takiej ciszy potrafiła rozwinąć. Markiz kochał i wiedział o tem; oczy jego iskrzyły się, lecz podziw nie objawiał się w słowach.

Potem znów wstała, uniosła ręce w górę i ramiona i głowę wygięła naprzód: to była Karyatyda; ogromny ciężar spoczywał widocznie na prześlicznych jej barkach.

Potem znów była Galateą, nim ją pocałunek Pygmaliona natchnął życiem. Przejście było niesłychanie ludzające; oczy pozbawione wzroku ożyły, pierwsze poruszenie zjawilo się; uśmiech na ustach był istnie czarodziejski.

Spuszczono kurtynę.

Ach! cóżto był za wieczór pełen szczęścia i radości, który owiewał Naomi łagodnem powietrzem południa — — — a nad Danią tymczasem dął zimny wiatr północny, śnieg walił w okno pokoiku, gdzie leżała matka Krystyana, gdzie przemieszkiwała troska, ta troska, którą znają wszyscy! — A znasz ty troskę ubóstwa, które wychudłą ręką chciałoby przykryć swą nagość, którego zgłodniałe usta uśmiechają się, bo żebrać nie umieją?

— Mam przyjacio! — pomyślał Krystyan — a przyjaciele nie odmówią pomocy! — Tak jest! na wiosnę, kiedy w ziemi dużo jeszcze wilgoci, nie brak też wody strumykowi, ale w lecie, gdy ziemia wyschnie, nic nie znajdziesz w nim, jedno twarde, wypalone kamienie.

W domu lokaja, w sieni na schodach, siedział młodzieniec z ubóstwem w ubiorze i na licu; przy nim leżało zawiniątko z jedzeniem, a układał talerze, by je zabrać lepiej i bezpieczniej. Ładny wyżełek z wyłącana obrączką zeskakiwał ze schodów, zatrzymał się i powąchał zawiniątko. Młodzieniec odwrócił się do niego i rzekł głosem gorzkiego wyrzutu: — To nie dla ciebie jedzenie, bogaty piesku! Tyś lepszego zwyczajny! To jest jadło dla żebraków! — i wziął zawiniątko, ukrył pod surdudem i wszedł wysoko na piąte piętro do chorej swojej matki.

— Umieram, mój Krystyanie! — rzekła. Ale śmierć ma swoje kaprysy, jak szczęście, — nie przyjdzie, gdy jej się najradziej spodziewają. A jednak świat ten jest piękny! a jednak życie nasze błogosławionym jest darem Wszechmocnego! a jednak takim tylko ludziom wydaje się doliną boleści, domem nędzy, którzy bawią wyłącznie przy ciemnych jego plamach, przy zdeptanym robaku, przy uszczkniętym kwiatku. Co tam! cóż znaczy jeden robak zdeptany, jeden kwiat uszczknięty! Patrzmy na całą przyrodę i ujrzymy, jak słońce oświeca miliony ludzi szczęśliwych, a pocujemy woń rozkosznych kwiatów i świegotliwe usłyszym ptaszki, najwięcej tem uradowane, że żyją.

Nie przyglądajmy się tej nędzy i biedzie, lecz raczej uciekajmy od niej, daleko ztąd w czasie i w przestrzeni! Zróbmy śmiały skok w historii Krystyana i Naomi, nie dlatego, żebyśmy ominąć w niej chcieli pojedyncze punkta, ale jedynie dla przypatrzenia się im z lepszego stanowiska.

Czy słyszysz warczące koło czasu? Czy widzisz lata przebiegające nad tobą? Biegają lata, dwanaście długich lat przebiegło już nad naszymi głowami! Tyle już czasu minęło, odkąd Krystyan w swojej izdebce siedział przy starej, chorej matce. Dwanaście lat minęło w rozkoszach i weselu, odkąd Naomi zachwycała widzów postaciami Galatei, Karyatydy, Sfinxy. Jesteśmy w Paryżu. Trójkolorowa chorągiew powiewa na słupie Vendôme;

w wystawach sklepowych wiszą już karykatury wybrańca ludu, mądrego Ludwika Filipa: jesteśmy na początku roku 1833.

## XVIII

Jesteśmy w Paryżu! Chodźcie! Zostawmy nasz pokój i zejdźmy łśniącemi schodkami hotelu; lekkie *garsony* śpieszą z usługą; na dziedzińcu spotykamy zgrabne gryzетки, bo wysoko na górze mieszka kilku studentów, a przyjaciółki ich te same wraz z niemi zajmują mieszkania; teraz te milutkie dziewczeczki idą do magazynów i sklepów, by dzień cały przepędzić na szyciu wykwiłntnych strojów lub na wyrabianiu delikatnych kwiatków, — lecz wszystkie wrócą na wieczór. Odźwierny uklonił się i otóż jesteśmy na zgiełkliwey ulicy, gdzie domy aż do kominów pomalowane są nazwiskami, znakami i łokciowemi literami w najsprzeczniejszych kolorach, jakby ubranie arlekina; pojazdy turkocą blisko domów; stare baby nocą piosnki Bérangera; jakiś nieznajomy wtyka ci do ręki bilet, który albo trzeba rzucić, albo zaraz schować do kieszeni. Wokoło wiszą śliczne ryciny, lecz jeżeliś skromniszem, to lepiej nie patrz na nie, — jeżeliś wielkim rojalistą, to się przerazisz widokiem tych wizerunków dwóch ostatnich panujących z dynastyi Bourbońskiey. Wchodzimy do passażu, który nie jest niczem innym, jedno ulicą z dachem szklannym, gdzie sklepy są dwupiętrowe, i gdzie mniejsze passáže, jakby boczne zaułki, łączą się z główną ulicą. W największe deszcz i flagi możesz się tu przechadzać bezpiecznie, a wieczorem łśnią tysiące lamp gazowych przed kosztownemi sklepami, gdzie dostaniesz wszystkiego, czego dusza twa zapagnie. Jeśli wędrówka cię znuży, to już i omnibus pędzi od rogu, a schodkami w tyle pojazdu wchodzisz do tej ruchomey izby, gdzie w długich szeregach siedzą goście, którzy ciągle to wchodzą, to wychodzą, bo każdy róg ulicy nową jest dla nich stacją. W szybkim biegu zbliżasz się do cmentarza *Père Lachaise*, a jeżeliś romantykiem, klękasz na grobie Abelarda i Heloizy; jeżeliś fabrykantem, jedziesz do Gobelinów; jeżeliś pobożnego serca, dążysz na wyspę, do starego kościoła *Notre Dame*, tylko że pusty teraz i tylko kilkunastu księży odbywa w nim uroczystą processyę, a nędzny żebrak przy drzwiach wyobraża całą gminę. Paryż w tej chwili nie ma religii; zapomniał swojej Madonny, zapomniał prawie ojca i syna i pozostał mu tylko duch jedynowładny. Żadnego mnicha nie ujrzysz na ulicy, żadnej processyi; nawet ze sceny poeci gloszą protestantyzm; w tem mieście katolickiem widzisz w *Robercie Meyerbeera*, ruiny klasztoru zakonnic; księżyc zasyla swe światło w ciemne jego sklepienia, gdzie zapadłe stoją grobowce; raptem o północy zapalają się światła w starych mosiężnych pająkach, sarkofagi otwierają się i wychodzą z nich umarłe zakonnice. Niezliczone ich mnóstwo unosi się z nad cmentarza i wychodzi bliżej na scenę; rzekłbyś, że stopy ich nie dotykają ziemi: ale w tem opadają z nich szaty grobowe, a wszystkie stoją przed tobą wpólnagie i rozpoczynają bachanalię, tak samo jak niegdys za życia, gdy się kryły jeszcze w murach klasztornych. Dwie z nich grają w kostki na trumnach; jedna siedzi na sarkofagu i czesze długie włosy; inne znów piją i trącają kielichami, — jeszcze inne spuszczają powrozy, żeby wciągnąć kochanków do bluźnierczej schadzki. — Oto, co ujrzysz w mieście katolickiem i co jest jedną z wyraźnych oznak czasu! Przypatrz się temu zgiełkowi ulicznemu! Kobiety roznoszą wodę lukrecyową<sup>47</sup>, chłopcy częstują cię laskami, ale wszyscy, mali czy wielcy, noszą wstążki trójkolorowe. Nawet Henryk Czwarty na moście dźwiga chorągiew obywatelską, która wieje ze wszystkich wież i fasad.

*La liberté!* oto powszechne hasło Paryżan.

Jesteśmy wśród Paryża, w samym *Palais royal*, którego arkady otaczają nas; tu siedzi kilku Duńczyków, którzy przedstawiający się im widok porównywają z dekoracją w wodwile kopenhagskim. Już to co rzeczywistość, to nie naśladowanie! Te oto kwiaciarzki sprzedają róże; damy z powiewającemi na kapeluszach piórami wydzielają wyzywające spojrzenia, a za niemi idą ich, tak nazwane, stare mamy lub ciotki. Między Duńczykami jest jeden, od kilku dopiero dni przybyły, ale nam dobrze znany; każdy mu opowiada, co przedewszystkiem zobaczyć powinien.

— Taglioni! — mówi jeden — koniecznie trzeba, żebyś pan ją widział w Natalii i w Sylfidzie! To mi dopiero taniec! Unosi się jak ptaszek i spada jak bujająca bańka mydlana!

<sup>47</sup>woda lukrecyowa — napój ulubiony w Paryżu, znany pod nazwą: *Coco*. [przypis tłumacza]

— Trzeba żebyś pan pojechał do Wersalu! — rzecze drugi. Niedługo podobno grać będą wszystkie fontanny! A nie zapomnij pan o *théâtre français*!

— Wszystko zobaczę! — odpowiedział nowo przybyły, — szczególnie zaś cieszę się na rozprawy publiczne w izbach parów i deputowanych. Mam list rekomendacyjny do markiza Rebard. Czy panowie znają tego pana?

— Ja tam bywam! — zawołał jeden. — Jego żona jest z Danii, o ile mi wiadomo, ale umysł ma prawdziwie francuzki, dama wielkiego świata, nader miła i zajmująca. Na dzisiejszy wieczór proszony jestem do łoża markiza w wielkiej operze. Jeżeli pan pozwolisz, to i pana tam wprowadzę?

— Ślicznie panu dziękuję, ale mam już bilet do teatru *Palais royal*, gdzie mam zobaczyć pannę Déjazet w wodwilu: *Pod kluczem* — !

— Jedno drugiemu nie przeszkadza; najprzód pójdziemy na: *Pod kluczem*, a z tamtąd do Wielkiej Opery.

Rodacy rozstali się; jeden z nich miał uszczęśliwić się słuchaniem Grisi, owej *bella divina*, jak się wyrażał, — drugi wybierał się do dzieciennego teatru pana *Comte*, gdzie młodziuchna panienska, dziecko jeszcze, robiła nadzieję, że wnet podrośnie do wysokości jego serca. Nasi dwaj panowie poszli do teatru w *Palais royal*, żeby widzieć młodą podówczas Déjazet w wodwilu, któregooby naprawdę u nas przedstawić nie można. Ofiarujący się za przewodnika ziomek był duńskim oficerem.

W łożach naokoło lśniły się bogate stroje damskie. Już w komedyjce: *Córka Dominika*, ukazała się owa milutka, pełna paryskiego życia artystka, która ich ściągnęła do teatru. I tu już zachwycała wszystkich, lecz dopiero w wodwilu: *Pod kluczem*, wyłącznie ona występowała na scenie, bo przedstawiała młodą dziewczynę, którą rodzice, wychodząc z domu, zwykli zamykać na klucz. Kochanek jej stoi tedy za drzwiami, a ona wszystkimi sposobami drażni go i udaje, jak gdyby inny mężczyzna był u niej. W końcu jednak godzą się, a kochanek przynosi szampana, który panna pije, rozwesela się, aż w końcu snem zmorzona oświadcza, że się udaje na spoczynek. W tem właśnie cały dowcip tej sztuki. Otóż rozbiera się, kładzie swoje suknie na stole, jedną nogą już staje w łóżku, kiedy nagle pęka szyba nadedrzwiami i ukazuje się młody oficer, zapewne ów czekający kochanek. Dziewczyna wydaje okrzyk przestachu, przykrywa się kołdrą po uszy, ale kochanek wpada do izby, tylko że na szczęście w tej chwili spada zasłona.... co w samej rzeczy było wielce moralnem ze strony maszynisty.

Sztuczka miała ogromne powodzenie. Damy śmiały się i klaskały, — *C'est la liberté!* — rzekł oficer duński, a obcy również znalazł ją niezmiernie charakterystyczną, po czem z mniejszego poszli do teatru większego, gdzie głosami swojemi zachwycali Nourrit i Damoreau, i gdzie nowo przybyły Duńczyk miał być przedstawionym markizowi i jego małżonce, swej rodaczce. Nie wiemy, dlaczego na wspomnienie o tem dziwnie jakoś uśmiechnął się.

W Wielkiej Operze nie miano dać żadnej całkowitej sztuki, lecz tylko pojedyncze akta. Drugi akt *Wibelmia Tella* już się skończył, teraz właśnie kończono *brabiego d'Ory*, poczem miał się rozpocząć drugi akt sławnego w owym czasie baletu: *la Tentation*<sup>48</sup>.

Obaj Duńczycy weszli na szerokie, piękne schody, przez pysznie oświecone foje, gdzie światła odbijały się ze ścian zwierciadlanych, potem przez ogromne korytarze do łoża markiza. Kilku panów tak elegancko ubranych, że mogliby posłużyć za modele do rycin przy dzienniku mód, stali za krzesłami dam przystrojonych jakby na bal; ostatni zagrzmiął chór z *brabiego d'Ory*, zasłona spadła i natychmiast kolporterzy przebiegali cały parter i łoże, wołając bez ustanku: — „Voilà l'entr'acte! Voilà le Vertvert! Voilà le programme<sup>49</sup>!” — Zegar nad sceną wskazywał już na godzinę dziewiątą.

Markiz starszy o lat dwanaście, jakeśmy go poznali w Rzymie, przyjął cudzoziemców z galanterią prawdziwie francuzką; przystojna, dość dobrej tuszy dama, z rozumnymi, ciemnymi oczyma i królewską postawą, ukłoniła się wachlarzem nowo przybyłemu, którego przedstawiono jej jako dowódcę pułku duńskiego. Był on rodem Holzatczyk, jakoż markiza poznała go, boć już dawniej przyjmowała jego hołdy i wyjeżdżała z nim za rogatki,

<sup>48</sup>*La Tentation, Ballet* — Opéra en cinq actes par Corally; musique de l'opéra par Halévy, musique du ballet par Halévy et Gide. [przypis autorski]

<sup>49</sup>*Voilà l'entr'acte! Voilà le Vertvert! Voilà le programme* — zwykle okrzyki przedających w teatrach paryzkich drobne pisma peryodyczne. [przypis tłumacza]

żeby widzieć pięknego, nateraz już zapomnianego Władysława. Niezawodnie w pamięci obojga powstały jednocześnie te same wspomnienia, choć oczywiście rozmowa obracała się koło innych zupełnie przedmiotów; a oni teraz już niby znali się tylko z imienia. Konwulsyjne drganie brwi było jedyną oznaką poruszenia w Naomi, choć w tej samej chwili została napowrót markizą i damą wielkiego świata; może i to drganie było przypadkowe, lecz nie uszło jednak uwagi dawnego adoratora. Rozmowa szła po francuzku; obcy prosił Naomi, żeby go obeznała z fragmentem rozpocząć się mającego baletu.

— Główną tu rzeczą jest patrzeć — rzekła — akcja bo małoznaczna. Zobaczysz pan teraz Taglioni!

Pierwszy akt tego baletu przenosi nas do okolicy dzikiej i górzystej, gdzie anachoreta obrał sobie mieszkanie; prosta słomianka stanowi jego łożo. Wtem wysoko na górze ukazuje się orszak ślubny, którego pienia dokoła rozlegają się: pustelnik słucha i przypomina sobie świat ludzki i jego szczęśliwość. Jakaś pielgrzymka przynosi mu wino i owoce, których zrazu nie przyjmuje, ale głód i pragnienie zmuszają go w końcu do skosztowania ich; wino rozpala krew jego, pije więc raz jeszcze, a żądza ogarnia jego zmysły. Wówczas wychyla kielich do dna, a na wpół upojony, ze wrzeniem we krwi, chwyta pobożną i przełknięą piękność; namiętność wzrasta, dziewica ucieka, lecz dopędzona, pada w omdleniu na słomiankę. Oczy jego palają, wyciąga do niej swe ramiona — w tem obraz podnosi rękę, a piorun uderza w anachoretę. Jednej chwili na czarnych i ognistych chmurach złe duchy występują z przepaści, chcąc porwać jego duszę, — lecz z powietrza spuszcza się również srebrzyste obłoki, a na nich są klęczące aniołki, wpośród których stoi jeden z nich archanioł z tarczą. Rozpoczyna się walka między duchami złemi i dobrymi: wtem jeden unosząc w górę tarczę, nakazuje milczenie i pozwala duszy powrócić w martwe ciało. Duchom przepaści wolno będzie kusić zmartwychwstałego, lecz jeśli go nie znęcą do grzechu przeciw świętości, wówczas należeć ma do nieba. — Już on naszym! — wołają złe duchy uradowane — skusimy go do złego! — ale i aniołowie śpiewają dziękczynne hymny, pustelnik wstaje i żyje! — taki jest koniec pierwszego aktu. W następnych widzimy przedstawioną pokusę, a oraz zwycięstwo pustelnika. — Mniej więcej w takich wyrazach obznajmiała Naomi swego gościa z treścią baletu.

Podniesiono zasłonę i rozpoczął się akt drugi, który dla swego przepychu najdłużej utrzymywał się na scenie, przedstawiającej teraz głęboki krater w wypalonym wulkanie. Ogromne schody, wysokości całej sceny, wypełniały głąb; zagrano marsza, a wystąpiło kilkuset demonów, w najdziwniejszych, fantastycznych postaciach. Tu była chodząca ręka, tam kadłub szatana, latające oko, lub straszne kształty zwierzęce; uczta zaczęła się, kocioł gotował na ogniu, a każdy z diabłów wrzucał doń swoją potrawę. Para zamieniała się w diabelskie postacie, i wnet wyrosła z niej naga, piękna kobieta, dziecię przepaści, przeznaczone na pokonanie pustelnika: był to obraz piękności, taki sam, jaki niegdyś wyszedł z piany morza, jakim go sztukmistrze wyciosywali z marmuru. Taką wysunęła się z pomiędzy szatanów Taglioni, a oni stroili swe dziecko i uczyli użycia wszystkich zmysłów. Jakby postać powietrzna przemknęła się przez te dzikie postacie; tylko czarny kędziór na jej piersiach dowodził pochodzenia piekielnego. W tryumfie potem ze swoim stworzeniem pociągnęli tamci na powierzchnią ziemi.

Naomi siedziała i patrzyła na wszystko, jakby przez sen; nagle zapłonęła się i równie prędko zbladła: oczy jej zwały się.

— Pani niedobrze! — szepnął Duńczyk; otworzyła oczy i głęboko odetchnęła.

— To nic! — rzekła — dostałam zawrotu, ale już po wszystkim! — i uśmiechnęła się. — Tyle jest fantazyi — mówiła dalej — w tej jednej uczcie diabelskiej, że trudno aż objąć wszystko okiem; zdaje się, jakby widzenie gorączki!

Trzeci akt ukazał zamek, wystawiony na prędcie przez złe duchy; widać było przez okna wewnątrz przepysznych komnat; małe diabełki, przebrane za kucharzy, smażyły i piekły w suterrenach, a na górze tymczasem tańczyły małe, zgrabniutki kobiety. W tem nadszedł anachoreta, który głodny i zmęczony żebrał okruszyny chleba i kropki świeżej wody; kucharz roześmiał się i wskazał na duży krzyż, stojący przed zamkiem na rozstajnej drodze, — jeśli krzyż ten wywróci, to pospołu z niemi zasiądzie do stołu. Pustelnik oczywiście odmówił, a gdy w tej chwili nadjechali przebrani za myśliwych szatani z kobietą, którą sami stworzyli, też same następują żądania, też same obietnice. Piękna kobieta przyrzeka podarować mu cały ten przepych i bogactwa, jeśli wywróci krzyż święty, lecz

natomiast on przed nim klęka, gdy tymczasem z zamku grzmią dzikie śpiewy i brzęk kielichów szatańskich. Przez okna widać ucztę pijacką, kobieta zbliża się do pustelnika; lecz słowa jego działają na nią, jak blask słoneczny na jadowitą roślinę, bo czarny kędzior niknie widocznie. Stworzenie przepaści, które ma ludzką myśl i ludzkie czucie, słucha tych słów zdziwione, a gdy on klęcząc obejmuje krzyż oburącz, ona zapada się w ziemię, zaś zamek ze wszystkim, co się w nim znajdowało runął w głąbie, z których natomiast bucha czerwona luna płomienna.

Przedstawiono tylko te dwa akty baletu. — Pustelnik — rzekła Naomi — działa na dziecię szatańskie, że je aż niebu zjednywa; szkoda, że nie będziesz pan widział zakończenia baletu, gdzie już anachoreta należy do nieba i ją także uprowadza z sobą do wiecznej szczęśliwości. Duchy przepaści w palących się dymem siarkowym chmurach zapelniają cały spód sceny; nad nimi, unoszą się białe obłoki, zajęte przez samych aniołów; milionami widać klęczące grupy; na przodzie ludzi dorosłych w bieli, z białymi, dużymi skrzydłami; nad nimi dzieci, a za nimi znów grupy nieskończonej przestrzeni, malowane na tylnej dekoracji i tak dziwnie oświetlone, że nie znać wcale granicy między rzeczywistością a złudzeniem: ale patrzy się tylko w niebo bez końca, które w miarę wznoszenia się obłoków, coraz się bardziej rozszerza, aż nakoniec raptem na całą scenę spada zasłona.

Teatr się skończył, już było po dwunastej, a w domu markiza byli goście, którzy czekali powrotu gospodarstwa.

— Zobaczysz pan u nas dziś wieczór Aleksandra Dumasa i kilku z tych młodych malarzy, którzy wstawili się dekoracyami do naszego baletu, — rzekła odchodząc do ziomka swego Naomi.

Przyjąwszy zaproszenie, dwaj cudzoziemcy pojechali tedy do pałacu markiza, gdzie weszli do przepysznie urządzonej salonów. W najpierwszym z nich były dwa nowe obrazy młodych artystów, ustawione w szczególnie korzystnym oświetleniu: jeden z nich przedstawiał scenę z *Notre Dame* Wiktora Hugo: Quasimodo przywiązane do pręgiarza, dręczonego pragnieniem i boleścią, a wysmukłą, zgrabną Esmeraldę podającą mu kubek wody. Drugi obraz wyobrażał ostatnią scenę z najnowszej tragedii Kazimierza Delavigne: *Dzieci Edwarda*, ową przejmującą scenę, w której oboje dzieci w ubraniu siedzą na swoim łóżku i słuchają. Wiedzą, że mordercy nadejdą, by ich zabić, — lecz wiedzą także, iż przyjaciele pracują nad ich oswobodzeniem, a jeżeli usłyszą pieśń: *God save the king!* ratunek będzie bliskim. W samej rzeczy, pieśń daje się słyszeć — poznajemy to po uśmiechu młodszego brata — lecz w tej samej chwili otwierają się drzwi i wpadają mordercy, którzy ich przebijają, zanim jeszcze przebrzmiewa pieśń oswobodzenia. Dzieci te były portretami dwóch sławnych podówczas artystek: Menjaud i Anais.

Jeden tylko z gości stał przed obrazami; reszta zaś była w dużej sali, gdzie państwo markizostwo przyjmowali przybywających. Młody jakiś oficer rozmawiał o pracach obłączniczych przed Antwerpią, inni o ostatnich rozprawach w izbie parów. Nie przedstawiano sobie gości nawzajem: każdy wedle upodobania przychodził lub wychodził, a całość wyglądała raczej na salę publiczną, niż prywatną.

Jakiś młody literat wdał się w rozmowę z Holzatczykiem, a dowiedziawszy się, że jest z Danii, opowiadał mu o operze *Gustaw*, która zapewne zajmie go przez wzgląd na treść z historii kraju skandynawskiego. Mówił także o Bernadocie, którego ostatnio przedstawiono w wodwile: *Le Camarade de lit*, oraz o królu duńskim, który w wojsku francuzkiem służył za generała. Wiadomości jego o narodach Północy były zresztą nieco apokryficzne, jeszcze bowiem podówczas Francya nie wysłała była Xawerego Marmier, któryby pięknie i z życiem umiał opowiadać o Gejzerze islandzkim i o państwach skandynawskich, o ich skałach, borach i woniejących równinach, o potędze Szwecyi w polityce, a Danii w literaturze i naukach. Za to tem biegleszy był Francuz w piśmiennictwie włoskiem i angielskiem, ale ex-adorator Naomi wyglądał w tej mierze jak — użyjmy raz wyrażenia gminnego: jak prawdziwy głąb. — Chcąc jednak wyrzec choć jedno słowo rozumne, powiedział: „Goethe! „Oczy Francuza zaiskrzyły się na wspomnienie tego Kornela Niemców, tego twórcy filozoficznego i pełnego marzeń poematu o Fauście.

Naomi, stojąca właśnie w pobliżu, zapewniła go z uśmiechem, że i ona podziwia Fausta. — Fragment ten — rzekła — wydaje mi się zadziwiającym kometą, kometą z widzialnym jądrem, lecz zarazem z wlokącym się za niem fatalnym ogonem, który mieści się w tych wyrazach: *Dalszy ciąg nastąpi*. Zresztą sądę, że daleko się więcej dopatrujemy

w tym poemacie, aniżeli zamierzył sam poeta. Kiedy Europa raz już skończy pisać o nim swoje komentarze, wówczas będzie miała czas zwrócić uwagę na inne, równie dobre poemata. Mnie się zdaje — dodała — że jakiś autor niemiecki już gdzieś powiedział mniej więcej to samo.

— Goethe już nie żyje! — rzekł Holzatzczyk. *De mortuis nil nisi bene!*

— Prawdziwy i wielki poeta nigdy nie umiera! — odpowiedziała szyderczo Naomi — dlatego też śmiało mówić można o jego błędach!

Rozmawiano znowu o Danii, o Skandynawii, a Naomi tłumaczyła w sposób nader dowcipny, że właśnie Północ jest krainą romantyków; mówiła o melancholijnych skałach Norwegii, o szumiących jej wodospadach, mogących się mierzyć z kaskadami Szwajcaryi, o samotnych chatach pastuszków i o ciemnych borach jodłowych. Opisywała niezmiernie wyraziście śliczne położenie wysep duńskich, jakby kwitnących lagun między morzami wschodniem i północnym; mówiła o starych, jeszcze rozlegających się piosnkach, o cyganach w stepach Jutlandyi i o sterzających kurhanach na woniejącej roli.

— Opis pani w jej własnych wyrazach — rzekł Francuz — byłby perłą w naszej *Revue du Nord*.

Naomi uśmiechnęła się.

Jakiś pan udekorowany nadał rozmowie kierunek polityczny, a Naomi śmiało objawiała swoje zdanie o wszystkim, — tylko przed bohaterem stulecia, przed jednym Napoleonem, schylała dumne swoje serce.

— Pani Markiza z oddalenia tylko widziała ów wulkan! — rzekł dworak, który poprzednio oceniał doświadczonego Ludwika Filipa i ogłosił go najpierwszym z monarchów, należących do nowej epoki świata. — Gdyby pani była jedną z matek, którym Napoleon wydarł synów, gdyby pani widziała ich, ze związanymi rękami pędzonych przez kraj cały jak bydło, niezawodnie nie błogosławiłaby jego imienia: był to człowiek próżny i chłodny.

— Ten Bóg, do którego wszyscy się modlimy — odpowiedziała Naomi — również w swoich rządach świata zdaje się oku naszemu nie być bez skazy; czy też te skazy są prawdziwe? Napoleon był cherubinem, co dzierżył w ręku ogień i żelazo, więc nowszą epokę odciął od dawniejszej. Pług przechodzący przez rolę przecina korzenie kwiatów, wyrzywa trawę i druzgoce niewinnego robaczka, ależ to jest koniecznością, bo później w brózdach śmierci kołysze się bogaty kłos błogosławieństwa! Miliony na tem zyskują!

Konwersacya zwróciła się do polityki obecnej chwili, a Naomi wyrażała się o niej coraz bardziej zajmująco. Urządzono zielone stoliki i prezentowano karty; Naomi grała namiętnie i była przytem uosobioną wymową; jedne kalambury i dowcipy następowały bez przerwy po drugich; wszyscy słuszne swoje hołdy składali markizie, z której ciemnych oczów jaśniały dowcip i prawdziwe szczęście.

Godzina była trzecia po północy, kiedy światła pogaszono w pałacu. Naomi w nocnym negliżu siedziała w swej sypialni, z głową opartą na rękę; długie jej włosy czarnymi splotami spadały na ramiona; policzki pałały, jakby ogień; trawiona gorączką, wychyliła do dna szklankę zimnej wody.

— Jakże krew moja gotuje się! — rzekła do garderobiany — jestem zmęczona, a jednak spać nie mogę, — ale ty idź spać i zostaw mnie samą!

I została sama; pierś jej wznosiła się i oddychała ciężko i głęboko.

— Jakżem jest nieszczęśliwa! A dlaczego cierpię? Dlaczego wiecznie w mniemanej wiszę męczarni, która rośnie jeszcze z każdym rokiem? — i przypomniała sobie stworzenie demonów w balecie, ową istotę żyjącą i z uczuciem ludzkim, a zdawało się jej, że ona sama do niej jest podobną. — Tak jest, szatani przywołali mnie do tego życia! Ach! żeby cała przeszłość znikła w nicestwie, tak jak my sami kiedyś znikniemy w śmierci! Jest to choroba, nic więcej! Każdy współrodak jest dla mnie istną torturą, a kat mój jest tutaj! Dałby Bóg, żeby trup jego gnił na dnie Sekwany! Władysław! — westchnęła i nagle zamilkła. — Nie chcę się sama dręczyć! chcę używać woni tego fałszywego życia! — Wlepiała wzrok w portret markiza wiszący na ścianie. — Uśmiecha się! — I ja uczynię toż samo! Grzechy mojej młodości nie są większe niż jego... i teraz jeszcze — ! może w tej właśnie chwili, całuje jasne loki na jakiej gminnej główce. Toć Grassot mi to powiedział! Ach! dlaczegoż nie mogłam jego kochać! — Pochyliła głowę i długo tak siedziała milcząca, oddychając ciężko i głęboko. Lampa paliła się już tylko zaledwie dojrzałym blaskiem: Naomi zasnęła.

Gdy się z takiego snu niespokojnego zbudziła, światło dzienne już zajaśniało przez firanki; teraz dopiero rzuciła się na łóżko, a rozmaite marzenia wiły się naokoło śpiącej kobiety.

## XIX

Czy wiesz, co to Tivoli? Nie mówię o owej wiosce malowniczej, którą z Kampanii rzymskiej widzisz rozłożoną na górach, lecz o sławnym ogrodzie na przedmieściu Paryża, do którego zwabiają cię afisze, owe głuchonieme syreny nowszej cywilizacji. Doróżki, kabriolety i omnibusy zawożą cię za kilka soldów przed samą bramę, a za trzy franki spadnie na ciebie cała rzeka Niagara wesołości. Orkiestra Musarda gra galopady z najnowszych oper i baletów, albo walce Straussa i kadryle z Roberta lub Napoju Miłosnego. Oprócz tego, za te same pieniądze stoją ci jeszcze otworem dwa teatry, jeden mniejszy z cudami sztuki magicznej, drugi z całym wodwilem. Sanki suwają się na dół koleją drewnianą, tyśiące lamp palą się między zielonymi drzewami, a gdy rozlegnie się okrzyk: *Feu d'artifice!* idziesz za tłumem ludzi na ciemny plac widzów, gdzie wnet trójkolorowe race zmrok wieczorny przemienią w najjaskrawsze światło dzienne.

Tam więc zdążamy, do owego wiru ludzkiej fali!

Czy widzisz te zgrabne damy? Niezawodnie pochodzą z wysokiej szlachty, z najczystszej krwi arystokracji? A zapewne! krew, gorąca krew daje im te bogate suknie; do ich to kasty należały niegdyś Lais i Aspasya, sławne na cały świat kobiety. Trójkolorowe lampy rzucały jakby tęczone światło na ciemne gałęzie, muzyka brzmiała w oddali, podobno śpiew demonów ze znanego nam baletu, a córy krwi kręciły się w szalonym wirze z synami pyłu i błota.

Dziwny to widok przedstawia się oczom naszym, gdy z gęstych krzaków przypatrzymy się pstremu oświetleniu, kręcącym się w kółko postaciom i znakom wysuwającym się ową drewnianą koleją, jakby z wierzchołków rozłożystych kasztanów: mimowolnie jakoś przychodzi nam na myśl uroczystość nocna na Łysej górze.

Czy też podobne ma myśli tamten człowiek, siedzący między krzakami tuż przy ciemnej murawie, gdzie mają się palić ognie sztuczne? Właśnie teraz przywiązał ostatnią racę i usiadł na trawie; wychudzone jego ręce drżą, a pozołkła twarz, siwe obrączki pod czarnymi oczyma i zwisłe rysy wskazują, że dusza już tylko jak nietoperz trzepoce się w ruinach jego ciała.

Na widok tego człowieka, od któregooby teraz rade się odwrócić nasze oczy, niegdyś rumieniały się córki piękności; ta zbledniała postać była niegdyś modelem bohatera; ten złośliwy wyraz w jego oczach był spojrzeniem dumnego majestatu. Ten sam, któremu przyklaskiwały tłumy zachwyconych widzów, leży tu chory, wzgardzony, zapomniany — teraz ważnym i jedynym jego zajęciem jest przywiązywanie rac do ognistego koła. Człowieka tego znacie, bo jest nim syn paryów.... to Władysław!

Jeżeli zbytek życia wyprężył twoje nerwy, wówczas dźwięk ich jest przejmującą melodią; takieto dźwięki śpiewały mu starą piosenkę, którą powtarzać jeszcze będą następne pokolenia:

„Myśli moje nie bujają w przestrzeni, lecz wracają ciągle w leniwe i zbolale ciało, które czuje mgłę wilgotną i gęstą, czepiającą się jego skrzydeł, tak iż zwisną jakby snem umorzone. Ach! ciało moje czuje wprawdzie orzeźwiający wietrzyk, ale wiatr ten przejmuję jakby mrozem; słabe włókna nerwowe drżą, nogi trzęsą się, głowa dostaje zawrotu, — tak mi jest, jak gdyby wichur wiał po mózgu i szumiał w nim jak w pustej skorupie ślimaczej. Wieczniebym tylko spał, a tu sen drwi z mych osłabłych członków. Promienie słońca palą mnie. Jeśli myśl niekiedy wysuwa się na świat, wówczas kroczy o kuli jak kaleka, który ciągle tylko o swoim myśli kalectwie, choćby najwięcej uśmiechały się doń łąki, choćby najbardziej grzało słońce, choćby najrozkoszniej szmer strumyka do błogiego zapraszał go spoczynku.”

Wesołyto był i świetny wieczór w Tivoli: bogacz oddawał swoje luidory, ubogi swoje soidy, a młody kilka różanych liści swego zdrowia, żeby kiedyś tak samo jak czarny Władysław w samotnym krzaku zanucić piosenkę.

Ty coś zwiedzał wszystkie stolice Europy, a w Paryżu szukał wysokości ich wszystkich, niezawodnie w tem ostatniem mieście nieraz spotykałeś Naomi. Publiczne rozprawy są-



dowe zastępują ci walki byków w Hiszpanii; te same tu zbierają się tłumy, też sama ciżba dam bogato strojnych, więc często zapewne widywałeś Naomi między najgorliwszymi przy nich słuchaczami. Kiedy przykuci po dwóch do siebie złoczyńcy wychodzą z Bissetru i udają się w drogę do galerów, niezawodnie postrzegalesz pojazd markizy między pięknymi ekwipażami, stojącymi po drugiej stronie ulicy, żeby się ich państwo napawać mogli tym przejmującym widokiem. W samotnej nocy, kiedy już tylko przy oknie pali się czerwona latarnia, z napisem: *Ici on loge à la nuit*, a gałganiarz patykiem przewraca kupy śmieci, widywałeś siedzącą Naomi przy zielonym stoliku, gdzie brzęczy złoto, a oko oddycha namiętnością.

Ludwik Filip naokoło Paryża kazał założyć forty dla obrony miasta; ale Paryżanie twierdzili, że zrobiono to jedynie dla trzymania ich samych w uległości. Stronnictwa przeciwne *królowi obywatelowi* zaczynały podnosić swoje głosy. Nadchodziła uroczystość lipcowa; rozwieszono po ulicach śmiałe karykatury i znaczące porównania, ale mądry monarcha był spokojny i pozwalał umysłom ochłonąć w tak niewinnych bańkach mydlanych. Spodziewano się, że z okazji tej uroczystości obelisk wzniesionym będzie na *Placu zgody*, lecz jeszcze go nie przywieziono, więc ustawiono tymczasem kopię z drzewa i jednym słowem czyniono wszystko, by sławnym trzem dniom lipcowym największą ile możliwości nadać świetność. Otóż najciekawszym ze wszystkiego miało być odsłonięcie statuy Napoleona na kolumnie Vendôme. Już rusztowania były wzniesione, a rzemieślnicy zajęci bez ustanku; w nocy wciągnięto posąg, a do chwili samej uroczystości przykryto go niebieską zasłoną, całą przerobioną w srebrne pszczoły cesarskie.

Naomi należała do wielkiej liczby osób przewidujących, że w owe trzy dni wybuchnie burza polityczna, i prawdę mówiąc tęskniła za takim wybuchem. Tylko w dniach rewolucyjnych czuła się niegdyś spokojną, sama nawet z niewymownym zuchwalstwem strzelała przez okno na waleczną gwardyę królewskich Szwajcarów. Niepokój jej duszy gnał ją do zewnętrznego ruchu.

Trzy dni nadeszły i niektórym córkom poległych bohaterów wielką sprawiły radość, bo przepyszne wyprawy ślubne. Wraz ze wschodem słońca zagrzmiały działa z ratusza i z hotelu Inwalidów, na rozpoczęcie uroczystości. Na wieżach wszystkich kościołów i na *Pont-Neuf* powiewały chorągwie trójkolorowe, a sam ratusz wraz z *mostem Arkolskim* przystrojone były w trofea i girlandy.

Bezsenna Naomi słuchała wystrzałów, bo cierpiała tak samo, jak owej nocy w Praterze, jak owej nocy w Rzymie i niestety! jak tyle już nocy w pełnym życia Paryżu. Naomi przegrała znaczne summy, wzięte naprzód z pieniędzy dla niej przeznaczonych, i Władysław był w mieście, a oprócz niego jeden jeszcze współrodak, który znał jej dotychczasową historię.

Na placu Bastylli, blisko fontanny *des Innocens* i przed Luwrem, ustawiono ołtarze żałobne, przystrojone w krepę i chorągwie, w wieńce z nieśmiertelników i w sławne nazwiska; muzyka żałobna zagrzmiała, a przy każdym taktie zagrzmiał także wystrzał armatni. Dziwna jakaś cisza zaległa nad tak zgłębliwym zwykle miastem. Krok za krokiem jechały pojazdy, jakby processją żałobną, a pęski powoli doszedłszy do ołtarzy, obrzucali groby bukietami z świeżych kwiatów.

Naomi jechała w otwartym powozie, a niektórzy przechodnie chcąc uniknąć potrącenia przez koła, wskoczyli na stopnie i trzymali się samych pojazdów. Naomi uczuła dotknięcie obcej ręki, która potajemnie do jej ręki wsunęła mały papierek: wokoło siebie ujrzała same tylko twarze nieznajome.

Wieczorem, kiedy długa, czarna krepka wisiała z okien tych mieszkań, gdzie przebywali krewni lub przyjaciele poległych bohaterów, kiedy niebieskie ogniki paliły się nad ich grobami, Naomi przeczytała list, a list ten był od Władysława. Szukał jej bowiem w pałacu, lecz że go nie przyjęto, więc jak najusilniej błagał o naznaczenie mu schadzki i złośliwie przypominał szczęśliwie niegdyś spędzone minuty.

— Ile to w zeszłym roku znaleziono osób zamordowanych w Paryżu i po przedmieściach? — zapytała Naomi swej garderobiany.

— Podobno dwadzieścia i trzy! zamordowanych i wrzuconych do Sekwany! to okropnie!

— Paryżanie mają krew południową! — rzekła Naomi. — Czy wszystko spokojnie na ulicy?

— Wszystko! ale mnie aż strach, gdy pomyślę o jutrzejszej uroczystości!

— I mnie także! — odpowiedziała Naomi zamyślona, a myśli jej zatrzymały się na Władysławie.

W znanej książce pod tytułem: *Tysiąc i jeden dni*, czytamy opis pewnego drzewa z gatunku palmy, w którego koronie ukryte są niezmiernie bogate skarby; każdy na nie się wdrapie, bo szerokie liście gną się, niby szczeble drabinki poddając pod chciwe stopy; lecz gdy zechcesz zejść na dół, wtedy liść jest ogromnie ostrym nożem, który się wrzyna w twoje członki, jeżeliś nie jest zupełnie czystym i niewinnym: otóż w myślach Naomi stanęła, jakby na jawie, ta wyrazista allegorya.

— Każdy najmniejszy grzech był zielonym, woniejącym liściem, który się uginał pod moją ręką — rzekła do siebie — a teraz jest nożem kata, gdy się w tył poza siebie oglądam. O! jestem chora, tak samo chora, jak stara hrabina w Danii, chora na imaginacyą, a ta choroba ze wszystkich najwięcej jest męczącą!

W drugi dzień uroczystości, na półmilowym bulwarze odbywała się parada gwardyi narodowej: wzdłuż zielonych alei stały zbrojne szeregi, a okna i ganki wszystkich domów, równie jak sama ulica, pełne były ludzi; zręczne chłopaki wdrapywały się na gałęzie drzew, inni balansowali na kamiennych poręczach fontan i pomników: wszędzie był ścisk niezmierny, taki sam, jaki codziennie zresztą znajdujemy w najbardziej zwiedzonych passażach paryzkich.

Wtem ukazał się Ludwik Filip, otoczony swemi synami i generałami; podawał ręce mieszczanom i kłaniał się każdemu uprzejmie, a okrzyk: *Vive le Roi!* rozlegał się w powietrzu.

Niebieska zasłona z srebrnymi pszczołami jeszcze zakrywała statwę Napoleona na słupie Vendôme; pełno było ludzi we wszystkich oknach i na wszystkich dachach. Król i najpierwsi dygnitarze kraju stali z odkrytymi głowami pod kolumną; wtem dano znak, a zasłona spadła: i znowu zewsząd zagrzmiały okrzyki: *Vive l'empereur!*

Oko Naomi spoczęło na tłumnem zebraniu, a pod oknem jej, między ustawionemi beczkami, które spekulanci wynajmowali jako najkorzystniejsze miejsca widzów, stał Władysław, wychudły i chory; oczy jego w nią były wlepione, uśmiechał się tak samo, jak się szatan uśmiechał w balecie, wyciągnął ręce i palcem prawej, jakby pisał na dłoni lewicy.

Naomi odeszła od okna. Parada i tak miała trwać kilka godzin, a zresztą jak się wyrażała, najpiękniejsza chwila już minęła; podała więc rękę markizowi i wyszli z domu, co jednak tylnymi tylko drzwiami dało się uskuteczyć. W sieni stała jakaś stara kobieta, która markizowi wsadziła do ręki kartkę, a on ją prędko ukrył: nie uszło to jednak bacności Naomi.

Wieczorem był wielki, publiczny koncert w Tuileryach, odegrany przez pięciuset oboistów i trzystu doboszy; na Sekwanie illuminowane statki odbywały różne ewolucyje i igrzyska; wieże i kopuły kościołów sterczały w powietrzu, obwiedzione ognistym konturem. Naostatek spalono przepyszne ognie sztuczne.

— Wrzawliwe jak te tony, gasnące jak te płomienie — oto życie ludzkie! — pomyślała Naomi. — Pocóż się samej dręczyć? Mąż mój większym jest grzesznikiem odemnie! Odpowie on mi za swoją korespondencyą: — chcę, żeby choć jednej doświadczył minuty mych męczarni!

Na dworze wszystko było weselem, wrzawą i świetnością. Naomi stała w pokoju i patrzyła przez Sekwanę na kopułę kościoła Inwalidów, której blask przypominał ś. Piotra w pierwsze święto Wielkiej Nocy: odetchnęła głęboko.

— Nie pokażę ci listu! — rzekła do siebie — bo mógłby zatruć twoją spokojność! te były jego słowa, kiedyś zapytała się o treść biletu. Widziałam, że był zaambarasowany! Markizie nie wolno czytać zgrabnego pisma blondynki! Wszyscy mężczyźni są do siebie podobni, niechże i ja raz podobną będę do wszystkich innych kobiet!

Garderobiana przyniosła kosztowną suknię balową; toć nazajutrz wielka miała być uczta i bal w Ratuszu, na który zaproszono wszystkie stany, począwszy od rybaczki aż do samej królowej.

— Jutro chcę być piękną! — rzekła Naomi — użyj całej twojej sztuki! nie zapomnij żadnej z moich kosztowności, żadnej perły! Pewno i blondynka będzie na tej uczcie — pomyślała — prosta, miła i niewinna, jak zwykle opisują w romansach!

Było trzeci i ostatni dzień uroczystości: Naomi pojechała z markizem na pola elizejskie, które w całej swej rozciągłości aż do Bramy Gwiazdy, napelnione były tłumami ciekawych. W samym Paryżu, we wszystkich teatrach były dnia tego widowiska bezpłatne, a na polach Elizejskich można było bawić się muzyką, huśtawkami i różnymi sztuczkami, również wszędzie bez opłaty. Pod gołem niebem były dwa towarzystwa sztucznych jeźdźców, które na przemiany w jednym cyrku przedstawiały swoje skoki. Od wielu lat już Naomi nie widziała i widzieć nie chciała sztucznych jeźdźców, lecz markiz miał wielką ochotę i nadzwyczajnie chwalił szesnastoletnią zaledwie amazonkę! Naomi jakoś była nie swoją, śmiała się i przekomarzając się wspominała tajemny list wczorajszy. — Małżeństwo — dodała — nie powinni mieć przed sobą żadnego sekretu, chociażby sekret ten był nawet małym grzechem.

Markiz spojrział na nią poważnie, a ona się uśmiechnęła i dostrzegłszy, że jest żenowany, dopiero pożądana miała przedmiot dla jej wymowy. Naokoło panowała radość, cztery orkiestry grały, a lud napróżno wdrapywał się na gładkie słupy, u szczytu których jaśniały nęcące nagrody. Turniej na Sekwanie zwrócił na się uwagę tłumu: czołna manewrowały przeciw sobie, a na przodzie każdego stali marynarze w szafirowych lub czerwonych kurtkach, z długimi lancami, na końcu których przyczepione były deszczułki, którymi starali się wtrącić przeciwników do wody. Zwycięzeni, przy śmiechach tłumu i tysięcznych wiwatach dla zwycięzcy, zostawieni swej własnej sile, musieli wplaw dostać się do lądu.

Niespokojny wzrok Naomi szukał wokoło, a widok ten wcale nie zajmował jej; markiz przeciwnie cały nim przejęty, śledził za każdym ruchem różnobarwnych czółen.

— Tak spokojny, choć z grzechem w sercu! — pomyślała Naomi, oglądając się na wszystkie strony za ładną blondynką lub może i brunetką, której jednakże nigdzie nie dostrzegła.

Przy obiedzie wypila śmiejąc się za zdrowie blondynek.

Potem już oczekiwała na nią toaleta. Pióro rajskiego ptaka powiewało na zawoju, drogie kamienie lśniły się na wzdętej piersi; z dumnym uśmiechem przeglądała się w lustrze.

Ktoś zastukał we drzwi. Garderobiana odebrała list do jaśnie pani, a list ten był od pana markiza i zawierał tylko dwa wiersze, tylko własne wyrazy Naomi, wyrzeczone przez nią tegoż samego dnia na widowisku sztucznych jeźdźców: *Małżeństwo nie powinni mieć przed sobą żadnego sekretu, chociażby sekret ten był nawet grzechem!* W liście tym leżał bilecik, podobny do tamtego, który markiz przed nią ukrywał; zaś bilet ten był od Władysława. Było to arcydokładnem opowiadaniem wszystkiego, poczynawszy od pierwszego pocałunku, aż do uderzenia szpicróżgą; złośliwie uchylał zasłonę z każdej tajemnicy. — Teraz się mszczę — pisał dalej — że mnie odpędziła od bramy swego pałacu; ona szczęśliwa, a jam nędzny, jak pospolicie mówią! Że zaś każde moje słowo jest prawdą, to zaprzysiędz mogę na Przenajświętszy Sakrament!

Usta Naomi zbladły. — Teraz wszystko się skończy! — pomyślała.

Służący wszedł i oznajmił, że powóz już zajechał. — Pan markiz czeka! — mówił dalej.

Naomi o mało co nie zemdląca; atlas zaszeleścił, dyamenty lśniły się; — markiz zaprowadził ją do pojazdu, a dwóch panów, dwóch przyjaciół domu, wsiadło wraz z niemi. Rozmowa toczyła się ogólna, a markiz brał w niej udział nader żywy.

Na ulicach brzmiało wesele; wszystkie kopuły i wieże były illuminowane, tak samo, jak dnia poprzedniego. Powóz stanął przed ratuszem. Schody przystrojone były w różnobarwne kobierce i woniejące kwiaty. Obie duże sale na pierwszym piętrze połączone były ponad dziedzińcem przez wiszący ogród, zdobny drzewami pomarańczowemi i lampami w rozmaitych kolorach; w samym środku tryskała fontanna, lecz wodą nie zwyczajną, ale kolońską. W największej sali, gdzie wzniesiony był tron królewski, po obu stronach piętrzyły się tarasy z taboretami, których jeden zawsze szereg stał wyżej nad drugim; tu siedziały świątecznie poumierane damy, reprezentantki wszystkich stanów, żony mieszczan i małżonki parów. Muzyka szumiała z trybuny licznie obsadzonej orkiestry, w samej zaś sali tłok był największy, a naokoło lśniły się lorynetki, skierowane na każdą osobliwszą piękność. Wprawdzie Naomi nie mogła się już liczyć do młodych, lecz jednak posiadała pewną pełnię piękności, co łącznie z gustownym strojem, młodych i starych ściągała

na nią oczy, gdy tymczasem ona w poczuciu własnego blasku uśmiechała się, — jak się uśmiecha pstry motylek kręcący się na szpilce.

Otworzono szerokie podwoje, któremi weszli królestwo i ich dzieci, a jedno po drugim zaledwie pojedynczo przez tłumną ciżbę mogli się przecisnąć do tronu. Muzyka grała galopadę z opery: *Gustaw*.

Była godzina druga po północy, gdy dano znak do wieczerzy; markiz i Naomi odjechali. Jeszcze pełno było życia na ulicach: illuminacja wszędzie jeszcze paliła się.

— Przysłałeś mi list! — rzekła — każde w nim słowo jest świętą prawdą; cóżes teraz postanowił?

— Odczytać ci go, ile razy staniesz między mną, a memi przyjemnościami, które ma każdy mąż w Paryżu. Jeśli pocałuję blondynkę, pomyśl o liście! zresztą postaram się o to, żeby nie było skandalu! W przyszłe lato pojedziemy na Północ! Ciekawy jestem woniejących borów, o którycheście tyle razy opowiadali nam, ty i twoi ziomkowie! Mnie się zdaje, że to będzie dla nas obojga bardzo zajmującą przejażdżką, tylko zmiłuj się, zabierz z sobą list! zabierz list! bo kto wie, czy go tam nie będziesz potrzebować.

## XX

W Danii, w majątku hrabiego, siedziała stara hrabina z miksrami i proszkami, równie blizka jeszcze śmierci, jak przed dwunastu laty. — Ona dopiero wieczna! — mawiali ludzie; — jej nawet apteka nie zabije! — Kościółek parafialny otrzymał nową wieżę, a dom szkolny wzniesiono nowy z fundamentu; bielutkie firanki wcale dobrze wydawały się przez szyby jasno wymyte. Przed sienią bawiło się dwóch młodych chłopczyków; suche patyki, które wsadzili w ziemię, były dla nich całym, kwitnącym ogrodem. We drzwiach siedziała kobieta, może trzydziesto kilkoletnia, z robótką na kolanach, a pełnym miłości wzrokiem nakazywała dzieciakom milczenie, ile razy przybiegli do niej z zapytaniem, bo właśnie ojciec czytał jej na głos gazety: była to Łucya ze swym mężem.

— Wszakże jutro niedziela? — zapytał najmłodszy chłopiec, którego żywe, ciemne oczy i piękne rysy twarzy tem bardziej odznaczały brak tej piękności w starszym bracie.

— Tak jest, jutro niedziela! Grajek przyjdzie z ciastkami lub obrazkiem, bo nie był zeszłej niedzieli.

— A tak! jutro przyjdzie Krystyan — rzekł ojciec, i złożył gazety — śmiało mógłby przychodzić co niedziela i wysłuchać kazania, zamiast iść na swoje tam jakieś pokątne modlitwy. Zwierzchność zabrania podobnych świętych schadzek. Wiemci ja o tem, bo schodzą się zwykle do Piotra Hansena, a Krystyan najczęściej czytuje im na głos z Biblii. To być nie powinno! Mówią o nich, że w garnku mają małeńkie szczenię, które caują w dowód pokory!

— To kłamstwo! — rzekła Łucya. — Gdzie Krystyan bywa, tam podobne niedorzeczności z pewnością nie mają miejsca: dałby Bóg, żebyśmy wszyscy tak dobremi byli chrześcianami, jak on! Mówiłam z nim o tem, a on mi się wyświadał i upewniał mnie, że go najlepiej buduje Pismo Święte i wspólna modlitwa z ludźmi pobożnymi. Jeżeli między dwunastoma apostołami naszego Zbawiciela mógł być jeden Judasz, czyliż w małym gronie gminy chrześciańskiej nie może być kilku doń podobnych, z których ludzie niezliczeni mogą brać powód do obmowy? Lepiej wierzyć za wiele, niż za mało. Komu świat we wszystkim przeciwny, ten łatwo może się potknąć, a szczęśliwy ten, kto potyka się tylko o Biblię i o słowo Boże.

— Jakież przeciwności Krystyan ma na świecie? — rzekł mąż Łucyi. — Wszak biednym był dzieckiem, a twój wujo był jemu drugim ojcem! Że w Kopenhadze doznał cokolwiek biedy, toć jej tam więcej doznaje ludzi od niego, a że matkę zabrał do siebie, to zarówno z jednej, jak z drugiej strony było wcale nierozważnem! Wujo twój opowiadał mi, w jakiej nędzy ich zastał i biedzie, — ależ to już się teraz skończyło! Przywiózł ich tutaj, a gdzie tylko jaka zabawa, tam potrzebują skrzypców Krystyana, bo kto cośkolwiek dobrze potrafi na świecie, temu nigdy źle powodzić się nie może! W każdym dworze on kieruje muzyką, na każde wesele jego sobie wrywają: wcale mu się nawet teraz nieźle powinno powodzić!

— Ale nie tyle idzie o to, jak się dzieje zewnątrz nas, ile raczej o to, co się w nas samych dzieje! — rzekła Łucya. — On szczęście swoje zasadzał na tem, żeby sobie zjednął wielkie

imię i żeby zwiedził kawał świata, a nie miał nikogo, co by mu podał rękę, czego przecież każdemu potrzeba! Nie do tego dążył, żeby został grajkiem na wsi. Jednak zdaje mi się, że umysł jego już przybił do portu spokojności, a gdy chybiły mu wszystkie nadzieje tego świata, jął się lepszej nadziei, bo niebieskiej.

— Zapewne! — odpowiedział — tylko że z temi samemi przesadzonemi wyobrażeniami! Powinien się ożenić, toby mu wyszło na dobre! stary kawaler zawsze nieszczęśliwą być musi istotą! Dobra żona, jak ty, moja Łucyo, dopieroby go rozweseliła, boć naprawdę szczęśliwym nie jest, przynajmniej że mu niekiedy przychodzą takie myśli, których lepiej iżby nie znał wcale. Dawniej nie lubiłem go, bo mi się zdawało, że on się ma do ciebie! Podobno Piotr Wik byłby sobie tego życzył!

— Myśli Krystyana w tym względzie zawsze daleko gdzieś stroniły odemnie! — rzekła Łucya. — Dzieckiem jeszcze będąc, przyległ do małej Naomi, a gdy później podrosła, prócz niej nikogo nie widział na świecie: ale oni w żadnej mierze nie dla siebie byli stworzeni! Prawda, że była piękną, i to właśnie olśniło go. Opowiedziałam mu o wieści krążącej i niezawodnie prawdziwej, że z jakimś podobno hecarzem uciekła zagranicę; lecz to opowiadanie zrobiło na nim wrażenie tak okropne, że odtąd nigdy już w jego obecności nie wymówiła jej imienia, ani też on go nie wymówił, — choć jestem przekonana, że dosyć o niej myśli!

— No! ależ teraz o niej powiadają — odparł mąż — że została wielką damą we Francji; sam słyszałem o tem w zamku, a w przyszłe lato ma podobno na kilka miesięcy tu przyjechać. Widać, że jednak tamta wieść musiała być fałszywą, albo też może hecarz należał do jednej z rodziny emigranckich, które podczas rewolucji kraj swój opuściły i teraz napowrót do dawnej doszły świetności. Doprawdy, że to bardzo być może, a w taki sposób jedno z drugim da się doskonale pogodzić.

Nazajutrz w niedzielę, w samej rzeczy nadszedł Krystyan, czyli, jak go zwykle nazywano: Grajek; ucałował dzieci, szczególnie najmłodszego, ładnego chłopczyka z ciemnemi oczyma, bo czuł dobrze, że powierzchowność nas ujmuje i patrząc na niego mawiał: — Gdybym był tak pięknym, jak ty, wszystko byłoby inaczej! Najszlachetniejsi nawet ludzie i najlepsi hołdują piękności. Ach, cóżto za dar Boży! jakież-to w nim źródło wewnętrznego zadowolenia! Dla takich świat jest rajem miłości. Każdy wita piękność z uśmiechem na ustach, wszyscy ją sobie wyrrywają. Cóżto za twarz ujmująca! — mówią — takie rysy nie kłamią! tu jest dusza! tu dowcip jest i serce! to niezawodnie wyborny człowiek! — O! piękność na ziemi szczęśliwszym jest darem od geniuszu i całej siły ducha! — i ucałował znów ładnego chłopczyka, który dostał też najpiękniejszy obrazek i największe ciastko, zakupione w pobliskiem miasteczku.

— A bocian twój nie kazał nam się kłaniać? — zapytał najmłodszy chłopczyk.

— I owszem! — odpowiedział. — Teraz już zdrów i silny i może latać z drugiem! Dlatego też się boję, że się na jesień wybierze z niemi w drogę. Bocian i jaskółka, to dobre ptaki, więc im też wolno lecieć do ciepłych krajów, kiedy tymczasem wrony i wróble muszą marznąć. Czy nie opowiadałem ci jeszcze historyi o bocianie i jaskółce? Byłoto w Wielki Piątek, kiedy Pan nasz jeszcze wisiał na krzyżu, trzy ptaki przeleciały koło niego, a wrona wrzasnęła: *dręcz Go! dręcz Go!* więc jeszcze dziś wrzeszczy tak samo; lecz drugi ptak zawołał: *pieść Go! pieść Go!* była to jaskółka. Bocian krzyknął: *posil Go! posil Go!* jakoż na dwóch tych ptakach spoczęło Boskie błogosławieństwo i szczęście, a wszyscy dobrzy ludzie szanują je i zostawiają w pokoju! — Kiedy tak mówił, myśl jego zatrzymała się na bocianach, które dziwnie mieszały się z jego wspomnieniami: bocian na dachu żyda, bocian na łące, który go uprowadził z domu, i teraz bocian, jedyne żyjące stworzenie, które miał przy sobie w swojej samotności: zeszłego roku bowiem, gdy odlatywały bociany, usłyszał pewnego wieczora jakiś szczególny głos w kominie, a byłto bocian, który przelatując spadł i w upadku złamał sobie nogę. Zabandażował ją tedy jak mógł najlepiej, pielęgnował, a przez zimę zapoznali się z bocianem, zaprzyjaźnili nawet, tak iż teraz, gdy tamte bociany powróciły, ten już go nie opuścił, tylko z pola wskakiwał znówu przez otwarte drzwi do izby i co wieczór szukał swego gniazda w komórce od drzewa. Dzieci Łucyi przytuliły się do Krystyana i z nim wybiegły na łąkę, gdzie im z trzciny upłótl czapki grenadyerskie; — jedną czapkę — mówił — trzeba zostawić dla matki, — więc przegiął śpiczasty koniec i napełnił go pięknemi kwiatkami polnemi, zupełnie jakby

najpiękniejszy rożek obfitości, który też uradowana Łucya zawiesiła nad dużym lustrem w salce.

Nakryto do stołu, obrus aż lśnił się od białości, a dzieci wiedziały, że będzie coś lepszego niż zwykle; bo co druga niedziela, kiedy przychodził Grajek, matka ich zawsze występowała z jakąś przedniejszą potrawą. To też szczerze pragnęły, żeby przychodził co niedziela: wszakże miał niedaleko, bo nawet nie całe miał dwie mile.

Krystyan był dzieckiem wraz z dziećmi i cierpliwie, jak dziecko słuchał przekomarzania się ich ojca, miejscowego nauczyciela, w którego wymówkach zresztą cokolwiek może było i prawdy.

— Ty jeszcze będziesz bogatym! — odezwał się nauczyciel — ty pewno odkładasz grube pieniądze! Ale zawsze to niedobrze, kiedy człowiek jest sam jeden; weź sobie żonę, bo i któż zresztą weźmie po tobie, co uzbierasz? Spodziewam się, że nie twoje piękne zgromadzenie od modlitwy? — Dalejże dopiero wsiąść na niego i piorunować przeciwko wszystkim pietystom i mistykom.

— Pietyzm jednak wiele zdziałał dobrego! — odrzekł Krystyan. — Zasier już teraz wydał swoje plony i przyniósł nam pożywienie i siłę; onto w czasach barbarzyńskich sam jeden czuwał nad sztuką i nauką, onto spłodził piękną myśl o wielkim społeczeństwie ludzkim, on ducha podniósł przeciwko sile materyjalnej!

— Ale teraz wyrodził się! — rzekł nauczyciel — teraz owszem został gnębicielem ducha i swobody!

— Mnie się zdaje — odpowiedział Krystyan — że powinniśmy go raczej uważać za cieplarnię, która w zimowej porze wieków średnich prawdziwym była błogosławieństwem! Pod jej to opieką rozwijają się rośliny, żeby doszły do czasu, w którym lato pozwoli im już zostawać na otwartym świecie. Otóż to lato nadeszło: duchowi i swobodzie przyświeca już teraz ciepłe słońce, więc też wszystko puszcza i zielenieje wcale inaczej, aniżeli dawniej w cieplarni mistycyzmu. Czujemy wprawdzie, że to ciepło było sztuczne, a zieloność chorobliwa, — czujemy że na otwartym powietrzu daleko lepiej, bo tu wszystko porośło i wydało owoce, gdy tymczasem w cieplarni zostało na dawnej stopie, — ale zawsze, gdyby nie ona, byłoby wszystko poszło marnie.

— Już się znowu sprzeczać! — rzekła Łucya na w pół żartem.

— Broni pietystów! — zawołał mąż. — Już z nim doprawdy trudno wytrzymać!

— Chciałbym tylko wszystkie sposoby chwaleń Pana Boga okryć płaszczykiem miłości — odpowiedział Krystyan. — Przyniosę wam którego dnia kantyczek kwaków, który dostałem od Anglika, a przekonacie się, że jest w nim prawdziwy chrystyanizm, tak samo jak w najpiękniejszych naszych psalmach.

Słońce zaszło i dzieci już spały, gdy Krystyan wybrał się z powrotem do swojego, o dwie mile odległego mieszkania. Był to jeden z owych pięknych wieczorów księżycowych, które malarz rad chwytą i przelewa na płótno, któremi oddychać lubi poeta, bo pieśni jego po nich piękniejsze i bardziej ujmują cię za serce. I Krystyan także uległ wrażeniu tej pięknej woni wieczornej i doświadczył jednej z owych chwil, w których czuwał jeszcze wielki skarb duchowy złożony w swojej piersi, którego jednak podnieść nie można, dopiero o północy; — nagle jednak wszystko obok niego znikło i pozostała tylko nadzieja, że na tamym świecie nadejdzie właściwa dla ducha chwila. Jeszcze nie uszedł pół drogi, a już nie czuł owego cichego zadowolenia wewnętrznego, którem napawała go piękna wokoło niego przyroda. Prawda, że powinien być szczęśliwym, bo żadne serce z wyłączną miłością nie przytuliło się do jego serca, żeby się później odeń zdradziecko oderwać; lubiono go wszędzie i bez obawy patrzył na nadchodzące jutro; nie był kreaturą protegowaną przez żadnego z możliwych tego świata, a tem samem nie był obowiązany znosić przez wdzięczność tysiącznych jego kaprysów; nie był owym biedakiem, który wszystko czem był, wyłącznie tylko winien był jego wszechwładzy. Nie patrzył również codziennie na to, jak ta, którą kocha, całuje drugiego, jak śni o drugim, jakkolwiek względem niego zawsze była życzliwą i łagodną! Nie potrzebował się na to uśmiechać, by ukryć swe cierpienie! Życie jego nie było upstrzone żadnym wielkiem, przejmującym nieszczęściem, a mógł być pewnym, że kapłan zawoła nad jego grobem: — „Cicho i szczęśliwie popłynęły dnie jego żywota! żadna ciężka ni groźna chmura nie przeszła nad jego głową!” — O nie! bo nad tą głową zawisła tylko wiecznie szara powłoka, w którą długo wpatrując się, mógłby kto mniemać, że widzi czysty błękit nieba.

Nikogo nie było w domu, coby go przywitał! Samotnie tu było tak samotnie, jak kiedyś wszystkim samotnie będzie w grobie. Zapalił świecę, rozebrał się, przymknął okienice i potem zajrzał do komórki, gdzie spał bocian. Później otworzył duży, niebiesko pomalowany kufer, wyjął z niego dwa ciężkie worki, po cichu wysypał na stół lśniące talary, zliczył je, zawinął w papierki i uśmiechnął się tak samo, jak się niedawno uśmiechał do chłopczyków Łucyi.

— Tyle już mam! — rzekł do siebie. — Cały ten skarb jest dla niej! Tak jest! kiedyś powróci tu w największej nędzy, a tamci nie poznają jej, lub poznać nie zechcą, — ale ja wówczas będę dla niej bratem, a nędza jej wnet się skończy! — i znowu się uśmiechnął, bo myślał o Naomi.

Lekkomyślność młodociana wyrwała ją w świat, lecz trudno iżby z tego wynikło co dobrego. To też kiedyś niezawodnie, biedna i schorzała, przybędzie znowu w te strony z koczującą trupą jeźdźców, — nawet mu się to już śniło, a wiara jego w tej mierze była niezłomna. Jakże często na każdą wieść o przybyciu wędrownych kuglarzy teraz już chodził do oberży, lub do najbliższego miasteczka! wszędzie szukał Naomi, i dla niej zbierał i chował lśniące swoje talary.

Biblia, skrzypce i bocian, oto najlepsi jego przyjaciele. Ptak z ogrodu wskakiwał do stancyi, potem znów poleciał do lasku z tamtej strony łąki, ale zawsze na noc wracał do domu.

— Czy też przezimujesz u mnie? — rzekł Krystyan. — Czy też nie polecisz z twojemi braćmi do innych, cieplejszych krajów? — Ach! latać! ktoby tak umiał latać jak ty! I ja niegdyś chciałem dostać się ztąd daleko, — ale się tutaj zostałem i nigdy nie zobaczę świata! Ty ją tam może gdzie zobaczysz! Ty może przelecisz kiedyś nad grobem mego ojca! — i wziął kawałek czerwonej wstążki, napisał na niej te trzy słowa: *Pozdrowienie z Danii!* i przewiązał nią nogę bociana. — Teraz — rzekł — już sobie polec z tamtymi, tylko wracaj znów na wiosnę. Trzynaście już lat minęło, odkąd jej nie widział. Pewno się bardzo zmieniła! Choć w mojej pamięci staje jeszcze tak samo piękna i młoda, z tem samem dumnym wejrzeniem! Ach! gdybym był pięknym, jak hecarz! — i myśli jego zaczęły znów bujać daleko po Bożym świecie.

— Jakże często — rzekł do siebie — dzieci w najpierwszych latach życia bywają prawie brzydkie, a po kilku latach, gdy się rysy i kształty rozwijają, widzimy piękność tam, gdzie dawniej jej nie było i wnet też szczerze pokochamy ją. Również po śmierci, w nowem życiu, ten sam, czyja powierzchowność tu nas od siebie odpychała, przyciągnie nas do swego serca; będzie przez nas kochanym, bo twarde jego formy rozwijają się właśnie w rysy uroczej piękności. Toż nasze larwy ludzkie niczem nie są, jedno szata, a gdy opadnie odzież nędzy, wówczas żebrak w łachmanach może być pięknym, jakby najpierwszy szlachcic. — Tak dumiał Krystyan i pocieszał swą niedolę.

Nadszedł wrzesień, ta najpyszniejsza pora duńskiej przyrody: w tem jednej nocy dziwny miał sen o Naomi, który, gdy się nagle przebudził, w najżywszych barwach stanął mu przed oczyma, choć nazajutrz rano napróżno już usiłował przypomnieć sobie wszystkie jego szczegóły. To jedno tylko pamiętał, że Naomi głowę oparła na jego piersi, mówiąc do niego te słowa: — Umieram! — pochowasz mnie w małym twoim ogródku!

Sen taki wprawił go w dziwne usposobienie; odczytał sobie kantyczek i poszukał słów pociechy w Biblii.

Gdy po południu przechadzał się po wiosce, usłyszał przed sobą odgłos trąby, jakieś wołanie i krzyki chłopców wiejskich. Za furtką jednego z ogrodów stało kilka starych bab, patrzących się na drogę.

— Co tam takiego? — zapytał.

— Komedjanci, którzy w karczmie pokazywać będą różne sztuki.

I ujrzał jakiegoś mężczyznę w ubiorze pajaca, tylko że biednym i zbrukanym, na wychudłej szkapie, a przed nim siedziała w siodle mała dziewczynka o ładnych, czarnych oczkach, z tamborynem w ręku. Pajac wołał głośno, że niezadługo rozpocznie się w oberży najpiękniejsza w świecie komedia z ruchomemi lalkami, a oprócz tego dużo innych jeszcze sztuk nader cudownych, jakkolwiek zupełnie naturalnych. Twarz jego posypana była mąką, a przekrzywiał ją, aż przykro było patrzeć; mała dziewczynka miała cerę chorobliwą, a przy każdym zatrąbieniu ojca, ona uderzała w swój tamboryn.

Krystyanowi przypomniał się sen, przypomniała Naomi; może to jej mąż, może jej dziecko? Poszedł do karczmy.

Na podwórzu stał wóz kuglarzy pokryty budką płócienną, na której schła stara, podarta koldra. W stajni urządzony był liches teatrzyk, a lalki w pobrudzonych, niegdyś może świetnych lachmanach leżały w nieładzie jedna przez drugą. W kącie siedziała jakaś tłusta, ciemnej cery kobieta, z siwymi włosami na gołej głowie, trzymająca na kolanach dziecko, które karmiła; druga, cokolwiek od niej młodsza, przylepiła gwiazdkę papierową do piersi dużej lalki drewnianej. Krystyan rozmawiał z niemi; głos jego drżał ze wzruszenia, lecz przekonał się, że między niemi nie było Naomi.

Jakże często już w podobny sposób zawiódł się, a jednak zawód taki zawsze go cieszył. Widok tych ludzi i wspomnienie snu zeszłej nocy poruszyły go do głębi.

Powróciwszy do domu, spostrzegł, że nie ma bociana. — Przyjdzie on jeszcze! — pomyślał i drzwi do komórki zostawił otwarte. — Bóg wie, może zresztą już i przez morze odleciał wraz z drugim! Liście już mocno żółkną!

Całą noc przespał bardzo niespokojnie; równo ze wschodem słońca był już ubrany i wyszedł do ogródka, gdzie Naomi chciała być pochowaną. Nagle usłyszał dziwny jakiś łoskot na łące i ujrzał bociany fruujące setkami, jednego przez drugiego. Próbowaly sił swoich, jak mówią wieśniacy. Widział, jak niektóre z nich, napadnięte przez innych, legły nieżywe pod ostrymi razami ich dziobów. Nagle wśród ogólnego klekotu podleciało całe stado i znikło w wysokościach powietrza.

Wyszedł na łąkę, gdzie leżało siedm zabitych bocianów, a powirywane z nich pióra jeszcze unosiły się nad trawą.

— Natura nie dała wam sił dostatecznych i dlategoście umarli, biedne ptaki! Nie miało wam być wolno polecieć za tamtymi w ciepłe kraje! — rzekł schylając się, gdy dojrzał, że jeden bocian miał czerwoną wstążeczkę na nodze. Podniósł go, jeszcze był ciepły; krew walała białe jego pióra, długa szyja zwisała martwa; tak, to był jego bocian! — i przycisnął go do piersi.

— Tak więc sen mój się spełnia! ciebie, a nie ją trzymam w moich objęciach! tobie to grób wykopię pod kwiatami w ogródku! — i ucałował martwego ptaka, ze skrzydeł wyjął jedno białe i jedno czarne pióro, które wetknął nad lustrem, potem wykopał grób, wysłał go zielonemi liśćmi i włożył weń bociana. Krzaczek róży z złocistemi od posuszy kwiatami stał nad kurhanem ptaka.

— Znowu będę sam jeden! Już do mnie na wiosnę nie powrócisz! Umarłeś! Wszystko umiera! Wszystko trzeba stracić! Dlaczegoż więc nie korzystamy z chwili? — Dlaczego nie chcemy być szczęśliwi? To też pełnemi piersiami wciągać będę w siebie ostatni blask słoneczny tego roku, cieszyć się jasną zimą i orzeźwiać tą wiosną co nadejdzie!

Ale zima natomiast sprowadziła tylko flagi, śniegi i dnie szarawe; lasy stały szeregami obnażonych pni, a czarne gałęzie zdawały się jakby splecione wierzchołkami koron; — cała natura była larwą, która dopiero po upływie kilku miesięcy miała wylęgnąć się pod promieniami ożywczego słońca!

Krystyan był cierpiący, lecz co drugą niedzielę mile widzianym zawsze bywał gościem u Łucyi, choć nie przychodził nigdy, tylko co drugą niedzielę. Więc niepomąlu też zdziwiła się, gdy przyszedł raz do niej w dzień powszedni, a był bledszy i mizerniejszy, niż zwykle.

— Owszem, mnie bardzo dobrze! — rzekł — alem nic nie miał do roboty i stęskniłem się za dziećmi, więc wybrałem się do was jeszcze dzisiaj.

Dowiedział się zresztą o nowinie, choć z nią wystąpił dopiero nieco później, — bo ogrodnik ze dworu powiedział mu, że na wiosnę spodziewają się gości, jakiegoś wielkiego pana z Francyi wraz z żoną, a tą właśnie żoną podobno jest Naomi, która od wielu już lat z nim zamężna, a więc niezmiernie bogata i wysokiego na świecie znaczenia. Oczy zaszyły mu łzami. — Nie! — rzekł — jednak zupełnie zdrow nie jestem! lada drobnostka zaraz mnie wzrusza!

Łucya uścisnęła jego rękę.

Jakże mu teraz wszystko samotnie było w domu! Ileż razy dawniej w nocy przeliczał swoje skarby, — teraz nigdy już nie otwierał kufra, nigdy nie wyjmował lśniących talarów.



Zima była tak długą, tak szarą — lecz jednak dobrą dla biednych, jak mówiono, bo mróz nie wielki, choć za to flaki tem większe, a cała natura ciągle zakryta za szarawą mgłą i wilgocią. Była to jesień, która się długo przeciągnęła, aż pod sam koniec wiosny.

W połowie maja, kiedy po raz pierwszy ciepłej zaświeciło słońce, dzieci Łucyi smutne stały przy łóżku chorego Krystyana, nad którym czuwała zacna ich matka.

— Dzięki ci za twoją miłość i dobroć, Łucyo! — rzekł — jednak dobrze jest na tym świecie, i ludzie jednak dobrzy! Pamiętam! coś mi mówiła niegdyś przed laty: — Powszednie dary Boże dla nas ludzi tak już są wielkie, że grzechem jest życzyć sobie większych! — Kto wysoko stoi, ten właśnie wystawiony na najostrejsze wiatry, nie zaś my, co czekamy na dole. Człowiek znakomity stoi wpośród promieni, lecz promienie palą go! możemy mu zazdrościć, że większą ma wrażliwość na wszystko, co go otacza, ale za to mocniej też od nas czuje wszystkie przeciwności. On swą gorącą duszą daje to, co my zwyczajni ludzie przyjmujemy z zimną, — on nas w gości zaprasza do swej uczy, a my, jak te złe ptaki, owe Harpyje, o których czytałem, przychodzimy i walamy jego stoły! — Tak mimowolnie ganił całą ludzkość, którą przed chwilą nazwał miłującą i dobrą.

— Nasze myśli tylko bywają ogromne, ale same czyny niczem — mówił dalej. — To co my nazywamy nieśmiertelnem, wielkiem, to kiedyś innemu pokoleniu wyda się tylko, jakby nabazgranym węglami napisem na ścianach więzienia; ciekawi zwiedzają takie miejsca i czytają te napisy! — Gdy umrę, daj moją Biblię dzieciom! w niej jest klucz do skarbu, którego ani rdza nie zniszczy, ani mole nie pojedzą. Przed śmiercią zobaczę jeszcze Naomi! — rzekł i spójrzał prawie wesoło — tak jest! zobaczę ją! czuję, iż ją zobaczę!

— Nie mów o śmierci! — zawołała Łucya, — jeszcze nie umrzesz, i długo jeszcze żyć będziemy razem.

---

— — Jaskółka już powróciła; bocian siedział w swem gnieździe; Duńczyk przechwalał się zielonością ciemnych borów; — a Łucya wówczas złożyła ręce umarłego, zawarła jego oczy i po raz ostatni pokazała płaczącym chłopczykom, dobrego, kochanego Krystyana.

— Teraz mu dobrze! — rzekła Łucya — tak dobrze, jak mu nigdy nie było tu na ziemi!

Zabito gwoździami prostą trumnę, i wieśniacy wynieśli ją z domu; za nią szła Łucya z mężem i z dziećmi. Niedaleko cmentarza droga była dość wązką; w tem nadjechał piękny, czterokonny koczyszek. Byli to goście do dworu, pan Markiz z Francyi i jego żona, Jaśnie pani Markiza Naomi.

Chłopi zeszli z trumną do rowu, żeby jaśnie państwu wygodniej było wyminąć ich; zdjęli kapelusze, a pani Markiza Naomi, z dumnym wzrokiem i ujmującym uśmiechem, wyjrzała na nich łaskawie i skłoniła się. Biedny bo niezawodnie był człowiek, którego tam chowali! — TYLKO GRAJEK!

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/andersen-tylko-grajek/>

Tekst opracowany na podstawie: Hans Christian Andersen, Tylko grajek, Tom I, Tom II, Nakładem Karola Bernstejna Księgarza, Warszawa 1858.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Marta Niedziałkowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

ISBN 978-83-288-0030-4

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.